

OŚRZE ZDRAJCY

S E B A S T I E N D E C A S T E L L

OSTRZE ZDRAJCY

przekład

PAWEŁ PODMIOTKO

Tytuł oryginału

Traitor's Blade

First published in Great Britain in 2014 by

Jo Fletcher Books

an imprint of Quercus Editions Ltd.

Copyright © 2014 SEBASTIEN DE CASTELL

All rights reserved.

Przekład

PAWEŁ PODMIOTKO

Redakcja i korekta

TOMASZ PORĘBSKI, PIOTR MOCNIAK, DOMINIKA PYCIŃSKA, JULIA DIDUCH

oraz PRACOWNIA 12 A

Skład, układ polskiej okładki i przygotowanie do druku

TOMASZ BRZOZOWSKI

Oryginalny projekt okładki

bürosüd° | www.buerosued.de

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2017. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65315-99-1

 **Insignis**

Insignis Media, ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 12 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

Facebook: @Wydawnictwo.Insignis

Twitter, Instagram, Snapchat: @insignis_media

Druk i oprawa

Drukarnia POZKAL, www.pozkal.eu

Wyłączna dystrybucja



Firma Księgarska Olesiejuk, olesiejuk.pl

Wydrukowano na papierze Snowbright Plus 60 g/m², wol. 2,0
dostarczonym przez firmę


Just ask Antalis
www.antalis.pl

Mojej matce, MJ,
która kiedyś, gdy byłem małym chłopcem,
wzięła mnie na stronę, i powiedziała:

„No cóż, musimy zarabiać pieniądze,
a najłatwiej będzie to zrobić, pisząc powieści”.

Nie zechciała tylko wspomnieć,
że w życiu nie sprzedała żadnej książki.



SPIS TREŚCI

Lord Tremondi	13
Wspomnienia z dzieciństwa	24
Miasto Solat	36
Plac karawan	46
Aline	66
Gra w mankiety	77
Berserkowie	94
Jak zabić króla	100
Bramy Rijou	110
Nadejście Wielkich Płaszczy	131
Pałac książęcy	136
Przysięga tchórza	160
Łobuzy	180
Nowe Wielkie Płaszcze	200
Miękką lukrecja	218
Aptekarze	228
Dashini	248
Księżna	258

Wieszczu koń	267
Sumienie oprawcy	280
Małe smutki	287
Jedna noc miłosierdzia	295
Nikt nie skruszy skały	305
Przysięgli	318
Lekcja łucznictwa	326
Księżniczka i żebraczka	348
Krawiec z Phan	364
Święty od Mieczy	377
Pieśń wojenna	390
Odpowiedź	396
Podziękowania	417

OSTRZE ZDRAJCY

LORD TREMONDI

Pomyślcie przez chwilę, że spełniło się wasze najskrytsze pragnienie. Nie to zwykłe, rozsądne, o którym opowiadacie przyjaciom, lecz marzenie tak bliskie waszym sercom, że baliście się wypowiadać je na głos, nawet gdy byliście dziećmi. Wyobraźcie sobie na przykład, że zawsze pragnęliście być Wielkim Płaszczem, jednym z legendarnych zbrojnych w rapiery sędziów wędrujących od najpośledniejszej wioski do największego miasta i zapewniających każdemu człowiekowi, mężczyźnie czy kobiecie, nisko czy wysoko urodzonemu, ochronę królewskich praw. Dla wielu są oni obrońcami, dla niektórych nawet bohaterami. Czujecie symbolizujący wasz urząd gruby skórzany płaszcz spoczywający wam na ramionach, złudną lekkość wszytych w niego kościanych płytek, które osłaniają wasze ciało niczym zbroja, i dziesiątki ukrytych kieszonek z akcesoriami, tajemnymi pigułkami i miksturami. Chwytacie rękojeść wiszącego u boku rapiera, wiedząc, że zostaliście wyszkoleni, by w razie konieczności walczyć i w pojedynku pokonać każdego.

Teraz wyobraźcie sobie, że wasze marzenie się spełniło – pomimo wszystkich przeszkód zesłanych na ten świat przez złośliwość zarówno bogów, jak i świętych. A więc zostaliście Wielkim Płaszczem – właściwie pomyślcie o czymś jeszcze

większym: że otrzymaliście stanowisko pierwszego kantora Wielkich Płasczy, a u boku macie dwóch najlepszych przyjaciół. A teraz wyobraźcie sobie, gdzie jesteście, co widzicie i słyszycie, jaką krzywdę staracie się naprawić...

– Znów się pieprzą – stwierdził Brasti.

Zmusiłem się, by podnieść powieki i spojrzałem zapuchniętymi oczami na bogato przyozdobiony – choć brudny – korytarz gospody, który przypominał, że świat był pewnie kiedyś przyjemnym miejscem, ale od tamtej pory zdążył zgnieć. Kest, Brasti i ja strześliśmy przedpokoju, siedząc w miarę wygodnie na starych krzesłach przyniesionych z sali na dole. Przed nami były duże dębowe drzwi prowadzące do pokoju zajmowanego przez lorda Tremondiego.

– Daj spokój, Brasti – powiedziałem.

Posłał mi spojrzenie, które pewnie miało być miażdżące, ale niezbyt mu się to udało: Brasti jest nieco zbyt przystojny, by któkolwiek, w tym on sam, miał z tego pożytek. Wydatne kości policzkowe i szerokie usta otoczone rudawą bródką podkreślającą uśmiech, dzięki któremu wychodzi cało z większości awantur, w jakie wplątuje się przez własną gadaninę. Mistrzostwo w operowaniu łukiem załatwia pozostałe problemy. Ale kiedy próbuje zmusić cię do odwrócenia wzroku, wygląda tylko, jakby się dąsał.

– Z czym mam sobie dać spokój, jeśli łaska? – spytał. – Z tym, że obiecałeś mi życie bohatera, skłaniając mnie podstępem, abym dołączył do Wielkich Płasczy, a tymczasem stałem się zubożałym, napiętnowanym przez wszystkich członkiem straży przybocznej zmuszonym do marnej pracy zlecanej przez wędrownych handlarzy? Czy może z tym, że siedzimy tu, słuchając naszego łaskawego chlebowdawcy – co jest określeniem nieprecyzyjnym, bo nie zapłacił nam jeszcze marnego czarnego mieczyka, ale mniejsza o to, fakt, że słuchamy, jak pieprzy jakąś kobietę po raz... który? Piąty od kolacji? Jak ten tłusty nierób w ogóle nadąża? Przecież...

– Może to zioła – przerwał mu Kest, znów rozciągając mięśnie z niedbałą gracją tancerza.

– Zioła?

Kest kiwnął głową.

– A co tak zwany najlepszy szermierz na świecie może wiedzieć o ziołach?

– Kilka lat temu pewien aptekarz sprzedał mi miksturę, dzięki której ręka trzymająca rapier miała być sprawna, nawet gdy jej właściciel był już jedną nogą w grobie. Wypiłem ją przed walką z pół tuzinem asasynów próbujących zabić świadka.

– I zadziałała? – spytałem.

Kest wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. W końcu było ich tylko sześciu, więc to nie takie wielkie wyzwanie. Ale przez całą walkę miałem solidną erekcję.

Zza drzwi dobiegło wyraźne stęknienie, a potem jęk.

– Święci! Czy nie mogliby już przestać i iść spać?

Jakby w odpowiedzi jęki stały się głośniejsze.

– Wiecie, co wydaje mi się dziwne? – ciągnął Brasti.

– Czy zamierzasz w końcu kiedyś zamilknąć? – zapytałem.

Brasti puścił to mimo uszu.

– Wydaje mi się dziwne, że dźwięki wydawane przez chędożącego arystokratę prawie się nie różnią od tych, które wydaje torturowany.

– Masz praktykę w torturowaniu arystokratów, co?

– Wiesz, co mam na myśli. Same jęki, stęki i piski, prawda? To nieprzyzwoite.

Kest uniósł brew.

– A jak brzmią przyzwoite odgłosy chędożenia?

Brasti tęsknie spojrzał w górę.

– Na pewno byłoby więcej okrzyków rozkoszy ze strony kobiety. I więcej słów. Więcej: „Och Brasti, o tak, właśnie tak! Jakież niezłomne jest twoje serce i ciało!”. – Wywrócił oczami

z obrzydzeniem. – Ta tutaj brzmi, jakby robiła na drutach albo kroїła mięso na obiad.

– Niezlomne jest twoje serce i ciało? Kobiety naprawdę mówią ci w łóżku takie rzeczy? – spytał Kest.

– Spróbuj kiedyś nie ćwiczyć cały dzień sztychów rapierem i połóż się z kobietą, to zobaczysz. Falcio, poprzyj mnie.

– Możliwe, że tak jest, ale to było tak strasznie dawno, że mogłem zapomnieć.

– A jakże, Święty Falcio, ale z żoną przecież na pewno...?

– Daj spokój – powiedziałem.

– Ja nie... To znaczy...

– Żeby nie musiał cię uderzyć, Brasti – powiedział cicho Kest.

Siedzieliśmy w milczeniu minutę czy dwie, podczas których Kest w moim imieniu piorunował wzrokiem Brastiego, zaś odgłosy dochodzące z sypialni nie słabły.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że on jest w stanie tyle wytrzymać – zaczął znów Brasti. – Pytam cię po raz kolejny, Falcio: co my tu robimy? Tremondi nawet nam jeszcze nie zapłacił.

Uniosłem dłonie i poruszyłem palcami.

– Widziałeś jego pierścienie?

– Jasne – powiedział Brasti. – Bardzo duże i w jarmarcznym stylu. Z kamieniem w kształcie koła od wozu.

– Tak wygląda pierścień Lorda Karawan, o czym wiedziałbyś, gdybyś interesował się światem wokół siebie. Używają ich, żeby przypieczętować swoje głosy podczas dorocznej konwencji: jeden pierścień to jeden głos. Nie wszyscy Lordowie Karawan pojawiają się tam w danym roku, mają więc możliwość użyczenia swoich pierścieni innym, aby ci działali w ich imieniu we wszystkich najważniejszych głosowaniach. A teraz, Brasti: ilu jest w sumie Lordów Karawan?

– Nikt nie wie na pewno, to jest...

– Dwunastu – odpowiedział Kest.

– A na ilu palcach Lord Tremondi ma te swoje jarmarczne pierścienie?

Brasti przypatrzył się własnym dłoniom.

– Nie wiem: na czterech... pięciu?

– Na siedmiu – powiedział Kest.

– Na siedmiu – powtórzyłem.

– A więc to oznacza, że mógłby... Falcio, nad czym dokładnie Lordowie Karawan będą w tym roku głosować?

– Nad mnóstwem rzeczy – powiedziałem od niechcenia. – Kursy wymiany, wysokość opłat, polityka handlowa. Aha, i bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo?

– Odkąd księżęta zabili króla, drogi popadły w ruinę. Księżęta nie chcą dawać pieniędzy ani ludzi nawet po to, by chronić szlaki handlowe, więc Lordowie Karawan przy każdej podróży wydają fortunę na najemną ochronę.

– A obchodzi nas to, bo...?

Uśmiechnąłem się.

– Bo Tremondi zamierza zaproponować, by to Wielkie Płaszczce zostały Opiekunami Dróg, dając nam autorytet, szacunek i porządne życie w zamian za trzymanie bandytów z dala od ich cennych towarów.

Brasti zdawał się nieufny.

– Pozwoliliby nam ponownie zebrać Wielkie Płaszczce? A więc nie żyłbym już z etykietką zdrajcy i nie przeganiłbym mnie z każdego ludnego miasta ani zapomnianej przez bogów wioski jak kraj długi i szeroki, tylko mógłbym jeździć po traktach handlowych i dawać łupnia zbirom, a do tego otrzymywać za to zapłatę?

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– A gdy to osiągniemy, znacznie łatwiej będzie nam wykonać królewską...

Brasti zamachał ręką.

– Proszę cię, Falcio. On nie żyje od pięciu lat. Jeśli jeszcze nie znalazłeś tych przeklętych „królewskich czaroitów”... Nawiasem mówiąc, wciąż nikt nie wie, czym są...

– Czaroit to rodzaj kamienia szlachetnego – powiedział spokojnie Kest.

– Nieważne. Do czego zmierzam: odnalezienie tych klejnotów bez żadnej absolutnie wskazówki co do miejsca, w którym mogłyby się znajdować, jest równie prawdopodobne jak to, że Kest zabije Świętego od Mieczu.

– Ale ja naprawdę zabiję Świętego od Mieczu, Brasti – powiedział Kest.

Brasti westchnął.

– Beznadziejne z was przypadki. Tak czy owak, nawet jeśli rzeczywiście znajdziemy te czaroity, to co właściwie mamy z nimi zrobić?

– Nie wiem – odparłem – ale ponieważ inna możliwość jest taka, że księżęta wytropią Wielkie Płaszczu jednego po drugim, aż wszyscy będziemy martwi, rzekłbym, że oferta Tremondiego mnie przekonuje.

– Cóż... – powiedział Brasti, wznosząc do góry wyimaginowany kielich. – A więc brawo, Lordzie Tremondi. Oby tak dalej!

Jakby w odpowiedzi na jego toast z pomieszczenia dobiegły kolejne jęki.

– Wiecie co? Myślę, że Brasti może mieć rację – powiedział Kest, wstając i sięgając po jeden z wiszących mu u boku rapierów.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Z początku brzmiało to jak amory, ale zaczyna mi się wydawać, że faktycznie nie jestem w stanie odróżnić tych dźwięków od odgłosów tortur.

Podniosłem się ostrożnie, jednak kiedy pochyliłem się w stronę drzwi, próbując cokolwiek usłyszeć, wysłuchane krzesło głośno zaskrzypiało.

– Chyba przestali – mruknąłem.

Wyciągany z pochwy rapier Kesta wydał cichuteńki szmer.

Brasti przyłożył ucho do drzwi i pokręcił głową.

– Nie, on przestał, ale ona kontynuuje. Tamten musiał zasnąć. Ale dlaczego miałyby to robić, jeśli...?

– Brasti, odsuń się od drzwi – powiedziałem i uderzyłem w nie barkiem.

Pierwsza próba była nieudana, ale za drugim razem zamek ustąpił. Z początku w krzykliwie urządzonego pokoju, udekorowanym, jak naiwnie mniemał oberżysta, w stylu księżęcej sypialni, wszystko wydawało się na swoim miejscu.

Na niegdyś drogich dywanach, które teraz przeżarły mole i prawdopodobnie zamieszkiwały robaki, leżały rozrzucone ubrania i książki. Łóżko skrywały zakurzone aksamitne kotary zwisające z dębowego baldachimu.

Ledwie zacząłem powoli wchodzić do pokoju, gdy zza zasłon wyłoniła się kobieta. Jej naga skóra była wysmarowana krwią i chociaż nie mogłem dojrzeć twarzy przez pokrywającą ją półprzezroczystą czarną maskę, wiedziałem, że się uśmiecha. W prawej dłoni trzymała parę wielkich nożyc – takich, jakimi rzeźnicy tną mięso. Wyciągnęła w moją stronę lewą dłoń zaciśniętą w pięść i obróconą w stronę sufitu. Potem zbliżyła ją do ust i wyglądało, jakby chciała posłać nam całusa. Zamiast tego wypuściła powietrze i zobaczyłem kłęb błękitnego pyłku.

– Wstrzymajcie oddech! – krzyknąłem do Kesta i Brastiego, ale było za późno. Żeby zadziałała ukryta w pyłku magia, nie trzeba było oddychać.

Świat nagle znieruchomiał i poczułem, jakby uwięziły mnie zacinające się wskazówki starego zegara. Wiedziałem, że Brasti stoi za mną, ale nie mogłem odwrócić głowy, by na niego spojrzeć. Kest był w zasięgu mojego wzroku, widziałem kątem prawego oka jego desperacką walkę o oswobodzenie.

Kobieta patrzyła na mnie przez chwilę, przechylając głowę.

– Urocze – powiedziała miękkim głosem i podeszła do nas swobodnie, wręcz leniwie, wydając nożycami dźwięk rytmicznego cyk-cyk.

Poczułem jej dłoń na policzku, potem przeciągnęła palcami wzdłuż mojego płaszcza, naciskając na jego powierzchnię, aż udało jej się wsunąć dłoń pod spód. Na chwilę dotknęła mojej piersi, pieszcząc ją delikatnie, a potem ześlizgnęła się po brzuchu i poniżej pasa.

Cyk-cyk.

Stanęła na palcach i zbliżyła zamaskowaną twarz do mojego ucha, przyciskając do mnie swoje nagie ciało, jakbyśmy mieli się objąć. Cyk-cyk, szczerknęły nożyce.

– Ten pyłek nazywa się aelthea – wyszeptwała. – Jest bardzo, bardzo drogi. Potrzebowałam tylko szczypty dla Lorda Karawan, ale przez was musiałam teraz zużyć cały zapas.

Jej głos nie był zły ani smutny, zupełnie jakby dokonywała jedynie bezznamienitego podsumowania.

Cyk-cyk.

– Poderznęłabym wam gardła, moje obdarte peleryny, ale mogę z was zrobić pewien użytek, a dzięki aelthece nie zapamiętacie nic z tego, co się wydarzyło.

Zrobiła krok w tył i obróciła się teatralnie.

– O tak, będziecie pamiętać jedynie nagą kobietę w masce, ale wszystko inne wam umknie: mój wzrost, głos, krągłości mojego ciała.

Pochyliła się do przodu, włożyła nożyce w moją lewą dłoń i zacisnęła mi na nich palce. Usiłowałem je rozluźnić, ale nie chciały się ruszyć. Starałem się, jak tylko mogłem, zapamiętać jej kształty, wzrost, rysy twarzy za maską, cokolwiek, co pomogłoby mi ją rozpoznać, gdybym znów ją spotkał, ale obraz rozmywał mi się przed oczami. Próbowałem znaleźć słowa, by opisać ją rymami, które dałoby się zapamiętać, ale i one natychmiast umykały. Mogłem patrzeć prosto na nią, ale wystarczyło,

żebym mrugnął, i wspomnienie zniknęło. Aelthea z pewnością była bardzo skuteczna.

Nie cierpię magii.

Kobieta podeszła na chwilę do osłoniętego łóżka i wróciła z odrobiną krwi trzymaną ostrożnie w zagłębieniu dłoni. Podeszła do ściany naprzeciw nas, zanurzyła palec we krwi i napisała na ścianie dwa wyrazy. Ściekające litery utworzyły słowa „Wielkie Płaszcze”.

Jeszcze raz do mnie podeszła i poczułem, że pocałowała mnie w policzek przez zwiewną tkaninę maski.

– To niemal smutne – powiedziała lekkim tonem – patrzeć, jak Wielkie Płaszcze samego króla, jego legendarni wędrowni trybuni, tak nisko upadają; jak kłaniać się i szurac nogami przed jakimś spasionym Lordem Karawan, postawionym ledwie o szczebel wyżej od zwykłego ulicznego przekupnia... Powiedz mi, obdarta peleryno, czy śni ci się, że wciąż jeździsz po kraju z rapierem w dłoni i pieśnią na ustach, niosąc sprawiedliwość biednym nieszczęśnikom uciskany butem kapryśnych książąt?

Próbowałem odpowiedzieć, ale pomimo wysiłków zdobyłem się tylko na drżenie dolnej wargi.

Kobieta uniosła palec i rozsmarowała krew na moim policzku, który przed chwilą pocałowała.

– Do widzenia, moja uroczą obdarta peleryno. Za kilka minut będę tylko mglistym wspomnieniem. Ale nie martw się, ja ciebie zapamiętam bardzo dobrze.

Odwróciła się, podeszła niedbałym krokiem do szafy i wyjęła swoje ubranie. Potem otworzyła okno i nie odziewszy się nawet, rozplynęła się w porannym powietrzu.

Staliśmy jak kołki przez jakąś minutę, zanim Brasti, który był najdalej od pyłku, zdołał poruszyć ustami na tyle, by wydusić:

– Do licha.

Kest wyszedł ze stanu odrętwienia jako drugi, a ja na końcu. Kiedy tylko mogłem się poruszyć, popędziłem do okna, ale oczywiście kobiety dawno już nie było.

Podszedłem do łóżka, żeby obejrzyć zakrwawione ciało lorda Tremondiego. Zajął się nim jak chirurg i jakimś sposobem zdołała utrzymać go przy życiu przez długi czas – być może była to kolejna właściwość magicznego proszku. Jej nożyce na zawsze pozostawiły na jego ciele potworną mapę.

To nie było zwykłe morderstwo; to była wiadomość.

– Falcio, patrz – powiedział Kest, wskazując na dłonie Tremondiego.

Na jego prawej dłoni zostały trzy palce, pozostałe były krwawymi kikutami. Pierścienie Lordów Karawan zniknęły, a wraz z nimi nasze nadzieje na przyszłość.

Usłyszałem wbiegających po schodach ludzi. Miarowy tupot ich kroków dowodził, że byli to strażnicy miejsy.

– Brasti, zatarasuj drzwi.

– Długo nie wytrzymają, Falcio. Trochę je uszkodziłeś, kiedy tu wchodziliśmy.

– Po prostu zrób, co mówię.

Brasti umieścił drzwi na miejscu, Kest pomógł mu podeprzeć je komodą, a następnie zaczęliśmy szukać czegokolwiek, co dałoby się powiązać z morderczynią Tremondiego.

– Myślisz, że ją znajdziemy? – zapytał mnie Kest, gdy patrzyliśmy na zmasakrowane szczątki Tremondiego.

– Mamy szansę tak jak na śnieg w piekle, do którego zresztą niedługo trafimy – odparłem.

Kest położył mi rękę na ramieniu.

– Przez okno?

Westchnąłem.

– Przez okno.

Z zewnątrz dobiegało walenie pięściami w drzwi.

– Dobranoc, lordzie Tremondi – powiedziałem. – Nie byłeś szczególnie dobrym pracodawcą. Ciągłe kłamałeś i nigdy nie płaciłeś nam na czas. Ale to chyba w porządku, skoro jako straż przyboczna okazaliśmy się raczej do niczego.

Kest opuszczał się już po ścianie, gdy strażnicy zaczęli forso-
wać drzwi do pokoju.

– Zaraz – zaczął Brasti. – Nie powinniśmy... no, wiesz...

– Co?

– No, wiesz, zabrać jego pieniędzy?

Słyszac to, nawet Kest odwrócił się i uniósł brew.

– Nie, nie zabierzemy jego pieniędzy – odparłem.

– Dlaczego nie? Raczej mu się nie przydadzą.

Znów westchnąłem.

– Bo nie jesteśmy złodziejami, Brasti, jesteś Wielkimi
Płaszczami. A to musi coś znaczyć.

Zaczął wychodzić przez okno.

– Tak, to coś znaczy: to mianowicie, że ludzie nas nienawi-
dzą. To, że oskarżają nas o śmierć Tremondiego. To, że zawisnie-
my na stryczku, podczas gdy tłuszcza będzie rzucać zgniłymi
owocami w nasze trupy, wrzeszcząc: „Obdarte peleryny, ob-
darte peleryny!”. Ach tak, znaczy to też, że nie mamy żadnych
pieniędzy. Ale przynajmniej wciąż mamy nasze płaszcze.

Zniknął za oknem, a ja zaraz po nim. W tym samym momen-
cie konstable wyłamali drzwi i kiedy ich dowódca zobaczył, jak
znikam za oknem z drewnianym parapetem wciąż na wysokości
piersi, na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Od razu wiedzia-
łem, co to oznacza: na dole czekali jego ludzie i gdy osaczą nas za
pomocą pik, on będzie mógł spuścić na nas z góry deszcz strzał.

Nazywam się Falcio val Mond, jestem pierwszym kantorem
Wielkich Płaszczy, a to był tylko pierwszy z mnóstwa złych dni,
które miały nadejść.

WSPOMNIENIA Z DZIECIŃSTWA

K sięstwo, w którym się urodziłem, nazywa się Pertynia. Jest to niewielka kraina, przeważnie ignorowana przez resztę Tristii. Słowo „pertynia” ma kilka znaczeń, ale wszystkie pochodzą od kwiatu rosnącego na zawietrznych zboczach łańcuchów górskich, które otaczają ten region. Kwiat ten ma dziwny niebieskawy odcień i z początku moglibyście go określić jako jaskrawy, ale po dłuższej obserwacji przyszłyby wam też do głowy słowa takie jak „oleisty”, „lejący się”, aż wreszcie „jakiś taki niepokojący”. Pertynia nie ma znanych właściwości leczniczych, wywołuje wymioty po zjedzeniu i okropnie cuchnie, gdy się ją zerwie. Nie muszę dodawać, że należało być niezłym idiotą, żeby uczynić ten kwiat jedyną rzeczą, która kojarzy się z twoim regionem. Mimo to w zamierzchłej przeszłości jakiś watażka postanowił zerwać jeden z nich, umieścić go na swoim płaszczu i nazwać moją rodzinną krainę Pertynią. Jak sądzę, urodził się bez zmysłu węchu.

Ale to nie koniec tego obłądu. Strażnicy czuwający nad bezpieczeństwem miasta i tworzący trzon naszej armii w czasie wojny noszą tabardy o tej samej barwie i fakturze co kwiaty zdobiące naszą ojczyznę, a to, rzecz jasna, oznacza, że przeżywa się ich

„pertynami”, bo w końcu faktycznie są niebiescy, oleiści, lejący się i w ostatecznym rozrachunku dość cuchnący.

To bogate dziedzictwo stało się i moją spuścizną, ponieważ mój ojciec postanowił nie tylko zamieszkać w Pertynii, ale i służyć w Straży Pertyńskiej. Nie był najlepszym ojcem ani mężem i, jak sądzę, zdawał sobie z tego sprawę, bo zrezygnował z obu tych funkcji, kiedy miałem siedem lat. Zawsze przypuszczałem, że znalazł sobie nową posadę jako mąż i ojciec gdzie indziej, ale nigdy nie zadałem sobie trudu, żeby to sprawdzić.

Zapłaciłem sporo skrybie losu w klasztorze Świętego Anlasy Co Pamięta Świat, żeby to wszystko napisał, choć sam nigdy tego nie przeczytam. Jak oni potrafią spisać wydarzenia ludzkiego życia z takiej oddali, tego nie wiem. Jedni mówią, że odczytują nici losu lub łączą się z ludzkim umysłem, by pochwycić jego myśli i przelać je na papier. Inni twierdzą, że po prostu zmyślają te brednie, bo zanim ktokolwiek będzie mógł je przeczytać, człowiek, o którym piszą, niemal na pewno będzie już martwy. Niezależnie od tego, jaka jest prawda, mam nadzieję, że przynajmniej w następnym fragmencie nic nie pomylą, bo są to dwie historie, które dzieli dwadzieścia pięć lat, a że obie uważam za istotne, to spróbujcie się skupić.

Oto pierwsza z nich: miałem osiem lat i mieszkalem z matką na obrzeżach miasteczka, które graniczyło z kolejną osadą. Matka często wysyłała mnie w sprawach, które, gdy teraz to wspominam, wydają się nieco podejrzanе. „Falcio, pobiegnij do miasta i przynieś mi jedną marchewkę. Ale pamiętaj, żeby była ładna”. Albo: „Falcio, pobiegnij do miasta i spytaj gońca, ile będzie nas kosztować przesłanie listu do twojego dziadka do Fraletty”.

Cóż, nie wiem, jak to wygląda w waszych stronach, ale cena przesłania listu głównymi drogami nie zmieniła się w Pertynii przez ostatnie pięćdziesiąt lat i wciąż nie wiem, co można zrobić z jedną marchewką. Ale matka była zadowolona z mojej

nieobecności, a ja miałem dzięki temu czas, by chodzić do gospody i słuchać Bala Armidora. Bal był młodym wędrownym bardem, który zwykł spędzać dużo czasu w naszym miasteczku. Przynosił zamożnym mieszczanom w średnim wieku wiadomości o tym, co się działo za granicami Pertynii, i raczył starców o przygarbionych grzbietach wzniosłymi historiami o świętych. Śpiewał młodym dziewczętom pełne słodczych romanse sprawiające, że rumieniły im się policzki, a ich adoratorzy kipieli z wściekłości... mnie zaś opowiadał historie o Wielkich Płaszczach.

– Zdradzę ci tajemnicę, Falcio – oznajmił mi któregoś popołudnia.

Gospoda była niemal pusta, a on stroił gitarę, przygotowując się do wieczornego występu. Karczmarz, który kończył właśnie czyścić kufle, słysząc to, przewrócił oczami.

– Obiecuję, że nikomu nie powiem, Bal. Nigdy – odpowiedziałem, jakbym składał uroczyste ślubowanie. Głos mi lekko skrzypiał, więc nie brzmiało to jak prawdziwa przysięga.

Bal zachichotał.

– Nie ma takiej potrzeby, mój wierny druhu.

No i chyba dobrze, bo właśnie zamierzam ją złamać.

– Co to za tajemnica, Bal?

Spojrzał znad gitary i rozejrzał się po sali, potem zaprosił mnie gestem, żebym się zbliżył. Mówił tym swoim szeptem, który brzmiał, jakby wiatr mógł go przynieść na odległość stu mil.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o królu Ugridzie?

– O tym złym królu, który rozwiązał Wielkie Płaszcze i po-przysiągł, że już nigdy nie użyją płaszcza i szpady, by pomagać prostym ludziom?

– Pamiętaj, Falcio – powiedział Bal – Wielkie Płaszcze to nie była jedynie banda szermierzy, którzy walczyli z potworami i złoczyńcami, tak? Byli wędrownymi trybunami. Wysłuchiwali skarg ludzi niechronionych przez policję królewską i wymierzali sprawiedliwość w imieniu monarchy.

– Ale Ugrid ich nienawidził – pisałem, nie mogąc znieść zawstydzającego skomlenia w swoim głosie.

– Król Ugrid był bardzo blisko związany z książętami – powiedział bard spokojnie – a ci uważali, że mają prawo sprawować władzę i ustalać prawa na własnej ziemi. Nie wszyscy królowie zgadzali się z tą ideą, ale Ugrid sądził, że dopóki książęta płacili podatki i daniny, to, co robili na własnej ziemi, było ich sprawą.

– Ale przecież wszyscy wiedzą, że książęta to tyrani... – zacząłem mówić.

Dłoń Bala pojawiła się znikąd i wymierzyła mi mocny policzek. Kiedy się odezwał, jego głos był zimny jak grób:

– Nigdy więcej nie mów takich rzeczy, Falcio. Rozumiesz?

Próbowałem się odezwać, ale nie mogłem. Bal nigdy wcześniej nie podniósł na mnie ręki i wywołany tą zdradą wstrząs sprawił, że zaniemówiłem. Po chwili odłożył gitarę i położył mi ręce na ramionach. Wzdrygnąłem się.

– Falcio – westchnął – wiesz, co by się z tobą stało, gdyby któryś z ludzi księcia usłyszał, że używasz słowa „tyran”, mówiąc o ich panu? Wiesz, co stałoby się ze mną? Są dwa słowa, które możesz wypowiadać na głos tylko z największą ostrożnością: „tyran” i „zdrajca”, bo często łączą się ze sobą, zwykle z okropnym skutkiem.

Starałem się go zignorować, ale kiedy zdjął ręce, nie mogłem się powstrzymać:

– No i co to jest?

– Co takiego?

– Tajemnica. Obiecałeś, że zdradzisz mi tajemnicę, ale zamiast tego przyłożyłeś mi.

Bal nic sobie nie robił z mojego przytyku. Wracając do konspiracyjnego szeptu, jak gdyby nigdy nic nachylił się w moją stronę.

– Więc, kiedy król Ugrid ogłosił, że Wielkie Płascze nigdy już donikąd nie wyruszą, powiedział, że tak będzie po kres

czasów, zgadza się? – Kiwnąłem głową. – Król Ugrid miał doradcę imieniem Caeolo, nazywano go Caeolo Tajemnica, i niektórzy uważali go za czarodzieja o wielkiej mądrości i niezwykłych zdolnościach.

– Nigdy nie słyszałem o Caeolu – powiedziałem i podniecenie kazało mi zapomnieć o bolącym policzku i zranionej dumie.

– Bardzo niewiele o nim wie – odrzekł Bal. – Caeolo tajemniczo zniknął przed śmiercią Ugrida i już nikt nigdy go nie widział.

– Może to on zabił Ugrida... Może...

Bal przerwał mi.

– Spokojnie, nie zaczynaj mi tu tych swoich umysłowych fioków, Falcio, bo nie przestaniesz, aż zemdlejesz z wyczerpania.

Bard znów rozejrzał się po gospodzie, chociaż nie było tam nikogo poza karczmarzem czyszczącym kufle po drugiej stronie sali. Nie wiem, czy nas słyszał, choć słuch miał na pewno dobry.

– No więc, było tak, że po tym, jak edykt został ogłoszony na królewskim dworze, Caeolo wziął swojego króla na bok i powiedział: „Mój królu, choć jesteś panem wszechrzeczy, a ja tylko twym pokornym doradcą, wiedz, że słowa króla, choćby nie wiem jak potężne, przeżywają go o nie więcej niż sto lat”. Ugrid spojrzał na niego, porażony tą impertynencją, i zawołał: „Co chcesz mi powiedzieć, Caeolo!?”. Niewzruszony Caeolo odparł: „Tylko tyle, mój królu, że za sto lat Wielkie Płaszcz znów wyruszą, a twe stanowcze słowa odejdą w niepamięć”.

Bal spojrzał na mnie z – jak mi się wtedy wydawało – błyskiem w oku, choć gdy teraz o tym myślę, mogła to też być łza.

– A czy wiesz, ile czasu minęło od śmierci króla Ugrida? – zapytał mnie Bal. Kiedy pokręciłem głową, nachylił się nad mną i powiedział mi na ucho: – Prawie sto lat.

Serce niemal wyskoczyło mi z piersi. Zupełnie, jakby krew naraz zaczęła we mnie buzować. Mogłem...

– A niech cię, Bal! – zawołał karczmarz z drugiej strony sali. – Przestań wbijać chłopakowi do głowy te swoje brednie.

– Co masz na myśli? – spytałem. Własny głos wydał mi się przez chwilę obcy.

Karczmarz wyszedł zza szynkasu.

– Nigdy nie było żadnych przeklętych Wielkich Płaszczy. To tylko historyjka, którą ludzie opowiadają sobie, kiedy są niezadowoleni z tego, jak jest. Wędrowni trybuni łażący w pancernych skórzanych pelerynach, walczący na rapiery i wysłuchujący skarg przeklętych wieśniaków i służących? To jakieś gówniane podanie ludowe, chłopcze. To się nigdy nie zdarzyło.

Coś w sposobie, w jaki przekreślił istnienie Wielkich Płaszczy tak lekko – tak nieodwołalnie – sprawiło, że świat wydał mi się mały i pusty – tak mały i pusty jak dom, w którym było miejsce tylko na czcze fantazje małego chłopca i tęsknotę smutnej samotnej kobiety, wciąż patrzącej przez okno w mroźne zimowe wieczory, czekającej na powrót swojego od dawna nieobecnego męża.

Bal zaczął protestować przeciwko komentarzom karczmarza, ale przerwałem mu:

– Nieprawda, nieprawda! Właśnie, że istnieli i naprawdę robili te wszystkie rzeczy. Ten głupi zgniłek król Ugrid ich rozwiązał, ale Caeolo wiedział! Powiedział, że któregoś dnia wróć, i naprawdę tak będzie!

Pobiegłem do drzwi, zanim ktoś znów zdążył mnie uderzyć – ale stanąłem w progu, odwróciłem się i przyłożyłem zaciśniętą dłoń do serca.

– A ja będę jednym z nich – przyrzekłem. I tym razem rzeczywiście brzmiało to jak ślubowanie.

Druga historia, którą chcę wam opowiedzieć, wydarzyła się dwa lata temu w Cheveran, jednym z większych miast handlowych na południu Tristii, a zaczęła się od kobiecego wrzasku.

– Potworze! Oddaj mi córkę! – krzyczała kobieta w wieku zbliżonym do mojego; miała może trzydzieści lat, czarne włosy i błękitne oczy, podobnie jak dziewczynka, którą niosłem w ramionach. Jak przypuszczałem, musiała być całkiem ładna, kiedy akurat nie wrzeszczała.

– Co się stało, mamusi? – spytała dziewczynka.

Wcześniej widziałem ją, jak upada, potykając się o stragan sprzedawcy owoców przy zaułku, do którego najwyraźniej chciała dotrzeć. Z oczami pełnymi przerażenia powiedziała mi, że ścigał ją mężczyzna w zbroi rycerza, ale kiedy się rozejrzałem, nigdzie go nie było. Niosłem ją przez całą drogę do domu, co nie trwałoby tak długo, gdyby nie to, że ciągle ją myliła.

– Ma skręconą kostkę – powiedziałem, starając się strząsnąć wodę z włosów, żeby przestała ściekać mi do oczu. W Cheveran ciągle pada.

Kobieta wbiegła z powrotem do domu – przypuszczałem, że po ręcznik, ale kiedy wróciła, wymachiwała długim nożem kuchennym.

– Oddaj mi córkę, trattari! – krzyknęła.

– Mamusi! – wrzasnęła mi do ucha dziewczynka.

W tej historii jest mnóstwo wrzasków. Lepiej zacznijcie się przyzwyczajać.

– Mówiłem ci, że ma skręconą kostkę – powtórzyłem. – A teraz łaskawie pozwól mi wejść i ją położyć. Możesz spróbować mnie dźgnąć później.

Jeśli nawet kobieta pomyślała, że to nie był najgorszy pomysł, zagłuszyła to krzykami o pomoc.

– Trattari! Pomóżcie mi! Obdarta peleryna ma moją córkę!

– Święty Zaghevie Co Śpiewa o Łzy, pozwól mi po prostu ją położyć!

Nie widząc odsieczy, kobieta przyjrzała mi się nieufnie, a potem, wciąż trzymając przed sobą nóż, wycofała się w głąb domu. Nie martwiłem się o siebie – mój płaszcz osłabiłby siłę

pchnięcia – ale było spore ryzyko, że kobieta ugodziłaby przy okazji własną córkę.

W środkowym pomieszczeniu stała nieduża sofa. Położyłem dziewczynkę na boku, ale ta natychmiast siadła i skrzywiła się z bólu, kiedy tylko dotknęła stopą ziemi.

Kobieta podbiegła do córki, obejmując ją ramionami i tuląc do siebie, a potem odsunęła się, żeby sprawdzić każdy cal jej ciała.

– Co jej zrobiłeś?

– Oprócz tego, że pomogłem jej, kiedy upadła, przyniosłem ją tu i słuchałem, jak na mnie wrzeszczysz? Nic.

Dziewczynka spojrzała na nas.

– To prawda, mamusiu, gonił mnie rycerz i ten człowiek mi pomógł.

Matka nie odrywała ode mnie wzroku i nie wypuszczała noża z dłoni.

– Kochana Beatto, niemądre dziecko, żaden rycerz nigdy by cię nie skrzywdził. Pewnie próbował cię chronić.

Beatta wydeła usta.

– To głupie. Chciałam tylko kupić jabłko od handlarza.

W tym momencie do domu wbiegli dwaj mężczyźni i mniej więcej dwunastoletni chłopiec.

– Do wszystkich świętych, Merno, co się dzieje? – zapytał wyższy z nich.

Wszyscy trzej byli jak wycięci spod jednej sztancy: ciemni blondyni z kwadratowymi szczękami, ubrani w brązowe robocze kombinezony. Mężczyźni mieli młoty, a chłopiec trzymał w dłoni kamień.

– Ten trattari miał moją córkę! – powiedziała Merna.

Podniosłem obie ręce do góry w geście oznaczającym... cóż, „nie atakujcie mnie, proszę”.

– To nieporozumienie, ja...

– To zdecydowanie nieporozumienie – powiedział jeden z mężczyzn, robiąc krok naprzód. – Pewnie myślisz, że obdar-ta peleryna może tu przychodzić i napastować nasze kobiety.

– Tak – powiedział drugi. – Sługusy martwego tyrana nie są tu mile widziani, trattari.

Mimo że szczerze chciałem załagodzić sytuację, zauważyłem, że w prawej dłoni trzymam rapier, a jego ostrze znajduje się blisko jego szyi.

– Nazwij tak króla jeszcze raz, przyjacielu, i będziemy mieli problem, którego twój młotek nie rozwiąże.

Merna starała się, jak mogła, żeby zasłonić Beattę własnym ciałem, ale dziecko wysunęło zza niej głowę.

– Dlaczego tak go nazywasz? Co to jest trattari?

– Trattari to obdarta peleryna – wypłuła z siebie Merna. – Jeden z tak zwanych Trybunów przekłętego króla Paelisa.

– Raczej zabójców – powiedział wyższy z mężczyzn. – Powinniśmy go zatrzymać i posłać Tya po strażników.

– Słuchajcie – powiedziałem. – Przyszedłem tu, ponieważ ta dziewczynka była ranna i przestraszona. Sądziła, że coś jej grozi. Teraz jest z wami, bezpieczna, więc pozwólcie, że pójdę w swoją stronę.

Widząc mój rapier, robotnicy uznali tę sugestię za całkiem rozsądną, i usunęli się na bok, żeby pozwolić mi przejść.

– Czekajcie – powiedziała dziewczynka.

– O co chodzi, Beatto? – zapytała kobieta.

– Powiedziałam, że podzielę się z nim kolacją. Upuścił jabłko, kiedy spieszył mi z pomocą, i powiedziałam, że może zjeść trochę mojego.

– Nie przejmuj się tym – odparłem. – Nie jestem...

Ku mojemu zaskoczeniu, matka dziewczynki podniosła się z sofy.

– Zaczekaj tu – powiedziała.

Dwaj mężczyźni i chłopiec doskonale udawali, że mają mnie pod kontrolą, choć nic się właściwie nie działo.

– Dlaczego nazywacie go „trattari”? – powtórzyła Beatta, tym razem zwracając się do dwóch mężczyzn.

Jednak to chłopiec odpowiedział:

– To znaczy „obdarta peleryna”. Nazywali się Wielkimi Płaszczami, a ich okrycia miały się nie zużywać, dopóki nie splamili swojego honoru.

– Ale oni żadnego honoru nie mieli – dorzucił niższy z mężczyzn.

– Bo służyli tyranowi, Paelisowi? – spytała Beatta.

– O tak, ci dranie wtrącali się w prawowite rządy książąt. Ale nie, dziecko, powód, dla którego nazywają ich obdartymi pelerynami, jest taki, że kiedy książęta przybyli ze swoim wojskiem, aby powstrzymać tyrana, tak zwane Wielkie Płaszcze stanęły z boku i porzuciły swojego króla, by ocalić własną skórę.

– Ale jeśli król był zły, to czy nie dobrze, że się usunęli? – spytała dziewczynka.

Jej matka wróciła z kuchni, trzymając jabłko i kawałek sera; pośpiesznie włożyła to do małego woreczka.

– Nie, kochanie. Widzisz, rycerze uczą nas, że każdy człowiek ma honor, dopóki wiernie służy swojemu panu. Ale ci zdrajcy nie zdołali zrobić nawet tyle. Więc teraz nazywamy ich trattari, obdarte peleryny, bo ich płaszcze są dziurawe jak ich honor.

– Zatrzymaj jedzenie – powiedziałem. – Straciłem apetyt.

– Nie – kobieta nie ustępowała, stała między mną a wyjściem i podawała mi woreczek. – Chcę, żeby moja córka nauczyła się odróżniać dobro od zła. Obiecała ci jedzenie i je dostaniesz. Nie będę zaciągała żadnych niby-długów u zdrajcy.

Popatrzyłem na nich.

– Co z tamtym człowiekiem?

– Jakim człowiekiem?

– Rycerzem. Tym, o którym mówiła, że ją ściga. Co będzie, jeśli znów ją odszuka?

Merna wybuchnęła śmiechem. Był to wyjątkowo nieprzyjemny dźwięk.

– Tak jakby któryś z książęcych rycerzy skrzywdził kiedykolwiek dziecko! Jeśli był tam rycerz, jest więcej niż pewne, że zobaczył, jak ją obserwujesz, i uznał, że musi ją ochronić. – Matka spojrzała na swoje dziecko. – Beatta to głupiotka dziewczynka. Pewnie jej się coś pomyliło.

Martwiła mnie ta sytuacja. Nie wydawało mi się prawdopodobne, by dziecko mogło mieć wątpliwości, czy rycerz ją gonił, czy nie. Jako żywo nie mogłem wymyślić powodu, dla którego Beatta mogłaby być ścigana, ale nie chciałem ryzykować. Zwróciłem się do niej:

– Beatto, czy wciąż boisz się tego rycerza? Chcesz, żebym stanął dziś na straży przed domem na wypadek, gdyby tu przyszedł?

Jeden z mężczyzn chciał coś powiedzieć, ale Merna uniosła dłoń.

– Beatto, kochanie, powiedz temu trattari, że nie potrzeba nam jego pomocy.

Beatta spojrzała na matkę, potem na mnie. Z niewinnym okrucieństwem dziecka powiedziała:

– Idź stąd, ty brudna obdarta peleryno. Nie chcemy cię tu. Zły król Paelis był głupim wieprzem i jest trupem, i mam nadzieję, że ty też umrzesz.

To dziecko pewnie nigdy nie widziało króla Paelisa, gdy ten jeszcze żył. Książęta wygrali i ich zwycięstwo odcisnęło już piętno na historii. Nawet jeśli ktoś chciał je porwać, co mogłem na to poradzić? Wielkie Płaszcze były zhańbione i rozwiązane i miałem wrażenie, że większość ludzi wolałaby, aby ich dziecko zginęło z ręki rycerza, niż żeby uratował je trattari.

Wyciągnąłem rękę i wziąłem woreczek z jedzeniem od matki dziewczynki, choćby dlatego, że w ten sposób najszybciej mogła zejść mi z drogi. Przesząpiłem próg i wyszedłem z ich domu.

Kilka dni później, gdy cichą nocą wyjeżdżałem z miasta, znów przeszedłem obok domu Beatty. Wiedziałem, że bogowie mnie

pokarzą, jeśli ktoś mnie zobaczy, ale czułem dziwny przymus. Światła były pogaszone, a na jednym z okien czerwoną farbą namalowano ptaka, znak, którego używa się w Cheveran, gdy ginie dziecko.

MIASTO SOLAT

O kazało się, że skakanie z drugiego piętra nie należy do moich mocnych stron. Koordynacja Kesta była wręcz nieludzka; mógłby pewnie zeskoczyć ze szczytu wieży bez uszczerbku dla zdrowia. Brasti miał niesamowite szczęście i udało mu się trafić w markizę nad tylnym wyjściem. Ześlizgnął się na brukowany dziedziniec. Nie miałem ich zręczności ani szczęścia, więc po prostu upadłem. Bolało.

Kiedy wstałem, zobaczyłem ośmiu uzbrojonych w piki ludzi stojących w szyku. Nie cierpię pik prawie tak bardzo jak magii. Długa na dwanaście stóp, z mocnym drzewcem i paskudnym żelaznym grotem, przy odpowiednim podparciu pika mogła zatrzymać rycerza szarżującego na opancerzonym bojowym rumaku. Przy tym była to broń tak prosta, że nawet zielony rekrut mógł skutecznie użyć jej w walce. A im więcej było pikinierów, tym łatwiej było im pokonać grupę szermierzy, niezależnie od ich biegłości.

Ale nie to mnie martwiło. Nie słyszałem żadnych dzwonów. Kiedy konstable w Solat patrolują ulice, chodzą parami, dzięki czemu, widząc przestępstwo, które może zapowiadać kłopoty, jeden z nich uderza w któryś z wielkich dzwonów rozmieszczonych w całym mieście, żeby wezwać pomoc. Istnieje kod, zgodnie z którym każda dzielnica ma przydzieloną konkretną liczbę

uderzeń, tak by posiłki wiedziały, dokąd się udać. Ale teraz nie słyszałem żadnego bicia dzwonów, więc zacząłem podejrzewać, że ci ludzie szukają właśnie nas.

– Falcio, mamy tu ośmiu ludzi z pikami i dwóch kuszników na górze – odezwał się Kest, wyciągając rapier z pochwy. – Sądzę, że to może być pułapka.

– Postaraj się powściągnąć ten entuzjazm w głosie, Kest – rzucił Brasti, spoglądając tęsknie w kierunku dziedzińca, gdzie stał jego wierchowiec z przypiętymi do siodła łukami.

– Nie dasz rady – powiedział stojący naprzeciw niego konstabl, uśmiechając się tak szeroko, że aż hełm mu się przekrzywił.

Brasti burknął coś i niechętnie dobył rapiera.

Głos nad nami krzyknął:

– Pika czy kusza, trattari, co wolicie!?

Spojrzałem w górę na człowieka wychylającego się z okna sypialni Tremondiego. Na kołnierzu jego skórzanej zbroi widniało pojedyncze złote kółko, oznaczając starszego konstabla.

– Jeśli złożycie broń, mogę wam obiecać względnie bezbolesną śmierć – powiedział. – To większe względy niż te, które okazaliście Lordowi Tremondiemu.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że naprawdę uważasz, że zabiliśmy Tremondiego!? – odkrzyknąłem.

– Oczywiście, że chcę. Tu jest napisane: „Wielkie Płaszcz”, i to krwią Lorda Karawan.

– Święty Felsanie Co Waży Świat – zakląłem. – Po co, u licha, mielibyśmy zabijać własnego pracodawcę?

Starszy konstabl wzruszył ramionami.

– Kto was tam wie? Czy wy, trattari, nie lubicie szukać zemsty za śmierć króla Paelisa? Może Tremondi popierał książąt, kiedy obalali waszego króla? A może jest prostsze rozwiązanie: przyłapał was na kradzieży jego pieniędzy i zabiliście go, żeby nie ujawnił, jak tak zwane Wielkie Płaszcz stały się nie lepsze niż zwykli zbójcy i złodzieje.

– Tyle że jego pieniądze wciąż leżą obok niego! – krzyknął w odpowiedzi Brasti, rzucając mi nieprzyjemne spojrzenie.

– Hmm? Nie wiem, o czym mówisz, trattari – powiedział starszy strażnik z uśmiechem. – Nie ma tu żadnych pieniędzy. Ani grosza.

Stojący przed nami mężczyźni roześmieli się. Najwyraźniej kradzieże były w Solat problemem tylko wtedy, gdy kradł ktoś inny niż konstable.

– Znów to robisz, Falcio – powiedział cicho Kest.

– Co takiego?

– Gadasz, kiedy powinienes walczyć.

Wyciągnąłem rapier z pochwy i postawiłem kołnierz płaszcza w nadziei, że wszyte w niego kościane płytki osłonią mi szyję. Kest miał rację; nic, co moglibyśmy powiedzieć, nie wyciągnie nas z tego bagna.

– Jak oceniasz nasze szanse? – spytałem go.

– Zwyciężymy – odpowiedział – ale zostanę ranny, prawdopodobnie w plecy. Ty zostaniesz trafiony bełtem z kuszy i najpewniej umrzesz. Brasti prawie na pewno zostanie zabity przez jednego z pikinierów, kiedy już przedrą się przez tę jego nazbyt słabą obronę, jaką jest w stanie przeciwstawić im swoim rapierem.

– Praca z tobą była prawdziwą przyjemnością, wiesz, Kest? – powiedział Brasti, unosząc rapier w postawie szermierczej.

Kest odchylił prawe ramię, szykując się do pierwszego natarcia.

– To ich powinienes winić, w końcu planują cię zabić.

Spojrzenie, które posłał mi Brasti, wskazywało na to, że winił kogoś zupełnie innego.

– Jak mniemam, nie masz lepszego planu niż po prostu zgiąć – stwierdził, kierując swój rapier w stronę brzucha najbliższego strażnika.

– Pewnie, że mam – odparłem. – Nauczymy ich pierwszej reguły miecza.

Jeden z konstabli, ten stojący najbliżej Kesta, chwycił mocniej pikę, szykując się do ataku, i wrzasnął szyderczo:

– A co by to miało być, obdarta peleryno!? Położyć się i umrzeć, jak to jest w waszym, zdrajców, zwyczaju!?

Był dużym, mocno umięśnionym mężczyzną, którego szerokie barki świetnie się nadawały do operowania piką.

– Nie – odparł Kest. – Pierwsza reguła miecza to... – Jego słowa urwały się, gdy konstabl pchnął piką z prędkością kuli wylatującej z lufy pistoletu. – ...wbić ostry koniec w przeciwnika – dokończył Kest.

Nikt inny się nie poruszył ani nie odezwał. Wymiana była tak szybka, że dało się dostrzec tylko jej efekt. Grzbiet lewej dłoni Kesta spoczywał teraz na drzewcu piki, której grot był w bezpiecznej odległości za jego plecami. Ciało wyciągnął w głębokim wypadzie, a ostrze rapiera zatopił na sześć cali w brzuchu konstabla.

Z delikatnością, która zakłamywała naturę starcia, Kest wyciągnął klingę z ciała strażnika i patrzył, jak ten osuwa się na ziemię.

Przez moment – tylko przez moment – stojący przed nami konstable zdawali się tak wstrząśnięci, że wyglądali, jakby mogli się cofnąć. Ale potem usłyszałem metaliczny odgłos spuszczonej cięciwy kuszy i poczułem uderzenie w plecy. Po moim ciele rozlał się piekący ból i podziękowałem świętemu Zaghevowi, co śpiewa o łyż, że kościane płytki nie pozwoliły przebić płaszcz. Mimo to bolało jak czerwona śmierć.

– Przekłète płaszcze – usłyszałem mruknięcie starszego konstabla na drugim piętrze.

– Pod markizę! – krzyknąłem i wszyscy trzej zajęliśmy pozycje pod szerokim daszkiem z tkaniny rozpiętym nad drzwiami na tyłach gospody.

– To nie zatrzyma bełtów z kuszy – zauważył Brasti.

– Wiem, ale będzie im trudniej celować.

Dwaj konstable, którzy stali najbliżej, zaatakowali mnie pikami. Ten po lewej, mniejszy, miał twarz rozzłoszczonej fretki. Ten z prawej, wyższy i masywniejszy, przypominał bardziej niedźwiedzia niż człowieka. Sparowałem grot piki Fretki i wolną ręką chwyciłem za drzewce, machając jednocześnie rapierem, by zablokować cios Wielkiego Niedźwiedzia. Fretka próbował wyszarpnąć swoją pikę, ale zaparłem się i wykorzystałem własny, większy ciężar, by temu zapobiec. Wyraz zawodu na jego twarzy byłby dla mnie nagrodą, gdyby nie to, że kolejny belt z kuszy przeleciał mi właśnie koło ucha, lądując równo pomiędzy nami. Wykorzystałem chwilowy zamęt, by zepchnąć drzewce piki Wielkiego Niedźwiedzia rękojeścią swojego rapieru, potem przydepnąłem je, przyciskając ostrze do ziemi. Kiedy Fretka znów spróbował pociągnąć za swoją broń, skoczyłem w kierunku ich obu, wykorzystując siłę Fretki, by pokonać odległość dzielącą sztych mojego rapiera od gardła Wielkiego Niedźwiedzia. Po tym, jak wielki facet padł, zsuwając się z klingi, wbiłem ją w ramię Fretki, który też poleciał na ziemię, choć znacznie głośniej przy tym wrzeszcząc.

Kolejny belt wepchnął mnie z powrotem pod wątpliwą osłonę markizy i skorzystałem z okazji, by się rozejrzeć, co jeszcze na mnie czeka. Na szczęście inni strażnicy w pobliżu byli teraz nieco ostrożniejsi, więc wykorzystałem ich wahanie, by sprawdzić, jak radzi sobie Brasti. Nigdy nie zaprzątam sobie głowy Kestem – gdy oglądam go w walce, czuję się jak niezdarne młodzik męczący się przy pierwszym pocałunku.

Brasti starał się odsuwać od konstabli, ale nie bardzo miał gdzie się ruszyć, jeśli nie chciał opuścić osłony dawanej przez markizę i stać się celem dla kuszników.

– Niech cię diabli, Falcio, to wszystko twoja wina – zrzędził.

– Jeśli teraz zginiemy, Brasti, rozkażę Kestowi rozpowiadać wszystkim, że spotkałeś śmierć biedny, znieprawiony i uznany za marnego kochanka przez kobiety w całym kraju.

– Wiesz, że nie umiem walczyć z pikami tym przeklętym żelastwem! – odkrzyknął Brasti, zakreślając przed sobą rapierem dziwny łuk.

Był niezłym szermierzem, zważywszy, że prawie nigdy nie ćwiczył, ale walka z dwoma czy trzema pikinierami jest trudna dla każdego. Oczywiście gdyby miał swój łuk, rzeczy miałyby się zupełnie inaczej...

– Kest! – krzyknąłem. – Pomóż Brastiemu się uwolnić!

Kest zerknął na mnie, parując szaleńcze natarcie stojącego przed nim strażnika, i wiedziałem, że zrozumiał.

– Kusze, Falcio – przypomniał mi jednak, prześlizgując się pod piką stojącego przed nim mężczyzny, by dołączyć do Brastiego.

„A niech to – pomyślałem. – On ma rację”. Jeśli Brasti pobiegnie do koni, ludzie na drugim piętrze będą celować prosto w niego. Trzeba im zapewnić ciekawszy cel.

– W porządku. Zrób to teraz! – I to mówiąc, z uchwytu w poszewce płaszcza wyciągnąłem nóż do rzucania, wychyliłem się spod markizy i rzuciłem nim w starszego konstabla na drugim piętrze. Ostrze utkwilo w parapecie mniej niż sześć cali od jego twarzy i przekląłem sam nie wiem jakiego świętego, który miał mi pomagać w celowaniu.

Starszy konstabl był doświadczony w walce: zignorował nóż i wycelował. Skoczyłem w lewo tuż przed tym, nim bełt trafił w ziemię pomiędzy moimi nogami. Strażnik bez wahania odłożył kuszę i wziął naładowaną od swojego sąsiada, ale coś pośrodku dziedzińca przyciągnęło jego uwagę – na pewno Brasti – i zobaczyłem, jak zmienia położenie broni. Rzuciłem w niego kolejnym nożem, aby było jasne, że to ja jestem większym zagrożeniem, i udało mi się lepiej niż za pierwszym razem, bo trafiłem go w ramię. Na nieszczęście dla mnie, strażnik zachwiał się i wypuścił bełt. Miałem rozpięty płaszcz, by sięgać po noże, i przy całym szczęściu danym mi przez bogów i świętych zabłąkany pocisk wbił się w moje odsłonięte udo.

– Mam cię, trattari, ty draniu! – zawołał starszy konstabl, padając na plecy.

Za mną rozległ się okrzyk i kląć z powodu rozdzierającego bólu w nodze, odwróciłem się, by zobaczyć, jak jeden z pozostałych przy życiu strażników celuje prosto w moją pierś przygotowaną do ciosu piką. Machnąłem rapierem w jego stronę, wiedząc, że nie zdążę, gdy nagle ujrzałem, jak w jego szyi pojawiła się strzała. Gdy padł na ziemię, szybko rozejrzałem się wokół, by sprawdzić, skąd nadejdzie kolejny atak – lecz kolejnego ataku nie było. Dwa inne ciała przeszyte strzałami leżały na ziemi obok dwójki, którą powaliłem, a trzech pozostali znaleźli śmierć bądź odnieśli rany z ręki Kesta.

– Przestali strzelać – powiedział Kest, wychodząc spod markizy.

– To znaczy, że biegną na dół. Czas na nas! – To był dobry pomysł, Falcio, żebym osłaniał Brastiego, tak by mógł wziąć łuk. Nie pomyślałem o tym.

Oparłem się na jego ramieniu, nieco odciążając zranioną nogę.

– Kest, kiedy następnym razem uznasz, że najbardziej optymistycznym rozwiązaniem z możliwych jest śmierć wszystkich poza tobą, spróbuj to jeszcze przemyśleć, dobra?

Dołączyliśmy do Brastiego i naszych koni po drugiej stronie dziedzińca i podziękowałem Świętej Shiulli Co Kąpie Się ze Zwierzyną, że nikt nie zranił naszych wierzchowców w czasie walki. Kiedy Brasti poszedł odzyskać swoje strzały, zacząłem się na głos zastanawiać, kto nas wrobił:

– O, bogowie, Kest, od kiedy tak łatwo jest oskarżać nas o wszystko, co najgorsze?

– Czasy się zmieniają, Falcio – powiedział, wskazując coś za moimi plecami.

Odwróciłem się i ujrzałem Brastiego trzymającego odzyskane strzały w jednej ręce i przeszukującego zabitych drugą.

– Brasti, przestań okradać konstabli! – krzyknąłem.

Spojrzał ponuro, ale mimo to podbiegł do swojego konia.

– Dobra – burknął. – Nigdy nie chciałbym niczego zabrać tym miłym ludziom, którzy wykonywali tylko swoją pracę, próbując nas zabić. – Wskoczył na swoją gniadą klacz. – Bo to nie byłoby tylko niehonorowe. Święci i bogowie, to by było niegrzeczne.

– Interesujące – rzekł Kest, chwytając za wodze i zawracając konia.

– Co takiego? – spytał Brasti.

Kest wskazał na mnie.

– Właśnie zdałem sobie z tego sprawę: on mówi za dużo przed walką, a ty po. Ciekawe, co to oznacza?

Spiął konia i ruszył ulicą. Brasti poszedł w jego ślady. Obejrzałem się na martwego człowieka na ziemi i zacząłem się zastanawiać, jak długo przetrwają Wielkie Płaszcz, zanim staniami się tacy, jak nazywają nas ludzie: trattari.

Drugie w kolejności najgorsze uczucie na świecie pojawia się wtedy, kiedy twoje ciało odkrywa, że za chwilę po raz kolejny stoczy walkę o życie. Mięśnie się zaciskają, pocisz się, zaczynasz cuchnąć (na szczęście nikt tego wtedy nie czuje), a żołądek opada ci w okolice podbrzusza.

Ale absolutnie najgorszym uczuciem na świecie jest to, kiedy twoje ciało uświadamia sobie, że walka skończona. Mięśnie zaczynają słabnąć, w głowie ci dudni, wciąż się pocisz i, o tak, zaczynasz czuć, jak bardzo śmierdzisz. W końcu zdajesz sobie sprawę, że z uda sterczy ci bełt z kuszy. To on sprawił, że ostatecznie musiałem się zatrzymać.

– Będzie go trzeba wyciągnąć – powiedział w swej mądrości Brasti, spoglądając w dół z dachu, z którego wypatrywał pościgu.

Mógłbym go zabić, ale wymagałoby to od mojego ciała, by jeszcze raz przeszło cały ten cykl, a szczerze mówiąc, pachniałem już wystarczająco źle. Znaleźliśmy odpowiedni, otwarty z dwóch stron zaułek, żeby zaszyć się w nim i odsapnąć. Nasze

konie nie lubiły ostrych zakrętów na brukowanych ulicach, a poza tym musieliśmy zająć się moją nogą.

Kest spojrzał na mnie.

– Łup-szarp-chlast?

Westchnąłem. Bolało.

– Przypuszczam, że nie mamy czasu szukać lekarza, prawda?

Brasti zszedł z dachu.

– Przeczesaują dom po domu. Nie wyglądają na szczególnie chętnych, by nas znaleźć, ale dowódca, ten starszy konstabl, który cię trafił, mocno ich ciśnie. Kilka minut i dotrą do tej uliczki.

A niech to.

– Łup-szarp-chlast – powiedziałem, już się bojąc tego, co miało nadejść. – Ale żeby tym razem było mocno, Brasti.

Kest polał mi ranę wodą, zagwizdałem przez zęby z bólu.

– Tylko tym razem się nie drzyj – powiedział Brasti. – Staramy się uniknąć schwywania.

Gdy ja modliłem się do Świętego Zagheva Co Śpiewa o Łzy, by choć raz zszedł na ziemię i poznał mojego dobrego przyjaciela Brastiego, Kest mocno chwycił drzewce, a potem skinął głową Brastiemu.

Wymyśliliśmy „łup-szarp-chlast” jakiś czas temu. Jedną z rzeczy, jakich dowiadujesz się po odpowiednio wielu zranieniach, jest fakt, że tak naprawdę twoje ciało rejestruje tylko jedno źródło bólu naraz. Więc jeśli na przykład boli cię ząb i dostaniesz kuksańca w brzuch, twoje ciało na chwilę zapomina o zębie.

A więc powinno to wyglądać tak: Brasti uderza mnie pięścią w twarz, Kest wyciąga mi strzałę z nogi, a potem Brasti policzkuje mnie tak mocno, że mój mózg nie ma czasu, żeby odnotować wyrwany bełt, dzięki czemu nie wrzeszczę ile sił w płucach.

Wrzasnąłem ile sił w płucach.

– Cii! Musisz być cicho, Falcio – powiedział Brasti, nachylając się nade mną i grożąc mi palcem. – Mogli to usłyszeć. Musisz być twardszy.

– Powiedziałem, że ma być mocno! – odparłem. Przed oczami pojawiły mi się gwiazdy.

– Uderzyłem cię najmocniej jak mogłem pod tym kątem. Kest mi przeszkadzał.

– Bijesz jak baba.

Kest przestał bandażować mi nogę i powiedział:

– Kobiety stanowiły niemal trzecią część Wielkich Płaszczy króla Paelisa. Szkoliłeś większość z nich. Czy nie były dość mocno?

Słuszna uwaga, ale nie byłem w nastroju do gier słownych.

– Biją jak ci przekłęci wściekli święci. Brasti bije jak baba – burknąłem, przytrzymując koniec bandaża, podczas gdy Kest opatrywał mi ranę.

– A więc jedziemy do Baern? – spytał Brasti.

Podniosłem się na rękach. Z nogą w bandażach czułem się znacznie lepiej: ból pulsował, zamiast piec żywym ogniem.

– Albo zostajemy i próbujemy dać ci lekcję, jak nie bić jak baba.

– Falcio, jeśli powiesz to jeszcze raz, sam ci przywalę – warknął Kest.

– Tak się tylko mówi, „bijesz jak baba”. Każdy tak mówi. To zabawne.

Oddał mi mój rapier.

– Nie – powiedział. – To właśnie brzmi absurdalnie.

– To zabawne, ponieważ jest absurdalne – odparłem.

Brasti klepnął mnie po plecach.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Falcio. Stracił poczucie humoru w dniu, w którym nauczył się machać szpadą.

To dziwne, że choć Brasti nie mógł tego wiedzieć, miał jednak całkowitą rację.

PLAC KARAWAN

Wspomniałem, że moja matka i ja mieszkaliśmy na skraju miasteczka, które sąsiadowało z kolejnym – o nazwie Luth. Granicę wyznaczał drewniany słup. Kest i ja spotkaliśmy się przy nim w dzieciństwie, gdy obaj mieliśmy po jakieś osiem lat. Byłem bardzo biedny, bez ojca i perspektyw innych niż kariera wioskowego głupka. Matka Kesta Murrowsona była w miasteczku uzdrowicielką, a jego ojciec kowalem. Kest cały czas opowiadał dowcipy – zawstydzając mnie tym samym w mojej roli wioskowego głupka – ale nigdy nie wyśmiewał się ze mnie dlatego, że byłem biedny i nie miałem ojca, i to natychmiast kwalifikowało go do roli mojego najlepszego przyjaciela. Był spokojnym chłopcem, który nie lubił polować ani łowić ryb i nigdy nie chciał się bawić w szermierkę. Ja natomiast miałem zamiar zostać Wielkim Płaszczem, takim z opowieści Bala.

Ojciec Kesta wyrabiał chyba najlepszą broń w naszym regionie i nauczył się walczyć w wojnach z Awares, krajem na zachód od Tristii, zaludnionym przez barbarzyńców, którzy czasem zrywali się, żeby przedostać się przez góry i nas najechać, podobnie jak to czynili ze swoimi pobratymcami. Za każdym razem jednak przegrywali, gdyż nasi żołnierze potrafili walczyć

zwartymi oddziałami, stosując taktykę, podczas gdy tamci w zasadzie tylko biegają, wrzeszczą i robią pod siebie, starając się jednocześnie rozłupać ci czaszkę tym, co akurat mają pod ręką.

W każdym razie Murrow, ojciec Kesta, był wytrawnym szermierzem. Ponieważ Kest nie okazywał zainteresowania bronią, Murrow pomyślał, że mógłby wzbudzić w synu zazdrość, ucząc mnie. Pokazał mi, jak walczyć pałaszem, zwanym dziś wojennym, bo w pojedynkach walczy się już lżejszą bronią. Ale najbardziej zakochałem się w rapierze: był prosty, ostro zakończony, lekki – przynajmniej w porównaniu z pałaszem – i walka nim miała elegancki styl, który przypominał taniec ze śmiercią. Byłem pojętnym uczniem i uwielbiałem spędzać czas z tą rodziną. Jednak, o dziwo, Kest nigdy nie uległ zazdrości, którą chciał w nim wzbudzić jego ojciec. Oglądał mnie, co jakiś czas prawił mi komplementy, ale sam nigdy nie okazał zainteresowania nauką szermierki.

Pewnego dnia, kiedy miałem dziesięć lat, po ćwiczeniach Murrow wziął mnie na stronę i powiedział:

– Falcio, mój chłopcze, kiedyś będziesz doskonałym szermierzem. Doskonałym. Nigdy nie widziałem, by ktoś tak szybko się uczył.

Ciepła kula ognia zapłonęła w mojej piersi. Nigdy wcześniej nie zwrócił się do mnie „mój chłopcze” i przez krótką chwilę poczułem coś, czego nie czułem od bardzo dawna. Miałem za złe Kestowi nie to, że miał ojca, czy nawet, że o to nie dbał, bo to nieprawda – chodziło raczej o fakt, że nie starał się zadowolić swojego ojca nawet w połowie tak bardzo, jak ja chciałbym jego. Tak naprawdę jednak nie żywiłem do Kesta urazy za jego brak zainteresowania. Miał bystry umysł, opowiadał dowcipy i wszyscy go lubili. Był dobry w wielu rzeczach, więc cieszyłem się, że fechtunek pozostawił mnie.

Czas płynął, ale niemal tego nie zauważałem, i wkrótce mieliśmy skończyć dwanaście lat. Właśnie minęły moje urodziny

i zbliżały się urodziny Kesta. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym przyszedł do chaty mojej matki, żeby mi powiedzieć...

Cóż, odbyło się to tak: zapukał do drzwi, wyszedłem z niedojedzoną kromką chleba w dłoni, a on powiedział:

– Falcio, muszę cię o coś poprosić. A właściwie muszę ci coś powiedzieć.

Odłożyłem chleb na schodek i złożyłem dłonie przed sobą, co w tamtych czasach było moim nerwowym tikiem.

– Co takiego? – spytałem.

– Cóż... – Wahał się przez chwilę, ale potem nabral powietrza i powiedział: – Falcio, zamierzam nauczyć się fechtunku.

Natychmiast wypuściłem powietrze.

– A niech to, Kest, wystraszyłeś mnie jak wszyscy święci.

– Mówię poważnie. Zamierzam nauczyć się fechtunku. Zaczę od dzisiaj. Nie chcę cię zmartwić ani urazić. To nie ma nic wspólnego z tobą. Po prostu muszę to zrobić. Muszę się nauczyć fechtunku.

Spojrzałem na niego. Chciałem zapytać dlaczego, ale coś mi mówiło, że nigdy mi tego nie zdradzi.

– Czy to znaczy, że nie możemy już być przyjaciółmi? – spytałem zdezorientowany i lekko obrażony.

– Nie, oczywiście, że zawsze będziemy przyjaciółmi. Dlatego mówię ci to teraz, żebyś nie pomyślał, że wydarzyło się między nami coś złego.

Zastanowiłem się nad tym przez sekundę.

– No, cóż, zgoda. Możemy ćwiczyć razem. Zostaniemy obaj najlepszymi szermierzami w miasteczku. Ludzie z całej okolicy będą przychodzić nas oglądać. Możemy iść do twojego ojca i zacząć już dziś! – Wydawało mi się, że jestem miły, bo Kest miał prawie dwanaście lat i nigdy nie udałoby mu się osiągnąć mojego poziomu.

Przyjaciół uśmiechnął się szeroko i poszliśmy do jego domu. Kiedy Murrow go zobaczył, wiedział, że coś się zmieniło, i choć nikt nie odezwał się słowem, ściągnął z półki rapier dla syna.

Gdy Kest po raz pierwszy zaczął się fechtować, myślałem, że będzie mu ciężko – jasne, przyglądał się, jak ćwiczę, i prawdopodobnie miał niezłe pojęcie o tym, jak robić parady i natarcia, ale na pewno będzie niezdarny i nie wyrobił sobie mięśni jak ja przez lata praktyki. I przez jakąś godzinę tak właśnie było – nie trafiał zasłonami i potykał się o własne nogi, gdy starał się zadać cięcie. Ale po prostu próbował dalej, powtarzając ruch po ruchu, cios po ciosie.

Zanim wybiło południe, potrafił pokonać mnie za każdym razem. Zanim nadszedł wieczór, pokonał swojego ojca, a zanim skończył trzynaście lat, nie było na tym świecie nikogo, kto dorównałby mu w walce na rapiery. Nigdy mi nie powiedział, dlaczego zmienił zdanie na temat fechtunku, ale był największym szermierzem na ziemi i nigdy, przenigdy nie opowiadał dowcipów.

– Daj spokój, Brasti – powiedział Kest, ale tamten pokręcił głową i zsunął się z konia.

– Ależ oczywiście, po co miałbym narzekać, jeśli jesteśmy skończeni, dokądkolwiek pójdziemy?

Każda z głównych bram wychodzących z miasta była zamknięta dla wszystkich z wyjątkiem karawan.

– Kryć się, walczyć czy uciekać? – spytał mnie Kest.

Zacząłem się nad tym zastanawiać, ale Brasti nie czekał:

– Jak już mówiłem, nie możemy się stąd wydostać. Nie wypuszczają nikogo oprócz tych przeklętych karawan, a nie możemy przecież walczyć ze wszystkimi. Musimy się ukryć, póki się nie uciszy.

– Nie uciszy się, chyba że to nas uciszą albo znajdziemy zabójczynię – odpowiedział Kest. Skrzyżował ręce na piersi i czekał, aż powiem coś mądrego.

Kimkolwiek była morderczyni lorda Tremondiego, doskonałe to zaplanowała. Wszyscy wiedzieli, że był bogaty, i wszyscy wiedzieli, że jego straż przyboczną stanowiły Wielkie Płaszczce.

Nietrudno było przyjąć, że trzech trattari zabili swojego pracodawcę, by zabrać mu pieniądze. Gdyby nas złapano, raczej nikt by nam nie uwierzył, a gdybyśmy uciekli – cóż, to tylko doprowadziłoby naszej winy, czyż nie? Tak czy inaczej, morderczyni była całkowicie poza podejrzeniem. Pewnie spacerowała sobie właśnie po mieście, ciesząc się resztą dnia.

– Nie mamy szans na odnalezienie zabójczyni – oświadczyłem. – Nie możemy im powiedzieć, że byliśmy z nią w tym samym pokoju, ale nie umiemy opisać jej wyglądu. Za kilka godzin będzie nas szukać całe Solat.

Brasti uniósł ręce do góry.

– Czyli uciekamy. Znowu. Jak tchórze.

– Staliśmy się w tym całkiem niezli – zauważył Kest.

– Można być dobrym we wszystkim, jeśli się codziennie ćwiczy.

– Idziemy na plac karawan – powiedziałem. – Konstabelle wciąż szukają nas w centrum miasta, wiedzą, że będziemy chcieli przeczekać w ukryciu, więc chcą nas złapać, zanim zapadniemy się pod ziemię. Ale nie zaalarmowali jeszcze nikogo na placu karawan.

– Kapitalne – powiedział Brasti, klaszcząc w dłonie. – Plac karawan, a myślałem, że to ja miałem być tym głupim.

– Nie martw się – powiedział z rezygnacją Kest. – Wciąż nim jesteś.

– Myślałem, że nie opowiadasz dowcipów.

– Nie opowiadam.

Pozwoliłem im się sprzeczać dalej, zastanawiając się tymczasem nad sytuacją. Naszą największą szansą na wydostanie się z miasta i zdobycie jakichś pieniędzy było zatrudnienie się na placu karawan jako straż przyboczna lub jako ludzie do pojedynków. Wojownik, który potrafił walczyć po wojskowemu lub w pojedynkę, był ostatnimi czasy bardzo cenny. Ale nie licząc lorda Tremondiego, tylko nieliczni właściciele karawan byli skłonni

wynająć trattari, co oznaczało, że będziemy musieli brać, co się da, i to szybko – zanim strażnicy miejscy zdecydują się przeszu-
kać plac. Podejrzywałem jednak, że będzie to ostatnie miejsce,
w którym chcieliby nas znaleźć; wieści, że w mieście zamordo-
wano Lorda Karawan, szybko by się rozniosły, a to nie byłoby
najkorzystniejsze dla handlu. Dla konstabli byłoby lepiej, gdyby
mogli to utrzymać w tajemnicy, jak długo się da. Dla nas też.

– Trzymajmy się planu – odezwałem się w końcu. – Wyjecha-
libyśmy stąd z lordem Tremondim, bo miał jechać południowy-
mi szlakami handlowymi, a my chcieliśmy się dostać do Baern,
zgadza się? Nie mamy pieniędzy i nawet gdyby udało nam się
wyślizgnąć przez którąś z bram, bez złota daleko nie zajedziemy.
Proponuję iść na plac, zatrudnić się w innej karawanie i wyje-
chać z nią prosto przez Bramę Targową. Strażnicy i tak nie mają
nad nią nadzoru, więc łatwiej nam będzie uniknąć schwytania.

– Co z planem Tremondiego? Co z ustanowieniem Wielkich
Plaszczy opiekunami szlaków handlowych? – zapytał Brasti.

– Teraz jest pewnie równie martwy jak sam Tremondi – od-
parł Kest.

Musiałem przyznać mu rację.

– Nawet jeśli ktoś podda to pod głosowanie, to w tej sytuacji
na pewno z nami nie zaryzykują.

– Cóż, Falcio – powiedział Brasti głosem ochrypłym od zło-
ści i frustracji – pozwól, że podziękuję ci jako pierwszy za to, że
dzięki tobie wszyscy zginiemy w bezowocnej pogoni za twoim
osobistym odkupieniem!

– Wciąż mamy szansę, Brasti, nawet Tremondi słyszał plotki
o królewskich klejnotach w Baern.

– Jasne – powiedział. – Takie same plotki krążyły o Cheve-
ran, a nawet o przekłętym Rijou. „Zwróć się do najmniejszych
z arystokratycznych rodzin”. Co, do licha, ma to niby znaczyć?
Żadna z nich nie chce mieć z nami do czynienia...

– Jeśli uda nam się znaleźć...

Odwrócił się do mnie plecami.

Nie musiałem, ale powiedziałem to i tak:

– To moje geas, Brasti. Ostatnia rzecz, o jaką poprosił mnie król.

Na tydzień przed wzięciem zamku przez armię książęcą król spotkał się z każdym ze swoich stu czterdziestu czterech Wielkich Płaszczy z osobna i każdemu z nas dał misję do wykonania. Nazywał to geas – niewątpliwie wyczytał to w jednej ze swoich starych ksiąg. Niektórych z nas zobowiązał do zachowania tajemnicy, innych nie. Moją misją było znaleźć królewskie czaroity. Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem, ale nie pierwszy raz król wydawał mi polecenie, nie zadając sobie trudu, by wprowadzić mnie w szczegóły.

Brasti uniósł rękę do góry.

– Wszystkim nam dał geas, idioto, tobie, mnie, Kestowi i całej reszcie. Ale król nie żyje, Falcio. Zabili go, my zaś staliśmy z boku i pozwoliliśmy książętom zdobyć zamek. A kiedy z nim skończyli, nabili jego głowę na żerdź na dziedzińcu, a my staliśmy tam sobie spokojnie jak gdyby nigdy nic. Na twój rozkaz.

– Nie zaczynaj znowu – ostrzegł go Kest, ale Brasti już się rozpędził:

– A ty, ty przeklęty ośle? Co robił najszybszy rapier świata, kiedy zabierali króla? Siedział w swojej pieprzonej pochwie, prawda?

– Nie słyszałem też świstu strzał – odparł spokojnie Kest.

– Nie słyszałeś, bo byłem grzecznym trybunem tak jak i ty. Ale co to o nas mówi? Poświęciliśmy życie jakiemuś głupiemu marzeniu, które umarło, i tylko dlatego, że jesteśmy takimi przekłętymi przez bogów durniami, jeszcze to do nas nie dotarło.

– Jeśli to wszystko farsa, to dlaczego nigdy nam nie powiedziałeś, na czym polega twoje geas, Brasti? – zapytałem. – Dlatego, że kazał ci je zachować w tajemnicy, prawda?

Brasti odwrócił się plecami, ale chwyciłem go za ramię i obróciłem twarzą do siebie.

– Jeśli wszystko, na czym mu zależało, umarło razem z nim, to czemu wciąż dochowujesz jego tajemnicy? Powiem ci czemu, Brasti. Ponieważ wiesz, że ono nie musi umrzeć, jeśli wciąż będziemy w nie wierzyć. – Ale jeszcze zanim skończyłem to mówić, zdałem sobie sprawę, że to był błąd.

– Niech to wszyscy święci, Falcio, jesteś nie do zniesienia! – krzyknął Brasti tak, że aż się wzdrygnąłem. – Dałeś się nabrać na te wszystkie gadki o sprawiedliwości i wolności całkiem jak Paelis. – Rozłożył szeroko ramiona. – Rozejrzyj się, Falcio. Ludzie nas nienawidzą. Nie, oni nami gardzą. Przeklinają nasze imiona. Kiedy jakiś człowiek zrobi coś tak haniebnego, że nie potrafią znaleźć dla niego wystarczająco złego słowa, nazywają go „trattari”. Nie tak chciałem żyć.

– Myślisz, że wieśniacy mają łatwiejsze życie? Albo w ogóle wszyscy żyjący pod władzą książąt, tych samozwańczych królewiczów? Ludzi, którzy rządzą swoimi księstwami niczym bogowie, kontrolował tylko król i my.

– Nie zaczynaj mi tu swojej „Pieśni wieśniaczej”, Falcio. Urodziłem się w takiej samej biedzie jak ty i równie często siodłałem konia i ruszałem w drogę. Wiele razy ryzykowałem życie i byłem też gotów zginąć bohaterską śmiercią. Ale nie zginę śmiercią zdrajcy. To niegodne, to nie...

– Nieuczciwe? – spytał Kest.

Brasti przerwał na moment i widziałem, jak po jego twarzy rozlewa się ból.

Kiedy go poznałem, był jednym z najbardziej zadowolonych ludzi, jakich można sobie wyobrazić. Żył beztrudnie, z pełnym przekonaniem, że z nim, i ogólnie – z całym światem – wszystko jest dobrze. Za pięć minut znów założy tę maskę.

Ale teraz to była już tylko maska. Pod spodem krył się człowiek rozgoryczony, zdradzony przez wszystko i wszystkich,

najbardziej chyba przeze mnie. Zastanawiałem się, jak szybko przestanie mnie słuchać, kiedy mówię mu, żeby nie kradł. Zastanawiałem się, ilu z nas stało się złodziejami i rabusiami tylko po to, by przeżyć. Przez chwilę byliśmy bohaterami, ale teraz staliśmy się zdrajcami po bezsensownym ułaskawieniu, bez sojuszników i celu. Może naprawdę byliśmy teraz obdartymi pelerynami?

Kest powiedział do Brastiego coś jeszcze, ten mu odpowiedział, ale przestałem ich słuchać. Przez pięć lat podążałem za jedyną wskazówką, jaką dał mi król: odszukałem jego zwolenników wśród pomniejszych rodów szlacheckich. Wielu z nich było już oczywiście martwych, wyróżnionych przez książęcych rycerzy pod rozmaitymi zarzutami, zazwyczaj sfingowanymi, zaś nieliczni, którzy pozostali przy życiu, odmawiali jakiegokolwiek współpracy z Wielkimi Płaszczami. Jedyny wyjątek przybrał kształt pospiesznie nabazgranego liściku wręzonego mi przez służącą pani Laffariste, niegdyś powiernicy króla. Brzmiał on po prostu: „Nie teraz. Potrzebują więcej czasu”. Była to nikła nadzieja, zdecydowanie zbyt nikła dla Brastiego, choć pod tymi wszystkimi maskami był tak lojalny. Spór o ostatni rozkaz króla toczył się między nami od dawna i żaden z nas nie mógł w nim zwyciężyć. Albo królewskie czaroity gdzieś były i je znajdziemy, albo skończymy żywot na stryczku.

Znów dosiadłem konia i ruszyłem brukowanymi ulicami w stronę placu. Przypuszczałem, że Kest i Brasti kiedyś za mną podążą, ale w tamtej sekundzie w zasadzie mnie to nie obchodziło.

Przedostanie się z centralnej części miasta na plac karawan tak, by nas nie zauważono, zajęło nam godzinę. Wciąż uważałem, że największe szanse mieliśmy, kierując się na południe do Baern, gdzie według plotek zasłyszanych przez lorda Tremondiego znajdowały się królewskie czaroity – miały się rzekomo „błąkać” po wybrzeżu w pobliżu miasta Cheveran. Pomimo uzasadnionych

zastrzeżeń Brastiego, że wciąż nie mamy pojęcia, czym te królewskie czaroity są, nawet jemu nie przyszedł do głowy lepszy kierunek. Musieliśmy wydostać się z Solat, a byliśmy znienawidzeni od Rijou do Orson. W zasadzie nigdzie nie cieszyliśmy się specjalną sympatią.

– Nie zajmujemy tu przeklętych obdartych peleryn – powiedział mi kapitan karawany, odpychając mnie spracowaną dłonią – więc zmywajcie się stąd. Idźcie próbować kantować kogoś innego.

Stary był zaprawiony w boju; poznawałem to po jego żołnierskiej postawie i żyłastych mięśniach. Jego karawana liczyła siedem wozów, zaś głównym powozem było bogato zdobione monstrum, przypuszczalnie przewożące właściciela. Rzuciłem na nie krytycznym okiem. Było doskonałym celem dla rozbójników.

– Słuchaj – powiedziałem najuprzejmiej, jak mogłem – masz o kilku ludzi za mało i nie uda ci się znaleźć nikogo równie dobrego jak my trzej, szczególnie za tę stawkę.

– Nie dostaniecie ode mnie nawet końskiego łajna, trattari.

Mimo że był starszym mężczyzną, jego ciało wciąż przeżyło się pod skórzaną kamizelką tak, że każdy by się zawahał przed wdaniem się z nim w awanturę. Jestem z natury ostrożny, więc odwróciłem się, by odejść, szykując się, by spróbować z którąś z pozostałych karawan, ale sekundę później zawołał do mnie:

– Czemu nie spróbujesz jeszcze raz ochronić tego waszego króla Paelisa, co!? Myślę, że byłby chętny, a jego trup pewnie wciąż leży tam, gdzie go zostawili. Oczywiście trudniej byłoby ci znaleźć żerdź, na której zatknęli głowę tego tyrana!

To było dziwne. W jakiś sposób w mojej dłoni pojawił się rapier, a ja stałem naprzeciw kapitana karawany i czułem się doskonale. Naprawdę doskonale. Byłem doskonale swobodny. Zamierzałem podążyć za pierwszą regułą i wbić mu ostry sztych w usta, i poczuć coś naprawdę dobrego, bo przez resztę mojego krótkiego życia będę świadomy, że na świecie jest o jednego opluwającego mojego króla mniej.

Pięciu jego ludzi dobyło broni; zauważyłem też kolejnego, który stał za największym powozem, trzymając pistolet. A niech to, będę musiał się pospieszyć. Kiedy człowieka trafia kula z pistoletu, ma właściwie tylko kilka sekund na wbicie rapieru w czyjeś usta, zanim sam padnie na ziemię i umrze.

– Dobra, chłopcy – powiedział Brasti, napinając cięciwę – jeśli zobaczę, że wasz przyjaciel z pistoletem choćby wstrzymuje oddech, wykończę go. I uwierzcie mi, was pięciu ma bardzo małe szanse przeciwko nam trzem.

Kapitan już miał dać sygnał do ataku, kiedy z wnętrza powozu dobiegł głos:

– W takim razie może pięciu na jednego?

Głos należał do kobiety i pod tonem, który normalnie byłby uwodzicielski, kryła się drwina.

– Pani... – zaczął mówić kapitan.

– Spokój, Feltock. Może i jesteś kapitanem, ale ta karawana należy do mnie.

– Właściwie to do pani matki – mruknął pod nosem, patrząc, jak z powozu wysiadła młoda kobieta w skromnej niebieskiej sukni i podchodzi do niego nieśmiało.

Miała ciemne włosy i delikatne rysy i dopiero po chwili zdecydowała się rzucić nam bojaźliwe spojrzenie.

– Moja pani mówi, że jeśli ten trattari, niech mi pan wybaczy, ten Wielki Płaszcz, zdoła pokonać pięciu naszych ludzi, najmie go wraz z towarzyszami za pełną stawkę ochrony karawany.

– Trin, wracaj do powozu i do swojej pani – warknął Feltock. – Tu nie jest bezpiecznie.

Trin opuściła wzrok, ale zignorowała polecenie. Brasti obdarzył ją szelmowskim uśmiechem i mrugnął do niej, a następnie zwrócił się w stronę powozu:

– Pani, dziękuję ci za twą uprzejmą interwencję w tę sprawę, ale mieliśmy właśnie się oddalić. Chyba że mógłbym pocałować

dłoń i spojrzeć w twarzyczkę osoby, z której ust dobywa się ten piękny głos?

Kapitan zrzędził coś do człowieka, który stał obok.

– Pięciu na jednego. Co dokładnie masz na myśli, pani? – zapytał Kest i nagle dopadło mnie okropne przeczucie. Ostatnio Kesta interesowało tylko jedno: szukanie okazji, by władować się w beznadziejną sytuację i sprawdzić, czy uda mu się mnie zabić podczas testowania jakiejś jego nowej szermierczej sztuczki.

– Mam na myśli to, co powiedziałam – usłyszeliśmy głos z powozu. – Wasz przywódca przeciwko pięciu moim ludziom. Jeśli zwycięży i żaden z nich nie zginie, zatrudnię całą waszą trójkę. Ale za każdego, którego zrani tak, że będzie nie do użytku, jeden z waszych będzie dla mnie pracował za darmo.

Tego typu zadania zdarzały się na placach dość często – w końcu jak inaczej można oszacować wartość ludzi, których się najmuje? Ale pięciu na jednego to nie było wyzwanie, tylko młócka – a nawet gdybym zdołał poradzić sobie z całą piątką, nie było możliwości, bym mógł to zrobić bez zadania im ran. A jeśli zranię trzech z nich, będziemy pracować za darmo.

– Zapomnij...

– Zgoda! – krzyknął w odpowiedzi Kest.

Odwrociłem się do niego, ufając, że Brasti będzie miał oko na kapitana i jego ludzi.

– Czyś ty oszalał? – mruknąłem. – Nie mogę pokonać pięciu ludzi, nie raniąc ich. Nikt tego nie potrafi.

– Zaufaj mi, da się to zrobić.

– Nigdy tego nie zrobiłeś – powiedział Brasti, wciąż patrząc na strażników karawany – i nigdy nie zostałeś pokonany.

– Nieprawda – odrzekł Kest. – Falcio pokonał mnie w pojedynku.

Brasti szeroko otworzył oczy.

– To prawda – powiedział Kest.

Cóż, formalnie była to prawda. Wielkie Płaszcz nie były tylko wędrownymi trybunami. Szkolono nas na największych mistrzów pojedynków na świecie. Należało to poniekąd do naszej pracy, bo czasem jedynym sposobem na wyegzekwowanie królewskich praw było wyzwanie na pojedynek samego księcia i zmierzenie się z jego mistrzem. Jeśli wygrałeś, księżę zwykle kapitulował. Jeśli nie, do domu wracały twoje zawinięte w płaszcz zwłoki. Tak więc nasze szkolenie obejmowało rywalizację – i nie były to bynajmniej walki na drewniane szpady. Wielki Płaszcz powinien umieć zranić przeciwnika tak, by go obezwładnić, nie zadając mu śmierci. Oto jak dobrzy byliśmy – czy też jak dobrzy powinniśmy być, bo nie zawsze kończyło się to w zaplanowany sposób.

Kiedy więc król zorganizował turniej, którego zwycięzca miał zostać pierwszym kantorem Wielkich Płaszczy, bardzo chciałem wygrać – więcej, postanowiłem, że wygram. Wierzyłem w to, co robimy, bardziej niż ktokolwiek inny, i chciałem stanąć na czele bardziej niż wszyscy pozostali.

I walczyłem, przechodząc jedną rundę za drugą, aż w rywalizacji o nagrodę zostaliśmy tylko Kest i ja.

Miałem chyba nadzieję, że potknie się, zanim do tego dojdzie, albo że straci zainteresowanie – tak bywa z Kestem, kiedy ktoś nie dorasta do jego standardów lub walka jest zbyt łatwa, czasem zdarza mu się po prostu wycofać. Ale tym razem tak nie zrobił, więc walczyliśmy i zwyciężyłem, i nigdy nikomu nie pisnę, jak mi się to udało. Nawet Kest tego nie wie – i to pewnie dlatego lubi teraz narażać moje życie.

– Psiakrew, Kest, ledwie kilka godzin temu wrywałeś mi strzałę z nogi, a teraz chcesz posłać mnie do walki przeciwko pięciu ludziom? Czemu sam nie pójdziesz pojedynkować się ze świętym o krwawym obliczu, Caveilem Co Przecina Wodę?

– Kiedy nadarzy się okazja, tak właśnie zrobię – odparł Kest z dziwnie zmartwioną miną.

– Walczyłbyś ze Świętym od Mieczu? Ty naprawdę kompletnie straciłeś rozum, prawda?

– Święty to tylko mały bóg, Falcio. Jeśli go spotkam, możesz być spokojny, że stoczę z nim walkę.

– O, bogowie, jesteś poważny czy nie? – powiedziałem, odwracając się od niego.

Jeśli Kest zostanie kiedyś świętym, najwyższym uosobieniem ideału, będzie świętym Kestem Co Się Nigdy Kurwa Nie Nauczy. Niestety zawsze trochę bardziej chciałem spełnić jego oczekiwania wobec mnie niż po prostu dać mu w gębę.

– Dobrze – powiedziałem do kapitana karawany. – Zróbcie tu miejsce, do licha, i miejmy to za sobą. – Pomyślałem, że jeśli uda mi się chociaż dać dobry pokaz, właścicielka karawany wciąż może chcieć nas nająć.

Kapitan cicho się zaśmiał i odprowadził na bok konie. Wyznaczył pięciu ludzi, którzy rozebrali się do pasa i chwycili za broń: dwa pałasze, włócznia, dwa noże i topór. A niech to, nie cierpię walczyć przeciwko toporom. Tak bardzo skupiasz się, żeby nie trafił i nie roztrzaskał ci rapiera, że zapominasz uważać na własną czaszkę. Miałem jednak przewagę: wszyscy oni byli roslymi młodymi mężczyznami, którzy wyraźnie chcieli się pochwalić wspaniałe umięśnionymi torsami przed damami w tłumie, który zaczął się już zbierać. Ja tymczasem nie miałem zamiaru zdejmować swojego płaszcza, który dawał mi pewną ochronę przed tymi bydlakami.

Dobylem rapiera i wyciągnąłem drugi z przytroczonej do siodła pochwy.

– Falcio? – to był Kest.

– Co znowu? – spytałem.

Wyglądał na lekko zmieszanego, co zwykle objawia się u niego bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

– No, chodzi mi o to, że oni nie walczą w zbrojach, więc może...

– Zamknij tę swoją przeklętą jadaczkę, Kest, albo przysięgam, że sam sobie wbiję rapier w brzuch tylko po to, żeby narobić ci wstydu. – Zwróciłem się do pięciu mężczyzn stojących przede mną. – Jeśli którykolwiek z was chce włożyć zbroję, to proszę bardzo – powiedziałem.

Odpowiedzią były tylko uśmieszki.

„Uśmiechajcie się dalej, chłopcy. Przynajmniej paru z was będzie mogło pokazać swoim dzieciom piękne blizny. Chyba że najpierw utnę wam jaja”.

Dzięki bogom Brasti odciągnął Kesta na bok, a ja skupiłem się na przeciwnikach i dwóch problemach. Problem pierwszy: jak nie dać się zabić; problem drugi: jak nie zabić żadnego z nich. Postanowiłem, że drugą kwestię odłożę chwilowo na bok i skupię się na tym, by nie dać się zabić. Dobrze mi szło myślenie, kiedy się do tego przykładałem. Bycie trybunem nie polegało tylko na tym, by nauczyć się na pamięć królewskich praw. Trzeba było przesiewać dowody, znaleźć sposób, w jaki można wyegzekwować dane prawo, a czasem opracować najlepszą drogę ucieczki z więzienia jakiegoś lorda.

Uznałem, że lepiej będzie walczyć z nimi kolejno niż z pięcioma naraz. Prawdopodobnie nie uda mi się na to namówić całej piątki, ale moja niewyparzona gęba wpędziła mnie tyle razy w kłopoty, że wyćwiczyłem się w wywoływaniu entuzjastycznych przepychanek o to, kto pierwszy mi w nią przyłoży.

– Zaraz – powiedziałem, kiedy tamci zaczęli mnie otaczać. – Umówiliśmy się na pięciu mężczyzn. To nie w porządku.

Kapitan spojrzał na swoich ludzi, potem na mnie.

– No, i jest pięciu. Na co się właściwie skarżysz?

– Czyś ty oślepl? Mówiliśmy o pięciu mężczyznach. Mężczyznach. – Wskazałem lewym rapierem na najdrobniejszego z grupki, tego, który ścisnął włócznię i wyglądał bardzo podobnie do człowieka z nożami. – To ledwie chłopiec. Jego matka się zapłaczę, a ja nie potrzebuję, żeby ta zapijaczona pół krowa, pół

dziwka mamrotała po nocy przekleństwa pod moim adresem. Mam wystarczające problemy z zaśnięciem bez tego dzieciaka na sumieniu.

Chłopak z włócznią obrzucił mnie przekleństwami.

– Nazywasz mnie chłopcem? Przekłeta podarta peleryno, pokażę ci, kto tu jest chłopcem.

Natarł na mnie włócznią, nie zdając sobie sprawy, że sztych mojego lewego rapiera był już wycelowany w jego pierś. Głównią prawego zbiłem w bok skierowany w mój brzuch grot jego broni i chłopak zatrzymał się z ostrzem mojego rapiera o sześć cali od swojej piersi. Próbował się cofnąć, ale użyłem przeciwko niemu tej samej sztuczki co z konstablem: nastąpiłem na jego włócznię. Ten tutaj był jednak o wiele silniejszy, więc nie puścił drzewca. Silniejszy i głupszy. Użyłem sztuczki, którą ćwiczyliśmy z Kestem w dzieciństwie: pobiegłem po jego włóczni, zmuszając go, by upuścił ją na ziemię, i doskakując do niego na odległość wyciągniętej ręki, a następnie obróciłem dłonie tak, by klingi moich rapierów były skierowane na zewnątrz, i uderzyłem go w obie skronie głowicami. Nie musiałem kończyć sprawy w ten sposób, ale miałem plan, który wymagał, bym upokorzył przeciwnika.

Chłopak z włócznią osunął się na ziemię jak noc zimą, a ja zacząłem mówić do jego nieprzytomnego ciała:

– Chyba nie pójdziesz teraz powiedzieć swojej kurewskiej mamusi, że ktoś cię dziś stłukł na placu karawan?

Usłyszałem ryk po swojej prawej i odwróciłem się, żeby zobaczyć, jak Dwa Noże rzuca się na mnie. A więc przynajmniej w tej sprawie miałem rację i starszy brat nadciągał, by uratować honor rodziny. Jeśli nauczyłem się czegoś w życiu, to tego, że honor tylko wpędza człowieka w kłopoty.

Dwa Noże miał jednak dobrą technikę. Wyglądał na stelmacha, który utrzymuje wozy w ruchu. Mnóstwo stelmachów było wcześniej żeglarzami, z różnych powodów niemogącymi już dostać pracy na statku.

Zmniejszył dystans, żeby nie mógł wykorzystać zasięgu swoich rapierów. Ktoś, kto kiedykolwiek widział żeglarza, który na poważnie atakuje nożami, wie, że pomysł, by parować jego ciosy, jest niedorzeczny. Noże zbyt szybko się poruszają i zanim zablokuje się jedno pchnięcie, człowiek ma już cztery dziury w brzuchu. Trzeba zaatakować pchnięciem i przyjąć kilka cięć na ramię. Jedyne problem polega na tym, że nie da się tego zrobić z bliska czymś tak długim jak rapier – pchnięcia stają się niemożliwe. Ale ja walczyłem dwoma rapierami, odkąd skończyłem osiem lat, i miałem w zanadrzu kilka sztuczek. Jeśli ma się giętkie nadgarstki i chce się zaryzykować parę szram, można zakręcić klingami dość szybkiego młyńca, by zadać przeciwnikowi dwa razy więcej cięć niż on nam.

Muszę mu oddać sprawiedliwość: sądząc po białych bliznach pokrywających jego przedramiona, wyraźnie nie obawiał się skaleczenia. A może się obawiał, ale był zbyt niezdarny, by ich unikać. Jakakolwiek była przyczyna, wkrótce zdał sobie sprawę, że gorzej na tym wychodzi, więc zmienił styl, związując mój prawy rapier i próbując prześlizgnąć się pod lewym, by sięgnąć mojej szyi. Prawie mu się udało i musiałem znieść ból w zranionej nodze, gdy się na niej oparłem. Ale wtedy dostrzegłem sposobność i ponieważ przeniosłem już cały ciężar ciała na obolałą kończynę, postanowiłem zaryzykować.

Nożownicy zwykle mocno się zapierają: walczą twardo, stojąc obiema stopami na ziemi, i podnoszą je, tylko gdy atakują. Nigdy nie myślą o obronie przeciwko czemukolwiek innemu niż broń ich przeciwników i czasem uderzenie głową, więc Dwa Noże był kompletnie zaskoczony, kiedy z całej siły wbiłem mu obcas lewego buta tuż pod rzepkę. Usłyszałem trzask pękającego kolana, satysfakcjonujący niczym westchnienie zadowolenia kochanki, i mój przeciwnik padł obok swojego brata. Dzięki ci, święta Wero Co Krocysz Po Falach – twe dzieci są tępe jak kołki.

Kapitan podbiegł do swojego człowieka, podczas gdy dwaj ludzie uzbrojeni w pałasze ruszyli w moim kierunku.

– Noga jest załatwiona – oznajmił kapitan. – Teraz chłopak nam się nie przyda.

Dama w powozie roześmiała się.

– Jeden z twoich za jednego z moich, trattari.

– A niech cię, Falcio. Tracisz teraz nasze pieniądze, wiesz o tym? – zapytał Brasti.

Wymamrotałem przekleństwo pod adresem jego matki i spróbowałem pozbyć się bólu w nodze, zanim zaatakują mnie pałaszami. Walka z dwoma uzbrojonymi ludźmi jest naturalnie więcej niż dwa razy trudniejsza od walki z jednym, ale nie tym się martwiłem; bardziej niepokoiło mnie, że nie było z nimi człowieka z toporem. Nie byłem taki głupi, żeby sądzić, że cały czas zdołam ich prowokować, by walczyli ze mną kolejno – więc dla czego miałby nie wykorzystać okazji i nie zaatakować mnie od tyłu?

Wyrzuciłem to pytanie z głowy i skupiłem się na mężczyznach przede mną. Jeden był szczupłym blondynem, a drugi krępkim brunetem z brodą sięgającą mu do połowy piersi. Postanowiłem nazwać ich Blondynek i Czarnobrody. Nie było to może zbyt oryginalne, ale nie planowałem dłuższej znajomości. Byli jednego wzrostu, co stanowiło dobrą wiadomość dla mnie i fatalną dla nich. Walka z przeciwnikami różnego wzrostu oznacza konieczność ciągłych zmian postawy, czego nie mogłem zrobić, mając kontuzjowaną nogę.

– Ifodor, Falcio, użyj ifodoru! – krzyknął niepotrzebnie Brasti. Może myślał, że jest pomocny.

– Tak, słyszałem o tym! – odkrzyknąłem.

Ifodor to technika używana przez Wielkie Płaszcze w walce przeciwko dwóm szermierzom naraz; dosłownie znaczy to „zamknąć klingi”. Wymaga dużej siły przedramion i oburęczności. Uznałbym tę sugestię za nieco mniej obraźliwą, gdybym to nie ja nauczył Brastiego tej sztuki.

Wyobraźcie sobie dwóch przeciwników, którzy chcą was oskrzydlić, więc próbują się rozdzielić i obejść was, tak by znaleźć się po obu waszych stronach. Wy z kolei, jako sprytni jegomoście, wcale nie chcecie im na to pozwolić, bo to oznacza, że was zabiją. Robicie więc krok w tył i stopniowo, również po łuku, zbliżacie się do jednego z nich, tak by ten drugi był nieco poza waszym zasięgiem, i przez chwilę walczyicie tylko z jednym wrogiem, chcąc go wyeliminować. Z kolei wasi przeciwnicy, jako równie sprytni jegomoście, nie chcą, żebyście to zrobili, więc cały czas zmieniają ustawienie, abyście byli w równej odległości od nich obu, tworząc trójkąt z wami na szczycie i nimi dwoma na pozostałych wierzchołkach. Brzmi to elegancko, ale w rzeczywistości wygląda przeważnie tak, że dwaj ludzie nieustannie dźgają trzeciego, który ze wszystkich sił stara się zbić ich broń z podobną dozą gracji, co krowa próbująca nadepnąć na mysz.

I wtedy przychodzi czas na ifodor, zamknięcie kling. Trzeba poczekać na idealny moment, kiedy wasi przeciwnicy dzięki ryt-mowi natury, który z czasem jednoczy wszystkich ludzi, nagle w tym samym momencie spróbują niskiego pchnięcia, a kiedy to nastąpi, jeśli wasze rapiery są w górnej pozycji obronnej, możecie zakręcić nimi w dół i zamknąć głównie waszych przeciwników swoimi. Teraz robi się trudniej: sparowaliście z linii ciosu sztychy przeciwników, a wasze rapiery są pośrodku. Podrywacie swoje klingi do góry i robicie krok w przód, wciąż dotykając nimi spodu ich broni – po czym wbijacie rapiery w ich brzuchy.

Ifodor jest techniką trudną do opanowania, ale morderczo skuteczną, i miałem ją właśnie zastosować, kiedy usłyszałem, jak Kest pokaśluje, i zdałem sobie sprawę, że zaraz zabiję dwóch ludzi i albo sam zginę, albo będę pracował za darmo. W ostatniej chwili opuściłem ostrza rapierów, by ciąć ich po nogach. Trafiłem Czarnobrodego, ale Blondynka chybiłem o cal. Na szczęście dla mnie spróbował się uchylić i noga zaplątała mu się w klingę mojego rapiera. Mocno i szybko przeciagnałem ją po wewnętrznej

części jego uda i usłyszałem, jak wszyscy mężczyźni w tłumie wydali cichy okrzyk, gdy wykonałem okropne cięcie tuż pod jego częściami intymnymi. Wyciągnąłem prawy rapier z nogi Czarnobrodego ze skrzętem, który posłał go na ziemię, i przyłożyłem sztych lewego tuż pod podbródkiem Blondynka.

Nastąpiła cudowna chwila ciszy, w której słyszałem tylko własny oddech. Potem zabrzmiały czyjeś oklaski. Blondynek cofnął się i zobaczyłem, że brawo bije mi człowiek z toporem. Uśmiechał się. Musiał mieć jakieś sześć i pół stopy wzrostu i wyglądał na dwukrotnie silniejszego ode mnie. Byłem już zmęczony i moja prawa noga w każdej chwili mogła odmówić mi posłuszeństwa.

Topornik przestał klaskać i zaczął wkładać zbroję. Zakląłem cicho pod adresem Kesta, by któregoś dnia mógł zobaczyć czerwone od krwi oblicze świętego Caveila. Ten człowiek wiedział, co robił. Obserwował mój styl walki i zauważył, że prawą nogę mam zranioną. Widział, że jestem zmęczony, i wiedział, że rapierzy niespecjalnie sprawdzają się przeciw zbroi płytowej. Jedyną drogą, by pokonać opancerzonego wroga, było trafienie klingą pomiędzy płyty, a i wtedy ciężko byłoby przebić się przez kolczugę. Rapier to broń pojedynkowa, nienadająca się do bitwy, i on o tym wiedział. Dlatego się uśmiechał. Właściwe pytanie brzmiało: dlaczego uśmiechałem się ja?

- Do licha – usłyszałem, jak Kest zwraca się do Brastiego.
- O co chodzi? – zapytał Brasti.
- Wolalbym po prostu, żeby on się tak nie uśmiechał do Falcia, to wszystko.

ALINE

W Pertynii mamy powiedzenie: „Życie to umowa, którą zawieramy z bogami”. Jeśli chcesz być żołnierzem, przysięgasz, że przez całe życie będziesz walczył wiernie i z całych sił, i zawierasz umowę z Wojną, po czym przelewasz krew w jej imię. Wojna ze swej strony daje ci mocne kości i gęstą krew. Jeśli chcesz być kupcem, przysięgasz, że będziesz przemierzał ziemię i tylko odrobinę oszukiwał, zawierasz więc umowę z Monetą, w zamian za co ona zapewnia ci bezpieczne podróże i łatwowiernych klientów. Ja zawarłem układ z Miłością i przysięgałem swoje serce jednej kobiecie na całe życie. W zamian za to Miłość na krótką chwilę dała mi uroczne uśmiechy i gorące noce.

Aline była dla mnie cudowna i piękna, ale nie zamierzam marnować waszego czasu na jej opis, bo moglibyście się nie zgodzić, a wtedy musiałbym was nauczyć pierwszej reguły miecza; albo, co gorsza, sami moglibyście się w niej zakochać, co z kolei ściągnęłoby na was odrobinę tego smutku, który wypełnia moje życie.

Mieliśmy po siedemnaście lat, kiedy się poznaliśmy, i po dwadzieścia, kiedy umarła. Wzięliśmy ślub, kochaliśmy się, kłóciliśmy, stanęliśmy w obliczu głodu, walczyliśmy z sąsiadami, z trudem uniknęliśmy nałożonej na nasz dom klątwy, a raz prawie

spłodziliśmy dziecko. Aż wreszcie umarła tylko dlatego, że władający naszą krainą ksiązę chciał się z nią zabawić w łóżku.

Kochałem króla Paelisa, ale nienawidziłem wszystkich królów przed nim, żadnego zaś bardziej niż jego ojca, króla Greggora.

Nie wiem, dlaczego stało się tak, że król i ksiązę wraz ze swoimi ludźmi szli traktem prowadzącym obok naszej chaty. Może szukali dzikiej zwierzyny, wyruszając do zamku Aramor, królewskiej siedziby na południu. Może jeden z sąsiadów miał chrapkę na naszą ziemię i wykorzystał okazję. Może Miłość, obrażona z powodu braku moich modlitw, postanowiła zerwać naszą umowę. Jakkolwiek do tego doszło, drużyna króla przejeżdżała tuż obok naszej chaty i ksiązę poprosił go, by zatrzymali się tam i posilili.

Prawo pańskie głosi, że każdy mieszkaniec księstwa może zostać wezwany przez swojego władcę, by w czasie wojny bądź niepokojów społecznych dostarczyć mu żywność. Ksiązę miał swobodną interpretację tego, czym jest wojna, więc zażądał, byśmy dostarczyli jemu i królowi wszystko, co mieliśmy do jedzenia i picia. Przynieśliśmy wszystko, nawet zapasy na zimę. Byłem skąpy jak każdy, a do tego dwa razy bardziej wojowniczy, ale nie byłem głupi i nie igrałem z królami.

Yered, ksiązę Pertynii, w zasadzie wyglądał na zadowolonego z tego, co podaliśmy. Król Greggor nie okazał zainteresowania i żaden nie zaprosił do stołu swoich ludzi, sądziłem więc, że mam szczęście i coś może zostać dla nas, kiedy skończą. Był to nierozważny optymizm.

– Jesteś moim poddanym, nieprawdaż? – spytał ksiązę.

To pytanie nie było takie głupie, jak się wydaje; mieszkaliśmy na granicy między Pertynią a Luth i od zawsze trwał spór z księciem sąsiedniej krainy, Holmem, co do tego, komu powinniśmy płacić podatki.

– Istotnie jestem twoim poddanym, panie, i co roku płaciłem podatki – powiedziałem pokornie.

– Ach tak? Cóż, to czyni cię wyjątkiem, mój chłopcze.

Jego ludzie i on zdrowo się z tych słów uśmieali i zacząłem się czuć prawie bezpieczny. Dało się to znieść. Mogłem trzymać głębę na kłódkę, kłaniać się i dygać, i robić wszystko, czego chcieli, żeby pozbyć się ich z mojej ziemi.

– A któż to? – spytał Yered, a ja odwróciłem się i ujrzałem Aline, która zamykała właśnie otwartą przez jednego z ludzi księcia bramę, aby kozy nie wyszły na zewnątrz.

– To moja żona, panie – odpowiedziałem.

– Masz tu wspaniałą kobietę, chłopcze. Podejdź no tu, dziewczyno. Niech twój książę ci się przyjrzy.

– Robi się późno, Yered, i zaczynam mieć ochotę na coś, czego nie podniesiono z ziemi dziś rano.

Król Greggor brzmiał, jakby był zirytowany i znudzony. Modliłem się, by był to dobry znak.

Yered się roześmiał.

– Ja też mam ochotę na coś innego, Wasza Wysokość. Jeśli łaska, daj mi chwilę, bym upewnił się, że należne mi prawa są przestrzegane.

Greggor machnął na niego ręką.

– Proszę bardzo.

Yered stanął przede mną. Był nieco niższy niż ja, więc postarałem się przygarbić, żeby nie poczuł się obrażony moim wzrostem.

– A więc, chłopcze, mówisz, że płacisz wszystkie podatki?

– Tak, panie.

– Wszystkie? Jesteś tego pewien?

– Tak, panie. Zapłacił mi siedem sztuk w zeszłym sezonie i osiem w tym. Mam pokwitowanie od zarządcy. Mogę iść go poszukać, jeśli pan...

– Wystarczy! Nie becz na mnie jak jakaś owca. Miej trochę charakteru, chłopcze.

Książę odwrócił się do swoich ludzi.

– Widzicie to? To jest materiał, z którego muszę robić żołnierzy. To cud, że ci przekłęci barbarzyńcy jeszcze nas nie podbili.

Podniósł swój kielich z winem i podał mi go.

– Masz, napij się tych szczyn. Może to doda ci trochę męstwa, co?

Wypiłem, wino i tak przecież było moje.

– A teraz wróćmy do kwestii podatków. Zapłaciłeś podatek za swoją ziemię?

– Tak, panie, cztery sztuki zarządcy, panie.

– Dobrze, dobrze. A czy zapłaciłeś też podatek za te kozy?

– Tak, panie, dwie sztuki.

– I za swoje... o właśnie, kurczęta?

– Tak, panie, za nie też dwie.

Ksiązę policzył na palcach.

– Cóż, to daje osiem sztuk, zgadza się?

– Tak, panie, w tym sezonie zapłaciłem osiem sztuk, tak jak powiedziałem, panie.

Ludzie księcia chichotali pod nosem. Słyszeli już wcześniej ten żart.

– Cóż, a więc zapłaciłeś za kozy i kury, ale co z resztą twojej trzody?

Pokręciłem głową, udając, że nie rozumiem dowcipu.

– Słucham, panie? Nie rozu...

– Twoja jałówka, człowieku! – zawołał, wskazując na Aline. – Kiedy zamierasz zapłacić podatek za jałówkę?

Odpowiedział mu wybuch śmiechu – a raczej zwykły rechot, który w moich uszach eksplodował.

– Proszę o wybaczenie, panie, nie wiedziałem. Zapłacę należną cenę.

Dostrzegłem teraz, jak kilku z jego ludzi mruga do siebie porozumiewawczo. Próbując ugłaskać księcia i ukryć własny gniew, wszedłem w sam środek jego żartu.

– O tak, chłopcze, zapłacisz – powiedział uprzejmie książę. – Ale zachowaj swoje srebro. W tym wypadku podatek płaci jałówka!

Kolejny wybuch śmiechu, po czym jeden z żołnierzy księcia, który wyraźnie wiedział, jak się ten żart kończy, podszedł do Aline i chwycił ją za ramię. Nagle w mojej dłoni znalazł się kij, którym celowałem w jego oko.

Ale jeszcze zanim książę zdążył cokolwiek zrobić, Aline strząsnęła rękę żołnierza i wymierzyła mi siarczysty policzek. Wstrząśnięty, upuściłem kij na ziemię.

– Głupi chłopaku – powiedziała. – Nigdy nie stawaj na drodze memu szczęściu!

Książę zaśmiał się i odwołał swoich łuczników, a ja zdałem sobie sprawę, że Aline właśnie ocaliła mi życie.

– Patrzcie no, ta mała ładacznicza myśli, że może zostać moją żoną!

Wszyscy się śmiali, nawet Aline. Książę zaryczał coś o winie i jeden z jego ludzi zaczął przekopywać się przez nasze skromne zapasy. Aline chwyciła mi głowę obiema rękami.

– Nie waż się, Falcio – szepnęła mi z pasją do ucha. – Wiem, że mnie kochasz, i wiem, że walczyłbyś o mnie, ale nie tu, nie teraz. Zrobię to i zapłacę cenę za nas oboje. Nie będę drapać, gryźć ani wrzeszczeć, zamiast tego sprawię, że ten mały człowieczek poczuje się jak olbrzym. Powszechnie wiadomo, że książę z każdą kobietą kładzie się tylko raz. A po tym, jak to robi, zostawi nas i odejdzie ze swoimi brudnymi ludźmi i swoim brudnym królem, a ty i ja zestarzejemy się razem i będziemy się śmiać z dnia, w którym te głupie ptaki wylądowały na naszych polach.

Odepchnęła mnie i ruszyła w stronę naszej chaty, wabiąc księcia, by podążył za nią. Stojąc w drzwiach, odwróciła się i zawołała do ludzi księcia:

– Obchódźcie się z nim łagodnie, dobrze!? Nie znoszę, jak płacze po nocach!

Ludzie księcia roześmiali się i nawet król Greggor zachichotał, wypływając kawałek jagnięciny, którą mieliśmy zjeść na kolację. A ja czekałem, modliłem się i nienawidziłem samego siebie, dziękując jednocześnie Miłości za żonę tak mądrą i dzielną jak ta, którą gwałcił właśnie człowiek, któremu za kilka minut będę dziękował na klęczkach.

Tak jak powiedziała, dzięki niej stękał i jęczał, a po kilku minutach wydał z siebie głośny ryk i ucichł. Obawiałem się przez chwilę, że Aline wbiła mu nóż w słabiznę, ale po rechocie jego żołnierzy odgadłem, że książę miał to w zwyczaju.

Aline wyszła jako pierwsza z rozwianym włosom i zapinając koszulę.

– Niech cię bogowie błogosławią, panie, jestem jak nowo narodzona!

Książę wyszedł z chaty. Jego ubranie było starannie zapięte, ale włosy miał w nieładzie, był czerwony na twarzy i wciąż po cił się jak świnia.

– Święci się do ciebie uśmiechnęli, chłopcze. Jesteś istotnie bogaczem. Powinienem podnieść ci podatki na przyszły rok!

Przełknąłem dumę, honor i wszystkie pozostałe formy godności, jakie mi pozostały, ukląknę na jedno kolano i powiedziałem:

– Jestem ci wdzięczny, panie, za twą hojność i ochronę.

– I za to, że wreszcie ktoś zadowolili tę twoją kobietę, co? – Książę roześmiał się, chrząkając tak, jak robią to świnie na chwilę przed tym, nim poderżnie się im gardło.

– Tak, panie, i za to, że zrobiłeś to, do czego sam nie byłem zdolny.

– Ha! – zawołał książę. – Jesteś ropuchą, chłopcze, ohydą małą ropuchą. Ale znasz swoje miejsce, a niczego więcej nie powinniśmy się spodziewać po wieśniaku. Nie martw się, wyjedziemy i powiem swoim ludziom, żeby nie puszczali twojej chałupy z dymem.

Ta myśl nawet nie przeszła mi wcześniej przez głowę, mimo to pokłoniłem się i zaszurałem nogami. Król i książę dosiedli koni, a zbrojni poszli w ich ślady – wszyscy oprócz jednego, wysokiego mężczyzny z wielką blizną ciągnącą się od jego czoła aż do ust. Na plecach nosił topór bojowy.

– Wasza Książęca Wysokość – powiedział, patrząc wprost na mnie – czy nie powinniśmy zabrać tej kobiety ze sobą, na wypadek gdybyś nabrał na nią później ochoty? Wątpliwe, czy w gospodzie, w której się dziś zatrzymamy, będzie tak apetyczna strawa.

Książę ledwo obrócił głowę.

– Co ty tam głędzisz, Fost? Dobrze wiesz, że żadna kobieta nie zadowala księcia więcej niż raz.

– Tak, panie, ale czy nie powiedziałbyś, że ta była inna? Wydaje się zbyt dobrą jałówką, żeby zostawiać ją chłopcu, który nie potrafi jej porządnie wydoić.

Książę chciał go już odegnąć, ale odezwał się król Greggor:

– Do wszystkich diabłów, Yered, po prostu zabierz tę przekłętą dziewczynę. Ludzie musieli wysłuchiwać twojego stękania tyle razy, że być może widzą w niej coś, czego ty nie widzisz.

Choć gardziłem księciem całą swoją istotą, sądzę, że zostawiłby nas, gdyby nie zbeształ go król. Ta uwaga dotknęła go jednak do żywego.

– Nie widzę już z niej pożytku, Wasza Wysokość, ale skoro, jak się zdaje, tak ci przypadła do gustu, Fost, weź ją sobie. Może zabawić naszych ludzi, kiedy ja będę „stękał” z kimś piękniejszym.

Fost cały czas nie spuszczał ze mnie wzroku i wciąż się uśmiechał, od czego marszczyła się blizna na jego twarzy. Przywołał swoich ludzi i dwaj z nich zabrali Aline, podczas gdy kolejna dwójka mierzyła do mnie z łuków. Potem dosiadł wierzchowca i ruszył za nimi drogą, a ja stałem tam i gapiłem się jak wieśniak. Jak ropucha. Jak chłopiec, który znał swoje miejsce.

Aline była dobrą dziewczyną, była też mądra, ale nawet ona miała granice, jakie nakładają na nas bogowie, byśmy nie oszaleli, więc zanim doszedłem do najbliższego miasteczka i znalazłem ją na podłodze oberży, nie żyła już od dwóch dni. Walczyła, moja dzielna dziewczynka, i pod paznokciami miała skrawki czyjejś skóry, a na ramionach siniaki, zaś jej piękna twarz była rozplątana na dwoje, prawdopodobnie wielkim toporem.

Czułem się bardzo dziwnie. Wyglądało na to, że jestem na placu karawan w Solat i stoję nad topornikiem, który, jak się zdawało, właśnie z jakiegoś powodu umarł. Najwyraźniej przyczyną śmierci były dwa pchnięcia rapierem w oczy i jedno w szyję.

Zastanawiałem się przez chwilę, kto mógłby coś takiego zrobić, a potem zauważyłem, że się trzęsę. Kest odciągnął mnie od niego.

Feltock trzymał dłoń na rękojeści swojej broni, a Trin płakała mu w rękaw.

– Do licha, Falcio – powiedział Brasti, patrząc na trupa. – Miałeś go tylko zranić.

– Zamknij się, Brasti – powiedział Kest.

Pomyślałem, że to bardzo zabawne, więc głośno się roześmiałem, ale nie wiedzieć czemu nikt się nie przyłączył. Zauważyłem też, że moja twarz jest cała mokra. O dziwo, sprawiło to, że śmiałem się dalej.

– No dobrze, musiał go zabić, ale dlaczego musiał mu wyciąć tę ranę na twarzy, kiedy facet już nie żył?

– Odezwij się jeszcze raz i cię zabiję – powiedział Kest.

Był przerażającym człowiekiem, kiedy mówił takie rzeczy, i przestałem się śmiać. Pocierał mi ramiona, co było przyjemne, ale zdawało się nieco nie na miejscu.

– Pamiętasz Aline? – zapytałem. Mój głos brzmiał dziwnie: skrzypiał jak wtedy, gdy byłem dzieckiem. – Nie wiem dlaczego, ale właśnie o niej pomyślałem.

Kest położył mi na krótką chwilę dłoń na twarzy. Potem przywołał Brastiego, żeby mnie popilnował, a sam podszedł do powozu. Kapitan karawany stanął mu na drodze i ostrzegawczo położył mu dłoń na piersi, ale Kest nie zwrócił na niego uwagi.

– Wykonaliśmy naszą część umowy. Jeden zabity i jeden ranny. Uznaję to za półtorej płacy dla trzech.

– Mój stelmach nie zda się na wiele ze złamaną nogą, trattari – powiedział kapitan. – Lepiej znikajcie stąd i módlcie się, żebym nie wezwał konstabli do...

– Jeden zabity i jeden niesprawny – usłyszałem, jak przez hałas przebija się głos kobiety z powozu. – Daję żołd dla jednego i wikt dla trzech.

Kest spojrzał na mnie, ale ja wciąż patrzyłem na krwawą szramę, jaką wyciąłem na twarzy topornika.

– Zgoda – powiedział Kest. – Płaca dla jednego i wikt dla trzech. – Potem odwrócił się do pozostałych członków karawany. – I musicie wszyscy na uwadze: niech każdy, kto chce się mścić za kogoś z nich, lepiej pamięta, że walczyli pięciu na jednego, a Falcio był wtedy ranny.

– Właśnie – powiedział Brasti – i nie zdążył nawet wpaść w prawdziwą wściekłość.

Jeden z ludzi, z którymi walczyłem, chrząkał i mamrotał coś pod nosem, ale żaden nie spojrzał nam w twarz oprócz Blondynka, który popatrzył na mnie i powiedział:

– Uczciwa walka to uczciwa walka. Poza tym i tak nikt nie lubił tego wielkoluda.

– Trin, idź złożyć nasze papiery do skryby placowego – powiedział Feltock, wręczając służącej małą skórzaną teczkę. Potem kopnął ciało topornika. – I powiedz im, że Kreff zginął w uczciwym pojedynku. Wątpię, żeby kogokolwiek to obchodziło.

Kiwnął głową i opuścił nas, a jego ludzie przygotowali karawanę do podróży. Kilka minut później dosiadaliśmy wierzchowców i wyjeżdżaliśmy przez Bramę Targową. Nie wiem, czy

konstable wciąż nas szukali, czy może wiedzieli, że należymy teraz do karawany, i nie chcieli wikać się w problemy prawne, których następcząły prawa targowe; tak czy owak, nie napotkaliśmy oporu i wyglądało na to, że być może po raz pierwszy tego dnia zmierzamy we właściwym kierunku.

– Jedziemy w niewłaściwym kierunku – powiedział Kest.

Spojrzałem przed siebie. Kapitan karawany prowadził wozy w stronę mostu. Podjechaliliśmy kłusem wzdłuż sznura wozów do pierwszego z nich.

– Jedziecie w złą stronę – powiedziałem. – Ten most prowadzi w górę Włóczni, do północnego szlaku handlowego.

– Jaśnie pani – odparł Feltock – ma powody, by ludzie sądzili, że jedziemy do Baern, ale ta karawana zmierza do Orisonu, do domu jej czcigodnej matki.

– Ale to prawie trzysta mil na północ stąd i pięćset mil od miejsca, do którego zmierzamy!

– Nieprawda, zmierzacie właśnie do Orisonu – odrzekł kapitan. – W końcu zawarliśmy umowę. Jesteście teraz częścią tej karawany i tam, dokąd jedzie ona, cóż, tam jedziecie i wy. Chyba że chcecie złamać prawo targowe i zostać uznani za oszustów. Zgaduję, że nie byłoby to teraz najlepsze dla trattarich, myślę się?

Uznanie za oszustów oznaczałoby dla nas wyrok śmierci. Trattarich nie można było sądzić za wcześniej popełnione przestępstwa, ale prawo nie dawało nam ochrony. Jeśli nie zatrudniał nas akurat ktoś potężny i wpływowy, byliśmy łatwym celem dla każdego, kto chciał się zasłużyć. A teraz wlekliśmy się w złym kierunku w karawanie pełnej ludzi, którzy nas nienawidzą, na usługach kobiety, o której nie wiedzieliśmy nic i która miała interes w ukrywaniu celu swojej podróży.

Brasti i Kest rzucili mi kwaśne spojrzenia i nasze konie poczłapały powoli w stronę mostu.

– Dobrze – odezwałem się w końcu. – Powiedzcie to.

Brasti pokręcił głową z obrzydzeniem, ale Kest odebrał moje słowa dosłownie:

– Falcio, jest wielce prawdopodobne, że właśnie wydałeś na nas wyrok śmierci.

GRA W MANKIETY

P oza jaśnie panią, która nas ignorowała, i traktującą nas stosunkowo przyjaźnie Trin emocje, jakie wzbudzaliśmy przez pierwszy tydzień u większości członków karawany, wahały się między jawną nienawiścią a czymś znacznie gorszym. Sprawiało to, że pierwsza część naszej podróży była... cóż, całkiem podobna do wszystkich innych naszych zajęć.

Po pierwszej krępującej nocy pełnej wzmianek o „martwym tyranie”, któremu służyliśmy, „kurwich synach”, z których składała się nasza formacja, oraz „cuchnących, obszarpanych łachmanach”, czyli naszych płaszczach, prawie poszliśmy na noże z naszymi współtowarzyszami, więc postanowiłem, że lepiej będzie spędzać wieczory osobno, pilnując karawany i własnej skóry.

Trin przyniosła nam jedzenie, po tym jak pozostali się posilili – było to chyba najrozsądniejsze rozwiązanie, bo inaczej z pewnością oskarżono by nas, że wzięliśmy więcej, niż nam przysługuje, ale i tak wydało mi się to z jej strony niezwykle miłe. Była ładna, miała długie ciemne włosy i lekko opaloną skórę. Jej oczy, gdy pozwalała, by w nie spojrzeć, miały kolor wody w strumieniu. Usiadła nawet z nami na chwilę, słuchała naszych opowieści i pytała o stare prawa, uśmiechając się nieśmiało, gdy któryś z nas zażartował z tego czy z owego.

Nie powiedziała nam prawie nic o pani, której służyła przez całe życie – poza tym, że była z arystokratycznego rodu. Gdy były dziećmi, Trin się z nią bawiła, zaś matka Trin była dla przyszej jaśnie pani nianią.

Myślałem o tym, jak Trin musiała się czuć, gdy w dzieciństwie bawiły się razem, a potem z każdym kolejnym rokiem stawała się coraz mniej jej przyjaciółką, a coraz bardziej sługą. Ona jednak zdawała się przekonana, że to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, i zaśmiała się, gdy Brasti zasugerował, że zawsze mogłaby ukraść najlepszą suknię jaśnie pani, uciec do któregoś z miast na południu i udawać księżniczkę, skoro na nią wyglądała.

– Na świętych mojej matki, nie – powiedziała Trin. – Nie ma szans!

– A to dlaczego? – spytał Brasti. – Z pewnością jesteś wystarczająco ładna.

Trin spuściła wzrok i roześmiała się.

– Z takimi rękami? – powiedziała, unosząc dłonie, które były kształtne, ale pokryte wiele mówiącymi odciskami.

– Niech no się przyjrzę – rzekł Brasti, chwytając jej dłoni i badając ją dokładnie. – Tak jak podejrzewałem, gładka jak tafla jeziora i jasna jak klejnot. Natomiast co do smaku... – nachylił się, by pocałować grzbiet jej dłoni.

– Brasti – odezwałem się z łagodnym uśmiechem na twarzy.

– Tak, Falcio? – zapytał, rzucając mi jedno z tych swoich nadąsanych spojrzeń.

– Tak sobie myślałem, że od dawna nie ćwiczyliśmy parad piórkowych. Może popracujemy nad tym trochę dziś wieczorem podczas pierwszej warty?

– Parady piórkowe? Dlaczego, do wszystkich diabłów, miałbym to robić?

W paradzie piórkowej używa się grzbietu dłoni, by odbić nieprzyjacielską klingę. Jest to czasem konieczne, gdy twój własny

rapier jest zajęty, ale taka parada nie należy do przyjemności – dlatego nikt nigdy nie chce ich ćwiczyć. Dłonie bolą potem przez wiele godzin.

Wciąż się uśmiechałem.

– Bo któregoś dnia może ci to uratować życie. Może nawet dzisiaj.

Brasti puścił dłoń Trin.

– Łucznicy nie ćwiczą parad piórkowych. Nasze dłonie potrzebują precyzji i kontroli.

Trin spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.

– A czy szermierze nie potrzebują tych samych cech?

Brasti zakpił:

– Oni? Gdzie tam, szermierze ciągle tylko machają i działają żelastwem. Ciągle tylko: „kto pierwszy wbije ostrze w tego drugiego”, czy jakoś tak. Natomiast łucznictwo... łucznictwo wymaga prawdziwych umiejętności.

Przewróciłem oczami do Kesta. Słuchaliśmy już tego wykładu wiele razy, ale Trin nie, więc wpadła jak śliwka w kompot.

– To naprawdę takie trudne? – zapytała.

– Moja droga, nawet jeden człowiek na stu nie będzie porządnym łucznikiem. A mniej niż jeden na dziesięć tysięcy może zostać mistrzem.

– A ty jesteś? Mistrzem strzelania z łuku?

Brasti uśmiechnął się i obejrzał paznokcie swojej prawej dłoni.

– Sądzę, że ktoś mógłby tak mnie nazwać.

– Ktoś często cię tak nazywa – zauważyłem.

– Ale jak zostałeś mistrzem łucznictwa? Czy trzeba się z tym urodzić? Miałeś nauczyciela?

– Miałem – powiedział to tak, jakby zdradzał wielką tajemnicę.

– Ach tak – powiedziała Trin. – A jak się nazywał?

– Nie mam pojęcia – mina Brastiego wyrażała absolutną powagę. – Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Nigdy nie powiedzieliście sobie, jak się nazywacie? Uczyłeś się od tego człowieka strzelania z łuku, ale nigdy ci nie powiedział, jak ma na imię?

– Jakoś nigdy się ten temat nie pojawił. Pewnego dnia polowałem nielegalnie na króliki na księżęcej ziemi, brzdąc, który dopiero co przestał się trzymać matczynej spódnicy, a on po prostu wyszedł zza drzewa.

– Jak wyglądał?

– Był wysoki. Bardzo wysoki. Miał długie siwe włosy do ramion; mówimy o nich: w łuczniczym stylu.

– Jak to w „łuczniczym stylu”? – zapytała wyraźnie zafascynowana.

– Do ramion: tak, żeby łatwo było je związać.

– Czyli takie jak twoje?

– Zupełnie jak moje.

– I nauczył cię strzelania z łuku, ale nie zdradził, jak ma na imię.

– Zgadza się. Jak teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że chyba nigdy nie rozmawialiśmy.

Trin spojrzała na niego podejrzliwie, myśląc pewnie, że może sobie z niej dworuje, ale Brasti uśmiechnął się uspokajająco.

– Moja droga, prawdę mówiąc, jest to historia wręcz legendarna, którą wspaniale się opowiada, ale te dwa prostaki już ją słyszały. Może jutro wieczorem mógłbym ci ją opowiedzieć w jakimś ustronniejszym miejscu?

Trin splonęła rumieńcem, Brasti wyszczerzył zęby, a później Kest i ja zagroziliśmy mu, że pobijemy go do nieprzytomności, jeśli spróbowałby zaciągnąć tę dziewczynę do łóżka, w czasie gdy chronimy karawanę.

Następnego dnia ruszyliśmy znów starożytną drogą, którą karawany zwą Włócznią, ponieważ biegnie w linii prostej, tworząc szlak handlowy północ-południe. Istnienie długiego, prostego

głównego traktu stanowiło zasadniczo korzyść, gdyż w ten sposób można było w krótkim czasie przebyć odległość dzielącą miasta handlowe Cheveran i Baern na południu od Orisonu na północy, podchodząc na odległość splunienia do innych ważnych miast takich jak Hellan, a nawet – choć niech mnie święci przed tym bronią – Rijou. Ale jeśli istnienie długiego, prostego traktu było wygodne dla karawan, dla rozbójników było jak ssanie cycka świętej Lainy. Ponieważ nie mieliśmy już króla, nie było też porządnego wojska, które chroniłoby szlaki handlowe, ani leśników, którzy dbaliby, żeby drzewa i zarośla po obu stronach drogi nie stały się idealną kryjówką dla każdego z kawałkiem ostrego żelaza i pustym brzuchem, kto zaplanował zostać bandytą. Książęta nie mieli interesu w dbaniu o drogi, ponieważ Lordowie Karawan nie chcieli płacić ceł, zaś same karawany zwykle konkurowały między sobą, nikt więc nie chciał opłacać chleba komuś innemu. I przesieki zaczęły stopniowo zarastać, a bandyci mogli spokojnie urządzać zasadzki. Jeśli chciałeś uciekać, robiło się jeszcze gorzej, bo byłeś uwięziony w długim prostym tunelu, w którym ludzie na koniach mogli z łatwością przegonić chabełty ciągnące twoje ciężkie wozy. Podsumowując, były to czasy prosperity rozbójników.

W pierwszym tygodniu zaatakowano nas dwukrotnie. Za pierwszym razem omal nie straciliśmy człowieka, bo pozostali nie stanęli w szyku z Kestem, Brastim i mną. Szczęśliwie natarcie bandytów trwało tylko kilka minut i nasza trójka położyła ich bez strat. Rana odniesiona w mieście trochę się już zagoiła i mogłem się stosunkowo dobrze poruszać, jeśli tylko byłem gotów zapłacić później, w nocy, cenę piekielnego bólu.

Po tamtym starciu kapitan karawany zagroził pozostałym strażnikom batami i ci szybko przyswoili sobie tę lekcję. Gdy nastąpił kolejny atak, byliśmy gotowi. Ośmiu pieszych i czterech kuszników urządziło na nas zasadzkę. Ale na rozkaz Feltocka wozy szybko utworzyły szyk obronny, podczas gdy my

rzuciliśmy się na bandytów, a Brasti zdjął kolejno wszystkich strzelców. Kusza to dobra broń, jeśli jest naładowana i twój przeciwnik nie jest zbyt daleko, ale z dobrego łuku można strzelać dwukrotnie szybciej i na dwukrotnie większy dystans – a do tego, jak już być może wspominałem, Brasti nigdy nie chybiał.

Reszta rozbójników zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie zostaną wystrzelani jeden po drugim, więc natarli na nas. Walczyłem u boku Kesta i Blondynka – który miał imię, ale, jak się okazało, wszyscy faktycznie mówili na niego „Blondynek”, więc i ja tak robiłem. Walka pałaszem dobrze mu szła, gdy odsunęło się go od Kurga, czarnowłosego mężczyzny z długą brodą. Ci dwaj walczyli w parze od lat i nabrali złych nawyków.

Po krótkim starciu przegoniliśmy bandytów, ale Feltock wciąż nie był zadowolony ze sprawności drużyny i zdecydował, że naszym zadaniem będzie wyszkolenie jego ludzi, by przygotować ich na potencjalne ataki.

– Nie płacę wam, żebyście tylko siedzieli na koniach – powiedział. – Jeśli tacy z was świetni wojownicy, to dajcie mi jakiś tego dowód.

– Przecież pokonaliśmy już dwie bandy rozbójników – przypomniałem.

– Obdartych kmiotków z marną bronią i bez żadnej dyscypliny. Jakby mnie kto pytał, to ledwo pokrywa koszt waszej kolacji.

– Możemy jeszcze trochę dowalić twoim ludziom – Brasti chciał być pomocny.

– Spróbuj tylko, obdarta peleryno! – zawołał Kurg.

Czarnobrody wciąż nie przebaczył mi lania, jakie sprawilem mu na placu karawan.

– Zamknij pysk! – odkrzyknął Feltock. – Zrobisz, do licha, co ci się każe. Jesteś ostatnim człowiekiem, który powinien się teraz przechwalać. Złał cię jak babę, i tyle!

– Widzisz – powiedziałem do Kesta – nie tylko ja tak mówię.

Kest puścił to mimo uszu.

– Mamy problem – powiedział.

Miałem właśnie zapytać jaki, ale Brasti chwycił swój długi łuk i zsunął się z konia.

– Też to słyszałem – powiedział.

– Co? – dopytywał Feltock. – O czym wy mówicie, u wszystkich diabłów?

Ja też nic nie słyszałem, ale nauczyłem się ufać w tych sprawach Kestowi, a zwłaszcza Brastiemu.

– Ludzie – stwierdził Brasti. – Przynajmniej tuzin i sądząc z tętentu kopyt, pędzą tu ze wszystkich sił.

– Do broni! – zawołał Feltock. – Zrobić krąg z tych przeklętych wozów wokół karety i chronić jaśnie panią!

– Nie ma czasu – powiedziałem. Słyszałem już te konie; będą tu, zanim ustawimy wozy.

– Przekłête drzewa – warknął Feltock. – Nie widać zza nich bandytów, a ta nieszczęsna Rada Karawan nie ochrania dróg, odkąd... – Zorientował się, co zaraz powie, i dalszy ciąg zamilczał.

W odróżnieniu ode mnie.

– Odkąd książęta zabili naszego króla i zakazano Wielkim Płaszczom ochraniać szlaki handlowe? – zaproponowałem.

– Falcio – powiedział Kest, wyciągając rapier z pochwy na widok pierwszego konia. – Znów to robisz.

– Co robię? – spytałem tylko po to, by go rozzłościć, ale potem przyjrzałem się człowiekowi jadącemu na czele. – Do licha – rzuciłem krótko.

Feltock i dwaj ranni wyjęli kusze, a pozostali dobyli swojej zwykłej broni.

– O co chodzi? Czy jest ich dość dużo, by mogli zdobyć karawanę? – zapytał kapitan, mrugając wściekle i próbując dostrzec będących o sto jardów od nas jeźdźców. Jego wzrok wyraźnie

nie był tak dobry jak kiedyś – może dlatego ktoś, kto musiał być kiedyś wojskowym, zniżył się teraz do ochrony karawan.

– Nie sędzę, żeby chodziło im o karawanę – powiedział Kest.

– Więc o co, u wszystkich diabłów, im chodzi?

Jeźdźcy zeskoczyli z koni i podeszli do nas w zwartym szyku: trzynastu ludzi z dowódcą na czele.

– Rzućcie broń, trattari, i uklękniecie na ziemi – rozkazał ten stojący z przodu.

Tylko on z całej grupy miał na sobie zbroję – prawdziwą, proszą was, nie jakieś połatane nagołenniki i niedopasowane płyty, które można znaleźć u byle napuszonego sierżanta. Ten człowiek był księżęcym rycerzem, prawdopodobnie kapitanem.

Być może zastanawiacie się właśnie, jaka jest różnica między rycerzem a Wielkim Płaszczem, skoro najwyraźniej obaj są jakoś powiązani z prawem i walką. Cóż, jedno jest oczywiste: oni noszą zbroję, a my nasze płaszcze. Oni nadają się do prowadzenia wojny, my do toczenia pojedynków. Do tego oni składają przysięgę księciu lub księżnej, my zaś, zważcie, przysięgamy królewskiemu prawu, a nie samemu królowi. Rycerze uważają, że ślubowanie idei nie jest w ogóle przysięgą, a co więcej, fakt, że przed nikim się w naszej służbie nie kłaniamy, budzi w nich obrzydzenie. Jest oczywiście więcej różnic, ale najważniejsza jest taka, że rycerze są niezwykle honorowi i cenią swój honor ponad wszystko. Natomiast Wielkie Płaszcze przywiązują wagę do sprawiedliwości i miewają pewne trudności ze zrozumieniem, jak grabież, gwałty i mordy miałyby się nagle stać zaszczytnym zajęciem tylko dlatego, że każe wam je popełniać człowiek, któremu złożyliście przysięgę.

Lecz fakt, że ów jeździec był rycerzem, oznaczał, że wiedział, jak się walczy, wiedział, jak się dowodzi, i – jako że prawdopodobnie usilnie szukał jakiegokolwiek pretekstu, by uwolnić świat od naszej obecności – lepiej było obejść się z nim dyplomatycznie.

– Wal się, blaszaku – rzucił od niechcenia Brasti i spokojnie wymierzył łuk w pierś rycerza.

Jego ludzie dobyli broni, a trzech z nich wycelowali kusze prosto w nas. To bardzo zmniejszało nasze szanse, gdybyśmy musieli z nimi walczyć. Rycerz tylko się uśmiechnął, co sprawiło, że wydał mi się bardziej znajomy.

– Co tam się dzieje, Feltock!? – zawołała jaśnie pani z powozu. – Dlaczego nie zabiliście jeszcze tych bandytów, żebyśmy mogli jechać dalej? Nie chcę tracić dnia.

– Pani karawany – rozpoczął rycerz z perfekcyjnym opanowaniem; rycerze są w tym bardzo dobrzy, coś jak tresowane koty – nazywam się kapitan Lynniac. Moi ludzie i ja zostaliśmy tu wysłani przez Isaulta, księcia Aramor, by aresztować i osądzić tych ludzi za morderstwo lorda Tremondiego – podobnie jak ty Lorda Karawan – oraz by odzyskać złoto, które mu ukradli.

Gdybyście byli ciekawi, „osądzić” znaczyło „zabić na miejscu bez procesu”. Pomyślałem, że kapitan Lynniac zdawał się znacznie bardziej zainteresowany odebraniem nam wszystkich pieniędzy, które rzekomo ukradliśmy, niż pomszczeniem Tremondiego.

– Cóż, będzie musiał poczekać. Ci ludzie są mi potrzebni do ochrony karawany – powiedziała lekko. – Kiedy dotrzemy do Hervoru, na pewno ich odeślę i wtedy będziecie mogli ich osądzić.

Kapitanowi nie spodobał się jej ton.

– To książę jest suwerenem na tej ziemi, pani, i rozkazuje, by ci ludzie złożyli broń i poszli z nami.

– Nie ma prawa, które czyniłoby księcia suwerenem na drogach – wtrąciłem mimochodem. Była to jedna z tych fraz, które często wypowiadał Lord Karawan, więc pomyślałem, że może coś zaiskrzy. – Co więcej, prawdopodobieństwo, że książę będzie ścigał zbrodnię przeciwko lordowi Tremondiemu, który, nie wiem, czy wiesz, ale potwornie księciem gardził, jest równie nikłe jak szansa, że pozwolisz tej karawanie wesoło jechać dalej

po tym, jak nas zabierzesz. Mógłbyś łaskawie wyjaśnić, dlaczego księżę interesuje się tą karawaną?

– Zamknij gębę, obdarta peleryno – zadufany głos kapitana był pełen wściekłości. – Pani – zaczął jeszcze raz – jakiegokolwiek masz zamiary, źle im się przysłuży, jeśli uczynisz sobie wroga z księcia Isaulta.

Nastąpiła pauza. Musiałem przyznać, że była to bardzo dobra uwaga i mocna kontra wobec mojego argumentu prawnego, że nie mieli żadnej jurysdykcji na szlakach karawan.

– Zgoda – powiedziała jasnie pani z wnętrza karety. – Trattari, niniejszym nakazuję wam złożyć broń.

No to mieliśmy problem. Brasti i Kest spojrzeli na mnie, czekając na instrukcje, a ja nie byłem pewien, jaki ruch będzie tu właściwy. Formalnie byliśmy zatrudnieni przez jasnie panią. Jeśli powiedziała nam, byśmy rzucili broń, musieliśmy rzucić broń. Do tego byliśmy w potrzasku między ludźmi wysłanymi przez księcia, by nas aresztować, a nienawidzącymi nas strażnikami karawany.

Kapitan Lynniac uśmiechnął się.

– Mądry wybór, pa...

– Ale – przerwała mu – trattari, jeśli pójdziecie z tymi ludźmi i opuścicie karawanę, uznam, że złamałście nasz kontrakt i gwarantuję, że Rada Karawan dowie się o waszym niedotrzymaniu umowy.

Brasti odwrócił się i utkwiał wzrok w zamkniętej karecie.

– Co? Mówisz, że mamy złożyć broń, ale nie dać się aresztować? To co mamy robić? Walczyć z nimi gołymi rękami?

– Pani, jesteś mądra i sprawiedliwa – powiedział kapitan Lynniac.

– Oczywiście wszyscy ludzie, którzy chcą pomóc moim obdartym pelerynom, mogą to zrobić – powiedziała jakby mimochodem.

Kapitan Lynniac obrzucił wzrokiem pozostałych strażników karawany, ale żaden z nich się nie poruszył. Jego uśmiech stał się

przez to jeszcze szerszy. Naprawdę wyglądał znajomo, kiedy tak robił. Gdzie ja widziałem ten uśmiech?

– No, chłopcze – wyszeptał mi do ucha Feltock – kryje się w tym jakaś nauka. Nie powiem ci jaka, ale z pewnością w końcu się domyślisz.

Ludzie kapitana się roześmieli. Brasti wyglądał na zdezorionowanego. Rozpaczliwie starałem się znaleźć jakieś wyjście, a Kest tylko się uśmiechał, co jeszcze pogarszało sprawę.

– Kest – powiedziałem powoli – jako że staliśmy się właśnie ilustracją słów: „Tak źle i tak niedobrze”, czy byłbyś łaskaw mi wyjaśnić, na świętego Felsana Co Waży Świat, dlaczego się uśmiechasz?

– Dlatego – odpowiedział, rzucając rapier na ziemię i wywijając rękawy swojego płaszcza – że teraz będziemy mogli pograć w mankiety.

Musicie wiedzieć, jak są zbudowane rękawy naszych płaszczy. Sama skóra, z której są uszyte, imponuje odpornością i chroni przed wieloma urazami. Tak, da się ją przebić strzałą, jeśli włoży się w to odpowiednio dużo siły, ale nie przetnie jej nawet całkiem ostra klinga. Mankiety na końcach rękawów to jednak zupełnie inna historia. Są w nich zaszyte dwa starannie wycięte kawałki kości. Zniosą uderzenie niemal każdej broni – Kest sądzi, że mogłyby nawet zatrzymać kulę z pistoletu, ale nie mieliśmy jeszcze okazji, by sprawdzić tę teorię w praktyce.

W czasie wypełniania obowiązków przez wędrownego trybuna są sytuacje, w których nie może on (lub ona) dobyć broni, czy to z powodu zbyt małej ilości miejsca, czy to stąd, że z jakiejś przyczyny nie chce skaleczyć atakującego. W takich wypadkach król wymagał, byśmy umieli poradzić sobie z przeciwnikiem bez broni. Rozkłada się więc mankiety płaszcza, zaczepta dołączony do nich skórzany pasek o środkowe palce. Ma się teraz możliwość parowania broni siecznej, buzdyganów i innych narzędzi, które w innym wypadku mogłyby zrobić krzywdę. Oczywiście

uda się to tylko, jeśli będziesz się poruszał naprawdę szybko i nie chybisz żadnej ze swoich zasłon.

Ćwicząc taką walkę – co, dzięki niech będą świętemu Ganowi Który się Śmieje Grając w Kości, robiliśmy w dawnych czasach często – nazywaliśmy ją grą w mankiety.

– Wiesz przecież, że to się nie uda – powiedziałem do Ke-sta, wywracając sobie mankiety i wkładając palce w skórzane pętelki. – Nie będą głupi i zdejmą nas z dystansu tymi kuszami.

– Coś wymyślisz – brzmiała odpowiedź.

– Byle szybko – odezwał się Brasti.

Był prawdopodobnie najlepszym łucznikiem w cywilizowanym świecie, ale rzadko wygrywał w walce na mankiety. Ja byłem w tym całkiem niezły. Kiedy twoją podstawową bronią są rapiery, musisz nauczyć się precyzji, a nigdy nie szło mi najlepiej z tarczą, więc mankiety nie były złym rozwiązaniem.

Skuteczna gra w mankiety nie była jednak taktyką na dłuższą metę. Początkowo będzie stosunkowo łatwo – trzeba sprawić, by walczyli z nami w bliskim dystansie, tak by ich uzbrojeni w kusze koledzy nie mieli pozycji do strzału. Gdybyśmy nawet potrafili trzymać ich na dystans, temu rycerzowi i jego ludziom szybko znudzi się występowanie w roli pośmiewiska. Jeśli nie będą w stanie nas pokonać rapierami, w końcu się cofną i pozwolą, by dzieła dokończyli kusznicy. Gdyby tylko nasi „towarzysze” z ochrony karawany mieli do nas cieplejszy stosunek i mierzyli do naszych przeciwników z własnych kusz, nasze szanse byłyby większe. Niestety w tym momencie kibicowali tym drugim.

– Mamy jakiś plan? – popatrzył na mnie Brasti. – Bo jeśli tak, to chętnie dowiedziałbym się jaki, a jeśli nie i zostanę zabity, walcząc gołymi rękami przeciwko mieczom ludzi księcia, to mogę zacząć tracić do ciebie szacunek, Falcio.

Istotnie, miałem plan. Na pierwszy rzut oka mógł się wydawać fatalny, ale w rzeczywistości wcale nie był taki zły...

– Panie rycerzu, czy mogę coś powiedzieć, zanim zaczniemy!? – zawołałem.

– Ostatnie słowa? Jesteś niezwykle przewidujący jak na psa.

– Chciałem tylko powiedzieć, że wszyscy książęta to zdrajcy, wszyscy rycerze to kłamcy, a droga należy tylko do karawan.

Kapitan warknął i razem ze swoimi ludźmi rzucił się do ataku.

– Powiedz mi, proszę, że to nie był cały plan – skomentował Brasti.

– Przestań gadać – powiedziałem, odbijając pierwszą klingę, gdy spadli na nas jak burza – i zacznij śpiewać.

Przyjąłem klingę Lynniaca na prawy mankiet, robiąc jednocześnie krok w lewo. Sekret gry w mankiety tkwi w konieczności łączenia każdej parady z ruchem stóp, inaczej siła uderzeń najpewniej połamie ci kości dłoni i nadgarstków.

Pierwszy mężczyzna za plecami Lynniaca spróbował pchnąć mnie w brzuch, podczas gdy rycerz uniósł broń i chciał uderzyć z góry. Przesunąłem się ponownie w prawo i pozwoliłem, by sztych przeszedł obok mnie, a sam kopnąłem Lynniaca w tył, zanim ten zdążył się zamachnąć. Kątem oka zauważyłem, że Brasti obiema rękami zablokował pchnięcie pałaszem. Słyszałem już w głowie Kesta fukającego na Brastiego i jego słabą technikę: nigdy nie powinno się blokować jednej broni dwiema rękami, bo stajesz się bezbronny wobec kolejnego przeciwnika. Nie zaprzętałem sobie głowy sprawdzaniem Kesta, bo, no cóż, Kest to Kest i wpadłbym tylko w przygnębienie. Zamiast tego zacząłem śpiewać, co było w końcu sednem mojego planu:

Król ustanawia prawa, jak chce,

książę rządzi tym krajem, jak chce,

kobieta rządzi moim sercem, gdy chce...

...lecz wara im od mej karawany!

Ostatni wers przyjemnie zbiegł się z ciosem grzbietem dłoni, wymierzonym przeze mnie w szczękę jednego z żołnierzy, po tym jak ten chybił, uderzając z góry buzdyanem w moje ramię. Niestety nikt nie dołączył w refrenie.

Wojsko zbiera podatek od krowy,
księstwo od drugiej majątku połowy,
pan ziemski chciałby podatku od głowy...
...lecz wara im od mej karawany!

Kest i Brasti podchwycili drugą zwrotkę. Każdy z Wielkich Płaszczy uczy się śpiewać. W mniejszych miasteczkach i wioskach często trzeba było wyśpiewywać wyroki, tak by mieszkańcom łatwiej je było zapamiętać. Brasti śpiewał klasycznym barytonem, który dobrze pasował do tego rodzaju pieśni. Głos Kesta wydałby się wam zaskakujący – był gładki, uroczy i zupełnie jak nie jego. Ale to nie ich głosów potrzebowałem.

Jeden z kuszników próbował oddać strzał, ale właśnie na taką okazję czekałem. Odpychałem jednego przeciwnika, podczas gdy drugi próbował rozłupać mi czaszkę buzdyanem, ale ciężko mu było zmienić pozycję i uchylać się przed jego ciosem, znalazłem się po drugiej stronie w odpowiednim momencie, by bełt z kuszy trafił go dokładnie w pierś. Zacząłem już łapać leką zadyszkę, więc cieszyło mnie, że Kest i Brasti wywiązywali się teraz z roli śpiewaków:

Pobij mnie w walce, może dasz radę,
orznij mnie w karty, ukradnij mi szpadę,
odbierz mi życie, wejdź ze mną w zwadę...

Konający, którego wykorzystałem jako tarczę, osunął się na ziemię, a ja zauważyłem drugiego strzelca wznoszącego wymierzoną we mnie kuszę. Zrobiłem krok w prawo i podniosłem rękę, by osłonić twarz.

...ale zginiesz, nim dotkniesz mej karawany!

Bełt przeleciał tuż obok mnie, ale na szczęście nie ominął człowieka, który już czał się za mną. Podejrzewałem, że kapitan Lynniac odbędzie po tej potyczce poważną rozmowę ze swoimi strzelcami. Jeszcze lepiej, bo chyba słyszałem, jak ktoś z karawany śpiewa z nami ostatnią linijkę.

Mieliśmy jednak coraz mniej czasu. Położyliśmy już połowę napastników, ale dzięki temu kusznicy zyskali swobodne pole ostrzału. Brasti miał krew na skroni, o którą otarł się jakiś chybiony cios. Kest dobrze sobie radził, powstrzymując dwóch przeciwników, ale robiło się wokół niego niebezpiecznie pusto i jeśli któryś ze strzelców zauważy swoją szansę... Co gorsza, ziemia pod naszymi stopami zaczęła zmieniać się w błoto i w końcu któryś z nas poślizgnie się albo potknie o czyjeś ciało. A już najgorsze z tego wszystkiego było to, że kończyły nam się zwrotki tej przeklętej piosenki.

Mój władca posiada ziemię mą...

Obaliłem stojącego przede mną żołnierza kopniakiem w kolano z jednoczesnym ciosem pięścią w skroń. Widziałem, że Kest poradził sobie z obydwojema przeciwnikami, ale Brasti męczył się, machając wściekle ramionami, by sparować ciosy walczącego z nim mężczyzny. Już nie śpiewał.

Mój święty kieruje ręką mą...

Kapitan Lynniac wycofywał się z placu boju i krzyczał do swoich ludzi. Dwaj kusznicy napinali cięciwy, ale trzeci właśnie celował.

Mój bóg może liczyć na pomoc mą...

Na jego okrzyk pozostali ludzie rycerza wycofali się i zobaczyłem, jak Brasti rozgląda się gorączkowo, szukając przeciwnika, i nie widzi kuszy wymierzonej prosto w jego pierś z odległości niecałych dwudziestu stóp. Chciałem przedrzeć się przez resztę przeciwników w daremnej próbie, by dobiec tam na czas. Widziałem stojącego nieruchomo Kesta, którego nazbyt praktyczna natura mówiła mu, że to nie ma sensu. Brasti odwrócił głowę i zobaczył kuszę, gdy było już za późno. Zaczął odruchowo podnosić ręce, by chronić twarz, kiedy nagle belt z kuszy utkwiał w gardle strzelca.

Nastąpiła sekunda martwej ciszy i nikt się nie poruszył. Po tem obróciłem głowę i spojrzałem za siebie – na człowieka stojącego na jednym z wozów z kuszą w dłoniach. Był to Blondynek.

– „Lecz brat mój strzeże mej karawany...” – zaśpiewał cicho.

I pomyślałem, że to była właśnie ilustracja starego powiedzenia: „Pieśń silniejsza jest od miecza”.

Odwrociłem się w stronę placu boju. Większość ludzi kaptana leżała już na ziemi. Dwaj wciąż stali, ale byli w odwrocie. Sam Lynniac patrzył wprost na mnie i uniósł prawą rękę, kierując ją w mój brzuch. Trzymał w niej napiętą kuszę, którą wyjął z rąk martwego żołnierza. Rycerze zwykle nie używają broni łuczniczej – uważają ją za dobrą dla tchórzy. Noże zaś nadają się może dla żołnierzy, ale to za mało dla rycerskiego honoru. Nigdy w życiu nie widziałem rycerza, który choćby dotknął kuszy. Ale Lynniac przegrał walkę i poczucie honoru rycerza nie mogło tego znieść. Patrzył, jak jego ludzie zbierają cięgi od wyjętych spod prawa obszarpańców, których uważał za gorszych od psów i którzy nie mieli broni. I widocznie honor był mu już niepotrzebny, bo zamierzał mnie zastrzelić z czystej mściwości. Posłał mi coś pomiędzy uśmiechem a ohydny grymasem i w głowie znów błysnęło mi, że skądś go znam.

Potem zaczął się śmiać i nagle go rozpoznałem.

Pamiętałem ten śmiech. Z początku było to tylko maleńkie cierpkie wspomnienie, które wkrótce jednak wypełniło mój świat tak, że w końcu przestałem właściwie dostrzegać kapitana Lynniaca i nie widziałem, czy miecz, który podniosłem przed chwilą z ziemi i rzuciłem nim jak jakiś ostatni zbir, trafił go czy chybił, bo widziałem tylko pięciuset rycerzy, którzy przybyli do zamku Aramor, by zdetronizować króla Paelisa i wyjąć spod prawa Wielkie Płaszczce. Nie wiedziałem, czy wypuszczony przez niego hełm lekko otarł się o moją szyję, czy może utkwił mi w gardle, bo czułem tylko gorąco bijące od spalonych szczątków królewskiej biblioteki – setki spopielonych trupów książek, które tyle dla niego znaczyły. Nie wiedziałem, czy okrzyki Kesta i Brastiego były zachętą czy ostrzeżeniem przed kimś stojącym za mną, bo słyszałem tylko śmiech książęcych rycerzy, gdy zatykano na żerdzi głowę mojego króla i wciągano ją na mury zamku Aramor. Tamten śmiech. I to śmiech kapitana Lynniaca sprawił, że go rozpoznałem, i stał się dla mnie zarówno przyczyną, jak i bodźcem, żeby uwolnić świat od jego ciężaru.

Nie umiem wyjaśnić, co się ze mną stało, poza tym, że mój gniew ustąpił lekkomyślności, którą odczuwałem jak miękką, szarą i nieskończoną obojętność. Pierwszy raz przydarzyło mi się to wiele lat temu, zanim poznałem króla, ale od tamtej pory były też inne incydenty i zdarzało się to coraz częściej. Wychodzenie z tego stanu było też coraz trudniejsze. Dlatego w jakiś chłodny i obojętny sposób byłem wdzięczny, gdy Kest powalił mnie głowicą miecza zabranego jednemu z poległych.

BERSERKOWIE

Ocknąłem się chwilę później, siedząc pod drzewem i wpatrując się w ciała kapitana Lynniaca i jego ludzi. Jak udało im się tak szybko nas dogonić? I co ważniejsze: dlaczego im na tym zależało? Wiadomość o śmierci Tremondiego mogła dotrzeć na plac dopiero po naszym odjeździe – i nawet jeśli tak było, to fakt czy jakiś Lord Karawan żyje, czy nie, obchodziłby rycerzy tyle co dupa świętego. Jedynym wyjaśnieniem były pieniądze: ktoś powiedział kaptanowi Lynniacowi, że zabiliśmy Tremondiego i uciekliśmy z jego pieniędzmi. Nie była to szczególnie szlachetna pobudka, ale to nie były szlachetne czasy i mimo że stare pieśni mówią co innego, rycerze nie są szlachetnymi ludźmi.

Blondynek i reszta przetrząsali ciała w poszukiwaniu złota i broni. Zauważyłem, że żaden z nich nie chował tego, co znalazł, do kieszeni, lecz wykladał na kocu rozłożonym na ziemi przez Feltocka. Było tam sporo pieniędzy; ci ludzie byli dość bogaci, pewnie dzięki temu, że napadli wcześniej na kilka innych karawan.

Feltock umieścił zdobyczną broń w jednym z wozów i podzielił złoto między swoich ludzi. Podszedł do mnie i wręczył mi sakiewkę.

– Takie są zasady. Walczyliście, to jecie, tak jak pozostali. Nieszczególnie lubię trattarich, ale zrobiliście, co do was należy.

Machnąłem ręką.

– Dzięki, ale nie mogę tego przyjąć. Bierzymy tylko tyle, na ile się umówiliśmy. Daj to swojemu stelmachowi. Jego rana nie goi się najlepiej i nie płaci mu się za tę podróż.

Trin, słysząc, o czy rozmawiamy, podeszła bliżej.

– Jasnie pani nalega – powiedziała. – Możesz ją urazić, jeśli odmówisz.

– W takim razie – odparłem – stanowczo podziękujemy.

Feltock pokręcił głową ze śmiechem.

– Mówisz poważnie, człowieku? Nigdy was nie brałem za jakichś mnichów.

Brasti burknął gdzieś zza moich pleców:

– Ja też nie.

– Tak to jest – powiedziałem.

Kapitan musiał poczuć do mnie odrobinę sympatii, bo położył mi dłoń na ramieniu.

– Słuchaj, chłopcze, zapracowałeś i powinienes to wziąć. W swoim czasie widziałem wielu trattarich. Uwierz mi, są tacy, którzy wezmą wszystko, co znajdą, i będą się uważać za szczęściarzy. Są nawet tacy, którzy zaczęli rabować karawany.

– Mylisz się – odpowiedziałem. – Wielkie Płascze nie kradną, chyba że złamano królewskie prawa i trzeba odebrać grzywnę, a i wtedy zabiera się tylko tym, którzy złamali prawo.

– Możesz w to wierzyć, jeśli chcesz – oznajmił – ale sam się okłamujesz.

Oddalił się i myślałem, że to wszystko, ale parę chwil później wrócił z trzema bukłakami.

– Trzymaj – powiedział, podając mi je. – To tylko wino. Pić chyba jeszcze możecie.

Kiwnąłem głową z wdzięcznością. Porządny łyk wina przywróci naszą trójkę do formy na tyle, na ile to możliwe w tych czasach.

Feltock uniósł palec.

– Tylko obiecaj mi, że nie będziecie śpiewać tej przeklętej piosenki całą noc. Połowa moich ludzi wciąż nuci to gównu. Czy to dlatego nazywają cię kantorem Wielkich Płasczy?

Wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

– Spróbuj iść do jakiejś wioski i sprawić, żeby ludzie zapamiętali w szczegółach, jakie prawo stosuje się w danym przypadku, a zapomną je po jednej upojnej nocy. Przeciętna osoba pewnie nie umiałaby wymienić dziesiątej części praw, którym podlega. Ale przekaz im je w piosence, a będą pamiętać do końca życia. Picie tylko pomaga.

– Cóż, może i tak. – Feltock podrapał się w głowę. – W każdym razie na moich ludzi zadziało.

Rzucił mi parę monet.

– To wasza płaca za ten tydzień. A waszą część zdobyczy oddam Policzkowi. To mój włócznik, ten, którego upokorzyłeś na placu. Dzięki temu odejdzie mu ochota, by zabić cię we śnie.

Pocieszające.

Zaniosłem złoto i bukłaki z winem do Kesta i Brastiego i rozłożyliśmy się na noc. Tamci dwaj byli w kiepskich humorach, więc prawie się nie odzywaliśmy.

Miałem pierwszą wartę i wypilem trochę wina, żeby się rozgrzać. Zaskoczyło mnie, że przyszedł do mnie Feltock. Było to niezwykle: kapitan nie stawał na warcie w nocy, bo musiał zachować czujność przez cały dzień.

– Widziałeś coś? – zapytał.

Pokręciłem głową i podałem mu bukłak z winem. Upił łyk i odrobina ściekła mu po brodzie. Wyglądał, jakby już wcześniej wypił trochę.

– Chłopcze – zaczął – muszę o czymś z tobą pomówić. Jestem starym żołnierzem i wiem, jak ludzie walczą, wiem, co potrafią, i nie rzucam słów na wiatr. Będę więc mówił szczerze. Dobrzy z was wojownicy. Ten twój człowiek z łukiem to istny

szatan i nigdy nie widziałem kogoś równie szybkiego z rapierem jak ten wysoki.

– I? – spytałem.

– I to ty mnie przerażasz – machnął ręką, zanim zdążyłem się odezwać. – Czekaj, powiem to wprost. Dobry z ciebie szermierz i jakiś święty zrobił z ciebie piekielnie dobrego dowódcę. Zebrałeś chłopców do kupy przy tej pierwszej awanturze, mimo że zachowali się jak przygłupy, i oszczędziłeś nam sporej porcji zmartwień ze strony tego tak zwanego rycerza i jego ludzi. – Sięgnął po bukłak z winem i pociągnął z niego jeszcze raz, a potem podał go mnie.

– Myślałem, że miałeś mówić wprost – powiedziałem.

– Jestem już blisko, daj mi chwilę – westchnął. – Dobrze walczysz, ale nie będę miał berserków w swoim oddziale. Święci mi świadkami, że dużo potrafię znieść, ale na to się nie zgodzę.

– Berserk? Ja? Wymień swoich świętych, a na nich przysięgnę: nie jestem żadnym berserkim.

Spojrzał mi w oczy.

– Widziałem, co zrobiłeś temu wielkiemu gburowi z toporem. Nigdy nie chciałem, żeby ten gałgan był w mojej karawanie, ale jaśnie pani postawiła wtedy na swoim, tak samo jak z wami. Prawdę mówiąc, nie zapamiętałem nawet jego imienia. Ale to, jak się na niego rzuciłeś... Chłopcze, nie chciałbym już nigdy tego oglądać.

Nie myślałem o incydencie na placu, odkąd wyjechaliśmy – jakoś nie miałem na to ochoty. Ten człowiek próbował mnie zabić i nosił broję, więc nie miałem wyboru.

– Nie oszukuj się, chłopcze – odezwał się znowu Feltock. – Widzę po twojej minie, że próbujesz wymyślić jakąś historyjkę, i mówię ci, że jest fałszywa. Twierdzisz, że nie jesteś berserkim? Dobrze. Twoi przyjaciele zarzekają się, że nie jesteś. Ale przyznaj: warczałeś i wykrzykiwałeś jakieś bzdury do tego człowieka, i na tym placu wyglądałeś, jakbyś był mocno szalony.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– Nie, kapitanie, uwierz mi, nie byłem szalony. Kiedyś mi się to zdarzało, ale wtedy wyglądało to inaczej.

Feltock otworzył usta.

– Na świętą Birgid Co Wypłakuje Rzeki, chłopcze, więc jaki wtedy byłeś?

– Spokojny – powiedziałem. – Zwykle bardzo spokojny.

Kolejny raz łyknął wina z bukłaka.

– A ten rycerz, Lynniac? Pobiegłeś wprost na niego jak jakiś szaleniec. Każdy, kto chociaż umie trzymać kuszę w ręku, zrobiłby z ciebie szaszłyk. Czy byłeś w tym momencie przy zdrowych zmysłach?

– Nie – odparłem. – To była moja odpowiedź.

– Twoja odpowiedź na co?

Popatrzyłem na nocne niebo i gwiazdy, które mrugały do nas, jakby wszystkie były częścią jakiegoś wielkiego żartu.

– Pięć lat temu, po tym, jak książęca armia zdobyła zamek Aramor, zabili naszego króla i wywiesili jego ciało na murach. Zatknęli jego głowę na drągu. Niektórzy wiwatowali, inni odwrócili wzrok. – Pociągnąłem jeszcze raz z bukłaka. – A jeszcze inni tylko się śmiali.

– Więc Lynniac tam był, zgadza się?

– Lynniac tam był – przyznałem. – Dowódca oddziału rycerzy. Z początku go nie poznałem, ale kiedy mierzył do mnie z kuszy i zaczął się śmiać...

Feltock przygryzł policzek.

– I sądzisz, że pamiętasz wszystkich, którzy tam wtedy byli? Zastanowiłem się przez chwilę.

– Nie wszystkich – odpowiedziałem.

Feltock patrzył na mnie uważnie, próbując stwierdzić, czy wiem, czy faktycznie pamiętam. „Więcej z tym zachodu, niż to warte” – pomyślałem, ale byłem trochę pijany i trochę zmęczony, więc powiedziałem:

– Ale skoro pytasz, to tak, generale Feltock, pamiętam cię. Czy Feltocka powiększyły się na chwilę, po czym gorzko się roześmiał.

– Nie jestem generałem – stwierdził. – Już od kilku lat.

Napiliśmy się jeszcze w milczeniu.

– I co, chłopcze? – Wyprostował nogi z chrzęstem. – Teraz kolej na mnie?

Westchnąłem.

– Nie.

– Dlaczego nie? Byłem tam, prawda? Byłem jednym z tych, którzy obalili twojego króla, prawda? Więc czym się różnię od Lynniaca?

– Ty się nie śmiałeś.

Popatrzył na mnie przez chwilę i chrząknął. Potem wstał i ruszył z powrotem w stronę wozów.

– Dlaczego jesteś tylko kapitanem, Feltock? – zapytałem, kiedy odszedł na kilka kroków. – Dlaczego nie jesteś już generałem?

Feltock odwrócił się i posłał mi kwaśny uśmiech. Rzucił mi buklak z resztką wina.

– Ponieważ, mój chłopcze, kiedy zatknęli głowę króla na tej żerdzi, zapomniałem się zaśmiać.

JAK ZABIĆ KRÓLA

Nie jestem pewien, co dokładnie stało się po tym, jak znalazłem Aline w tamtej gospodzie. Pamiętam jakąś część – fragmenty, kawałki skorupki jajka, które w głowie poukładałem w całość. Ale kształty, w które się układają, nigdy się do końca nie łączą. Wiem, że długo tam stałem. Myślę, że pochowałem ją za gospodą, choć nie mam pewności.

Był tam oberżysta i chociaż nie pamiętam, żeby ze mną rozmawiał, to, dziwna sprawa, pamiętam, co mówił. Powiedział mi, że próbował ich powstrzymać, i nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć, gdyby nie to, że wciąż żył. Powiedział mi, że zabili też jego córkę, gdy zaczęła zbyt głośno krzyczeć. Ale nie widziałem nigdy jej ciała. Nie mam pewności, czy zabiłem oberżystę, czy nie. Trudno powiedzieć. W końcu tylu ludzi należało zabić. Chyba zapytałem go, gdzie jest zamek Aramor, i odpowiedział, że o cztery dni jazdy na południe. Ale nie miałem konia, więc nie było mi łatwo się tam dostać. Nie myślałem jednak o koniach i podróżach. Nie myślałem o niczym poza tym, jak ważne było dla mnie, by dostać się do zamku Aramor i zabić króla. Oczywiście musiałem też zabić księcia i wszystkich jego ludzi, a już zdecydowanie Fosta z toporem. Ale król musiał być pierwszy, a poza tym nie wyglądało na to, żebym miał zapomnieć o całej reszcie.

Pamiętam, że kiedy wyszedłem z gospody, była noc. Bez konia i pieniędzy zacząłem po prostu iść na południe. Chyba nie szedłem szczególnie szybko, ale bez przystanku. Szedłem i szedłem, a kiedy nie mogłem już iść, padałem na poboczu i spałem. Wstawałem i szedłem dalej. W którymś momencie musiałem coś jeść, bo cztery dni konno to co najmniej dwadzieścia pieszo, ale niczego takiego nie pamiętam. Chyba raz czy dwa mnie zaatakowano, ale nie mogłem sobie pozwolić na zwłokę, więc zabiłem napastników i ruszyłem dalej. Musiało to trwać dwadzieścia dni, ale pamiętam tylko nocę.

Czasem odzywała się do mnie Aline. Mówiła, żebym się zatrzymał i odpoczął. Opowiadała, że jeśli tylko jeszcze raz rozłoży nogi przed księciem i jego ludźmi, zostawią nas w spokoju i zestarzejemy się razem, i będziemy się z tego śmiać. Myślę, że historia dowiodła, iż w tej kwestii nie miała racji, ale kiedy to mówiła, śmiałem się i tak, choćby po to, by zobaczyć, jakie to uczucie.

Czasem Aline mówiła mi, iż właśnie kogoś zabiłem i że to nie przywróci jej życia, a ja pytałem, czy teraz, gdy ów jest martwy, zamierza przespać się z nim w zaświatach. Nie było to zbyt miłe, ale nie myślałem wtedy szczególnie jasno, zresztą i tak tylko ją sobie wyobrażałem.

Szedłem więc dalej. Gdzieś po drodze musiałem spotkać księcia, bo niosłem jakiś worek, w którym była jego głowa. Zastanawiałem się, jak przedarłem się przez jego ochronę, ale może zdybałem ich gdzieś w gospodzie i zabiłem go, kiedy spali. Wydaje się, że byłem wtedy całkiem sprytny.

W pewnym momencie pojawiła się staruszka, która dała mi coś do jedzenia. Nie miałem niczego, co mógłbym dać jej w zamian, a kiedy zaferowałem głowę księcia, powiedziała, żebym wsadził ją z powrotem do worka, i razem wyszliśmy na zewnątrz, by pochować ją w jej ogrodzie. Potem dała mi jeszcze jeść i zapas na drogę do torby, którą wziąłem ze sobą.

Czasem się zastanawiam, czy niektóre zdarzenia, które pamiętam, w ogóle miały miejsce. Wydaje mi się mało prawdopodobne, żebym mógł wpaść na księcia na Południowej Drodze, i jeszcze mniej prawdopodobne, że zdołałbym odciąć mu głowę tak, żeby nikt nie zauważył. Prawdę mówiąc, nie zabijam ludzi zbyt często, nawet gdy jestem zły. Zaś co do Aline – nigdy już do mnie nie przemówiła, więc albo to sobie wyobrażałem, albo powiedziałem coś bardzo złego i wciąż jest na mnie wściekła.

Szedłem więc dalej, na południe, do zamku Aramor, gdzie żył król – przynajmniej jeszcze przez chwilę. Czasem padał deszcz, a czasem nie. To nie wydawało mi się już szczególnie ważne. W zasadzie nie rozmawiałem z nikim, kogo spotkałem, poza tą starą kobietą, ale wtedy i tak mówiła głównie ona. Więc, jak sądzę, aż do chwili gdy dotarłem do zamku Aramor i zacząłem swoją długą, powolną wspinaczkę tunelem, przez który wyrzucano ludzkie ekskrementy i truchła zwierząt, nie słyszałem, że król już nie żyje. Wiele by to nie zmieniło: zawsze byłby jakiś nowy król i jego też należałoby zabić.

Po pierwsze zauważyłem, że nie był tak potężny, jak go zapamiętałem. Właściwie był to chyba najbardziej cherlawy osobnik, jakiego w życiu widziałem. I coś było nie tak z jego fryzurą. Włosy króla Greggora były krótkie i siwe, przycięte na sposób wojskowy. Ten człowiek miał długie brązowe strąki przyciśnięte niewielką, źle dopasowaną koroną. I okropnie cuchnęła, a to o czymś świadczy, bo większość tamtego dnia spędziłem, wspinając się z trudem wąskim kamiennym tunelem, którym odpadki i ekskrementy spływały z zamku Aramor do rowu – pozostałości po nieudanej próbie wykopania fosy.

Nie, nic się w tym człowieku nie zgadzało. Ale klęczał przede mną, a ja opierałem mu na szyi miecz i za chwilę jego głowa miała przelecieć przez komnatę i uderzyć w ścianę z przyjemnym pacnięciem. Czekałem na ten dźwięk. Marzyłem o nim

przez tę niekończącą się drogę i deszcz, które przywiodły mnie tu, pieszo i półżywego.

Kłęczący człowiek właśnie miał coś powiedzieć, ale powstrzymał go napad kaszlu i uznałem, że grzecznie będzie chwilę poczekać, skoro wyglądał na dość niedożywionego i niewątpliwie był okropnie przeziębiony. Nie chciałem też, żeby jakiś hałas zakłócił tę chwilę, gdy odetnę mu głowę.

Po chwili kaszel ustał.

– Zanim mnie zabijesz, czy byłoby niestosowne, gdybym cię o coś spytał? – Jego głos był słaby i chrapliwy: brzmiał dla mnie, jakby spokój mieszał się w nim z szaleństwem, ale trudno mi to było ocenić, ponieważ sam byłem wtedy kompletnie obłąkany.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego chcę cię zabić? – spytałem.

– Nie, to już wiem – powiedział. – Byłem tylko ciekaw, dlaczego w ogóle mnie tu trzymaliście.

To pytanie wprowadziło mnie w zakłopotanie, a zupełnie nie miałem na to czasu, bo niedługo ktoś mógł podążyć za brudnymi śladami, które zostawiłem, idąc do królewskiej komnaty. Postanowiłem więc uciąć mu głowę i wziąć ją ze sobą, żebyśmy mogli omówić sytuację w drodze do domu.

– Pytam, bo... – powiedział, przerywając bieg moich myśli – jeśli mój ojciec chciał, żebym umarł, tak by Dergot mógł zostać królem, to po co się kłopotać trzymaniem mnie tutaj?

– Co to za głupoty! – odparłem. – Muszę zabić króla Greggora. Siedzisz w jego komnacie i nosisz koronę. A ja mam ze sobą ten miecz i torbę z jedzeniem, którą dała mi stara kobieta, ale całe już zjadłem, więc teraz muszę coś do niej włożyć i...

– Masz powód, by nienawidzić króla Greggora?

– Mam – oznajmiłem. A potem, choćby dlatego, że powtarzałem ją sobie w myślach i głupio byłoby nikomu jej nie powiedzieć, wygłosiłem całą mowę, jaką przygotowałem dla króla, o tym, co zrobił z Aline i moim życiem, i jak książę, chociaż zdecydowanie zasłużył na śmierć, pewnie zostawiłby nas w spokoju

gdyby nie król, i o tym, jak go teraz zabiję i żaden bóg go nie przyjmie ani nie wypowie jego imienia, i jak zagwarantuję, że jego panowanie będzie znane tylko z tego, że pewnej nocy jakiś brudny wieśniak wkradł się do jego komnaty i go zamordował.

Ułożyłem to przemówienie w drodze; było krótkie i, jak sądziłem, nieźle skomponowane, ale nie zatrzymywałem się i mówiłem o tym, jak szedłem, i o deszczu, i ludziach, którzy próbowali mnie zabić, i o głowie księcia pogrzebanej w ogródku starej kobiety. Mówiłem o tym, jak to jest nie być już człowiekiem i wreszcie wspiąć się do źródeł rzeki gówna, by zabić tego, który zasłużył na śmierć bardziej niż ktokolwiek przed nim, tylko po to, by się dowiedzieć, że zastąpił go cherlawy człowieczek, który wygadywał bzdury.

Powiedziałem mu to wszystko, a on tylko klęczał i słuchał. A kiedy skończyłem, zapytał:

– Czy wciąż zamierzasz mnie zabić?

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– Nic innego nie przychodzi mi teraz do głowy.

– Czy mogę ci najpierw powiedzieć, kim jestem? – spytał.

– Jeśli cię wysłucham, obiecujesz, że przestaniesz mówić, że-
bym, mógł usłyszeć pacnięcie, kiedy twoja głowa uderzy o ścianę?

Cherlawy człowieczek zastanowił się na tym przez chwilę.

– Zgoda – oznajmił.

– Jak masz na imię? – spytałem.

– Paelis – odpowiedział. – Paelis Żałosny, dwudziestodwuletni syn i największy zawód króla Greggora i królowej Yesy. Uznany za wyzutego z hartu ciała i ducha i dlatego królewskim dekretem pozbawiony tytułu następcy tronu na rzecz jego trzyletniego brata Dergota, który, jak się okazuje, wczoraj, kiedy nikt nie patrzył, wypadł przez okno jakieś dwie godziny po śmierci króla. – Cherlawy człowieczek znów zaczął kasłać i zastanawiałem się, czy jego głowa po odcięciu od ciała wciąż będzie kasłać. Po chwili przestał i ciągnął dalej. – Od trzech lat,

od dnia, w którym mój ojciec wreszcie zdołał wycisnąć kolejnego syna z łona mojej macochy, trzymał mnie w nieogrzewanej wieży z odrobiną jedzenia i wody, która przesączyła się przez dach. Czekał, aż zmarnieję i umrę, tylko dlatego, że był niezadowolony z moich słów. Nie chciał ściągnąć na siebie klątwy świętych, przelewając królewską krew. Nie tobie pierwszemu zniszczył życie król Greggor. Mówisz, że twój żal jest większy niż mój i ja to przyjmuję. Mówisz, że chcesz, by jego panowanie zostało zapomniane po wsze czasy? Ja na to: jestem do twoich usług. Przez wszystkie dni mojego życia marzyłem, nie, więcej niż marzyłem: planowałem, jak uwolnić ten świat od ciemnoty mojego ojca. Chcesz zniszczyć jego królestwo? Więc powtórzę: jestem do twoich usług.

„Jestem do twoich usług”. Po raz pierwszy w życiu słyszałem, żeby ktoś zabiegał o podporządkowanie się mnie. I słyszałem to z ust króla. Pomyślałem o tym, co powiedział, i o tym, co teraz zrobić, a potem coś powiedziałem, choć nie pamiętam, co to było, bo w tym samym momencie ugodził mnie w plecy bełt z kuszy.

Obudziło mnie coś, co brzmiało, jakby gdzieś obok pracowała moja matka. Kiedy szyła, lubiła używać mocnej sztywnej igły oraz grubej nici i po delikatnym trzasku przebijającego się przez tkaninę ostrza nieuchronnie następował węzowy syk przeciąganej nitki. Starałem się zatrzymać tę chwilę najdłużej, jak się dało, ale, choć mgliście, to jednak pamiętałem, że moja matka od kilku lat nie żyje, że jestem dwudziestoletnim mężczyzną i że próbowałem zamordować króla.

– Możesz równie dobrze otworzyć oczy – usłyszałem damski głos, a kiedy zrobiłem, co kazał, zobaczyłem starą kobietę siedzącą na krześle obok mojego łóżka, obszywaną złotą nicią błękitną tkaninę.

– Już cię gdzieś widziałem – powiedziałem.
Kiwnęła głową, nie przerywając.

– W chatce przy Południowej Drodze. My... czy my pogrzebaliśmy odciętą głowę w twoim ogrodzie? – spytałem.

Prychnęła.

– Myślę, że lepiej o tym teraz nie gadać.

Rozejrzałem się po pokoju. Wyglądał jak komnata, w której próbowałem zabić króla. Właściwie prawie miałem pewność, że to było właśnie tu.

– Jestem w jego komnacie – powiedziałem do niej.

– Służące mówią, że nie pozwolił im cię przenieść. Uznał, że nie przeżyłbyś tego ze wszystkimi swoimi ranami.

– Bęł z kuszy. Dostałem w plecy – stwierdziłem głupio.

– Z kuszy? Na śmierdzących słodkich świętych, chłopcze, kiedy cię znaleźli, krwawiłeś z tuzina otwartych ran. Trzymał cię przy życiu chyba tylko po to, żeby zrozumieć, który bóg zawarł z tobą umowę.

„Śmierć. Miłość mnie opuściła, więc zawarłem umowę ze Śmiercią”.

– Jesteś szwaczką? – spytałem.

Zmarszczyła nos.

– Chłopcze, szwaczka to ktoś, kto ceruje dziury na tyłku. Ja jestem krawcową. Tak naprawdę ostatnią prawdziwą krawcową.

Miałem wrażenie, że niegrzecznie byłoby mówić jej, że w każdym mieście na świecie jest tuzin krawców.

– W takim razie niech będzie krawcowa. Co tu robisz? – zapytałem.

Tym razem nie zadała sobie trudu, żeby na mnie spojrzeć.

– Cóż, dobry krawiec wie, dokąd prowadzi każda nić. Kiedy odszedłeś, pomyślałam o tym przez chwilę i uznałam, że mogą tu potrzebować moich umiejętności.

– To król nie ma własnych krawców? – spytałem.

Popatrzyła na mnie jak na idiotę. Co chyba mi się należało.

– Mówiłam ci, chłopcze, że nie ma już żadnych innych krawców. Poza tym nikt inny nie umie uszyć tego co ja.

– Czyli?

Ktoś zapukał do drzwi i pomyślałem, że kobieta coś powie, ale ona tylko szła dalej. Po chwili pukanie się powtórzyło.

– Psiakrew, to twoja sypialnia! – zawołała kobieta. – Na czyje pozwolenie czekasz, do licha?

Drzwi się otworzyły i człowiek spotkany zeszłej nocy – sądziłem, że był to król – wszedł do pokoju.

– Żeby tylko wszyscy moi wierni poddani traktowali mnie z takim szacunkiem – powiedział jowialnie. – Większość z tych, których spotykam, chce mnie jedynie zabić.

Przebrał się, wykąpał i wydawał mi się teraz znacznie bardziej królewski. Wyglądał też na lepiej odżywionego. Ta myśl mnie otrzeźwiła.

– Jak długo byłem nieprzytomny? – spytałem.

– Byłeś właściwie martwy przez dwanaście dni – odpowiedział król.

– Dwanaście dni? Jak to możliwe?

Kasłał przez chwilę, a potem podszedł i usiadł na skraju łóżka, co wydało mi się niegrzeczne, ale przypomniałem sobie, że to w zasadzie jego łóżko.

– Byłeś w objęciach śmierci, pamiętasz? Nie spałeś przez święci wiedzą jak długo i nie jadłeś pewnie od tygodnia.

Zacząłem czuć rozdrażnienie, co dowodziło, że wciąż nie byłem do końca przy zdrowych zmysłach.

– Więc dlaczego nie umarłem z głodu, skoro przez ostatnie dwanaście dni byłem nieprzytomny?

– Lepiej nie pytać – przestrzegła mnie Krawcowa. – To nie był najpiękniejszy widok. W użyciu były badyle i płócienna rurka.

Król nie zwracał na nią uwagi.

– Nie martw się, mój osobliwy przyjacielu. Miałeś najlepszą możliwą opiekę. – Krawcowa prychnęła, ale król ciągnął dalej: – Sam się tobą zająłem przy pomocy królewskich lekarzy.

Trudno mi było w to uwierzyć.

– Sam się mną zająłeś? Myłeś mi rany i zmieniałeś pościel?

– I podcierał ci tyłek – wtrąciła radośnie Krawcowa.

– Cóż – powiedział król – to było po prostu uczciwe. To mój człowiek postrzelił cię w plecy, więc pomyślałem, że to sprawiedliwe. Wiesz, świat powinien być sprawiedliwy.

„Świat powinien być sprawiedliwy”. Słyszając to, nie wiedząc czemu zacząłem się śmiać i pomyślałem o wszystkim, co mi się przydarzyło, i po prostu śmiałem się wciąż i wciąż, a potem mój śmiech przeszedł w coś innego i usłyszałem, że z moich ust dobywa się przejmujący szloch, a z oczu ciekną łzy, i przysięgam, że myślałem, że w nich utonę, bo z jakiegoś powodu ciągle nie mogłem przestać.

Król szepnął coś Krawcowej do ucha i ta wstała i wyszła, a on zrobił wtedy coś bardzo dziwnego. Wyciągnął obie ręce i ujął w nie moją głowę, zupełnie jak robiła to czasem Aline, kiedy chciała, żebym posłuchał, jak tamtego dnia w chacie. A oto, co powiedział:

– Ktoś mądry stwierdziłby: „Ona odeszła, mój przyjacielu, i musisz pozwolić jej odejść, bo nic ci jej nie przywróci”. Ale ja nie jestem mądry, w każdym razie jeszcze nie. Więc obiecuję ci jedno: przywrócę ci ją. Przysięgam ci, przyjacielu, że kiedyś, jakoś, wpływając, jak tylko może król, na bogów i świętych, przywrócę ci ją. Mówi się, że każdy sam staje w obliczu śmierci, ale złamię to prawo, jeśli będzie trzeba. – Puścił moją głowę, ręce opadły mu wzdłuż ciała. – Kaszlnął i wytarł usta. – Ale nie dziś. Dziś potrzebuję twojej pomocy. Muszę zmienić świat, bo ten obecny długo nie przetrwa. Potrafię to zrobić. Wie to moje serce i głowa, ale potrzeba mi kogoś takiego jak ty. Potrzeba mi kogoś, kto potrafi iść przez dwadzieścia dni i dwadzieścia noc, i przebić się przez wszystkie piekła na ziemi, by wywalczyć sprawiedliwość. Nie tylko dla siebie, ale i dla innych. – Pozwolił, by te słowa zawisły na chwilę w powietrzu. – Pewnego dnia

przywrócę ci twoją żonę, ale dziś potrzebuję cię, byś zaniósł sprawiedliwość mojemu ludowi.

Zgarbił się, jakby zapadł w sobie. Znów był tym słabym, chudym człowieczkiem, którego o mało nie zabiłem. Nie płakałem już, chociaż wiedziałem, że zaraz znów zacznę. Ten mały król był szalony, równie szalony jak ja, ale nic innego już nie pozostało. Wiedziałem, że mówi prawdę. Nawet ci kapryśni i nieodpowiedzialni bogowie nie ścierpią dłużej istnienia świata królów Greggorów i książąt Yeredów.

– Nie jestem gotowy – powiedziałem.

– Musisz być. Trzeba to zrobić teraz.

Zakrztusiłem się własną śliną. Co odpowiesz, gdy odbiorą ci ostatnią dobrą rzecz w twoim życiu?

– Od czego zaczniemy? – spytałem.

Na twarzy króla pojawił się ten leciutki, niemal niezauważalny uśmiech. Miałem się jeszcze dowiedzieć, że była to jedna z jego najbardziej charakterystycznych cech.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Falcio – odparłem. – Falcio val Mond.

– Falcio – zaczął – czy kiedy byłeś dzieckiem, słyszałeś może historie o Wielkich Płaszczach?

BRAMY RIJOU

I klnę się, pani, że nie będziesz chciała spędzić ani chwili w żadnej z dzielnic Rijou! – odkrzyknąłem. – Nie na darmo nazywają je miastem niesnasek.

Głos dochodzący z powozu był spokojny, choć dało się słyszeć, że jego właścicielka jest na granicy wybuchu gniewu, gdy mówiła:

– A ja ci mówię, moja obdarta peleryno, że mamy coś do załatwienia z Jillardem, księciem Rijou, i że dziś wieczorem wjedziemy do miasta.

– Jaśnie pani... on nie jest całkiem w błędzie – nawet Feltock mnie poparł, a on nigdy nie przeciwstawił się swojej chlebowodawczyni.

Rijou było siedzibą dziewiętnastu rodów szlacheckich i wszystkie one walczyły ze sobą w niekończących się intrygach, zamachach, a czasami otwartych wojnach. Księżę Rijou w żaden sposób nie powstrzymywał przelewu krwi, a w każdy możliwy mu sprzyjał, zwłaszcza że morderstwa utrzymywały pod kontrolą tych, którzy rywalizowali o jego tron, zaś dzięki wojnom ich prywatne wojska regularnie traciły ludzi i były niegroźne.

Lecz dla wszystkich pozostałych Rijou było strasznym miejscem. Połyskiwało z daleka. Nie mam na myśli, że lśniło ani że

jaśniało; połyskiwało oleistym połyskiem skóry trupa lub oczu człowieka sądzącego, że może cię zabić bez konsekwencji. Może i było to miasto bogate i wykwintne, ale też zdradliwe dla każdego, kto nie ma w kieszeni sędziego, a za sobą całej armii. W Rijou nic nie mogło powstrzymać właściciela przed zmianą warunków najmu w dowolnej chwili, jeśli tylko mógł zdobyć zezwolenie od sędziego. Król posłał tam kiedyś Brastiego i mnie, żebyśmy wysłuchali sporu pewnego jubilera z wysoko urodzonym właścicielem budynku. W tym przypadku zmienił on warunki najmu tak, by móc ustalać ceny za jubilera. Rozpatrzyliśmy sprawę i wydaliśmy wyrok korzystny dla jubilera tylko po to, by znaleźć go martwego następnego ranka. Księżę zapłacił grzywnę bez żadnych pytań, a uśmiech na jego twarzy mówił nam, że jeśli jeszcze kiedyś zechcemy, żeby ktoś poniósł śmierć, to zawsze będziemy mile widziani. Przysięgłem sobie wtedy, że któregoś dnia wrócę do tej zasranej dziury i zaprowadzę tam sprawiedliwość. Ale zawiodłem w tej sprawie, podobnie jak w wielu innych od tamtej pory. Jak mogłem mieć nadzieję na zaprowadzenie sprawiedliwości w całym mieście, jeśli nie umiałem nawet utrzymać przy życiu jednego człowieka?

– Pani – spróbowałem po raz ostatni – nikt nie będzie mógł zapewnić ci bezpieczeństwa po przekroczeniu bram miasta.

– Nonsens – odparła. – Mamy dziesięciu dobrych ludzi i jak dotąd odpieranie ataków rozbójników szło wam doskonale.

– Ale widzisz, pani, nie możemy wprowadzić do miasta całej karawany. Nie pozwolą na to ludzie księcia. A jeśli spróbujesz wejść tam z więcej niż dwoma, trzema uzbrojonymi ludźmi, ktoś uzna, że zaczynasz wojnę rodów i cię zabije.

Czekałem, aż przemysli to skryta za swoimi firankami. Wreszcie powiedziała:

– Doskonale. Feltock, w takim razie weź tego trattari i dwóch pozostałych, i chodźcie za moim powozem do miasta, abym mogła załatwić swoją sprawę z księciem.

Teraz z kolei ja umilkłem na chwilę, starając się znaleźć właściwe słowa.

– Pani, jest mało prawdopodobne, by książę zgodził się ciębie przyjąć. Nie wątpię, że w swoim rodzinnym Orisonie jesteś osobą o wielkim znaczeniu, ale w Rijou nie będziesz niczym innym, jak tylko kolejnym celem.

– Niczym innym? – powiedziała zza zasłonek. Ton jej głosu nie wróżył mi niczego dobrego. – Feltock? – zapytała po chwili. – Powiedz swojemu strzelcowi z pistoletem, żeby umieścić kulę w głowie tego człowieka, jeśli natychmiast nie dosiądzie konia i nie wprowadzi nas do miasta.

Feltock bez wahania dał sygnał małemu człowieczkowi z pistoletem. Odwrócił się, żeby zobaczyć, co zrobię. W ostatnich dniach trochę mnie polubił i pewnie zgadzał się ze mną co do Rijou, ale był wojskowym i słuchał rozkazów.

Kest stał na lewo ode mnie. Nie widziałem Brastiego, więc zakładałem, że ukrył się z gotowym do strzału łukiem za którymś z drzew rosnących wzdłuż drogi prowadzącej do miasta.

– Myślę, że potrafiłbym zatrzymać kulę z pistoletu – stwierdził Kest rzeczowym tonem. – Obserwując kąty lufy, powinienem z grubsza określić, gdzie uderzy pocisk.

– Z grubsza? – uściśliłem.

– Nikt tego wcześniej nie robił. W takiej sytuacji trzeba zażyzykować.

– Gdyby ktoś pytał, moja rada jest taka, by nie dać się teraz zabić i zachować ten pomysł na kiedy indziej – powiedziałem i dosiadłem konia.

Rozejrzałem się i zobaczyłem Brastiego spoczywającego na kilku kocach na jednym z wozów.

– Świetnie mnie stamtąd osłaniałeś, Brasti.

Ziewnął i klepnął łuk umieszczony między nogami. Leżało przed nim w rządku dziesięć strzał, więc chyba powinienem był mu za to podziękować.

– Mam pełne zaufanie do twoich talentów dyplomatycznych – powiedział – szczególnie jeśli wiążą się z wykonywaniem rozkazów. Ale zwariowałeś, jeśli sądzisz, że powrót do Rijou będzie lepszy od próby sparowania strzału z pistoletu. Nie martw się. Zostanę tu i będę strzegł karawany.

– Rusz dupę, chłopcze, idziesz z nami – warknął Feltock. – Skoro, jak się zdaje, wszyscy tak dużo wiecie o tym mieście, na pewno świetnie wam pójdzie ochrona godności jaśnie pani oraz własnej skóry.

– Zdajesz sobie sprawę, że kiedy oddalimy się od karawany, nasza trójka zawsze może was zabić i odejść? – zasugerował Kest.

– To prawda – przyznał Feltock. Potem zaczął się śmiać. – Ale wtedy nadal nie będziecie mieli pieniędzy ani chlebobawcy, a z moich skromnych informacji wynika, że księżę Jillard nie darzy obdartych peleryn zbytnim sentymentem, zgadza się?

– Mogę też zabić cię dla zasady, jeśli dalej będziesz nas tak nazywać – zaproponowałem, ale Kest, Brasti, Feltock i ja poprowadziliśmy powóz wzdłuż szerokiej wysadzananej drzewami alei prowadzącej od traktu dla karawan przez pierwszą bramę do właściwego miasta.

Rijou nie jest, ściśle rzecz biorąc, miastem twierdzą, ale posiada trzy żelazne bramy. Pierwsza, przez którą przejechaliśmy, wyglądała na niestrzeżoną, ale rosnące wzdłuż drogi drzewa stanowiły doskonałą kryjówkę dla pół tuzina strażników z kuszami. Jeśli nie wyglądasz dość podejrzanie, by zginąć na miejscu, ani nikt nie zapłacił straży, by cię zabiła, możesz iść dalej do drugiej bramy, gdzie wartownicy noszą zbroje, a ona sama przesuwana się w górę i w dół między kamiennymi słupami. Za pociągnięciem dźwigni żelazna brona może opaść w kilka sekund, błyskawicznie miażdżąc wszystko, co spotka na swojej drodze. Strażnicy żartują sobie tak: nie musisz prosić o pozwolenie na wjazd do Rijou; wystarczy wejść do bramy. Jeśli postanowią opuścić ci ją na głowę, znaczy to, że odmówiono ci wstępu i powinieneś spróbować jeszcze raz następnego dnia. No cóż, ich to śmieszy...

Feltock nie popierał takiego podejścia. Zamiast tego w imieniu jaśnie pani wręczył jednemu z wartowników plik listów uwierzytelniających. Strażnik przejrzał je, a potem przekazał kolejnemu człowiekowi, który przypatrzył im się bliżej. Pierwszy wartownik podszedł do nas i zmierzył mnie wzrokiem. Był młodym mężczyzną z ciemnymi włosami i krótką, rzadką bródką, z którą nie było mu do twarzy. Ale poruszał się z dużą pewnością siebie i wyglądał, jakby pod zbroją płytową kryło się mocne ciało.

– Tyś z tych tam, obdartych peleryn, zgadza się?

Miał mocniejszy akcent, niż się spodziewałem. Przypomniało mi to, że trzy tygodnie spędzone w drodze oddaliły nas bardzo od placu karawan, a jeszcze bardziej od Baern, gdzie powinniśmy teraz być.

– Nie używamy tej nazwy, ale tak, zgadza się.

Strażnik utkwiał wzrok w moim płaszczu, po czym wyciągnął rękę od niechcenia i pociągnął za materiał, przyglądając mu się dokładnie. Kilku z jego kolegów zebrało się wokół nas.

– Jak tak, to czy to prawda, że w nich śpicie? – odwrócił się do kolegów. – Bo śmierdzi, jakby tak było!

Prawdą jest, że płaszcz jest najcenniejszą częścią dobytku wędrownego trybuna. Jest zrobiony ze skóry, ale cienkie, bardzo lekkie płytki wykonane z jakiegoś rodzaju kości i wszyte w osobne kieszonki mogą czasem ustrzec jego posiadacza przed ciosem, a przy odrobinie szczęścia nawet przed pchnięciem nożem w plecy ze strony jakiegoś niezadowolonego powoda. Potrafi też utrzymać cię przy życiu, jeśli zostałeś sam na drodze w zimną noc.

– I czy to prawda – ciągnął wartownik – że chowocie w nich sto sztuk broni?

Według takich opowieści w moim płaszczu było więcej ukrytych kieszeni, niż sam zdołałem znaleźć. Nikt nie ma całkowitej pewności, jak powstają, bo była tylko jedna Krawcowa szyjąca wielkie płaszcze i nikt nie wie, co się z nią stało po śmierci króla.

– Nie – odparłem – ale trzymam w nim sto kurczaków.
– Ja w swoim mam sto ryb. Nie jadam drobiu – odezwał się Brasti.

Pozostali strażnicy zareagowali śmiechem, ale nadepnęliśmy na odcisk pierwszemu, który sam próbował zażartować.

– No to może zabiorę wam oba. Lubię kurczaki i ryby.
– Jest z tym tylko jeden problem, przyjacielu – powiedziałem spokojnie.

Spojrzał na swoich kompanów, potem na mnie.

– Tak? A jaki?

– Cóż, gdybyś miał mój płaszcz, musiałbyś go nosić.

Pozostali wartownicy znów wybuchnęli śmiechem i tamten pierwszy stwierdził, że ma dość.

– Masz cholerną rację. Ale jakbym go chciał, to na pewno szybko byś go oddał.

Była to czcza pogróżka – nie dlatego, że każdy wiedział, iż w naszych płaszczach kryło się więcej niż kilka sztuk broni, ale dlatego, że nikt nigdy nie ukradł płaszcza trybunowi. W dawnych czasach, gdy nas podziwiano, było powszechnie wiadomo, że każdy, czy to mężczyzna, czy kobieta, komu udałoby się zabrać jeden z nich któremuś z trybunów, byłby ścigany aż na koniec świata. Obecnie nikt nie chciał, by widziano go w nim martwego. A więc sława i niesława jednak aż tak bardzo się nie różniły.

W końcu dowódca warty przepuścił nas i ruszyliśmy krętą drogą do trzeciej bramy. Nie ma tam żadnych uzbrojonych strażników, żadnych kusz, strzał, pik ani mieczy, tylko mały człowieczek z piórem i księgą siedzący przy niewielkim biurku na końcu tunelu o długości trzydziestu stóp. Strop ma wysokość około dwunastu stóp i obie ściany oraz sklepienie są upstrzone dziesiątkami małych dziurek i szpar. Wszystko to może wyglądać, jakby powstało z szarego sera, ale powszechnie wiadomo, że jeśli rozdrażnisz małego człowieczka przy biurku, szybko

odkryjesz, jak niezwykle jest mnogość tego, czym można zadać śmierć, wystrzeliwując, zrzucając lub wylewając przez małe otwory w kamieniu.

Feltock podał mu te same listy uwierzytelniające, które pokazywał przy drugiej bramie. Człowieczek ledwo na nie spojrzął i od razu powiedział:

– Odmowa.

Feltock zszedł z kozła karety i spojrzął na mnie z uniesionymi brwiami. Żaden z nas nie wiedział, co robić. Za to obaj wiedzieliśmy na pewno, że dyskusja z małym człowieczkiem byłaby poważnym błędem.

– Z całym szacunkiem, wasza lordowska mość... – zaczął Feltock.

– Żadna lordowska. Jestem sekretarzem – powiedział człowiek za biurkiem.

– Za całym szacunkiem, wasza... eee, sekretarska mość, nasze... Cóż, nasze listy uwierzytelniające zostały uznane przy drugiej bramie.

Sekretarz spojrzął na nas.

– Oczywiście, że zostały, głupcze, inaczej by was tu nie było. Leżelibyście z żelaznymi prętami w czaszkach. Jeśli poczujesz się przez to lepiej, możecie zawrócić, a ja przekażę im, żeby spuścili wam kratę na głowy.

Brasti uśmiechnął się do mnie.

– Lubię go. Przypomina mi ciebie.

Spojrzenie, które posłał nam Feltock, było na poły groźne, na poły błagalne.

– Jaśnie wielmożny sekretarzu bramy – zacząłem, używając jego formalnego tytułu – chociaż nie ma wymogu, abyś nam to wyjawiał, czy mogę spytać o powody twojej jakże rozsądnej decyzji, by zabronić nam wjazdu do miasta? Czy słusznie przypuszczam, że jesteśmy „właściwi personalnie, lecz nie celowo”?

Sekretarz prychnął.

– Ha! Trattari, co? Zawsze można liczyć na Wielkie Płaszczce, że wydukać ci wszystkie prawa jak papugi. Tak, w rzeczy samej jesteście „właściwi personalnie, lecz nie celowo”. Więc możecie zawracać albo zaraz zobaczymy, jak działa ta dźwignia. – Wskazał na solidny kawałek drewna wystający z kamiennej ściany przy jego biurku.

Miałem własne podejrzenia co do tego, jak działała ta dźwignia, i nie miałem zamiaru sprawdzać, co dokładnie spadłoby mi na głowę z sufitu, gdyby za nią pociągnął.

– Feltock! – rozległ się z powozu głos jaśnie pani. – Z jakiego powodu stoimy tak długo w tej wilgotnej pieczarze?

Feltock spojrzał na mnie.

– Lepiej ty jej powiedz – szepnął. – Nie wiem, o co chodzi z tymi „personalnymi” i „celowymi”.

Podszedłem do karety.

– Pani, sekretarz poinformował nas, że twoje referencje personalne, czyli to, kim jesteś, są wystarczające, by wjechać do miasta. To dokumenty dotyczące celu, tego, po co starasz się do niego dostać, są kwestionowane.

– Kwestionowane? Przyjechałam zobaczyć się z księciem! Kim jest ta mała glizda, żeby mnie przesłuchiwać?

Modliłem się, żeby sekretarz nas nie usłyszał.

– Słyszałem! – odrzyknął. Potem zerwał się z krzesła i przydreptał do nas kaczym krokiem. Stał przed zasłonką powozu. – Ty jechać teraz do domu – powiedział jak do przygłupiej dziewczynki. – Pani wariatka nie zobaczyć dziś księcia. Książę ważny pan. Ma ważne rzeczy do roboty. Wydyma panią wariatkę kiedy indziej. – Potem sekretarz się uśmiechnął i zadarł głowę, by na mnie spojrzeć. – Lubię cię, trattari. Znasz prawo i to mnie cieszy. Ale albo zawrócicie, albo za jakieś dziesięć sekund odkryjecie, co sprawi większy ból: lejąca się wam na głowy płonąca oliwa czy tuzin bełtów z kuszy, które wbiją się w wasze piersi.

– Oliwa – powiedział Kest.

– Dość tego! – krzyknęła jaśnie pani w karecie. Nigdy wcześniej nie słyszałem, jak krzyczy. Brzmiało to niemal dziecinnie. – W tej chwili wpuścisz mnie do miasta! Poślesz po eskortę i upewnisz się, że nasza podróż do pałacu książęcego przebiegnie bez najmniejszych zakłóceń.

Sekretarz wyglądał, jakby miał właśnie dać sygnał komuś ukrytemu przed moim wzrokiem, kiedy zasłona karety się rozsunęła i pojawiła się jaśnie pani.

Przyznam, że fantazjowałem trochę, że panią karawany była tak naprawdę Trin w przebraniu. W końcu bardzo często widzieliśmy, jak Trin wchodzi i wychodzi z powozu, ale nigdy nie widzieliśmy samej jaśnie pani. Trin, choć brakowało jej postawy, z pewnością miała urodę i wdzięk córki szlacheckiego rodu. Co ważniejsze, miło byłoby pomyśleć, że osoba zawiadująca nadciągającą katastrofą w istocie potrafiła być uroczą, nawet jeśli był to tylko element jakiejś skomplikowanej gry.

Kobieta, która wyszła z powozu, miała na sobie strój w różnych odcieniach fioletu. Jej jedwabna koszula miała modny głęboki dekolt, a jedwabne spodnie były skrojone do podróży. Miała odkrytą głowę, ale nosiła naszyjnik i bransolety ze szlifowanych klejnotów, a na obu środkowych palcach migotały pierścienie. Miała intensywnie brązowe włosy, niemal równie jedwabiste jak jej strój, co zaskoczyło mnie, bo nawet jadąc w karecie, trudno jest nie być w nieładzie po ciągnącej się tygodniami podróży. Przez krótką chwilę pomyślałem, że to naprawdę mogła być Trin wyłaniająca się triumfalnie ze swojego kokonu, ale ta kobieta była wyższa i bardziej pewna siebie, a poza tym sama Trin wyszła z powozu za nią.

No cóż, to tyle z moich fantazji.

Przyszło mi do głowy, że jaśnie pani musiała bardzo uważać, by jej ludzie – a przynajmniej większość z nich – nigdy jej nie widzieli. Feltock nie wydawał się szczególnie poruszony, więc zakładałam, że miał już ku temu okazję, ale żadnemu z nas nie

udało się to nawet raz przez wszystkie tygodnie, gdy byliśmy w drodze. Z pewnością nie zapomnielibyśmy tego, bo była zachwycającą pięknoscią o subtelnych rysach i jasnych oczach barwy oceanu. Zobaczyła, że się w nią wpatruję, i uśmiechnęła się, co z jakiegoś dziwnego powodu sprawiło mi większą przykrość, niż mogło to być jej zamiarem. Spojrzałem na Kesta i zobaczyłem, że nawet na nim zrobiła wrażenie.

W odróżnieniu od sekretarza.

– Tak, złotko, jesteś całkiem ładna i, jak sędzę, bardzo bogata. Ale książę też jest przystojny i prawdopodobnie znacznie bogatszy, więc nadal nie możesz się z nim zobaczyć.

– A to dlaczego, mały człowieczku? – jej głos brzmiał tak samo jak wcześniej, ale teraz dotarło do mnie, że był młodszy, niż myślałem.

– Cóż – powiedział sekretarz – bo wyglądasz na dziwkę, książę zaś jest żonatym mężczyzną i ma kilka ważnych kochanek, a nie chcielibyśmy żadnej z nich urazić, nieprawdaż?

Spodziewałem się, że jasnie pani zacznie teraz wygłaszać jakąś tyradę, ale zamiast tego spokojnie wyciągnęła przed siebie zacisnięte w pięści dłonie i podsunęła je sekretarzowi pod nos.

– Przyjrzyj się uważnie moim pierścieniom, mały człowieczku.

Sekretarz posłuchał, a potem wytrzeszczył oczy tak, jakby zobaczył własną śmierć.

– A niech mnie – wydusił.

Stałem za nim i zerknąłem na pierścienie tuż przed tym, jak zabrała ręce i skrzyżowała je na piersiach. Na palcu lewej dłoni miała pierścień książęcy Hervoru, a to oznaczało, że jej matką nie była księżna Orisonu, jak podejrzewaliśmy, lecz Patriana, księżna Hervoru.

– Psiakrew – powiedział Kest.

Nieczęsto przeklinał, ale dzieliłem jego odczucia. Patriana była najgorszą spośród możnowładców; to ona potrząsnęła książętami i przekonała ich, by ruszyli na króla Paelisa. Mógłbym

w tej właśnie chwili poderżnąć gardło jej córce z mniejszym żalem niż tamtemu topornikowi na placu.

– Hervor – powiedziałem do Kesta, który pokręcił głową.

– Nie, nie rozumiesz. Ten drugi to pierścień książęcy Rijou. Twierdzi, że jest córką Patriany, księżnej Hervoru, i Jillarda, księcia Rijou. Zgłasza pretensje do najwyższej krwi!

Jaśnie pani uśmiechnęła się do nas, a potem znów spojrzała na sekretarza.

– Czy teraz moje „listy uwierzytelniające” cię satysfakcjonują, mały człowieczku?

Sekretarz zaczął bełkotać:

– Cóż, to jest... to znaczy, nie mogę zweryfikować... to jest, że tak powiem... Witamy, witamy w Rijou, wasza, eee... książęca mość.

– Wysokość – poprawiła. – Zwrotem, którego tak nieskutecznie szukasz, jest „Wasza Wysokość”. Lub, jeśli wolisz, „Wasza Królewska Wysokość księżniczka Valiana”.

Sekretarz przyklęknął na jedno kolano. Feltock, który wcale nie wyglądał na zaskoczonego, zrobił to samo, podobnie jak Trin. Kest, Brasti i ja pozostaliśmy na nogach. Zgodnie z królewskim prawem Wielkie Płaszcz nie kłaniały się przed nikim, nawet przed samym królem. A poza tym prawdopodobnie kiedyś ją zabiję.

Mimo wszystkich moich uprzedzeń wobec tego miejsca Rijou jest przepiękne o zmroku, jeśli tylko zdołasz na chwilę zapomnieć, gdzie jesteś.

Sekretarz bramy posłał wiadomość do jednego z książęcych doradców i człowiek o imieniu Shiballe przybył, by towarzyszyć nam w drodze przez miasto. Shiballe był przekarmiony i zbyt dobrze ubrany jak na posłańca, ale w tym momencie się o to nie kłopotalem. Najgorsze, co mógł zrobić, to zabić Valianę, a to wcale nie byłoby takie złe.

Kiedy Shiballe ucałował dłoń jaśnie pani, ta spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, jakby wszystko to było jednym wielkim figłem, który spłatała moim kosztem, tak jakbym miał być teraz olśniony do nieprzytomności jej sprytem. Samo to wystarczyłoby, żebym poczuł do niej niechęć, nie wspominając już o tym, że to jej matka była suką, która pomogła zabić mojego króla.

Ale z jakiegoś powodu najbardziej przykre było dla mnie oglądanie skromnej Trin podążającej trzy kroki za swoją panią, potulnej jak owieczka prowadzona na rzeź. Gdybyśmy zdecydowali się złamać wszystkie śluby, jakie kiedykolwiek złożyliśmy, i zabić Valianę, musielibyśmy najpierw usunąć Feltocka – co nie stanowiło specjalnej trudności: był żołnierzem i sam sobie nawarzył tego piwa. Jednak Trin też musiałaby zginąć, zanim dałaby komukolwiek dotknąć Valiany, a to by już była szkoda. Kiedy Shiballe ucałował dłoń Trin, ta skrzywiła się, jakby narobił jej na rękę koń, przez co tylko bardziej ją polubiłem.

Jaśnie pani stanęła, by się posilić z Shiballe'em. Feltock i Brasti zostali na straży, podczas gdy Kesta i mnie wysłano na zwiady. Skorzystałem z okazji, by nacieszyć się miastem między zachodem słońca a wschodem księżyca: zmierzch w Rijou jest może jedyną porą dnia, kiedy z powodów znanych tylko świętym miejscowi arystokraci nie czują potrzeby, by zabijać współobywateli.

Niestety nie należeliśmy do tej kategorii.

– Musimy to zrobić, Falcio – powiedział po raz setny Kest. Rzadko się powtarza, bo ostatecznie po prostu robi to, co uważa za potrzebne, a konsekwencjami martwi się później, więc musiałem przyjąć, że nie próbował zmienić mojego zdania, raczej uspokoić mnie przed nieuchronną konkluzją. – Dobrze wiesz, że to właśnie planowali, kiedy my miotaliśmy się po całym kraju – ciągnął. – Ustanowić nową monarchię pod całkowitą kontrolą książąt, tak by już nigdy nie musieli się obawiać, że pojawi się nowy król podobny do Paelisa.

– Książęta rządzą wszystkim już teraz – stwierdziłem. –
Więc jaka to różnica?

– Taka, że ich władza zostanie zagwarantowana w całym kraju, a nie tylko w poszczególnych księstwach.

– Rozejrzyj się – powiedziałem. – Świat dookoła stał się bardziej zepsuty i ciemniejszy, niż ktokolwiek z nas mógł sobie wyobrazić.

– Tak, i jeśli pozwolimy, żeby posadzili tę dziewczynę na tronie, zrobi się znacznie gorzej. Przy całej swojej obecnej niegodziwości książęta wciąż powstrzymują się przed czynnym łamaniem królewskiego prawa. Wiedzą, że naraziłoby ich to na niebezpieczeństwo, jeśli do władzy dojdzie silny i porządny książę, albo, w świętych nadzieja, pojawi się nowy król. Ale jeśli im na to pozwolimy, najbardziej wyrachowane, ciemniejszy rządy w naszej historii staną się prawem. Królewskim prawem, Falcio.

– Jeśli tak to się potoczy, to będziemy walczyć, nieprawdaż? I wygramy. Zawsze na końcu wygrywamy.

– Nie mów tak, jakby Brasti miał co do ciebie rację – powiedział Kest. – Wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma już nas zbyt wielu. W najlepszym momencie było nas stu czterdziestu czterech, a teraz jesteśmy zwierzyną łowną dla każdego z kawałkiem ostrego żelaza w ręce. Wątpię, żeby pozostała przy życiu więcej niż pięćdziesiątka Wielkich Płaszczy. A kto wie, kim stała się większość z nich? Falcio, mogę pokonać każdego z rapierem, ale nie mogę pokonać dziesięciu ludzi z pistoletami. Stare zasady nam nie wystarczą. Możemy zwyciężyć w tej walce, ale nie sądzę, żebyśmy mogli zwyciężyć uczciwie.

Zatrzymałem na chwilę konia.

– Chcesz wydać wyrok, jeszcze zanim popełniła przestępstwo. Król nigdy by na to nie pozwolił. To by go zdruzgotało. Tak jak i nas.

– A Tremondi? – zapytał.

– Tremondi? Co on ma do rzeczy?

Kest westchnął.

– Naprawdę jeszcze się nie domyśliłeś?

– Powiedzmy, że nie.

Kest wskazał powóz.

– Wiemy, że Tremondi romansował z kobietą, która go zabiła. Kto odpowiada gustom tego starego zboczeńca? Valiana. Kto zyskuje na jego śmierci? Ona. Kto, kiedy pojawiliśmy się na placu w Solat, zdołał znaleźć sposób, żeby trzymać nas na krótkiej smyczy i zagwarantować, by reszta strażników karawany nas znienawidziła? To była ona i wyzwanie, na które cię namówiła.

– I które przyjąłem przez ciebie – zaznaczyłem.

– Psiakrew, Falcio, nic ci nie umyka oprócz tego, co oczywiste. Prawie od razu po naszym odjeździe, kiedy byliśmy z dala od miasta i kogokolwiek, kto mógłby uwierzyć w naszą opowieść, pojawia się Lynniac i jego rycerze. A co ona na to? Zmusza nas do walki gołymi rękami.

– Mogła po prostu pozwolić im nas zabrać.

– Nie, za duże ryzyko, że uciekniemy po drodze. W ten sposób miałyby pewność, że jesteśmy martwi. To ona, Falcio. To ona zabiła Tremondiego. Gdyby nie użyła aelthekei, potrafilibyśmy ją rozpoznać. Ale pewnie ukrywała się przed nami tak długo, jak to konieczne, żeby mieć pewność, że jakikolwiek cień wspomnień całkowicie się rozwieje, zanim ją zobaczymy.

Nie miałem żadnego kontrargumentu. Wszystko, co mówił Kest, miało sens. Prawdopodobnie skazywalibyśmy ludzi przy słabszych dowodach – święci wiedzą, że księżęta zrobiliby tak z nami. Ale to my mieliśmy być inni. Mieliśmy być lepsi.

– W porządku, Falcio – powiedział cicho Kest. – Wiem, że nie możesz tego zrobić. Nie proszę cię o to.

– Zrobić czego? Popęłnić morderstwa?

– Wszystkiego naprawić. Ale ja to zrobię. Mogę to zrobić sam, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, kiedy będziemy

mogli mieć pewność. Ale ze względu na naszą przyjaźń nie próbuj mnie wtedy powstrzymać.

Utkwiłem w nim wzrok.

– Jaka to wtedy będzie przyjaźń?

– Taka jak wcześniej, zanim zostaliśmy Wielkimi Płaszczami. Wiem, że kochałeś króla, Falcio. Ja też. Ale oni go zabili. Nie mogą zabić również jego marzeń.

„Nie – pomyślałem, spinając konia – nie mogą. Sami to robimy”.

Pół godziny później dałem karecie sygnał, by się zatrzymała. Grupa mężczyzn w czarnych strojach otaczała dużą rezydencję. Niektórzy mieli w dłoniach piki i bronili dostępu, podczas gdy inni zastawiali okna i drzwi wielkimi kamiennymi płytami przywożonymi na zaprzężonych w woły wozach. Był tam też wóz załadowany beczkami.

Skinąłem na Feltocka, żeby podjechał bliżej, i zapytałem:

– Masz pojęcie, co tu się dzieje?

– Widziałeś, jak wygląda wojna, prawda? – odparł kapitan.

Zignorowałem go i zeskoczyłem z konia. Podszedłem do człowieka powożącego furę z beczkami. Jego dwaj towarzysze stali przede mną z krótkimi mieczami w dłoniach, ale odezwałem się do niego:

– Co tu się dzieje?

– A jak myślisz, człowieku? O północy zacznie się pierwszy dzień Ganath Kalila, więc pilnuj własnego nosa, jeśli nie chcesz się znaleźć po niewłaściwej stronie.

Dziwna rzecz: brzmiało to prawie, jakby powiedział „Ganath Kalila”. Ale było to oczywiście niemożliwe, bo gdyby okazało się, że wylądowaliśmy tu podczas Ganath Kalila, musiałbym oczywiście przyznać, że dokładnie w tej chwili tysiąc dziewiętych oblubienic przeklinało moje imię...

– Przepraszam – odezwałem się do niego. – Chyba źle zrozumiałem. Myślałem, że być może powiedziałeś...

Mężczyźni z krótkimi mieczami odepchnęli mnie.

Przyszedł do mnie Feltock, a za nim Kest z dłonią na rękojeści rapiera.

– Co on powiedział? – chciał wiedzieć Feltock.

– Ganath Kalila – odpowiedziałem. – Tydzień Krwi. Przyjechaliliśmy tu, właśnie kiedy książę ogłosił Tydzień Krwi.

– Co to jest, do pięciu piekieł dla głupców? Chłopcze, postaraj się pamiętać, że jestem w tym mieście pierwszy raz, wtedy pójdzie nam szybciej.

– Ganath Kalila to w Rijou tradycja – wytłumaczyłem. – Ojciec księcia przywiózł ją ze swoich podróży na wschód. Nazywają to Tygodniem Krwi, bo przez siedem dni nie ma żadnych reguł poza jedną: czego nie potrafisz utrzymać, nie należy do ciebie.

Stary żołnierz widział podczas swojej służby mnóstwo rzeczy szalonych i brutalnych, ale to zbiło Feltocka z tropu.

– Jak to ma niby działać? Człowiek z najsilniejszą armią zabiera, co chce? To będzie chaos.

– Książę lubi chaos – odparłem.

– Niekoniecznie – odezwał się Kest. – Czytałem o politycznej stronie tej tradycji i w rzeczywistości jest to dość skomplikowane. Szereg sojuszy i patronatów zapewnia większości ludzi protekcję kogoś nad nimi, kto z kolei ma ochronę kogoś jeszcze wyżej, kto...

– W końcu ma protekcję księcia. Tak żeby ten ostatni mógł wytrząsnąć dodatkowe parę sztuk złota ze swojej trzódki, zgadza się?

– Tylko że czasem książę daje do zrozumienia, kogo nie zamierza chronić, rozumiesz?

Feltock rozumiał.

– Czyli w Rijou zaczął się sezon polowania na kilku biednych drani.

– Ci dranie nie wyglądają na takich biednych – powiedziałem, spoglądając na rezydencję. Była elegancka w stylu Rijou, wyglądała

też jednak na całkiem dobrze umocnioną. Mieli pewnie łuki, a może nawet pistolety. Ale ludzie otaczający budynek nosili zbroje i podjeżdżali wozami z kamiennymi płytami do drzwi i okien.

– Nie rozumiem, co robią z tymi płytami – stwierdził Kest.

– Ogień – powiedział Feltock. – Zamierzają ich wykurzyć.

– Albo spalić żywcem – dodałem.

– A może wybudują im tu na ulicy przyjemny pensjonat! – zawołał za naszymi plecami wesolutki głos.

Shiballe wysiadł powoli z karety, za nim wyszła Valiana. Sączyli z małych kubeczków jakiś pieniący się trunk.

– Feltock – odezwała się pani – nie chciałabym zawieść mojego błogosławionego przez świętych ojca, księcia. To rodzinne spotkanie musi się odbyć dziś wieczorem.

Kest i ja spojrzeliśmy po sobie. Musiała tu przybyć po potwierdzenie, usankcjonowanie swojego pochodzenia: oznaczało to, że miała dokładnie osiemnaście lat. Jeśli naprawdę była potomkinią dwojga władców, dziewiętnaście lat temu Jillard, księżę Rijou, musiał w tajemnicy – i bardzo krótko – być mężem Patriany, księżnej Hervoru – a potem musiał niemal natychmiast się z nią rozwieść, bo zaraz potem poślubił swoją obecną żonę. Było to możliwe, ale i dziwne: spłodzić dziecko i od razu ożenić się z kimś innym. Mogło to mieć jakiś wynaturzony sens, jeśli naprawdę chcieli wychować w sekrecie księżniczkę królewskiej krwi – ale taki spisek musiał być zaplanowany na długo, zanim Paelis objął tron, a więc za panowania Greggora, co nie miało sensu, bo księżęta nigdy się na niego nie uskarżali. Pozwalał im robić na swojej ziemi wszystko, co tylko chcieli.

– Tak jest, Wasza Wysokość – powiedział Feltock. – Nie ma po co tu siedzieć i patrzeć, jak ci ludzie strzelają do siebie nawzajem przez cały wieczór.

– Och, nie przypuszczam, żeby było tu dużo strzelania – ocenił Shiballe, uśmiechając się uprzejmie.

– Dlaczego nie? – spytał Kest.

– Widzicie, straży rodziny Tiarrenów nie ma w mieście.
– Rodziny Tiarrenów? – popatrzyłem na Kesta. – Wśród po-
mniejszych arystokratów lord Tiarren był zaliczany do najbliż-
szych sojuszników króla.

– Ach tak? – powiedział beztrósco Shiballe. – Bardzo cieka-
we. Zdaje się, że książę nakazał lordowi Tiarrenowi odesłać swo-
ich ludzi, by zajęli się jakimś sporem granicznym. Jego żona dość
śmiało komentowała lokalną politykę w Rijou pod nieobecność
męża. – Mały grubas spojrzął na dom z uśmiechem. – I zdaje się,
że ktoś tu otrzyma surową nauczkę. – Spojrzął na ciemniejące
niebo. – Ach tak, za jakieś dwie godziny.

– Nikt nie może zacząć walczyć przed północą? – uściślił
Feltock.

– Zgadza się: aż do rozpoczęcia Ganath Kalila – odpowie-
dział tamten z chytrym uśmiechem.

Feltock wskazał na mężczyzn wyładowujących płyty na tro-
tuarze przed domem.

– Więc co oni robią?

– Głupcze. Nie zaszkodzi najpierw się przygotować, nie-
prawdaż? Jeśli tylko nikt nie odda strzału i nie zada ciosu.

Spojrzałem w górę na jedno z otwartych okien. Zbliżająca się
do czterdziestki kobieta wyglądała na zewnątrz, wymachując
bezzadnie kuszą. To musiała być pani Tiarren. Dzieci stały za
nią w szeregu i widziałem, jak trzymają się jej sukni.

– Chcesz powiedzieć, że ona, jej dzieci i słudzy muszą tam
zostać, patrząc, jak ci ludzie blokują im drogi ucieczki i podkła-
dają ogień, który ma spalić ich wszystkich żywcem?

Tiarrenowie byli sprzymierzeńcami króla. A co, jeśli wiedzą,
gdzie są ukryte królewskie czaroity? A co, jeśli któryś z klej-
nótów był w domu choćby teraz? Podszedłem do ludzi stawiają-
cych kamienne bloki.

– Pilnuj własnego nosa, trattari – ostrzegł mnie Shiballe. –
Właśnie to chciałem powiedzieć. Ale nie martw się, lord Tiarren

ma dużą rodzinę. I jestem pewien, że księżę pozwoli mu się powtórnie ożenić w odpowiednim czasie. Niewątpliwie tym razem wybierze kogoś, kto będzie mu lepiej doradzać i wykaże się większą wiernością niż pani Tiarren.

Natychmiast odwróciłem się do Kesta.

– Wyjdziesz z powrotem za mury miasta. Sprowadź, ilu strażników się da. Koniecznie zabierz Blondynka i Kurga i sprawdź, kogo jeszcze uda im się namówić.

Skinąłem na Feltocka.

– Zabierz panią Valianę do pałacu księcia. Kest i ja dołączymy, kiedy tylko będziemy mogli.

Feltock pociągnął za lejce pierwszego konia w zaprzęgu, żeby go przygotować do pracy, ale zwróciła się do niego Valiana:

– Natychmiast przestań – rozkazała.

– Pani, tu nie będzie bezpiecznie – zacząłem.

– Będzie całkowicie bezpiecznie – powiedziała – bo ty i twoi ludzie będziecie nam towarzyszyć, i to zaraz. Pracujesz dla mnie, nie dla tej Tiarren. Rozumiesz?

Poczułem, jak gorąco wzbiera mi w piersi.

– Czyś ty oszalała? Oni ich spalą żywcem! Zabarykadują drzwi i okna i zaczekają, aż spłoną albo wyskoczą przez okna na pewną śmierć!

– Nie waż się mówić do mnie takim tonem, trattari – ostrzegła.

– Chcesz być księżniczką!? – krzyknąłem. – Chcesz rządzić swoimi poddanymi? Oto oni – machnąłem palcem w stronę kobiety i jej płaczących dzieci widocznych w ramie okna. Paru nieco starszych chłopców miało w rękach szpady: wystarczająco dorośli, by trzymać broń, i wystarczająco dziecinni, by wierzyć, że to coś da. – Chcesz władzy? Przestań myśleć o tym, jak ją zdobędziesz, i zacznij myśleć o tym, co święci chcą, żebyś z nią zrobiła!

Przekroczyłem wszelkie granice, ale przez sekundę wyglądała, jakby mogła się dać przekonać. Wtedy usłyszałem kaszlnięcie i odwróciłem się.

Shiballe trzymał w ręku pistolet wycelowany w moją pierś.

– Nie bądź taki teatralny, mój obdarty przyjacielu – powiedział. – Jeśli ta Tiarren nie jest głupia, zrzuci z okna swój klejnot herbowy i przyzna się do porażki. A nawet jeśli jest, to wciąż ma w budynku kilku służących, z których wielu ma przeszkolenie wojskowe i którzy zmuszą ją, by się poddała dla własnego dobra.

– I co wtedy? – spytał Kest, mierząc wzrokiem Shiballe’a.

– Wtedy nazwisko Tiarren zostanie wykreślone z listy rodów szlacheckich, a ona i jej bachory dokończą żywota jako dobrze karmieni słudzy zwycięzców.

– A kim są w tym wypadku zwycięzcy? – spytał ostrożnie Feltock.

– Nie wiem – odparł tamten. – Jak doskonale widzicie, ci szlachetni panowie nie noszą na swoich zbrojach żadnego herbu.

Kest szepnął mi do ucha:

– Tak będzie wyglądał świat, jeśli księżęta dopną swego.

Wirowało mi w głowie i z trudem udawało mi się zachować panowanie nad sobą.

Shiballe nie miał jednak trudności z kontrolowaniem sytuacji.

– A teraz, moje obdarte ptaszki, proponuję, żebyście zrobili dokładnie to, co zasugerowała wam księżniczka Valiana, i wrócili do pracy. – Pogroził Kestowi palcem. – I nie trać czasu na płonne fantazje, mój przyjacielu. W budynku za nami jest kilku moich ludzi uzbrojonych w kusze. Podczas Tygodnia Krwi nie ruszam się nigdzie bez ochrony.

Wiedziałem, że musimy się podporządkować, ale z jakiegoś powodu nie mogłem się ruszyć. Nogi wrosły mi w ziemię, a prawa ręka nie chciała się zatrzymać w powolnym ruchu ku rękojęści rapiera.

Valiana stanęła przede mną.

– Falcio, przestań.

To był pierwszy raz, gdy wymówiła moje imię. Wcześniej zawsze nazywała mnie „trattari”.

– Nie jestem... niewrażliwa na twoją troskę o tych ludzi. Ale Shiballe ma rację: ta kobieta podda się, zanim poleje się krew, i będzie po wszystkim.

Próbowałem się odezwać, ale zdobyłem się tylko na szept:

– I co wtedy, Wasza Wysokość? Służba? Niewola?

Valiana spojrzała mi w oczy. Była piękną kobietą, ale uroda dawno już przestała na mnie działać.

– Ujmę się za nią u mojego ojca księcia. Obiecuję ci, że jeśli ze mną pójdziesz, uzyskam jego gwarancję, iż nie trafi do niewoli. Obiecuję.

Zdawałem sobie sprawę, że to było coś więcej niż zwykła próba ugłaskania mnie. Odwzajemniłem spojrzenie i w jej oczach zobaczyłem coś, czego wcześniej nie widziałem: nie frustrację, lecz strach. Nie była pewna Shiballe'a i nie czuła się bezpiecznie w towarzystwie wyłącznie jego ludzi i Feltocka.

Mógłbym zostawić ją i jej machinacje – ale co wtedy? Nie miałem dość ludzi, by obronić się przed całym Rijou, a gdybym rzeczywiście spróbował walczyć, mógłbym tylko pogorszyć sytuację rodziny Tiarrenów. Teraz czekała ich jedynie nędza; natomiast gdyby zostali uznani za sprzymierzeńców Wielkich Płasczy, ich przyszłość wyglądałaby znacznie gorzej.

Poczułem, jak ziemia wypuszcza moje stopy z uwięzi i ustępuje napięcie w dłoni.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Zrobimy, co rozkażesz.

Shiballe ukrył pistolet gdzieś w fałdach koszuli i klasnął w rękę.

– Doskonale! – zawołał. – Jak to dobrze spotkać człowieka, który zna swoje miejsce w tych niespokojnych czasach.

NADEJŚCIE WIELKICH PŁASZCZY

Tamte pierwsze dni były chyba najlepsze. Król Paelis i ja, stare gry wojenne, rozmowy o strategii i taktyce, filozofii i ideologii, sprawiedliwości i prawie. Dużo jedliśmy w owych pierwszych miesiącach – żaden z nas nie miał wtedy zbyt wiele ciała na kościach, więc każdy posiłek był wielkim wydarzeniem. Mnie rany wciąż dokuczały, a on nadal miewał ataki kaszlu, co nie było zaskoczeniem, bo zmieniała się właśnie pogoda, ale ogólnie rzecz biorąc, byliśmy krzepcy i zdrowi. Nauczyłem go, jak machać rapierem, a on pokazał mi techniki szermiercze z książek, o których nigdy nie słyszałem.

– Jedynym zbytkiem, na jaki pozwolił mi ojciec przez te trzy lata spędzone w wieży, były książki – powiedział któregoś popołudnia na placu ćwiczeń przy koszarach. – Odmówiłby mi i tego, ale zapytałem go, czy naprawdę tak się obawia, że pokonam go książkami. Myślałem wtedy, że mnie zabije, ale wiesz, ten stary przesąd o przelewaniu królewskiej krwi był w nim silny.

– I co czytałeś? – spytałem.

– Wszystko. W zamkowej bibliotece mieliśmy tylko dwadzieścia książek, fantastycznych starych książek o prowadzeniu

wojny i stylach walki. Falcio, mógłbym ci pokazać książki fехmistrzów sprzed czterystu lat, wielkich autorytetów, których techniki skrywa poezja. Ale kiedy je skończyłem, moja matka, niech ją bogowie błogosławią, posłała do klasztoru w Gaziah po więcej. Czytałem dzieła filozofów i tyranów, urzędników i królów, a kiedy skończyłem, wracałem do początku i czytałem je od nowa.

– Nigdy nie mówisz o matce – zauważyłem.

Spojrzał pod nogi.

– Ona tak woli.

Miałem wrażenie, że jakoś go zawstydziłem.

– Przeczytałem kiedyś książkę – powiedziałem. – Były w niej nieprzyzwoite fragmenty. Te mi się podobały.

Paelis uśmiechnął się i trzepnął mnie w tył głowy.

– Tak mówisz do swojego króla? Poza tym nie oszukasz mnie nawet na chwilę, Falcio. Jesteś człowiekiem słowa, tak samo jak ja. Służący widzieli cię w nocy, jak wykradasz książki z biblioteki.

Zająknąłem się.

– Nie śpię już tak dużo i nie mam wiele do roboty wieczorami...

Pomyślałem przez chwilę, że rzuci jakąś uwagę o damach w zamku, ale jeśli miał taki zamiar, to po namyśle zmienił zdanie.

– Książki bywają dobrymi przyjaciółmi, Falcio. – Poklepał mnie po ramieniu. – Bierz z biblioteki tyle, ile chcesz.

Kest dołączył do nas jako pierwszy. Znalazłem go w Luth, tam, gdzie go zostawiłem po tym, jak dni naszej dziecięcej przyjaźni minęły i mieliśmy inne towarzystwo.

Kiedy spytałem go, co robi, nie przerywając wykuwania mieczy w kuźni swojego ojca, odpowiedział:

– Czekam na ciebie.

Zanim zdążyłem coś dodać, odłożył sztukę broni, którą wykuwał, i zdjął tobolek z górnej półki. – No to jedźmy – powiedział.

– Nie chcesz się dowiedzieć, co robimy? – spytałem. – Albo chociaż powiedzieć rodzicom, że wyjeżdżasz?

– Moi rodzice od jakiegoś czasu wiedzą, że ich opuszczę. Dawno już się pożegnałem. A jeśli chodzi o to, co robimy, to, jak sądzę, musi to być coś interesującego, skoro wróciłeś, żeby mnie odszukać.

Po tym, jak wyszliśmy z kuźni, Kest w końcu zauważył Paelisa.

– O, witaj – odezwał się Kest. – Kim jesteś?

Kuźnia była pełna dymu i pyłu i król kasłał przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Paelis I – oznajmił. – Twój król.

– Aha. To miłe. Cóż, jedźmy; widzę, że przed nami zbierają się chmury.

Kest był dziwnym człowiekiem, ale tęskniłem za nim. I moment, w którym wyruszyłem konno przez tamto pole z najlepszym przyjacielem z dzieciństwa u boku, podążając za młodym królem idealistą, który chciał przywrócić Wielkie Płaszcze, był naprawdę jednym ze szczęśliwszych w moim życiu.

Apogeum nastąpiło kilka miesięcy później. Było nas wtedy dwanaścioro, dziewięciu mężczyzn i trzy kobiety: Kest, Brasti, Shana, Quillata, Morn, Bellow, Parrick, Dara, Nile, Winnow, Rani i ja – dwunastu wędrownych trybunów, którzy znali królewskie prawo i potrafili sprawiedliwie sądzić, szybko jeździć i twardo walczyć. Byliśmy może trochę zarozumiali, ale też dobrze przygotowani.

Pierwszy dzień wiosny to dobry moment, by zmienić świat. Król wezwał nas do sali tronowej i zakładaliśmy, że będzie to swego rodzaju uroczystość na naszą cześć, z kwiatami i może jakąś paradą. Kupiłem wcześniej długi płaszcz u miejscowej szwaczki – wiedziałem, że prawdopodobnie próbowałem żyć w wyimaginowanym świecie, ale od dziecka marzyłem o byciu

Wielkim Płaszczem i pewnie bardziej nie dało się zbliżyć się do tego marzenia. Przynajmniej dałem Brastiemu okazję do śmiechu.

– Bogowie, Falcio – chichotał. – Jeśli cię schwytają i będą torturować, błagam cię, nie ujawniaj, że jesteś jednym z nas. Chyba nie zniósłbym tego zażenowania! I postaraj się, proszę, nie robić z siebie głupca przed tymi chmarami rozkochanych kobiet, które obiecał mi król.

Puściłem jego szyderstwa mimo uszu, bo nic, co mógł powiedzieć Brasti, nie zmusiłoby mnie do zdjęcia płaszcza. Był sfatygowany i niezbyt solidny, ale miałbym go na sobie, nawet gdyby śmiał się ze mnie cały dwór.

Kiedy weszliśmy do sali tronowej, nie było tam nikogo poza królem i pewną starą kobietą.

– Krawcowa! – zawołałem. Nie widziałem jej od dnia, w którym obudziłem się w królewskiej komnacie, słysząc, jak szyje.

– Tak, chłopcze, to ja, przyszłam porządnie was pożegnać.

Brasti prychnął.

– To mają być moje chmary rozkochanych kobiet?

– Nie wiem, czy rozkochanych – powiedziała Krawcowa. – Ale jeśli naprawdę tego potrzebujesz, chyba mogę z tobą pofiglować. – Wyszczrzyła do niego stare, krzywe zęby i wykonała wulgarny gest, którego nie powtórzę, nawet gdyby próbowało mnie do tego zmusić siedmiu świętych.

Zauważyłem, że król siedzi na dużej skrzyni.

– Ekwipunek podróżny? – spytałem.

– Można to tak określić.

Otworzył skrzynię. W środku była szorstka trzcina używana do pakowania, którą ostrożnie wyjął i ułożył na podłodze. Kiedy skończył, stanął z boku i przywołał mnie, żebym podszedł i zajrzał do środka.

W tej poobijanej drewnianej skrzyni zobaczyłem ucieleśnienie głupich ideałów małego chłopca: płaszcze, w sumie dwanaście, każdy z nich skrojony idealnie na miarę naszych ciał. Z zewnątrz

były wykonane z najmocniejszej skóry, jaką można sobie wyobrazić, a podszewkę miały z materiału miększego od runa i cieplejszego od wełny.

– Nie przemarzniecie w drodze z tymi cudёнkami na grzbiecie – powiedziała Krawcowa. – I nikt nie wbije wam z zaskoczenia noża w nerkę.

Pokazała nam zaszyte w skórze dziwne elastyczne płytki o fakturze kości. Powiedziała, że mogą zatrzymać pchnięcie nożem, a nawet strzałę. Pokazała nam sekretne kieszenie, kryjące małe ostrza, fragmenty mocnej liny, prawie wszystko, czego można potrzebować, by przetrwać długą podróż po bezdrożach.

Każdy płaszcz miał inny, subtelny wzór wytłoczony na płatach skóry z przodu. Król wyjął jeden ze skrzyni i mi go podał. Był zupełnie inny, niż myślałem, i dokładnie taki, o jakim marzyłem: pancerz, schronienie i urzędowe insygnium. Na prawej piersi zobaczyłem wytłoczoną delikatnie błękitną pertynię skrzyżowaną ze srebrnym rapierem.

– Chyba w końcu odkryliśmy, do czego ta pertynia została stworzona – stwierdził król.

Nie mogłem wydusić słowa, ale wziąłem od niego płaszcz i włożyłem go.

Nie wstydziłem się łez, jakie uroniłem tamtego dnia, podobnie jak pozostała jedenastka, której łzy obmyły do czysta ich twarze i całą przeszłość.

– Święci, dobrze, że zrobiłam je odporne na deszcz – powiedziała Krawcowa. – Przy tych tutaj pewnie często będą się moczyć.

Inni się śmiali, ale ja stałem bardziej wyprostowany i wyższy niż kiedykolwiek – i zachowałem ten moment w pamięci na zawsze, odporny na łzy i na smutek, bo była to najwspanialsza chwila w moim życiu.

PAŁAC KSIĄŻĘCY

Więc jak to się odbywa? – zapytał Brasti, kiedy jechaliśmy przed powozem szeroką brukowaną Aleją Pamięci w stronę pałacu książęcego.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, jak dokładnie ta nasza jaśnie pani zamieni się ze spiętej zdziury w królową świata?

Zerknąłem na karetę z Valianą i doradcą księcia, by upewnić się, że ani oni, ani woźnica nie zwracają na nas uwagi.

– Nie jestem całkiem pewien. Ma to chyba coś wspólnego z Radą Książąt i jej prawem do wyboru Regenta...

– Nie – powiedział Kest. – Jest tak tylko wtedy, gdy następcą tronu ma mniej niż trzynaście lat. Tu chodzi o *Regia maniferecto de'egro*.

– Że co proszę? – dopytał Brasti.

– To w staromowie; *regia* znaczy „władza”, *maniferecto* to „panujące prawo”, a *de'egro* znaczy „bogów”.

– Ach tak, teraz wszystko jasne.

– Trzeba było więcej czytać, a mniej pić podczas naszego szkolenia, Brasti.

– Nie każdy z nas może być chodzącą encyklopedią, Kest.

– Sądzę, że trybunowi bardziej się przydaje encyklopedyczna znajomość prawa niż różnych gatunków porteru.

Brasti uśmiechnął się.

– No widzisz, w tym właśnie się mylisz. Rozwiązałem więcej spraw za pomocą piwa niż ty ze swoją tajemną wiedzą o prawach, które nikogo nie obchodzą.

Feltock prychnął.

– Święty Zaghevie Co Śpiewa o Łzy, a więc to tak Wielkie Płaszczce rozwiązują problemy tego świata? Nic dziwnego, że wszystko jest popieprzone.

Kest puścił to mimo uszu.

– Cóż, tego prawa pewnie chciałbyś się nauczyć, a łatwo jest je zapamiętać: *Regia manifestecto de'egro*, czyli *Boski edykt o prawowitej władzy*, ma dokładnie siedem linijek. Stwierdza, że bogowie zgadzają się tylko na władzę króla lub królowej, nie Rady. Dalej stwierdza, że bogowie przepajają dynastię królewską wybraną krwią i pomyślność królestwa jest powiązana z jakością krwi władcy.

– Co za brednie – ocenił Brasti. – Krew to krew, póki jest czerwona.

– Niemniej jednak *Manifestecto* i, jak sądzą, książęta, mają inne zdanie.

– Więc co by pomyśleli bogowie o obecnej sytuacji? – spytałem, przypuszczając, że absolutnie nic. Większość z tych starożytnych tekstów była znana z niewielkiej liczby użytecznych szczegółów.

– Co zadziwiające – powiedział Kest, spoglądając przez ramię na powóz – *Manifestecto* faktycznie się do tego odnosi w siódmej, ostatniej linijce. Parafrazując, stwierdza ona, że królewska krew nigdy nie umiera, ale objawia się ponownie zgodnie z wolą bogów.

– No tak, bardzo przydatne – prychnął Brasti.

– Nie skończyłem. Zgodnie z wolą bogów, o czym zaświadcza ci, którzy mają w sobie szlachetną krew.

Do licha.

– A „szlachetna krew” oznacza tu...

Kest skinął głową.

– Książąt.

– Cóż, czy to nie jest dla wszystkich wprost cudownie dogodne? – skomentował Brasti, nieco zbyt głośno jak na mój gust. – Pieprzeni książęta mordują króla, a potem, według tego cholernego tajemnego prawa napisanego przez jakiegoś sprzedajnego kapłana, ci sami ludzie, którzy zabili króla, nagle w magiczny sposób potrafią określić, w czyich żyłach płynie teraz królewska krew. Dzięki świętym, że zostałem Wielkim Płaszczem, by walczyć o przestrzeganie takich dalekowzrocznych praw!

– Ale to chyba nie takie proste? – wtrącił się Feltock, masując sobie podbródek. – Bo gdyby to było takie proste, to spodziewam się, że książęta wybraliby szybko kogoś z własnego grona, nieprawdaż?

– Masz rację: to nie takie proste. Byłeś jednym z generałów księcia Pertynii. Myślisz, że stałby spokojnie, podczas gdy inny człowiek, równy mu urodzeniem, przejmowałby władzę? Do licha, pracujesz teraz dla Patriany: jak według ciebie czułaby się księżna Hervoru?

Feltock pociągnął łyk wina z bukłaka.

– Księżna nie zawsze jest najszczodrzejszą osobą. Pewnie masz rację. Więc dlaczego pozwolą objąć władzę mojej pani?

– Bo jest idiotką – rzucił lekkim tonem Brasti.

Dłoń Felтока opadła na rękojeść noża, który miał u boku.

– Trzymaj język za zębami, chłopcze. Nie wymagam, żebyś kochał jaśnie panią, ale wyrażaj się o niej z szacunkiem.

Brasti uniósł ręce w geście udawanej kapitulacji.

– Masz rację, masz rację – przyznał uprzejmie. – Biorąc pod uwagę jej pochodzenie, jest w zasadzie pieprzoną świętą.

– To nas do niczego nie prowadzi – powiedział do mnie Kest.

– Dlaczego? – zezłościł się Feltock. – Bo jestem tylko głupim starym żołnierzem, za słabym na umyśle na te wspaniałe rozważania Wielkich Płaszczy?

– Feltock... – powiedziałem. – Bez urazy dla jaśnie pani, ale prawda jest taka, że jest młoda, niedoświadczona, naiwna i bardzo łatwo nią kierować. Jeśli książę Rijou naprawdę jest jej ojcem, inni książęta prawdopodobnie widzą w niej swoją marionetkę. Samo Rijou nie dba o świat poza swoją domeną, więc Jillard najpewniej nie będzie się starał jej wykorzystać, by poszerzyć własne wpływy, a jego region jest całkowicie uzależniony od handlu, więc będzie chciał, żeby pozostali książęta byli zadowoleni. Valiana będzie się cieszyć z posiadania tego cudownego tronu i pięknych strojów jak dziecko ze szczeniaczka, tymczasem książęta będą uprawiali samowolę na swoich ziemiach.

– Cóż, cieszę się, że starałeś się nie być napastliwy.

– Jeśli chcesz coś wiedzieć o napastliwości, popatrz, co książęta regularnie robią młodym córkom wieśniaków na ich ziemiach – odparł Kest. – Albo co się dzieje z rodzinami, w których każdy o w miarę prostych plecach zostaje nagle zwербowany, by zbudować księciu jakąś śliczną świątynię albo pomnik lub żeby walczyć w jakiejś niepotrzebnej wojnie granicznej, by książę mógł się nazywać wojownikiem.

Feltock spojrzał na niego.

– Nie jestem głupi. Wiem, co może się stać, kiedy na tronie książęcym znajdzie się złe nasienie.

– Jeśli tak właśnie myślisz, to rzeczywiście jesteś głupi – powiedział cicho Kest. – Księcia, który traktuje swój lud inaczej, niż trzymając go za gardło żelazną pięścią, szybko odwiedzają jego wysoko urodzeni koledzy z rycerzami, których cały honor wyznacza to, jak szybko potrafią rozłupać wieśniakowi głowę na rozkaz swojego pana.

– No i co teraz? – przerwał mu Brasti. – Idziemy na ceremonię i to koniec?

– Nie, ale na pewno początek – odparł Kest. – Potrzebuje świadectwa rodowodowego, które muszą podpisać wszyscy książęta, inaczej później można by było kwestionować jej prawowitość. Nikt nie chce wojny domowej, nawet książęta.

– Pewnie sprowadzą też maga, żeby sprawdził ją za pomocą próby serca – dodałem.

– Jakiej znowu próby? – spytał Feltock. Widziałem, jak się spał. – Nie tkną mojej pani żadnymi kajdanami ani magią.

– To nie to, co myślisz – powiedziałem. – To tylko rytuał, poprzez który mag może rzekomo sprawdzić, co kryje się w jej sercu. Czy mówi prawdę, twierdząc, że jest córką Jillarda i Patriany? Czy żywi wrogość wobec książąt? Czy w jej sercu czai się zło? Czy planuje coś nikczemnego...?

– Jasnie pani potrafi być czasem trudna, ale nie ma w sobie zła ani przebiegłości.

Kest spojrzał na niego ze znużeniem.

– Właśnie. I dlatego książęta ją przyjmą, dlatego też będzie dla nich doskonałym narzędziem, dzięki któremu zrujną ten kraj raz na zawsze.

Potem Kest popatrzył na mnie. Nie potrzebowałem żadnej próby serca, by dokładnie wiedzieć, co myśli.

Pałac książęcy, tak jak wszystko inne w Rijou, był zbudowany na trzech poziomach narastającego rozpadu. Fundamenty powstały setki lat temu, kiedy mieszkańcy i mieszkanki Rijou walczyli jak żelazne niedźwiedzie przeciwko napastnikom z północy, południa i wschodu. Wykopali i przywieźli z odległych o wiele mil kamieniołomów niezniszczalny eiden, aby wzniesć fundamenty murów, których nigdy nie zdruzgoczą nieprzyjacielskie siły. Sama podstawa wykraczała poza obrys pałacu, tworząc promenadę, na której odbywały się główne miejskie uroczystości. Promenada była znana jako Skała Rijou – miejsce, w którym zebraliby się wszyscy mieszkańcy, gdyby znów musieli walczyć w obronie swoich domów.

Na tych szlachealnych fundamentach narosły setki lat zepsucia. Siedem książęcych rodów po kolei burzyło i odbudowywało sale balowe i komnaty pałacu, szpikując go tajemnymi przejściami i ukrytymi alkowami, lochami i pomieszczeniami przeznaczonymi do torturowania wrogów – był to jaskrawy strup szpecący ogorzałą skórę tego mimo wszystko wspaniałego ludu.

Ale jak każda dziwka pałac książęcy w Rijou nie lubił pokazywać swoich zmarszczek i blizn, więc obecny książę roztrwonił miejskie pieniądze, by ozdobić ogromne komnaty i korytarze szlacheтными metalami i obwiesić je drogimi tkaninami. Jak przy wielu innych formach obłędu jego objawy były bardzo wymyślne. Książęca sala balowa miała kilka poziomów. Położony na szczycie poziom diamentowy mieścił stół księcia, na poziomie złotym zasiadali faworyzowani przez niego wielmoża, srebrny zaś był dla tych, których lubił mniej. Wojskowi, kupcy i muzycy mieli poziom dębowy, gdzie znajdował się również parkiet do tańca, zaś leżący pod nim poziom żelazny mieścił kuchnię i inne pomieszczenia służbowe skryte za potężnymi wrotami.

Sala balowa i jej oświetlenie były zgrabnie pomyślane, tak że chociaż wszyscy widzieli kondygnacje nad sobą, co dawało im motywację, by zyskiwać łaski księcia, nikt nie widział tego, co pod nim, przez co mógł sobie tylko wyobrażać, co go tam czeka, jeśli nie uda mu się zadowolić swojego pana. Książę i jego specjaliści goście błyszczeli jak klejnoty podziwiane przez tych pod nimi, ale nie mieli potrzeby oglądać niższych klas – i książę niewątpliwie uważał ten porażająco idiotyczny układ za pokaz pewności, że nikt nie ośmieli się go zaatakować.

– Mógłbym go zabić w siedemnastu krokach – zauważył Kest, odłamując kawałek chleba.

– Przyjmij, że zabiłbym go w jednym, gdybym miał łuk – powiedział Brasti, gdy patrzyliśmy, jak mężczyźni w złotych liberiach podają główne dania na wyższych poziomach.

Feltock szepnął ze złością:

– Głupcy, przyjmijcie, że zginiemy, nie ruszając się z miejsca, jeśli nie zamkniecie jadaczek.

Spojrzałem wokół na pozostałych ludzi na poziomie żelaznym. Niemal wszyscy na tej kondygnacji pracowali: przynosili jadło i napoje, wynosili puste talerze do mycia, zamiatali zbite naczynia. Jedynymi ludźmi, którzy jedli z nami, byli przyboczni strażnicy czy inni słudzy arystokratów uznani za niewystarczająco zadbanych, by mogli usiąść za swoimi panami. Fakt, że wszystkie przeraźliwie niewygodne stoły i krzesła na naszym piętrze – pomimo wielkich kosztów – były zrobione w całości z szorstkich żelaznych prętów, mówił mi o księciu wszystko, co chciałem wiedzieć.

– Zaczyna się – zauważył Kest.

Książe powstał ze swojego połączanego tronu. Ciemnoczerwona szata nie kryła mocnej budowy jego ciała. Wokół pasa i ramion miał złotą szarfę, zaś na głowie nosił prostą koronę – tak naprawdę było to niewiele więcej niż spłaszczony złoty kołko, ale z przodu tkwił w niej największy brylant, jaki w życiu widziałem.

– Musi mu porządnie ciążyć – zauważył Brasti.

– Tss...

– Panowie i damy – zagrzmiał głos księcia.

– Jest tu też akustyka – powiedział Kest.

– Mógłbyś przestać go zachęcać?

– Przyjaciele! – ciągnął książę z uśmiechem. – Nie, nie tylko przyjaciele: moja rodzin! Gdy zbieramy się tutaj w przeddzień Ganath Kalila, naszego najważniejszego święta, w którym odnawiamy więzy sprawiające, że Rijou jest prawdziwą rodziną, moje serce jest pełne radości!

Rozległy się liczne owacje. Jak można się było spodziewać, wiwaty były oszczędniejsze, im niżej sięgałem wzrokiem.

– Moje serce jest pełne radości, a dusza rośnie, nie tylko dlatego, że dziś w moim życiu pojawiła się moja piękna córka... – Tu

wskazał na Valianę, która wyglądała olśniewająco w głębokim fiolecie, z delikatnie liliowymi klejnotami wplecionymi we włosy, wstając do wtóru okrzyków zachwytu zebranych. – Raduję się nie tylko z powodu ponownego połączenia się z córką, ale również dlatego, że była tak dobrze chroniona zarówno przez książęcych gwardzistów, jak i dzielnych trattari, którzy ryzykowali życiem, by bezpiecznie nam ją dostarczyć.

Publiczność wydała stłumiony okrzyk. Była to być może pierwsza miła rzecz, jaką powiedział o nas arystokrata od... cóż, pewnie od zawsze.

– No, to było naprawdę miłe – ocenił Brasti.

– Tak, ale dlaczego? – zastanawiałem się.

– I ta miłość i oddanie wobec mojej córki ze strony tak odmiennych moralnie osób pokazuje nam wszystkim...

– Aha – powiedziałem. – O to chodzi.

– ...ponadto pokazuje to nam wszystkim, ludziom, świętym i bogom, że Valiana jest i będzie tą, która chwalebnie zjednoczy wszystkie nasze ludy. Od najwyższych rodów do najpodlejszych przestępców...

– No, patrz, teraz nie jestem już pewien, czy faktycznie nas lubi – skomentował Brasti.

– Zamknij się na chwilę. To będzie teraz.

– ...cały nasz lud będzie kochał, podziwiał, a nade wszystko potrzebował Valiany, by ta poprowadziła nas w przyszłość. Przeszła próbę serca i bez jednej skazy czy śladu złej woli w swej duszy połączy nas w jeden lud, zjednoczony i wolny pod oświeconym panowaniem księżniczki Valiany!

Z poziomu złotego dobiegły gromkie wiwaty; ci arystokraci, którzy cieszyli się największymi względami, niewątpliwie zostali dobrze poinformowani, jakiego wybuchu entuzjazmu się od nich oczekuje. Na poziomie srebrnym słychać było jakieś przytłumione dźwięki i zdawało mi się, że rozróżniam okrzyki niedowierzania, a nawet złości. Na poziomie dębowym zapanowała

konsternacja, po której nastąpiła burza oklasków i wiwatów, nie dlatego, że zrozumieli, co się dzieje, lecz dlatego, iż zdali sobie sprawę, że lepiej będzie zacząć wyrażać radość z tego obwieszczenia. Wątpię, żeby kogokolwiek obchodziło, jakie dźwięki dobiegały z najniższego, żelaznego poziomu.

– Mogę ją zlikwidować, zanim przeszkodzą mi strażnicy – powiedział Kest. Potem odwrócił się do Brastiego. – Ale nie dam rady osiągnąć jednocześnie księcia. Schwytają mnie, zanim to zrobię. Możesz się tam dostać i zabić go, zanim cię złapią?

Brasti popatrzył na niego, potem na schody, które łączyły poziomy.

– Ja...

Feltock miał w dłoni nóż i był gotów rzucić się na Kesta.

– Na wszystkich świętych, zamknijcie się i siadajcie – rzuciłem.

– To jest to, Falcio – powiedział do mnie natarczywie Kest. – To tak zamierzają zniszczyć wszystko, o co walczył król. Powiedz mi dlaczego; podaj mi jeden powód, jeden ważny powód, dla którego nie miałbym zatrzymać tej burzy, zanim się zacznie?

Chwyciłem go za kark i pociągnąłem tak mocno, że jego nos znalazł się o cal od mojego. Spojrzałem mu w oczy.

– Bo. Nie. Jesteśmy. Kurwa. Zabójcami.

– Powinienem kazać was wszystkich zabić, przekłęci zdrajcy – warknął Feltock.

– Ależ spokojnie, przecież książę jest całym sercem za jednością, sam tak powiedział – wtrącił się Brasti. – Nie psujmy przyjęcia.

– Na swój pieprzony honor, cokolwiek jest wart. Przyrzeknij mi na swój pieprzony honor, że nie skrzywdzisz tej dziewczyny, albo przysięgam, czy z was Wielkie Płaszczce, czy nie, że pociągnę was wszystkich za sobą do siedmiu piekieł.

Obróciłem się do Feltock.

– Nazywam się Falcio val Mond. Jestem pierwszym kantorem Wielkich Płaszczy. Przysięgam, że ani ja, ani żaden z moich ludzi nie podniesie ręki na Valianę, czy będzie księżniczką, królową, czy tylko naiwną, przygłupią dziewczyną, do której przywykłem.

Kest nie odrywał ode mnie wzroku.

– Chcę to usłyszeć od niego – powiedział Feltock, wskazując nożem na Kesta.

– Jest tak, jak mówi – odezwał się łagodnie Kest. – Póki Falcio żyje i jest pierwszym kantorem Wielkich Płaszczy, nie podniosę broni na twoją panią.

Feltock odłożył nóż.

– No dobra, chyba mamy to ustalone na tyle, na ile się da – powiedział pogodnie Brasti. – Och, patrzcie, zaraz zaczną tańczyć. – Z tymi słowami ruszył w podskokach po schodach na poziom dębowy.

Nie mając ochoty na dalsze siedzenie w towarzystwie Kesta i Feltock, dołączyłem do niego.

Przyjść posłuchać muzyków i popatrzeć na tańce na wielkim owalnym parkiecie mogli wszyscy, od najwyższych do najniższych poziomów. Na pierwszy ogień poszło kilka uroczych żywych tańców ludowych urozmaiconych jednym tańcem z figurami i okazjonalnym wolniejszym tańcem dla par. Włączyło się tylko kilku arystokratów, ale sam książę w towarzystwie, jak podejrzewałem, przedstawicieli kilku ulubionych rodów zrobił parę obrotów na parkiecie. Brasti był jak zawsze bezwstydnym i tańczył z każdą kobietą, która mu na to pozwoliła. Już miał porwać do tańca młodą szlachciankę, lecz jej ojciec rzucił jej gniewne spojrzenie i ta szybko uciekła.

Co do mnie, to interesowałem się bardziej muzykami. Był ich cały tuzin, na niskiej scenie po prawej stronie parkietu. W większości bardzo młodzi, ale orkiestrę prowadził starszy człowiek,

który zdawał się nie nadawać do tego zadania. Miał długie siwe włosy w stylu trubadura, sięgające mu tuż za ramiona, a jego strój był całkiem elegancki, w książęcych barwach ciemnej czerwieni i złota. Twarz miał wysuszoną i pomarszczoną, ale kiedyś musiał być przystojny. I był ślepy. Zajęło mi chwilę, zanim zdałem sobie z tego sprawę, bo zdawało się, że ma lśniące niebieskie oczy. Potem uświadomiłem sobie, że nigdy się nie poruszały ani nie mrugały: tam, gdzie powinien mieć oczy, tkwiły kamienie szlachetne. Wpatrując się w niego dalej, zauważyłem jeszcze jedno: coś było nie tak z jego nogami. Nosił skórzane buty podróżne do pól uda, ale jego stopy pozostawały nieruchome, nawet kiedy reszta ciała kołysała się w rytm muzyki. Faktycznie nie każdy muzyk tupie obcasem, kiedy gra, ale nie przypominam sobie, żebym widział kiedyś takiego, którego stopy stałyby jak wmurowane w ziemię. „Ten człowiek musi nie mieć stóp – pomyślałem – i pewnie ma nogi unieruchomione jakimś drewnianymi łupkami wciśniętymi w buty”. Nie widziałem, jak wchodził na scenę, ale obok niego stał chłopiec, który miał nie więcej niż dziesięć lat i akompaniował mu na dudach. Widziałem, że trzyma dwie czarne laski. Co jakiś czas mężczyzna kładł dłoń na ramieniu chłopca i wystukiwał jakąś skomplikowaną sekwencję, po czym mały podawał mu wodę, zmieniał gitarę albo szeptał tytuł następnego utworu pozostałym muzykom.

Chociaż gapiłem się na niego przez całą wieczność, dopiero kiedy zabrzmiał wolny taneczny utwór pod tytułem *Zmierzch kochanków* i jego gitara zaczęła wygrywać tę falującą melodię, która zdawała się tak prosta, choć wiedziałem, ile trudu było trzeba, by ją zagrać, dopiero wtedy go rozpoznałem. Bal Armidor: człowiek, który przybył kiedyś do mojej wsi i śpiewał pieśni i historie, które wstrząsnęły moją duszą. Bal Armidor: człowiek, który śpiewał o Wielkich Płaszczach.

Dłonie Bala przebiegały szybko po strunach, a pozostali muzycy wplatali dźwięki swoich instrumentów w graną przez niego

melodię. Chłopiec zaczął na dudach, jednak po pierwszej zwrotce odłożył je i zaśpiewał pięknym dyszkantem, który dobrze pasował do tej piosenki. Ale przestałem zważać na muzykę, bo w głowie zrobił mi się mętlik. Skąd wziął się tutaj, w pałacu księcia, Bal Armidor? Myślałem, że dawno zniknął za wschodnimi pustyniami, gdzieś u Plemion Słońca, gdy ślubował zostać pierwszym zachodnim trubadurem, który opanuje muzykę Wschodu.

Kiedy piosenka się skończyła, zacząłem się przesuwając w stronę sceny, ale muzycy natychmiast zaczęli kolejny utwór, tym razem nieco szybszy, ale wciąż przeznaczony do tańczenia w parach.

– Zatańczysz ze mną, Falcio z Wielkich Peleryn? – dobiegło zza moich pleców.

Spojrzałem na Bala, chcąc dać mu jakiś sygnał, ale ten leciutko poruszył głowę w lewo i w prawo. „Nie teraz” – zdawał się mówić.

Odwrociłem się, żeby zobaczyć, od kogo pochodzi pytanie. Valiana wyglądała olśniewająco w swojej pięknej sukni, z włosami, które po wielu tańcach były w lekkim nieładzie, ale wciąż lśniły ozdobione klejnotami. Trin stała kilka kroków dalej, w prostej fioletowej sukni niewątpliwie dobranej tak, by pasowała do stroju Valiany. Na swój sposób była równie piękna jak każda księżniczka, a jednak stała tam, zawsze będąc tłem i zawsze sama. Zauważyła, że na nią patrzę, i opuściła wzrok.

– Wielkich Płaszcy – powiedziałem z roztargnieniem, skupiając znów oczy na Valianie.

– Co?

– Wielkich Płaszcy. Nie Wielkich Peleryn. Płaszcy.

– Ach tak, oczywiście, to ma sens, nieprawdaż? – zaśmiała się beztrudno. – A więc, czy zatańczysz, Falcio z Wielkich Płaszcy?

Rozejrzałem się i zobaczyłem kilku arystokratów, którzy rzucali mi piorunujące spojrzenia. Dostrzegłem uśmiechającego się księcia.

Pokręciłem głową.

– Nie, pani, ja...

– Wasza Wysokość – poprawiła mnie.

– Co?

– Jestem teraz księżniczką, Falcio, skoro to już oficjalne, wołę: „Wasza Wysokość”.

Ukloniłem się.

– Dziękuję za zaszczyt, Wasza Wysokość, ale obawiam się, że nie nadaję się do tańca.

Jej uśmiech zgaśł.

– Nie nadajesz się do tańca czy tylko do tańca ze mną?

– Boję się po prostu, że mógłbym nadepnąć na twoje królewskie paluszki, z trudem starając się nadażyć za własnymi stopami oraz zrozumieć, w co ty właściwie grasz.

Zerknęła szybko na księcia, potem na mnie.

– A więc ujmę to równie prosto: mój ojciec sądzi, że taniec z Wielkim Płaszczem będzie z mojej strony pokazem wielkiej pokory i pojednania. Jeśli tak ci będzie łatwiej, uznaj to za rozkaz swojej pracodawczyni.

Wzruszyłem ramionami od niechcenia, ale odezwałem się głośno:

– Jako twój podwładny, Wasza Wysokość, oczywiście przyjmuję – i ukloniłem się głęboko z prawą ręką za plecami, wyciągając lewą w jej kierunku z dłonią do góry. Stanowiło to zwyczajowe zaproszenie do tańca ze strony zalotnika, w tej sytuacji całkowicie niestosowne.

Byłem zaskoczony, kiedy przyjęła moją dłoń i lekkim krokiem weszła w moje objęcia, by rozpocząć taniec.

– Jakiś ty zmyślny, Falcio z Wielkich Płaszczy – szepnęła do mnie, gdy wirowaliśmy. – O ileż mądrzejszy i przebieglejszy od tej głupiotkiej dziewczyny, którą masz przed sobą. Poprosiłam o coś, co nic by cię nie kosztowało, ale nie spodobał ci się sposób, w jaki to zrobiłam, więc mnie upokorzyłeś.

– Może powinnaś była poprosić któregoś z pozostałych – odparłem.

Zaśmiała się.

– Którego? Tego, który chce mnie zamordować, czy tego, który chce zamordować mojego ojca?

Feltock musiał jej powiedzieć, co się stało.

– Ciekawi mnie jedna rzecz, pani. Jak...

– Chciałeś powiedzieć: Wasza Wysokość – przerwała Valiana.

– No tak, więc: jak dokładnie udało ci się przejść próbę serca?

To zakłęcie jest bardzo trudno oszukać.

– A myślisz, że musiałam jakoś oszukiwać? Że skłamałam o tym, kim jestem albo co zamierzam? Zdajesz sobie sprawę, że w czasach sprzed panowania króla Paelisa kwestionowanie honoru koronowanej głowy było uważane za zdradę?

– W takim razie, Wasza Wysokość, jestem zaskoczony, że nie jestem jeszcze w kajdanach.

Zignorowała moje pytanie.

– Dlaczego tak mną gardzisz, pierwszy kantorze Wielkich Płaszczy?

– Nie gardzę tobą, Wasza Wysokość. Ja się ciebie boję.

– Jakie dałam ci powody, byś tak się mnie obawiał?

Spojrzałem jej w oczy, szukając szyderstwa, ale znalazłem tylko szczere pytanie.

– Niewielkie lub żadnych, Wasza Wysokość – westchnąłem. – Ale nie okazałaś też żadnej mądrości i sądzę, że zostajesz wyniesiona na tron w wyniku spisku, by nadać fałszywą wiarygodność nowej dynastii królów i królowych, po raz kolejny całkowicie kontrolowanej przez książąt. Wątpię, żebyś była zła. Możesz być nawet miłą osobą. Ale książęta wykorzystają cię jak dobrze wytresowane zwierzę i staniesz się potworem dla tego świata. A moje zajęcie, Wasza Wysokość, polega na powstrzymywaniu potworów.

Zatrzymała się i prawie się o nią przewróciłem, ale mocno mnie trzymała.

– A więc dlaczego mnie nie zabijesz? Albo przynajmniej nie pozwolisz na to swojemu człowiekowi, który tak się do tego wyrywa?

Wbiłem spojrzenie w jej oczy.

– Bo mój król by tego nie pochwalił.

Przez chwilę stała nieruchomo, potem leciutko skinęła głową i znów weszliśmy w rytm tańca.

– Więc dlaczego tak podle mnie traktujesz? Jeśli jestem tak głupia, a ty tak sprytny, to czemu mi się nie przypochlebić, nie manipulować mną dla dobra twoich Wielkich Płaszczy, tak jak będą według ciebie robić mój ojciec i pozostali?

– Ponieważ, Wasza Wysokość, nie jestem taki jak oni i król nie pochwalałby i tego.

– Więc dlaczego...

– Wasza Wysokość – poprosiłem miękko – czego właściwie chcesz?

– Ja... – zbliżyła się do mnie i szepnęła mi na ucho tak cicho, że prawie jej nie usłyszałem: – Ja się boję.

Odchyliłem się do tyłu.

– Czy ktoś ci groził?

– To nie tak, nic nie odbywa się tu otwarcie. Po prostu w ich obecności wyczuwam, że jest tak, jak mówisz, oni mnie nie słuchają albo raczej słuchają, ale tylko po to, by się upewnić, że mówię to, co każą mi mówić. Moja matka...

– Wasza Wysokość, proszę mi wybaczyć, ale twoją matką jest księżna Patriana. Jeśli o niej mowa, nie mogę zagwarantować twojego bezpieczeństwa.

Valiana rozejrzała się.

– Kto mi zagraża? Nie widzę Kesta ani Brastiego.

– Ja, Wasza Wysokość. Ja.

– Och. Winisz ją za śmierć króla.

– Tak.

– Nie poczuwasz się do żadnej odpowiedzialności? Nie ma dla ciebie znaczenia, że król złamał starożytnie prawa, zerwał

długotrwałe paktów i umowy, które jego przodkowie zawarli z książętami?

– Mało mi o tym wiadomo, Wasza Wysokość. Wiem tylko, że ten kraj jest słaby, toczy go rozkład i chyli się ku upadkowi od tej masy niesprawiedliwości, którą zwala na niego arystokracja. Wiem tylko, że mój król próbował przynieść mieszkańcom tego kraju trochę uczciwości i miłosierdzia. Wiem tylko, że twoja matka i inni książęta go za to zabili.

– Falcio, jeśli naprawdę chcesz bardziej sprawiedliwego panowania, łaskawszych rządów, to mi pomóż. Zostań jednym z moich doradców. Rozważyłabym... rozważyłabym nawet ponowne zwołanie Wielkich Płaszczy, oczywiście przy pewnych kompromisach. Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać, kogoś, kto nie zabiega tylko o więcej władzy dla swojej rodziny czy rodu. Feltock mówi, że w ciebie wierzy mimo obiegowych sądów na wasz temat. Bądź lojalny, a przysięgam, że będziemy mogli pomóc ludziom, których, jak twierdzisz, chcesz ocalić.

Taniec się kończył.

– Pani... Wasza Wysokość, tego popołudnia powiedziałaś, że wstawisz się za rodziną, której dom będzie oblężony, gdy tylko rozpocznie się Tydzień Krwi.

– Nie zapomniałam.

– Ocal ich – powiedziałem jej na ucho. – Ocal jedną rodzinę.

Ostatnia nuta zawisła na moment w powietrzu, gdy odsuwaliśmy się od siebie i Valiana rzuciła mi niejednoznaczne spojrzenie. Ukłoniłem się, tym razem jak należy, nie jak zalotnik, i czekałem na jej znak, że mogę odejść.

Dygnęła w odpowiedzi. Zanim muzycy ponownie zaczęli grać, podniosła rękę i wszyscy umilkli.

– Mój panie, książę Rijou – powiedziała wyraźnym, władczym tonem.

Jej ojciec stał kilka stóp od niej, na skraju parkietu do tańca. Jego oczy były zimne jak stal.

- Tak, córko?
- Chcę cię prosić o przysługę.
- To nie najlepszy moment, moja śliczna.
- W Rijou jest pewna rodzina; jej los jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Roześmiał się.

– To Ganath Kalila, córko. Powinno się raczej powiedzieć, że ich los jest w ich rękach jak to zawsze było wśród silnych mieszkańców Rijou.

– Mimo to chciałam cię poprosić, żebyś otoczył ich swoją opieką.

Na sali powiało chłodem. Była to pierwsza groźna próba dla jej pozycji.

Ksiązę uśmiechnął się, potem podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Ten gest wyglądał na niewinny wyraz miłości, ale widziałem, że trzyma ją zbyt mocno, zbyt blisko. Wpychał swoją miednicę między jej biodra.

– Panowie i damy, wybaczenie mojej córce jej młodość i niedostatek wiedzy o świecie z dala od rodzinnego domu. Ale nauczymy ją, nieprawdaz?

Śmiechy i brawa. „Odgłos stu hien, które poczuły krew”.

Valiana odsunęła się od księcia.

– Najdroższy ojcze, masz słuszość. Muszę się wiele nauczyć. – Uklękła przed nim z rękami ułożonymi wzdłuż ciała w geście posłuszeństwa.

– Oczywiście, moja droga, to zrozumiałe, kiedy ktoś...

– Niemniej jednak... – powiedziała.

Sala znów ucichła.

– Niemniej jednak nalegam, by rodzina Tiarrenów była chroniona. Są oblegani w jak najpodlejszy sposób przez bandytów w czarnych strojach, a miejscy strażnicy ich nie bronią.

– Córko, jest Tydzień Krwi.

– Nie było go jeszcze, kiedy zablokowali wyjścia z ich domu.

Strażnicy powinni byli interweniować. Twój dworzanin, Shiballe, powinien był się w to wmieszać. Nie zrobił tego. W rzeczywistości nie dopuścił, by moi ludzie im pomogli.

Oczy księcia były jak węgle płonące wściekle wśród cienia, którym pokryła się jego twarz.

– Shiballe – powiedział i w mgnieniu oka ten obły, służalczy człowiek był u jego boku.

– Tak, panie?

– Zajmij się tym. Moja córka poprosiła mnie o coś. Poprosiła w obecności tu zgromadzonych, bym wziął odpowiedzialność za życie domowników rodu Tiarrenów. – Potem odezwał się głośniejszym głosem do zebranych wielmożów: – Panowie i damy, bądźcie absolutnie pewni: los rodu Tiarrenów leży na sercu mojej córce, a teraz i mnie. Wielce sobie cenię ich życie, podobnie jak to jest ze wszystkimi moimi poddanymi, ich przyszłość znalazła się w moich książęcych rękach i tylko ode mnie zależy. Dopilnuję, by moja wola została spełniona. Czy słyszeliście mnie, panowie i damy?

Rozległ się głosy aprobaty i Valiana wstała z kolan z uśmiechem.

– Dziękuję, ojcze, dzięki swej łaskawości urosłeś jeszcze w moim sercu.

Książę uśmiechnął się do niej, tym razem szczerze. Wydało mi się to niepokojące.

Ktoś pociągnął mnie za rękę – był to młody śpiewak.

– Teraz może z tobą porozmawiać – powiedział.

Chłopiec zaprowadził mnie do stołu przy podium dla muzyków. Pozostali grali dalej, ale Bał siedział przy stole z kuflem w dłoni. Usiadłem naprzeciw, chłopiec stanął u jego boku.

– Bał, to ja! Falcio...

Nie odpowiedział, tylko położył dłoń na ramieniu chłopca i wystukał coś palcami.

– Poznaje cię – powiedział chłopiec.

– Dlaczego nie mówi?

Bal otworzył szeroko usta i zobaczyłem szczątki jego języka.

– Świeci! – W swoim czasie Bal Armidor miał głos, który potrafił wybierać miód pszczołom i wykradł niejedną kobietę z objąć męża. – Co mu się stało? – wyszeptalem przerażony. – Czy to barbarzyńcy?

Znów zaczął stukać palcem w ramię chłopca.

– Mówi, że język ucieli mu na końcu.

– Co to znaczy?

Kolejna sekwencja stukania.

– Przybył tu wiele lat temu, w drodze na Wschód. Zatrzymał się, by grać dla księcia, licząc na to, że zarobi dość złota na swoją podróż.

– Co się stało?

– Księżu podobała się jego gra i obsypywał go pochwałami i nagrodami. Zaoferował mu stanowisko nadwornego trubadura. Bal odpowiedział, że dziękuje, lecz jak wszystkich bardów stopy śwędzą go, by ruszać w drogę.

Bal obiema rękami zdjął jeden but.

Poniżej piszczeli zamiast ciała i kości widniała drewniana noga inkrustowana złotem.

– Księżę w swej szczodrości rozwiązał za niego ten problem.

Bal na powrót wsadził nogę do buta i znów chwycił chłopca za ramię.

– Wtedy Bal wpadł w oko jednej z dam dworu i sam odwzajemnił jej uczucie. Księżę zasugerował im zakończenie romansu, bo sam miał pewne zamiary wobec tej kobiety. Zamiast niej zaproponował Balowi jedną ze swoich kochanek, a kiedy Bal stwierdził, że jego oczy są zwrócone wyłącznie na Seninę, księżę w swej życzliwości kazał mu je wyłupić i przesłać Seninie jako upominek. W swej nieskończonej hojności wynagrodził mu ten dar.

Klejnoty w jego oczodołach. „Święci, powinienem był pozwolić Brastiemu go zamordować”.

– Syn księcia, Tommer, polubił Bala i poprosił, by został jego guwernerem od muzyki i historii. Co było głupotą...

Bał mocno ścisnął chłopca za ramię i wystukał coś jeszcze raz.

– Bał zgodził się i uczył chłopca. Nauczył go muzyki, śpiewu i historii. Opowiadał o królach i...

– Wielkich Płaszczach. Powiedział mu o Wielkich Płaszczach, tak?

– Książę był wściekły i nakazał mu przestać – przekazał chłopiec. – Ale Tommer miał tylko siedem lat i nie rozumiał, dlaczego miałby nie mieć tego, czego chce. Bał kochał chłopca i uległ, ale opowiadał mu historie o Wielkich Płaszczach tylko w tajemnicy. Pewnego wieczoru podsłuchał go jeden z ludzi Shiballe’a i następnego dnia książę kazał wyrwać Balowi język.

Chwyciłem barda za drugą dłoń.

– Tak mi przykro, przyjacielu. Myślałem... myślałem, że pojechałeś na Wschód i tam zostałeś.

Bał zabrał rękę i pokręcił głową.

– Mówi, że nie potrzebuje litości. Mówi, że jeśli możesz, powinienś opuścić to miejsce jeszcze dziś wieczorem. Nie ma tu nic prócz cierpienia i śmierci. Mówi, byś wrócił do Lorda Karawan i przyjął propozycję Tremondiego.

– Tremondi nie żyje – powiedziałem.

Zarówno Bał, jak i chłopiec przez chwilę milczeli. Wreszcie bard wystukał coś bardzo krótkiego.

– W takim razie – powiedział powoli chłopiec – nigdzie nie znajdziesz nic prócz cierpienia i śmierci. Ale i tak musisz wyjechać.

– Ale muszę się dowiedzieć więcej, Bał może mi tyle powiedzieć o...

Bał rąbnął pięścią w stół, a potem z wściekłością wystukał coś na ramieniu chłopca.

– Mówi, że nie może z tobą mówić: ani teraz, ani nigdy. Dwie rzeczy pozostały mu na tym świecie: palce, by grać muzykę, i uszy, by ją słyszeć. Mówi, że nie możesz mu ich odebrać.

Oparłem się na krześle, zdając sobie nagle sprawę z obecności ludzi, którzy mogli nas zobaczyć, i z tego, że każdy z nich mógł szepnąć coś księciu do ucha i pozbawić Bała wszystkiego, co mu zostało z jego człowieczeństwa.

Wstałem.

– Pójdę – zacząłem się odwracać, ale nagle się zatrzymałem. – Ale... kim jesteś? Jego krewnym?

Chłopiec pokręcił głową.

– Nie. Zostałem przydzielony przez księcia, by służyć Bałowi podczas jego występów. Muszę już iść. Widzę, że wzywa mnie ojciec.

Chłopiec odszedł od stołu i ruszył z determinacją w kierunku schodów. Podążyłem za nim wzrokiem i zobaczyłem, że stoi tam książę z utkwionym we mnie spojrzeniem.

Kiedy z powrotem szedłem na poziom żelazny, znalazłem Kesta i Brastiego pijących z Feltockiem. Najwidoczniej się pogodzili.

– Falcio! – zawołał Brasti. – Odstawiłeś tam niezłe widowisko. Nigdy nie podejrzewałem, że masz to w sobie. Co dalej? Zatańczysz z księciem we własnej osobie?

Ścisnąłem go za ramię.

– Chodźmy stąd. Potrzebuję pokoju i łóżka. Rano złożymy wizytę pani Tiarren i sprawdzimy, co wie o czaroiach, a potem chcę uciec z tego miasta tak szybko, jak to możliwe.

– Idź – powiedział Brasti, wznosząc puchar. – Jeśli nie mogę księciu odebrać życia, to przynajmniej wypiję tyle jego wina, żeby choć trochę mu zaszkodzić.

Kest zajrzał do własnego kielicha mętными oczami.

– To byłoby trudne, Brasti. Skarbiec książęcy w Rijou jest pewnie dość obszerne. Musiałbyś...

– Zamknij się i napij się jeszcze wina – przerwał mu Brasti. – To może zająć chwilę.

Zostawiłem ich i wyszedłem z poziomu żelaznego na korytarz biegnący wzdłuż kuchni aż do kwater dla służby. Za rogiem prawie zderzyłem się z kobietą we fioletowej sukni. Było tam dość ciemno i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że jest nią Valiana. Po chwili zdałem sobie sprawę, że to Trin.

– Falcio – powiedziała. – Tak mi przykro, ja...

– Nic mi nie jest – nie dałem jej skończyć. – Wszystko w porządku? Nie powinnaś być z panią Valianą?

Poprawiła mnie:

– Księżniczką Valianą.

– Jak wolisz. Dlaczego tu jesteś?

– Ja... – Położyła mi rękę na ramieniu, po chwili zdjęła. – To bardzo odważne z twojej strony, że próbowałeś uratować tę rodzinę.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziałem. – To Valiana, księżniczka Valiana, tu ryzykuje.

Trin wywróciła oczami, a potem znów na mnie spojrzała.

– Jej ojciec książę i ten tłusty padalec będą wiedzieć, skąd wzięła ten pomysł. – Dłoń Trin znów znalazła się na moim ramieniu. – Poszukaj sposobu, żeby zrobić ci krzywdę.

Słyszając to, musiałem się roześmiać.

– Moja droga, książęta i ich wszystkie tłuste padalce szukają sposobów, żeby zrobić mi krzywdę od dnia, w którym po raz pierwszy włożyłem ten płaszcz. Niewiele mogę zrobić, by pogorszyć ten stan.

Wtuliła się we mnie.

– Chciałabym być choć w połowie tak odważna.

Zapach jej włosów był odurzający, podobnie jak dotyk krągłości jej ciała.

– Ty? – powiedziałem, kładąc ręce na jej ramionach i delikatnie ją odsuwając. – Valiana przepadłaby bez ciebie.

Trin zrobiła cierpką minę.

– Och, księżniczka mnie kocha, podobnie jak kochała swojego kota, kiedy była mała. Gdy kot zdechł, była wręcz zdruzgotana. Prawie przez cały dzień. Potem poprosiła o następnego.

– To na pewno nie... – słowa mi uciekły. Byłem zbyt zmęczony, żeby ją pocieszać, nawet jeśli miałyby poczuć się lepiej.

– Valiana obejmie tron – powiedziała Trin – a ty i reszta odedziecie szukać szczęścia gdzie indziej. Czy mnie zapomnisz, Falcio z Wielkich Płaszczy?

Spojrzałem na tę młodą kobietę, która okazała się jednocześnie bystra i cicha, piękna i nieśmiała.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe.

Uśmiechnęła się, jakbym dał jej jakąś nagrodę, i jej usta odrobinię się rozchyliły.

– Muszę iść – powiedziałem. – Jest późno, a ja chciałbym spędzić przytomnie w tym mieście tak mało godzin, jak to możliwe.

– Księżniczka kazała mi, żebym dziś w nocy zostawiła ją samą. Nigdy nie chodziłam po tym pałacu i nie odważyłabym się na to sama, choć słyszałam, że jest bardzo piękny. Może ty i ja moglibyśmy znaleźć powód, by nie iść spać?

Była śliczna i intrygująca, a nieczęsto dostaję równie urocze propozycje, przynajmniej odkąd moja żona Aline wypatrzyła mnie po raz pierwszy na tańcach na jarmarku i...

– Nie – powiedziałem. – Przepraszam, ale muszę iść.

Było mi jej żal, samotnej i zależnionej w tym gnieździe węży. Miała rację, chcąc znaleźć trochę piękna na tym świecie, jakieś towarzystwo, nieważne jakie.

– Może Brasti mogłby... – Natychmiast zdałem sobie sprawę ze swojego błędu, ale było już za późno.

Twarz Trin zrobiła się zimna i martwa jak nagrobek zimą.

– Dziękuję ci, pierwszy kantorze, za twoje mądre zalecenie. Zabrałam ci zbyt dużo czasu.

Minęła mnie i ruszyła korytarzem.

– Trin, zaczekaj...

Ale już jej nie było.

Stałem tam przez kilka minut, rozdarty między chęcią odnalezienia jej, przeproszenia i udania się razem do pokoju. Przyszła do mnie z miłymi słowami i życzliwymi zamiarami, a ja ją tak odprawiłem. Było sto rzeczy, które mogłem powiedzieć, by jej odmówić, okazując jej jednocześnie współczucie. Zamiast tego sprawiłem, że poczuła się jak dziwka. „Święci – pomyślałem, kierując się do nędznego pokoiku, który dostaliśmy do spółki z Kestem i Brastim – wyciągnijcie mnie z tego przeklętego przez bogów miasta, zanim zepsuję coś jeszcze”.

PRZYSIĘGA TCHÓRZA

Widok zgliszcz rezydencji tamtego ranka był jedną z najgorszych chwil w owej idiotycznej porażce, jaką było moje życie. Kilka fragmentów ścian jeszcze stało, ale reszta stanowiła tylko skorupę rozpadającą się powoli na tłące się kawałki podtrzymywane przez wysokie kamienne płyty, które postawiono po to, by nie pozwolić komukolwiek uciec z domu, podczas gdy napastnicy roztrzaskiwali kolejne beczki oliwy na budynku, zanim go podpalili.

Valiana była warta tyle, ile jej słowo. Poprosiła księcia, swojego ojca, by ten obiecał wolność pani Tiarren i jej dzieciom, gdy ta się podda, a on zgodził się aż nazbyt chętnie: jakby był to prezent powitalny dla dziecka. Lecz napastnicy podnieśli klejnot herbowy wyrzucony na znak kapitulacji i oblali go oliwą, a potem wydali go na pastwę ognia razem z całą resztą, patrząc, jak wszyscy domownicy duszą się i giną w płomieniach.

Był ze mną Kest. Feltock próbował zatrzymać panią Valianę w jej karecie razem z Shiballe'em, ale ta odepchnęła go i dołączyła do nas przy zgliszczach z łkającą w milczeniu Trin u boku. Feltock nie był głupi. Miał przy sobie pistolet gotowy do strzału, na wypadek gdybym chciał zabić Valianę.

– Daj spokój – powiedział Feltock. Słyszałem lęk w jego głosie. – Ojciec księżniczki polecił jej zabrać świadectwo rodowe do Hervoru. A my mamy robotę. To wszystko, czego powinniśmy się trzymać, wszystko, co możemy zrobić. To nie jest sprawa dla takich ludzi jak ty i ja.

Valiana wypowiedziała moje imię, miękko, niepewnie:

– Falcio...

– Jestem w tej chwili nieco zajęty, Wasza Wysokość – odrzekłem.

Głos miałem spokojny, naturalny. Nie byłem głupi. Nie zamierzałem dać się zabić tylko po to, by uśmierzyć swoje poczucie winy z powodu śmierci rodziny Tiarrenów. Dla nich było już za późno i wszystko, co pozostało, to porządnym pogrzeb i bezsensowna zemsta.

– Powiedz to, trattari. Wiem, że chcesz – powiedziała do mnie.

Jeśli ta kobieta myślała, że wie, czego chcę w tej właśnie chwili, to musiała być niespełna rozumu.

Feltock zawołał:

– Jasnie pani, proszę, jest ich trzech! Nie mam pewności...

– Obwiniasz mnie za to, prawda? Myślisz, że jestem niegodziwa. No, powiedz to – zażądała.

Kest trzymał dłoń na rękojeści rapieru. Był gotowy na to, że stracę panowanie nad sobą, że Feltock mnie zastrzeli, a potem on, Kest, szybko jak błyskawica dobędzie rapiera i podetnie Valianie gardło. I co potem? Oczekiwanie na pojawienie się kolejnego durnego książęcego potomka, który zostanie kolejnym tyranem – co to rozwiąże? Kiedy to się wreszcie skończy?

– Nie – powiedziałem cicho. Nie wiedzieli chyba, do kogo mówię, bo wszyscy się zawahali. – Nie, Valiano, księżno, królowo, cesarzowo czy jak tam chcesz, żeby cię nazywać. Nie obwiniam cię.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami i lekko rozchyliła usta, ale nic nie powiedziała.

Czekała na rozgrzeszenie.

Ale ja go dla niej nie miałem.

– Wierzę w zło, pani. Widziałem je. Widziałem je we własnym domu i w najodleglejszych zakątkach tego kraju. I tak, zobaczyłem je tutaj, w Rijou. Widziałem je w Shiballe'u z jego fałszywymi uśmiechami i sekretnymi planami i widziałem je w księciu, kiedy poprosiłaś go, by się powstrzymał ze względu na rodzinę Tiarrenów, a jego oczy rozbłysły zadowoleniem ze świetnego dowcipu. Wymierzałem takim ludziom sprawiedliwość. Nawet zabijałem, kiedy było trzeba. I pewnego dnia Shiballe i księżę Jillard znajdą rapier Wielkiego Płaszczu wbity w swoje brzuchy. – Podniosłem kawałek wciąż żarzącego się drewna i przez chwilę pozwoliłem mu parzyć moją dłoń, aż w końcu upuściłem go na ziemię. – Ale większość strasznych rzeczy, do których dochodzi w tej krainie, nie dzieje się tak naprawdę przez złych ludzi, tylko przez ludzi bezmyślnych. Poborcę podatków, który nigdy nie pomyśli, czy zbiory w danym roku nie są aby za małe jak na liczbę sztuk srebra, które właśnie odebrał, stanowiącą cały zarobek rodziny. Żołnierza, który nigdy nie zgłasza wątpliwości, dlaczego kazano mu wziąć baryłki z oliwą i skazać matkę i jej dzieci na śmierć w płomieniach. I kobietę, jeszcze prawie dziecko, która myśli tylko o tym, jak wspaniale będzie mieć wielki zamek i ładny tron, i nigdy się nie zastanawia, dlaczego uruchomiono tyle intryg, by ją na nim posadzić. Więc nie, Valiano, pani, księżno, księżniczko. Nie uważam, że jesteś niegodziwa. Myślę, że jesteś kimś o wiele gorszym.

Spojrzała na mnie, a potem zatoczyła się do tyłu i Kest z refleksem szybszym od jego świadomego zamiaru złapał ją, zanim upadła na ziemię. Feltock wykazał dość mądrości, by zachować spokój i pozwolić Kestowi zanieść ją do karety.

Wysiadł z niej uśmiechnięty Shiballe. Ale zadowolona mina zniknęła, gdy spojrzał gdzieś za mnie. Trin, która patrzyła w tę samą stronę, zbladła.

Odwrociłem się i zobaczyłem, jak ktoś wychodzi z gruzów domu: dziewczynka najwyżej dwunasto-, trzynastoletnia. Cała była pokryta sadzą i wyglądała na zdezorientowaną. Zachwiała się, więc podbiegłem do niej, podczas gdy Kest pospieszył do juków. Wyniosłem dziewczynkę ze zgliszczy, które były kiedyś jej domem, i położyłem na ławce po drugiej stronie ulicy, nieopodal powozu. Kest podał mi wodę i bandaż. Myślałem, że jej skóra może być osmalona, ale po przemyciu rąk wodą okazało się, że wcale nie była dotkliwie poparzona.

– Jak jej się udało przeżyć? – spytał Kest.

– Nie wiem – powiedziałem.

Shiballe wezwał strażników i zaczął coś do nich szeptać.

Dziewczynka otworzyła oczy i kaszlnęła. Dałem jej trochę wody i wypila ją duszkiem, ale kiedy próbowała się odezwać, dopadł ją atak kaszlu.

Zaczekałem, aż minie, a potem dałem jej jeszcze wody.

– Nie mów, jeśli to boli – powiedziałem.

Pokręciła głową.

– Mogę... mogę mówić – stwierdziła.

– Ta dziewczynka pójdzie ze mną – oznajmił Shiballe, zbliżając się do nas.

– Zrób jeszcze jeden krok – powiedział Brasti – jeszcze jeden krok, ty mała tłusta szkarado...

– Jest obywatelką Rijou i zgodnie z tym, co książę...

– Książę jakoś, kurwa, nie spisał się w tej sprawie najlepiej, co?

– Jak ci się udało przeżyć? – spytałem dziewczynkę.

Znów kaszlnęła.

– Pod podłogą – wychrypiała. – Kiedy matka wyrzuciła klejnot herbowy i ci ludzi podpalili go, zamiast nas wypuścić, powiedziała nam, żebyśmy poszli do kryjówki pod podłogą. Ale było za mało miejsca, tam jest tak ciasno, a moi bracia chcieli walczyć, co było głupie, bo nie da się walczyć z ogniem mieczami.

A potem ci najmłodszy przybiegli, ale nie mogłam ich wpuścić, bo coś ciężkiego spadło na właz. Na dole wszystko jest z kamienia, więc ogień nie mógł mnie dosięgnąć, i miałam wodę i ręczniki, żeby osłonić sobie twarz. – Wzięła kolejny łyk wody. – Cały czas próbowałam, ale nie mogłam się wydostać spod podłogi, a potem pewnie wypaliło się to, co przygniotło właz...

– Falcio – odezwał się Kest. – Popatrzyłem na niego. – Jest ostatnią z rodu Tiarrenów. Jeśli ktoś ją zobaczy, już po niej.

– Shiballe ją widział – zauważył Brasti. – Proponuję zabić go od razu.

– Wtedy sami zginiemy – powiedział Feltock. – Obawiam się, chłopcy, że musimy ruszać.

Utkwiłem w nim wzrok.

– Jak możesz służyć Valianie teraz, kiedy zobaczyłeś, jaka jest cena?

W oczach starego był smutek.

– Chłopcze, jestem żołnierzem. Służę jednemu panu naraz i robię, co mi każą. Tak jak i ty, jeśli nie jesteś głupi.

– Dziewczynka pojedzie z nami – rzekła do mnie Valiana, wychodząc z powozu. – To ostatnia rzecz, jaką możemy zrobić. – Nic nie odpowiedziałem. – A ja jestem ostatnią z kobiet, czyż nie? – skończyła.

Jej ton był gorzki, ale nie wiedziałem, czy kierowała to do mnie, czy do siebie.

Kest spakował bandażę.

– Musimy wyjeżdżać. Niedługo będzie ciemno i znów zaczną się walki.

– Obawiam się, że nie pojedzie – powiedział Shiballe mający swoich ludzi za plecami.

– Jakim prawem mi się sprzeciwiasz, Shiballe? – spytała Valiana z mieszkanką niepokoju i złości w głosie.

– Wasza Wysokość, wciąż panuje tu książę, twój ojciec. Jasno to rozkazał.

- Rozkazał ją chronić.
- Nie, Wasza Wysokość, rozkazał zatrzymać ją tutaj, w Rijou. Zadbaj o nią, jak uznasz za stosowne.
- Nie wyjadę – powiedziała dziewczynka.
- Widzicie, mała wie, że jej miejsce jest tutaj, z jej ludźmi.
- Tymi, których zmasakrowałeś – powiedział Brasti.
- A ty masz na to jakiś dowód, prawda, obdarty płaszczu?
- Dziewczynka idzie ze mną – stwierdziła stanowczo Valiana.

– W takim razie, Wasza Wysokość, nie dotrzesz żywa do zewnętrznej bramy. Zginiesz za spisek w celu przeszkodzenia obywatelowi Rijou w pełnieniu jego obowiązków wobec księcia.

– Mój ojciec nigdy by...

– To zdrada, Wasza Wysokość. Twój ojciec będzie zasmucony swoją stratą. Ale to wszystko.

Valiana spojrzała na mnie.

Odwzajemniłem jej spojrzenie i nie mogła znieść tego, co było w moich oczach.

– Mój ojciec przyrzekł w obecności swoich arystokratów, że będzie chronił jej rodzinę!

– Nie, Wasza Wysokość. Przyrzekł przyjrzeć się tej sprawie osobiście i upewnić się, że wszystko odbędzie się zgodnie z jego wolą, i to właśnie zrobił.

– Musi być jakiś sposób – powiedziała błagalnie do Shiballe'a.

– Dziewczynka tu zostanie. Zostanie aż do końca Ganath Kalila. Jeśli do tego czasu pozostanie przy życiu, w Poranek Łaski będzie mogła wejść na Skalę Rijou, gdzie jej nazwisko wypowie mędrzec miejski i jej obecność zostanie odnotowana.

– Jakże ma, do licha, szanse na przeżycie bez rodziny? – domagał się odpowiedzi Brasti.

– To nie ja zmusiłem jej matkę do podjęcia tak niemądrych decyzji w kwestii tego, kogo wpuszczała do łóżka, i nie ja dorażdałem jej mężowi, by to tolerował.

Dziewczynka próbował rzucić się na Shiballe'a, ale Kest łagodnie ją przytrzymał i posadził na ławce.

– Księżę Jillard zabiłby kobietę i jej całą rodzinę, bo tak go martwi cudzołóstwo? – spytałem napiętym głosem, zbliżając dłoń do rękojęści rapiera.

Shiballe uśmiechnął się.

– Nie w tym rzecz. To wybór kochanka zmartwił księcia.

– Chodź, dziewczynko, chodź ze mną. Znajdziemy jakieś wyjście – powiedział do niej Kest.

– Nie – odparła stanowczo.

Utkwił w niej wzrok.

– Jak to „nie”?

Dziewczynka podniosła się, odpychając rękami od oparcia ławki.

– To prawda: jest Tydzień Krwi. Jeśli nie przyjdę na uroczystość księcia na koniec tygodnia, moje nazwisko rodowe, wszystko, co mamy, stanie się własnością ludzi, którzy to zrobią. Moje nazwisko i prawo krwi przepadnie na zawsze. – Spojrzała na mnie z rozpaczą. – Nie zrobię tego – powiedziała. – Nie ucieknę.

– Więc zginiesz – stwierdził Kest najzyczliwiej, jak potrafił.

– Jestem sprytna – odparła. – I mała. Ukryję się w mieście, będę w ciągłym ruchu. Muszę tylko przeżyć ten tydzień, a potem być tam, żeby moje nazwisko znalazło się na liście księcia.

Nie wierzyłem w to, co słyszałem. To dziecko, kilkunastolatka, przed chwilą straciła wszystko, całą rodzinę, a teraz, jakby tego było mało, miała zginąć z ręki ludzi księcia, Shiballe'a albo jeszcze kogoś za przewinienie, w którym nie miała absolutnie żadnego udziału. A jednak jej odpowiedź brzmiała: zostaną i będę walczyć.

– Jak masz na imię, dziewczynko? – spytałem.

– Aline – powiedziała. – Aline Tiarren.

Serce mi zamarło i pociemniało mi w oczach.

Kest położył mi dłoń na ramieniu, ale ją strząsnąłem. To było imię, to wszystko – rzadko spotykane, to prawda, ale jednak imię. Głupie imię nadane małej dziewczynce, która nie miała na ten temat nic do powiedzenia. Ukląknę przed nią.

– Wiesz, kim jestem? – spytałem.

– Jesteś Wielkim Płaszczem – powiedziała. – Jednym z królewskich trybunów.

– A wiesz, czym się zajmujemy?

– Falcio... – ostrzegł mnie Kest.

Uniosłem rękę i puściłem to mimo uszu.

– Wiesz, co robimy? – spytałem ponownie.

– Rozpatrujecie sprawy – odpowiedziała. – Wydajecie wyroki. Walczycie.

– Rozpatrujemy sprawy, wydajemy wyroki i walczymy. Popełniono zbrodnię, Aline. Czy chcesz, żebym rozpatrzył twoją sprawę? Chcesz, żebym wydał wyrok? – Zrobiłem pauzę. – Aline, czy chcesz, żebym walczył?

Dziewczynka popatrzyła mi w oczy, jakby oceniając moją szczerość. Potem odrzekła:

– Chcę, żebyś walczył.

– Falcio – zaczął Kest. – Nie możesz tego zrobić. Uгода...

– Pieprzę ugodę – rzuciłem, wstając i odpychając go. – I ciebie też, Kest, jeśli to wszystko, na co cię stać. Jakie jest twoje rozwiązanie? Jaką masz odpowiedź? Słuchaj... – szepnąłem mu wściekle do ucha. – Nie wiemy nawet, co tu się dzieje. Co, jeśli Tiarrenów zabito po to, żeby nie mogli nam powiedzieć, gdzie są królewskie klejnoty? Co, jeśli ta dziewczynka coś o tym wie? Tylko utrzymując ją przy życiu, możemy znaleźć sposób, by powstrzymać książąt. Ona jest ważna, jestem tego pewien.

– Pani – powiedziałem zdecydowanie do Valiany – czuję skurcz w nodze. Obawiam się, że spowolniłbym twoją podróż, gdybym z tobą pojechał. Proszę o pozwolenie na odpoczynek, po którym niebawem do ciebie dołączę.

– Kiedy? – zapytała.

– Za dziewięć dni. Jestem przekonany, że do tego czasu mój skurcz zniknie.

Popatrzyła na Feltocka, na Kesta, na Shiballe'a. Jakiegokolwiek odpowiedzi u nich szukała, nie znalazła jej.

– Jesteś mi zawadą, trattari. Mój pan i ojciec wyraził się jasno: mam zabrać swoje świadectwo rodowodowe i najszybciej, jak się da, udać się na północ, by rozpocząć przygotowania do koronacji. Nie mogę sobie pozwolić na dalsze opóźnienie z twojego powodu.

– Wasza Wysokość... – zaczął Shiballe.

– Milcz. Słyszałam twoje instrukcje wystarczająco dobrze: nie mogę zostać, nie mogę zabrać dziewczynki. Dobrze więc, Falcio val Mond, nakazuję ci zostać tu, aż będziesz mógł pod różować.

– Tak, pani.

– Wasza Wysokość – powiedziała Trin z zatroskaną miną – to zbyt niebezpieczne. Całe miasto będzie próbowało ich zabić. Lepiej idź do swojego ojca, księcia, wyblągaj u niego, żeby pozwolił ci zabrać dziewczynkę. Możesz ją ocalić, dać jej dom, tak jak twoja ukochana matka księżna zrobiła ze mną.

– Zapominasz się, Trin – rzuciła Valiana, nie patrząc w jej kierunku.

– O tak – powiedział Shiballe. – Zasięgnięcie porady u twojego ojca byłoby najmądrzejszym rozwiązaniem.

Zastanawiałem się, czy Trin rzeczywiście była tak naiwna, by uwierzyć, że Valianie udałoby się przekonać księcia, po tym jak ten potraktował jej prośbę. Raczej by ją upokorzył jeszcze mocniej.

– Ponadto – powiedziała Valiana – poczułam wyjątkową sympatię do tej dziewczynki. Chciałabym lepiej ją poznać. Jeśli Ganath Kalila dobiegnie końca, zanim wyleczysz nogę, nakazuję ci przywieźć dziewczynkę do mnie.

- Tak, pani.
- Wciąż dla mnie pracujesz, obdarty płaszczu. Jeśli któremuś z moich szczególnych przyjaciół tu w Rijou przysporzą kłopotu czyjeś maniery, możesz udzielić sprawcy nagany w moim imieniu.
Popatrzyłem jej w oczy.
- Tego możesz być pewna, pani.
Odwzajemniła spojrzenie.
- Świetnie. Feltock, szykuj ludzi i jedźmy. Zaczynam się niecierpliwić, by dokończyć podróż.
- Tak jest, Wasza Wysokość – powiedział Feltock.
Odwrocił się do mnie na chwilę.
- Miło cię było poznać, trattari. Ale jesteś przeklętym głupcem.
Kest, Brasti, dziewczynka i ja byliśmy poza zasięgiem słuchu Shiballe’a i jego ludzi, którzy stali kilka stóp dalej.
Kiedy grubas zaczął wydawać polecenia swoim ludziom, Brasti powiedział cicho:
– Nie wygrasz tego. Jest ich zbyt wielu. Całe to miasto to kłębówisko węży i każdy z nich będzie cię kąsał, żeby zyskać w oczach księcia.
– Miecz mi niestraszny – powiedziałem napiętym głosem.
– Falcio, zabijaj cię, i dziewczynkę!
– Nie ucieknę, Brasti. Sam to powiedziałeś: ciągle tylko uciekamy i donikąd nas to nie doprowadziło.
– Więc jak? Wyjaśnij mi to: nawet jeśli jakimś cudem zdołasz przetrwać Tydzień Krwi, to nigdy, przenigdy nie puszczą ci tego płazem. Co wtedy zrobisz?
– Pójdę na Skałę – odpowiedziałem. Spojrzałem na Kesta. – Nic nie mówisz.
Ten zaczął wyciągać coś z tobołka.
– Proszę – powiedział, podając mi małą paczuszkę. – Tyle mi zostało twardej lukrecji. Powinno pomóc ci nie spać.
– Na wszystkich świętych, myślisz, że dam radę? Ty byś dał?

– Myślę, że nie – powiedział Kest – ale zaczekam do końca Tygodnia Krwi i jeszcze pięć dni, żeby się przekonać. Falcio, jeśli do tej pory nie wrócisz, zabiję ją. Nie zasiądziesz na tronie w zamku Aramor, mogę ci to obiecać.

Odwrócił się i odszedł w stronę powozu. Podniosłem mały kamyk i rzuciłem w niego, trafiając w tył głowy. Obrócił się, gotowy do walki.

– Chciałem ci tylko przypomnieć, że czasem jednak udaje mi się ciebie zaskoczyć – powiedziałem spokojnie.

Nie uśmiechnął się.

Podeszła do mnie Trin.

– Ukryj się – szepnęła mi do ucha. – Podobno w tym mieście jest tysiąc miejsc, gdzie ludzie mogą zniknąć na wiele tygodni, a nawet miesięcy. Ukrywaj się tak długo, aż będzie bezpiecznie, i wywieź dziewczynkę z miasta. Trzymaj się z dala od Poranka Łaski, nie słuchaj tego, co mówi ta mała. Jej nazwisko nie jest warte jej życia.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – powiedziałem.

– Zrób więcej – odparła i pocałowała mnie w policzek, po czym biegiem dołączyła do Valiany.

– Co oni robią? – spytała Aline, wskazując na Shiballe'a.

Wyglądało na to, że jego dwaj strażnicy rozstawiali mu na ulicy krzesło.

– Chcą się upewnić, że nie odejdziemy – powiedziałem. – Nie przed zachodem słońca, kiedy zaczną się Ganath Kalila i walki.

– I co wtedy? – spytała.

– Wtedy zaczniemy – odparłem.

Brasti wyruszał jako ostatni. Wyrzucił w górę rękę.

– No dobrze. Do widzenia, Falcio. Byłeś niezłym towarzyszem, chociaż czasem nieco pretensjonalnym. Mam nadzieję, iż zdajesz sobie sprawę z tego, że zamierzam odtąd okradać każdego pieprzonego trupa, jakiego napotkam.

Uśmiechnąłem się.

– Tak chyba będzie uczciwie.

Odszedł, przystając tylko na chwilę, by odwrócić się i powiedzieć:

– O zachodzie słońca wystrzelę dla ciebie strzałę, Falcio. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

Zawsze coś.

Konieczność cierpliwego czekania, aż zajdzie słońce, po to, by trzech ludzi mogło cię zabić, to dziwaczne uczucie.

Shiballe kazał jednemu ze strażników przynieść mały stół, na którym postawił butelkę wina, żeby umilała mu czas. Trzymał pistolet na kolanach i co jakiś czas przesuwiał dłoń po gładkiej drewnianej kolbie. Dziewczynka starała się nie zasnąć, ale wyczerpanie przemogło strach i spała teraz na ławce o kilka stóp ode mnie.

– Zostało jeszcze kilka minut, trattari – powiedział Shiballe, sącząc wino. – Jesteś pewien, że nie wolisz dołączyć do przyjaciół?

Nie zadałem sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Kiedy jest się w takiej sytuacji jak ta, każdy ruch, każde słowo musi służyć temu, by zdobyć przewagę. Musiałem wprowadzić Shiballe'a i jego ludzi w stan napięcia, czyli najważniejsze było wycucie czasu.

– Zastanawiam się, trattari, co powoduje, że człowiek stoi sobie w zupełnym bezruchu, podczas gdy przychodzi po niego śmierć? Czy to dlatego, że nie boisz się śmierci? A może jeszcze bardziej boisz się życia?

Poczekąłem jeszcze chwilę, aż przestał czekać na odpowiedź i wrócił do wina.

– Jak się nazywasz? – spytałem najbliższego z trzech strażników.

– Milcz! – zawołał Shiballe, zanim ten się odezwał.

Nie zwracałem na niego uwagi.

– Ja jestem Falcio – powiedziałem.

– Nie masz imienia, obdarty płaszczu! – odparł Shiballe.

Wciąż wpatrywałem się w strażnika.

– Jestem Falcio val Mond i jestem pierwszym kantorem Wielkich Płaszczy. Wiesz, co to znaczy? – zapytałem.

Strażnik nic nie powiedział, ale lekko otworzył usta i pomimo starań, by się nie ruszać, pokręcił głową.

– To znaczy, że cokolwiek stanie się ze mną i cokolwiek stanie się z tą dziewczynką, oraz cokolwiek wasz tłusty przyjaciel zrobi z zabawką, którą właśnie głaszczcie, ten z was, kto stoi najbliższej mnie, kiedy zajdzie słońce, pójdzie do tego z piekieł, które czeka na ludzi zdolnych do zamordowania dziecka.

– Przestań gadać do moich ludzi, obdarty płaszczu! – Shiballe rzucił we mnie swoim prawie opróżnionym kielichem.

Pogratulowałem sobie, że nawet nie drgnąłem, kiedy ten uderzył mnie w prawe ramię i upadł, roztrzaskując się o ziemię.

Drgnęli jednak ludzie Shiballe’a.

– Nazywam się Falcio val Mond – powtórzyłem.

– Powiedz to jeszcze raz, chyba zapomniałem – warknął Shiballe. – No, dawaj, trattari, jak się nazywasz?

– Wiesz, jak się nazywam – powiedziałem miękko, wciąż wpatrując się w człowieka na wprost mnie.

– Ale ja naprawdę nie pamiętam. Proszę, przedstaw się jeszcze raz.

– Wiesz, jak się nazywam – powtórzyłem.

Stojący przede mną strażnik podświadomie bezgłośnie wymówił moje imię. Niemal niezauważalnie przesunął się o kilka cali do tyłu, przez co znalazł się tuż za drugim strażnikiem, który poczuł się wyraźnie nieswojo. Dobrze. Boją się. Będą ostrożni, kiedy się zaczniesz, a ostrożność nie zawsze jest dobra w takich sytuacjach.

– Następnym, który ruszy się o włos, zginie – powiedział Shiballe, mierząc z pistoletu w drugiego strażnika.

– Zostaw to mnie – rzuciłem i Shiballe szarpnął pistoletem w moją stronę.

Uśmiechnąłem się lekko, dla efektu.

– Jak się nazywam? – spytałem.

– Nie wiem. Nie pamiętam imion psów – odparł Shiballe.

– Wiesz, jak się nazywam.

– Zaraz cię zabiję, psie – powiedział, ale była to raczej czcza pogróżka.

Nikt w Rijou nie złamałby tego jednego prawa Tygodnia Krwi, nawet on. Z drugiej strony ostatnie promienie słońca właśnie gasły.

– Dziewczynko – powiedziałem – stań sześć stóp za mną i zostań tam, aż będzie po wszystkim.

Wstała i natychmiast zaczęła kasłać, na pewno z powodu dymu, którego nawdychała się w swoim domu, podczas gdy jej matka i bracia palili się w nim na śmierć, ale wyglądała raczej na oszołomioną niż przestraszoną, gdy kryła się za moimi plecami.

– Jak się nazywam? – jeszcze raz spytałem strażników.

– Falcio – wymamrotał jeden z nich i Shiballe prawie użył swojego pistoletu tu i teraz, co wiele by mi ułatwiło. Wiedziałem jednak, że nie będę miał aż tyle szczęścia.

Shiballe spojrział w górę na łagodny blask na krawędzi dachów i uśmiechnął się.

– Jeszcze kilka sekund, obdarty płaszczu. Jakies ostatnie słowa?

Odwzajemniłem uśmiech.

– Uważaj na strzałę.

I wtedy światło słońca mrugnęło i zgasło, zadzwonił wielki dzwon, z nieba spadła strzała i rozpętało się piekło.

Dotrzymując słowa, Brasti wystrzelił dla mnie strzałę o zachodzie słońca. Przypuszczam, że stanął na wzgórzu za pierwszą bramą, setki jardów od miejsca, w którym teraz stałem, i zdjął

Nieumiarkowanie z haka przymocowanego do siodła. Nieumiarkowanie to wielki łuk o długości niemal sześciu stóp, dość potężny, by wbić grot w kamień lub cegłę, i więcej niż wystarczający, by przebić zbroję płytową. Nie nadawał się do walki na krótkim dystansie, ale z dużej odległości – cóż, z dużej odległości był jak ciskanie gromów z jasnego nieba.

A więc mówiłem, że Brasti prawie nigdy nie chybia, ale to był strzał niemożliwy. Tak wielka odległość wymagała skrupulatnego wyliczenia siły wiatru i dystansu oraz mierzenia niemal wprost w niebo, tak by ogromna parabola lotu strzały przecięła się z ziemią na środku ulicy w Rijou. Tak jak powiedziałem, niemożliwy strzał, i nie będę próbował tworzyć mitu czy legendy, mówiąc wam, że jakimś cudem zdołał trafić w dłoń Shiballe'a trzymającą pistolet (co byłoby ogromnie miłe). Był tego jednak na tyle blisko, by tłustego drania zaskoczyć, przez co Shiballe spudłował, wydawałoby się, pewny strzał. Kula z jego pistoletu wbiła się w ziemię między mną a najbliższym ze strażników, który stracił równowagę, wpadając niemal na swojego kamrata. Wystrzeliłem tak mocno do góry i do przodu, jak tylko mogłem, celując lewym łokciem w twarz pierwszego strażnika, podczas gdy moja prawa ręka wyciągała rapier z pochwy. Jeśli zastanawiacie się, dlaczego wcześniej nawet nie drgnąłem, a teraz tak się spieszyłem, odpowiedź jest prosta: cały ten czas spędziłem, stojąc tam z Shiballe'em i jego ludźmi i szykując się na niespodziankę. Bo widzicie, choćbyście uważali się za nie wiem jak szybkich, zręcznych czy sprytnych czterech ludzi, którzy dobyli broni, zawsze pokona pojedynczego przeciwnika, chyba że zdarzy się coś, co ich zaskoczy. Wielkie Płaszcze mają w zanadrzu całkiem sporo niespodzianek, ale nie działają one najlepiej, jeśli nie można sięgnąć po nie do kieszeni płaszcza. Więc gdyby nie stało się nic nieoczekiwanego, niewątpliwie zginąłbym jeszcze przed zadaniem pierwszego ciosu. Zdarzył się jednak mały cud, który pozwolił mi przejąć inicjatywę, i musiałem teraz tylko działać.

Mój łokieć trafił pierwszego strażnika dokładnie w nasadę nosa. Drugi zdążył unieść klingę swojej broni, by sparować moje cięcie, ale to nie on był moim celem. Pozwoliłem, by zasłona, jaką postawił swoim pałaszem, zbiła sztych mojego rapiera w dół, i machnąłem nim przed twarzą tego trzeciego. Ludzie nigdy nie doceniają zasięgu rapiera – uwierzcie mi, jest dłuższy, niż na to wygląda.

Usłyszałem krzyk dziewczynki za moimi plecami i zobaczyłem, że Shiballe nabija broń, ale nie zwracałem na to uwagi. Zanim pistolet będzie gotowy do strzału, zdążę zwyciężyć albo zginąć. Przyznaję, że obecność kogoś, kto kilka stóp od ciebie ładuje broń zdolną cię zabić, jest odrobinę rozpraszająca, miałem jednak trzech innych przeciwników, którzy pomogli mi się skupić.

Drugi z nich – ten, który próbował sparować mój cios – całkiem fachowo obrócił pałaszem, zmieniając paradę w atak z góry na dół wymierzony w moje lewe ramię. Niestety dla niego przechyliłem się na bok i patrzyłem, jak ostrze sunie w dół tuż przed moim nosem, a potem mocno na nie nadepnąłem. Następnie jeszcze raz machnąłem rapierem przed twarzą trzeciego strażnika i lewą ręką dobyłem drugiego rapiera w samą porę, by niezgrabnie sparować uderzenie pierwszego (tego, który dostał ode mnie łokciem w twarz). Włożył całą siłę w cięcie wymierzone w mój lewy bok, które przyjąłem na klingę. Moc ciosu sprawiła, że płaz rapiera uderzył o moje ciało, ale dzięki temu skończyło się tylko na posiniaczonych żebrach. Mocno ściągnąłem w dół jelec, żeby wybić jego pałasz z równowagi.

Shiballe wsypywał proch do lufy pistoletu, gdy dziewczynka głupio próbowała mu go wyrwać.

– Aline, uciekaj! – wrzasnąłem, machając klingami obu rapierów przed twarzami przeciwników, by odwrócić ich uwagę.

Dziewczynka zdołała wysypać proch Shiballe'a na ziemię, ale ten złapał ją za przeguby i obrócił dookoła, owijając prawe ramię wokół jej szyi.

– Trattari! – krzyknął. – Rzuć broń albo złamię jej kark jak gałązkę!

Wszyscy zamarli. W mojej głowie nie było najmniejszych wątpliwości, że to zrobi, ale w tym właśnie momencie na scenę wkracza matematyka. Pomyślcie o tym w ten sposób – Shiballe miał trzech ludzi; jeden, ze złamanym nosem, mocno krwawił, a pozostali dwaj też zaczęli mieć dość. Powiedzmy więc, że w tym momencie skręci jej kark – co się stanie? Cóż, niemal na pewno rzucę się na niego, wbiję rapier w jego tłusty brzuch i zabije mnie jeden z jego ludzi. Źle dla mnie, źle dla Shiballe’a – dobrze dla jego ludzi, ale to słabe pocieszenie, kiedy ma się rapier zatopiony w brzuchu. Matematyka nie jest tu dla Shiballe’a specjalnie łaskawa.

A teraz powiedzmy, że zamiast tego rzucę broń. Strażnicy zabiją mnie, Shiballe zabije dziewczynkę, skończy swoją butelkę wina i wróci zadowolony do domu. Matematyka jest tu korzystna dla Shiballe’a, ale bardzo niekorzystna dla mnie i dziewczynki. Więc taka możliwość też nie wchodzi w grę.

Co pozostaje? Cóż, wyobraźmy sobie przez moment, że czas się zatrzymuje. Co my tu mamy? Shiballe trzyma dziewczynkę, więc czuje się lepiej, niż gdyby nie miał niczego, a ja (ledwo) powstrzymuję trzech strażników. Nikt nie zginął i wszystko jest jeszcze możliwe, co, jakkolwiek dziwnie brzmi, jest chyba najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich.

Ale oczywiście czas się nie zatrzymał i coś się musi wydarzyć.

To wtedy matematyka naprawdę zaczyna działać: widzicie, chociaż prawdą jest, że prawie wszyscy mają interes w tym, by nic się nie zmieniło, sytuacja Shiballe’a nie zmienia się tak bardzo niezależnie od tego, czy ma przeciwko mnie trzech ludzi czy dwóch. Nie twierdzę, że byłby to jego pierwszy wybór, ale wciąż ma przewagę dwa do jednego i wciąż ma dziewczynkę. Więc jeśli coś musi się zdarzyć, to śmierć jednego ze strażników jest w sensie matematycznym najlepszą opcją dla nas wszystkich.

Dlatego wbilem sztych lewego rapiera w gardło pierwszego z nich.

Ramię Shiballe'a zacisnęło się dziewczynce na szyi.

– Zabijasz ją, trattari – ostrzegł mnie.

– Przepraszam – powiedziałem. – Taki odruch.

– Rzuć broń, psie, to przynajmniej dziewczynka przeżyje.

Marne szanse.

– Jeśli ją zabijesz, dźgnę cię w głowę na długo przedtem, nim którykolwiek z tych nieudolnych matolów mnie dotknie.

Zawahał się.

– A więc wygląda na to, że mamy impas – powiedział.

Obaj jego ludzie mieli broń w gotowości, ale czekali na sygnał do działania.

– Niezupełnie – odparłem. Pamiętacie matematykę? – Wiesz, jest tu tylko kilka możliwych rozwiązań. Pierwsze: zabijasz dziewczynkę, ja zabijam ciebie, twoi ludzie zabijają mnie. Druga możliwość: nie zabijasz dziewczynki, ja zabijam twoich ludzi, a potem ciebie.

– Jest chyba jeszcze jedno możliwe rozwiązanie, trattari – powiedział. – Któryś z moich ludzi idzie ulicą, widzi, co się dzieje, i cię zabija.

Jeden ze strażników uśmiechnął się do tej perspektywy.

– Nie licz na to – powiedziałem do niego. – Zanim to się zdarzy, będzie dawno po wszystkim.

Strażnik zacisnął mocniej dłoń na rękojeści pałasza. Przeniosłem wzrok z powrotem na Shiballe'a.

– Jest jeszcze jedno wyjście.

– Ależ oczywiście, masz na myśli wersję, w której pozwalamy ci odejść wesoło w swoją stronę i wierzymy, że nie wrócisz zamordować mnie we śnie? – zapytał.

– Nie bądź głupi. Zabiję cię tak czy inaczej, jeśli nie dziś, to kiedyś w przyszłości. Jesteś chorą kanalią i nie mogę znieść, że ziemia wciąż cię nosi. Ale moje rozwiązanie jest znacznie

prostsze i ma realną szansę zadziałać. – Wzięłem oddech. – Rozkażesz swoim ludziom mnie zaatakować i zaczniesz uciekać najszybciej, jak potrafisz. Poświęcą się – to fakt – ale starając się pozostać przy życiu, dadzą ci czas potrzebny, by zniknąć w zaułkach tej kloaki, którą nazywacie miastem. Jest szansa, że nie dogonię cię, zanim dobrze się schowasz, albo pojawi się ktoś, kto zabije mnie i dziewczynkę. – Odczekałem chwilę, żeby dać mu się nad tym zastanović. – Z matematycznego punktu widzenia to naprawdę najlepsze rozwiązanie – stwierdziłem, żeby go uspokoić.

Jego ludzie nerwowo przestępowali z nogi na nogę.

– Podobasz mi się, obdarty płaszczu – powiedział radośnie Shiballe. – Mówisz do rzeczy. Ale jeśli moi strażnicy zaatakują cię teraz, to wcale nie spowolni tak bardzo mojej ucieczki, jeśli najpierw po prostu ukręcę łeb córce tej ładacznicy, więc myślę, że to właśnie zrobimy.

Westchnąłem.

– Ty naprawdę nie rozumiesz zasad prawdopodobieństwa i matematyki, co, Shiballe?

Wrzasnął na swoich ludzi, by mnie zaatakowali, chwycił głowę dziewczynki wolną ręką, z prawym ramieniem zaciśniętym na jej szyi, i zaczął zaciskać.

Rzuciłem swoim prawym rapierem w twarz Shiballe'a ostrzem skierowanym do przodu. Zaskoczony schylił głowę, niemal tracąc równowagę. Podczas gdy jego ludzie przyskoczyli do mnie, dziewczynka wywinęła się z jego uścisku i – głupio – podbiegła do pistoletu, który był wciąż nienabity. Uniknąłem jednego pałasza i sparowałem drugi. Shiballe znów ruszył w stronę dziewczynki, ale wtedy ściałem kopniakiem w kolana strażnika po swojej lewej i grubas zobaczył, że szala przechyla się na moją stronę.

– Walczcie, przekłęci głupcy! – wrzasnął, biegnąc w stronę zaułka po drugiej stronie ulicy.

Strażnik, któremu złamałem kolano, z godnym podziwu męstwem bił się dalej mimo bólu. Chwycił moją lewą nogę, ścigając mnie na ziemię i umożliwiając swojemu koledze zadanie mi ciosu z góry. Padając na plecy, przerzuciłem rapier do prawej dłoni i całkowicie wyprostowałem rękę. Koniec klingi przebił napastnikowi gardło i pałasz wysunął mu się z dłoni, a kolana się ugięły.

Tak oto pozostali: dziewczynka trzymająca pistolet i bezowocnie naciskająca spust, Shiballe, który dawno zniknął, szukając pomocy w zaułkach miasta, i ja leżący na plecach, podczas gdy pierwszy strażnik wciąż trzymał moją nogę i wyciągał właśnie nóż zza pasa.

– Jak się nazywam? – spytałem spokojnie.

Zatrzymał się i popatrzył na mnie przez sekundę, starając się może ocenić swoje szanse. Po chwili odsunął się, wyrzucił nóż i powiedział:

– Idiota, powinien był najpierw zabić dziewczynkę.

– Racja – przyznałem, podnosząc się.

– Zabijesz mnie teraz? Myślałem, że wy, obdarte płaszcze, nie robicie tego, chyba że nie ma innego wyjścia? – spytał strażnik, trzymając się za złamane kolano.

– Nie, nie zamierzam...

Szytych rapiera wbił mu się w prawe ucho. Uniosłem broń i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że było to dzieło dziewczynki: odrzuciła bezużyteczny pistolet i podniosła z ziemi mój rapier, po czym wbiła mu go w głowę.

Spokojnie jak gdyby nigdy nic wyciągnęła klingę, wytarła krew o twarz strażnika i podała mi rapier rękojeścią naprzód.

– Teraz trzeba uciekać – powiedziała Aline.

ŁOBUZY

Strategia, którą zamierzałem obrać, by zachować dziewczynkę przy życiu, była prosta: znaleźć kryjówkę i siedzieć w niej do końca tygodnia. Potem mała będzie mogła szukać schronienia u innej szlacheckiej rodziny lub opuścić miasto na zawsze. Tak czy owak, będzie żyć, i taki rezultat mnie zadowalał. Znaleźć kryjówkę, poczekać, aż będzie po wszystkim – nic prostszego. Około trzeciego dzwonu naszej pierwszej nocy zorientowałem się, dlaczego to nie zadziała.

Shiballe zakładał, że on i jego ludzie to aż za wiele, by uporać się z jednym mężczyzną i małą dziewczynką, i ten błąd w ocenie dał nam dość czasu, by opuścić ulicę Aline, i przez kwartał kupiecki dotrzeć do Dzielnicy Czerwonej Cegły. Dwa wieki temu była to jedna z najzamożniejszych dzielnic miasta, ale z czasem glina użyta do wypalania cegieł zaczęła się kruszyć, przez co każdy z budynków stawał się potencjalną katastrofą. Bogatsi kupcy wyprowadzili się, a w podupadłych domach i na niszczących ulicach pojawiła się biedota. Dzicy lokatorzy najbardziej zrujnowanych budynków byli najbiedniejsi ze wszystkich. Zniszczona kanalizacja, brak bieżącej wody i oczekiwanie na katastrofę przy każdej większej burzy – mieszkano się tu strasznie, za to ukryć można by się było doskonale, gdyby nie magia. Święci, jak ja nie cierpię magii.

Znalezienie odpowiedniej kryjówki zajęło nam niecałą godzinę. Niemal pozbawiony ścian budynek stał przy zagrodzonej uliczce. Górne kondygnacje kompletnie się zawaliły i jedyne pozostałe piętro z jedną długą ścianą i kawałkiem szczytowej było wystawione na działanie żywiołów. Lecz w środku leżało tyle gruzu, by w tej skorupie starego budynku powstało coś na kształt twierdzy. Był stamtąd dobry widok i co najmniej dwie drogi ucieczki. Wbrew moim przewidywaniom dziewczynka nie narzekała na standard naszego lokum. Zamiast tego rozejrzała się wokół, a potem weszła do środka. Zrobiłem szybką rundę wokół budynku, żeby poszukać ewentualnych oznak własności, zanim usiadłem obok niej i zacząłem rozcierać sobie nogę. Rana zadana przez strażnika miejskiego już prawie się zagoiła, ale kilka tygodni w drodze sprawiło, że noga mi zeszytywniała. Spodziewałem się, że solidnie teraz odpocznę, chociaż wkrótce będziemy musieli znaleźć źródło wody i choć trochę jedzenia, żeby przetrwać tydzień.

– Idą – powiedziała delikatnie Aline.

– Nieprawda.

Byłem pewien, że nikt nas nie śledził, i zastosowałem dodatkowy środek ostrożności, robiąc zwiad wokół kilku kwartałów, żeby się o tym upewnić, zanim zatrzymaliśmy się w Dzielnicy Czerwonej Cegły. A jeśli nas nie śledzili, to nie mogli wiedzieć, że tu jesteśmy. W mieście wielkości Rijou możliwość, by wpadły na nas sługusy Shiballe'a, była naprawdę bardzo mała.

– Słyszę ich.

– To szczury – powiedziałem, zdając sobie potem sprawę, że może lepiej nie przypominać małej dziewczynce o prawdopodobnych mieszkańcach budynku.

– To nie szczury. To ludzie.

Nasłuchiwałem przez chwilę. Mój słuch nie jest doskonały, ale nie jest też zły.

– W tej dzielnicy mieszka mnóstwo ludzi. Uwierz mi, niczego od nas nie chcą – stwierdziłem.

Potem usłyszałem cichy szcęk metalu obijającego się o metal. Ogólnie rzecz biorąc, metal był drogi, a poza tym znam dźwięk puklerza ocierającego się o miecz.

– Do licha.

Wyrząłem za róg i zobaczyłem, jak idą: wchodzili w parach z czterech stron budynku. To by było na tyle, jeśli chodzi o drogi ucieczki.

Starałem się obmyślić strategię, która uwolni nas stąd bez walki, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Z całą pewnością wiedzieli, że ich łup jest w budynku, i nawet gdybym sobie poradził z jedną dwójką, dziewczynka nie była dość szybka, by uciec pozostałym. Nie widziałem żadnych pistoletów ani łuków, tylko miecze i pałki: łobuzy; twarde, głupie zbiry, które przechodzą od terroryzowania innych dzieci do zabójstw za pieniądze, a czasem tylko dla zabawy. Zakląłem pod nosem. Mogłem załatwić każdego z nich, mogłem załatwić dwóch, ale nawet ja nie mogłem walczyć z sześcioma naraz. Mój plan znalezienia otwartej przestrzeni, która ułatwiłaby ucieczkę, okazał się właśnie idealną pułapką. Łobuzy nie słynęły z geniuszu taktycznego i ta banda była pewnie o wiele za głupia, by wymyślić skuteczną zasadzkę; do tego potrzebny im byłbym ja.

– Trzeba uciekać – powiedziała Aline.

– Jak szybko umiesz biegać? – spytałem.

– Dość szybko, żeby dobiec do zaułka, jeśli uda nam się pokonać dwóch z tamtej strony.

– Nie da rady, zaułek to pułapka. Jest wąski. I ślepy. Nigdy nie uda nam się uciec, kiedy pozostali ruszą za nami.

– Ale nie będą też mogli nas otoczyć – powiedziała.

Pomyślałem o tym przez chwilę i zdumiałem się, że ta mała dziewczynka, wciąż kaszląca po tym, jak niemal spłonęła żywcem, i nadal walcząca o życie, sama wywnioskowała, że nie wyjdziemy z tego, uciekając. Będę musiał walczyć i moje szanse znacznie wzrosną, jeśli będą mogli mnie atakować tylko po dwóch naraz.

– Dobrze – powiedziałem, wyciągając z zanadrza karwasz z niewielkimi nożami do rzucania. Było ich łącznie sześć, każdy miał około czterech cali długości i był dociążony na czubku: nie miał wielkiego zasięgu, ale w tej sytuacji nie był zły. – Jak tylko przedrzemy się przez parę przy wyjściu, biegnij do końca ślepego zaułka. Jak tam będziesz, masz się trzymać cztery kroki za mną. Rozumiesz? Cztery kroki.

Aline wyglądała na lekko przerażoną, kiedy już zdała sobie sprawę, że naprawdę spróbujemy się stąd wydostać, walcząc.

Pokazałem jej karwasz.

– Za każdym razem, kiedy powiem: „Nóż”, masz mi wręczyć jeden z nich. Podajesz płaskim końcem w moim kierunku. Rozumiesz?

Kiedy wyciągnęła dłoń po noże, usłyszałem szuranie stóp. Dwaj napastnicy zamierzali nas stąd wykurzyć, więc pomyślałem, że im to ułatwimy. Dałem znak dziewczynce, potem dobiełem jednego ze swoich rapierów i wyskoczyłem z kryjówki.

Tak, jak się spodziewałem, było ich dwóch, całkiem blisko, obaj wysocy i masywni, z pałkami gotowymi do ciosu. Widziałem pozostałych blokujących wyjścia. Chciałem od razu wyeliminować tych najbliższych, ale to by nas spowolniło i było zbytkiem, na który nie mogłem sobie pozwolić. Zamiast tego machnąłem zamaszycie rapierem tak szybko, jak tylko mogłem, i zmusiłem ich, by odskoczyli.

– Teraz! – krzyknąłem i z Aline za plecami popędziłem prosto na dwóch mężczyzn czekających przy wyjściu na uliczkę. Ci dwaj też ściskali grube pałki – głupia to broń przeciwko rapierowi, ale większości łobuzów brak pieniędzy i chęci, by kupić dobry kawałek stali, a co dopiero, by szkolić się w jego właściwym używaniu. Nie chciałem jednak oberwać od któregoś w potylicę, nie mogłem więc po prostu spróbować ich nastraszyć i przebiec obok. Zamarkowałem niski cios mierzony w zbira po mojej prawej. Gdy przeciwnik ma ciężką broń, o ile możecie,

zawsze kierujcie fintę w dół: jeśli się nabierze, znacznie więcej energii zabierze mu uniesienie broni niż opuszczenie jej w dół.

Finta zadziałała, ale łobuz po mojej lewej się nie zawahał – zamachnął się pałką, celując w moje ramię. Unikając ciosu, dźgnąłem tego po prawej w brzuch, zanim zdążył podnieść broń i się zasłonić. Byliśmy wszyscy tak blisko siebie, że sam nie mogłem osłonić się rapierem, więc tylko popchnąłem tego po lewej w łokieć, wybijając go z równowagi, i odrzuciłem kopniakiem do tyłu tego, którego ranilem.

– Teraz! – rzuciłem i pobieглиśmy do wyjścia na uliczkę.

Tyły budynków niemal się tu stykały, tworząc rodzaj ciemnego tunelu bez widocznych dróg ucieczki – żadnych drzwi ani okien; ludzie bardziej się tu obawiali czyjegoś wtargnięcia do swoich domów, niż potrzebowali je szybko opuszczać. Skierowaliśmy się prosto w ślepy zaułek.

Sześć stóp przed murem odwróciłem się.

– Pamiętaj, cztery kroki za mną, chyba że poproszę o nóż.

– Nie jestem głupia – odrzekła dziewczynka, zajmując pozycję.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Zbir, którego nie zraniłem, pędził w naszym kierunku z rykiem, wymachując pałką. Pozwoliłem idiotcie zbliżyć się na cztery stopy i po prostu wyciągnąłem rapier, podczas gdy jego pałka przeleciała mi przed twarzą, chybiając o kilka cali. Mając krótszą broń, przede wszystkim nie biegnie się, machając nią w stronę przeciwnika z czymś dłuższym i ostro zakończonym. Wystarczy, że wyciągnie on wtedy rękę do przodu, i jesteś załatwiony. I był.

Pozostali wyszli na zewnątrz ostrożniej. A niech to! Wszyscy mieli miecze, puklerze i uśmiechali się do siebie porozumiewawczo, zbliżając się do nas krok za krokiem i wiedząc, że zrobią lepszy użytek z wąskiej uliczki, jeśli będą się trzymać razem.

– Nóż – sięgnąłem za siebie, odwracając dłoń do góry. – Nóż! – zawołałem, gdy niczego nie wyczułem. Kiedy poczułem chłód metalu na skórze, tamci byli o sześć stóp od nas.

– Przepraszam! – powiedziała bez tchu Aline. – Zaklinował się.

Nie oliwiłem noży ani karwasza od wielu tygodni; nic dziwnego, że trudno jej było go wyjąć. Przeklinając własne lenistwo, rzuciłem jednym z nich od dołu. Jakiś święty musiał się do mnie uśmiechnąć, bo ostrze wbiło się głęboko w udo napastnika. Należące do Wielkich Płaszczy noże do rzucania są mniejsze niż zwykle do tego używane, ale mają zakrzywiony koniuszek w kształcie pióra, który zostawia brzydki ślad – jeśli w ogóle da się go wyjąć.

– Kest, Brasti, strzelajcie z kusz! – krzyknąłem, zerkając w górę w stronę dachów, parując jednocześnie wymierzone w moją twarz pchnięcie.

Mężczyzna przede mną zignorował mój wybieg, ale ten tuż za nim nakrył sobie głowę rękami w daremnej raczej próbie ochrony przed atakiem sponad murów. Kiedy się walczy z wieloma przeciwnikami, dobrze jest raz na jakiś czas krzyknąć coś potencjalnie groźnego, jak: „Kusze!”, „Ogień!” lub „Uwaga, latający kocur!”. Ludzie będący w środku walki bardzo często odwrócą wtedy wzrok, a w tego rodzaju starciu każda sekunda to szansa, by zadać jakieś straty lub jakoś uniknąć tego, co może cię spotkać.

Zaryzykowałem i przesunąłem sztych rapiera obok człowieka na przedzie, by przebić pierś jego bardziej przezornego kolegi. Jest to niebezpieczny ruch z dwóch powodów: po pierwsze rapier jest wtedy za stojącym bezpośrednio przed tobą przeciwnikiem, który ma szansę pchnąć cię swoją bronią, zanim zdołasz go zablokować. Byłem skłonny zaryzykować, bo mój wróg nie odznaczał się szczególną szybkością i używał cięższego – a więc wolniejszego – miecza. Po drugie nigdy nie należy dźgać człowieka w pierś – brzuch, pachwina, boki, gdzie znajdowały się miękkie tkanki, nawet twarz, to wszystko dobre cele. Ale w klatce piersiowej są żebra, a między żebrami wprost wspaniale klinują się klingi, szczególnie jeśli trafiony pada do tyłu, i to właśnie

mi się przydarzyło, gdy poczułem, że ciężar przeciwnika opiera się na moim rapierze.

Jego kolega z przodu dostrzegł, że jestem w kłopotliwym położeniu, i uśmiechnął się szerokim, durnym uśmiechem łobuza, który przygwoździł swoją ofiarę. Biedak pewnie jednak nigdy nie słyszał o fruwających floretach Falcia.

Wy pewnie też nie, więc lepiej będzie, jeśli wyjaśnię. Na początku kariery Wielkiego Płaszczka miałem genialny pomysł, by wyposażyć moje rapiery w mocno zwiniętą sprężynę ukrytą w jelcu z małą dźwigienką, która po naciśnięciu kciukiem zwalnia zapadkę i wystrzeliwuje głównię w oddalonego przeciwnika. Kapitalne, prawda? Niestety jednak, jak zauważyli Kest, Brasti, król, a szczególnie zbrojmistrz królewski, Heimrin, tak mała sprężyna nigdy nie będzie miała dość mocy, żeby wyrzucić dwufuntową klingę rapiera na dużą odległość. Rezultat był taki, że kiedy celowałem w kogoś którymś z moich arcydrogich rapierów i naciskałem dźwignię, głównia wyskakiwała na kilka cali i lądowała na ziemi. Więc, jak się okazało, fruwające florety Falcia stały się znane jako fatalne fujary Falcia. Jednak przekłete żelastwo kosztowało mnie fortunę i wciąż była to świetna broń, jeśli nie naciskało się dźwigni, więc je zatrzymałem.

Dlatego mój przeciwnik stojący zaledwie kilka cali ode mnie i gotowy, by zadać mi cios mieczem w głowę, był bardzo zaskoczony, gdy nacisnąłem dźwigienkę kciukiem, odłączyłem rękojeść od główki, a potem uderzyłem go nią w twarz. Niewielkie ćwieki zdobiące rękojeść wywierają szczególnie niezapomniane wrażenie i łobuz padł na plecy nieprzytomny, z miną wskazującą, że całą sprawę uważał za sporą niesprawiedliwość.

Odrzuciłem rękojeść i wyciągnąłem dłoń za siebie, w stronę Aline.

– Nóż – powiedziałem jeszcze raz, dobywając drugiego rapiera lewą ręką.

Dziewczynka tym razem szybciej położyła mi go na dłoni i rzuciłem nim mocno w tłum przede mną. Ostrze trafiło któregoś z nich w pierś i usłyszałem przyjemny dźwięk. Na marginesie – celowanie w pierś nożami do rzucania jest absolutnie do przyjęcia, jako że zwykle nie trzeba ich od razu wyciągać.

– Nóż! – zawołałem znowu, a potem jeszcze dwa razy, by dać przeciwnikom powód do zastanowienia.

Aline była za każdym razem szybka i gotowa i ciskając szósty i ostatni nóż, nie mogłem się nadziwić, że miałem z nimi więcej szczęścia niż kiedykolwiek. Każdy trafił i wyeliminował któregoś z przeciwników. Oczywiście oprócz szóstego.

Ostatni dwaj mężczyźni ruszyli wprost na mnie, ale do tego czasu zdążyłem się już przyzwyczaić do walki w ciasnym zaułku, a im krew zbyt długo huczała w uszach, kiedy musieli czekać, aż ich koledzy zwyciężą albo zginą. Obaj byli mniej więcej tego samego wzrostu, więc ciąłem ich ciasno po oczach, nie trafiając pierwszego z nich, ale zahaczając drugiego. Oślepiiony zbir upadł do tyłu, a jego partner podniósł ramię z puklerzem, by osłonić sobie twarz, co otworzyło mi doskonałą lukę, by pchnąć go w pachwinę. Nie było to najbardziej eleganckie zakończenie walki, ale my żyliśmy, a oni nie, więc przez krótką chwilę wszystko było z tym światem w porządku.

Warto pewnie wspomnieć, że przez cały czas trwania walki łobuzy wyrzucały z siebie nieustanny potok obelg, zachęt, gróźb i innych inwektyw, ale żadne z nich nie były specjalnie inteligentne i myślę, że nazbyt by ich to uhonorowało, gdyby chciało mi się je przytaczać. Mieli też imiona i mógłbym opisać różnice w ich wyglądzie i stylu walki, jednak nie zamierzam. Może to małostkowe, ale nie sądzę, żeby ci dranie zasługiwali na upamiętnienie.

Szybko krążąca krew zaczęła się uspokajać i spojrzałem na roztaczającą się przed nami jatkę.

– Mogę już podejść bliżej? – spytała Aline.

Spodziewałem się, że kiedy się zbliży, będzie wstrząśnięta widokiem ciał. Niektórzy byli nieprzytomni, ale większość leżała martwa w kałużach krwi. Byłem dziwnie uspokojony, kiedy zgarbiła się i zwymiotowała na ziemię, ale potem wyprostowała się, podeszła do jednego z trupów, wyciągnęła mój nóż do rzućania i zaczęła go wycierać o jego koszulę.

– Nie musisz tego robić – położyłem dłoń na jej ramieniu.

Wzdrygnęła się i odepchnęła moją rękę.

– Ktoś musi. Nie umiem walczyć, więc przynajmniej tyle mogę zrobić – powiedziała.

Oparłem się o mur i zsunąłem na ziemię. Mógłbym tam zasnąć, w samym środku zaułka usłanego trupami.

Kiedy dziewczynka skończyła czyścić noże i włożyła je z powrotem do karwasza, zaczęła przeszukiwać ciała.

– Zostaw ich – rzuciłem zachrypłym z wyczerpania głosem. Zmusiłem swoje niechętne do współpracy nogi, by mnie podniosły i bym mógł ponownie złożyć swoje rapiery.

– Nie mam pieniędzy, a oni próbowali mnie zabić. Mogą przynajmniej zapłacić za nasz prowiant – powiedziała.

Brastri byłby dumny.

Ale jeśli chodzi o pieniądze, to nie bardzo było o czym mówić. Aline pokazała mi garść monet i jedną sztukę srebra. Ich broń była kiepska w porównaniu z tym, co już miałem, więc nie zwracałem sobie głowy dalszymi poszukiwaniami.

– Mogę to wziąć? – spytała Aline.

Podniosła rękę jednego z zabitych i pokazała mi niewielki krążek na jego dłoni, nieco większy niż srebrny znak członka karawany. Był zrobiony z miedzi lub brązu i przymocowany dwoma cienkimi skórzanymi paskami owiniętymi wokół dwóch środkowych palców i kciuka.

– Nie sądzę, żeby był cenny – powiedziałem.

– Wiem – odparła urażona – ale jest ciekawy i podoba mi się, że zaczyna się prawie jarzyć, kiedy potrzebie go palcem.

Miałem już ulec, ale coś zaczęło dranić mnie w kark. Ukłękłem obok niej i przyjrzałem się przedmiotowi uważniej. Krążek miał ledwie widoczne oznaczenia, równoległe kreseczki z rozgałęzieniami i krzywiznami, a w pobliżu środka był jaśniejszy.

– Patrz – powiedziała Aline.

Nacisnęła go palcem i zrobił się jaśniejszy, jakby ktoś go w tym miejscu wyczyścił. Patrzyłem na niego przez chwilę, a potem odsunąłem jej rękę i zastąpiłem jej palec własnym. Nic się nie stało. Plamka pośrodku była wciąż jaśniejsza, ale nie aż tak jak po dotknięciu Aline. Zdjąłem palec i przytrzymałem nad nim dłoń dziewczynki. Plamka była minimalnie jaśniejsza i rozświetlała się coraz bardziej wraz ze zbliżaniem ręki.

– Do licha – zakląłem. – Magia. Nie cierpię magii.

– To głupie – zdziwiła się. – Po co robić krążek, który ma jasną plamkę, tylko kiedy się go dotknie? Nawet te magiczne symbole wyglądają dziwnie; to tylko jakieś kreski.

– Robi się jaśniejszy, kiedy zbliża się do ciebie, a te oznaczenia to nie „magiczne symbole”, tylko ulice. Zobacz... – Ściągnąłem krążek z dłoni zabitego i poszliśmy do końca uliczki.

Ledwie widoczne oznaczenia na krążku nieco się zmieniły.

– To jakby mapa! – zawołała Aline, wyraźnie nie dostrzegając problemu.

– To coś więcej – powiedziałem. – To mapa, która prowadzi ich prosto do ciebie.

Shiballe i książkę mieli na swoje usługi maga: dość potężnego, by stworzył amulet, który może doprowadzić do nas ich ludzi na całym obszarze miasta. Był wygrawerowany na taniej miedzi – za grosz można było zrobić pięć. A ludzie pytają, dlaczego nie cierpię magii.

Weszliśmy dalej w głąb Starego Miasta. Przypuszczałem, że mamy trochę czasu, zanim Shiballe odkryje, że jego łobuzy

zawiodły, i wysłać za nami kogoś innego. Mógł posłać naszym śladem całą straż miejską, ale Rijou kiepsko się do czegoś takiego nadaje z tymi wszystkimi wąskimi i krętymi uliczkami i tyloma przejściami między jedną dzielnicą a drugą. Poza tym większość strażników jest i tak zajętych podczas Tygodnia Krwi; chronią faworytów księcia i gnębią nieszczęśników, którzy nie cieszą się jego przychylnością.

Mimo to amulet mnie niepokoił. Wyciągnąłem go, żeby znów na niego spojrzeć. Ponieważ znaleźliśmy tylko jeden, niepotrzebnie traciłem czas na zastanawianie się, czy gdyby dwa amulety były blisko siebie, mogłyby znieść się nawzajem. To raczej na pewno był nonsens. Zacząłem też jednak używać amuletu, żeby poznać plan okolicznych ulic i zaułków. Stare Miasto nie było idealnym miejscem na kryjówkę, ale skoro nie mieliśmy zbyt wielu innych możliwości, byłem zadowolony z jego pomocnej cechy: budynki stały bardzo blisko siebie. Znalazłem ścianę z tyłoma wystającymi belkami i ceglami, że dało się na nią wspiąć.

– Dlaczego wchodzimy wyżej? Czy nie będzie stamtąd trudniej uciec? – spytała dziewczynka.

– Amulety wskazują, gdzie jesteśmy, ale nie na jakiej wysokości – powiedziałem, gdy zbliżaliśmy się do szczytu. – Mogą być dokładnie pod nami i nie zdawać sobie z tego sprawy.

Nie skomentowała tego, ale podejrzewałem, że stało się tak raczej przez zmęczenie niż z innego powodu.

Dotarliśmy na szczyt budynku. Miał aż trzy kondygnacje i oferował niewątpliwie piękny widok na miasto o zmierzchu. Widziałem płomienie; co najmniej dwa domy o jakąś milę od nas szły właśnie z dymem, niewątpliwie była to robota przyjaciół księcia.

– Dokąd... teraz? – powiedziała słabym głosem Aline, padając na płaską powierzchnię dachu.

Przyjrzałem się jej bliżej i zobaczyłem, że faktycznie ogarnia ją wyczerpanie.

– W miarę możliwości będziemy się trzymać dachów. Kiedy nie będzie to możliwe, będziemy schodzić niżej, żeby znaleźć inną kryjówkę.

Dwa dni – zdałem sobie sprawę; byliśmy w ciągłym ruchu przez dwa pełne dni i żadne z nas nie spało. Poprzedniej nocy przeżyła utratę rodziny. To zbyt wiele. Pewnie nie była już w stanie zrobić ani kroku.

– Czy są jakieś rody szlacheckie, który mogłyby ci zapewnić ochronę? – spytałem, chociaż odpowiedź była łatwa do przewidzenia.

Aline z widocznym wysiłkiem podniosła głowę.

– Nie. Moja niania mówiła, że kiedyś byliśmy potężnym rodem, ale to się zmieniło.

Popieranie króla nigdy nie było dobrym sposobem na zdobycie przyjaciół w Rijou.

– Poznałem kiedyś twojego ojca – powiedziałem. – Lord Tiarren był dobrym człowiekiem.

Aline miała zamyśloną minę, jakbym powiedział coś niezwykłego.

– Zawsze był dla mnie dobry – odezwała się w końcu – ale myśle, że nie kochał mnie tak jak moich braci.

– Dlaczego tak mówisz?

Znów zrobiła pauzę, jakby szukając właściwych słów.

– Był miły i dawał mi piękne prezenty na urodziny. Mówił do mnie uprzejmym głosem, podobnie jak do mojej matki. Ale z moich starszych braci był zawsze bardziej... dumny.

– Ja... – Co się, u licha, mówi dziecku? Że ojcowie nie zawsze kochają swoje córki tak, jak powinni? Że szlacheckie rody chcą silnych chłopców, by przewodzili rodzinie, a nie dziewczynek, którym trzeba opłacić posag? – Myśle, że gdyby twój ojciec mógł cię teraz zobaczyć, byłby bardzo dumny.

Lekko się uśmiechnęła, ale był to uśmiech dla mnie, a nie dzięki mnie. Wyczerpanie brało górę.

Ukląknęłam i sięgnąłem do jednej z wewnętrznych kieszeni płaszcza. Wyciągnąłem małą paczuszkę zawiniętą w jedwab.

– Proszę – powiedziałem.

Aline wzięła zawiniątko i otworzyła, odsłaniając kwadracik pasiastej lukrecji.

– Co to?

– Nazywamy to twardą lukrecją.

– Lukrecją? – wyglądała na rozzłoszczoną.

– Zjedz kawałeczek.

Chciała ugryźć, ale chwyciłem ją za ramię.

– Mały kawałek – powiedziałem. – Odrobinkę.

Dziewczynka wyglądała na zdezorientowaną, ale posłuchała i skubnęła kawałeczek. Skrzywiła się i myślałem, że chce go wypłuć. Uniosłem palec.

– Zaczekaj.

Siedzieliśmy przez kilka chwil pod ciemniejącym niebem. Nagle Aline zerwała się na nogi z szeroko otwartymi oczami, naprężona jak kot wpatrujący się w sforę psów.

– Jak się czujesz? – spytałem.

– Jak... Jakbym mogła przebiec całe miasto tam i z powrotem – odpowiedziała, rozglądając się wokół. – W ogóle nie jestem zmęczona i czuję się tak, jakbym właśnie wstała z łóżka!

– Staraj się utrzymać spokój i koncentrację – powiedziałem. – Przyzwyczajenie do twardej lukrecji chwilę trwa.

– W porządku. Czuję się dobrze. Możemy już iść, jeśli chcesz.

– Nie, teraz ja potrzebuję chwili odpoczynku.

Wyciągnęła do mnie zawiniątko, ale zamknąłem na nim jej dłoń.

– Ty ją noś. Nie ma tego wiele, a ja staram się jej unikać. – Kiedy spojrzała na mnie pytająco, dodałem: – To dobra rzecz, kiedy nie chcesz zasnąć, kiedy biegniesz i starasz się utrzymać przy życiu. Ale niespecjalnie sprawdza się, kiedy trzeba myśleć albo się fechtować.

– Więc dlaczego...?

– My, trybuni, musimy daleko podróżować i czasem, kiedy chcemy szybko gdzieś dotrzeć, musimy być w drodze nieprzerwanie przez wiele dni lub, co równie prawdopodobne, uciec, zanim nas złapią.

Aline wsadziła jedwabne zawiniątko do kieszeni.

– Używaj jej oszczędnie – ostrzegłem. – Za dużo na raz może sprawić, że serce pęknie ci w piersi.

Dziewczynka usiadła obok mnie, chociaż, jak wiedziałem, trudno jej teraz było ustać w miejscu.

– Dlaczego „twarda”? – spytała.

– Hmm? – nie zrozumiałem i dopiero teraz zauważyłem, że zaczynam przysypiać. Niebo było całkiem czarne. Czas ruszać.

– Dlaczego to twarda lukrecja?

– Bo to nie to samo co miękka lukrecja – powiedziałem, wyciągając jeszcze mniejszą paczuszkę z innej kieszeni.

– Więc jeśli twarda lukrecja jest po to, by dodać energii, to do czego służy miękka lukrecja? – spytała, sięgając po zawiniątko.

Zabrałem je.

– Do czegoś innego – odparłem. – Do czegoś zupełnie innego.

– Falcio?

Otworzyłem oczy.

– Do licha. Jak długo spałem?

– Tylko kilka minut – powiedziała Aline. – Chciałam dać ci odpocząć, ale chyba coś słyszałam.

Wstałem i zacząłem nasłuchiwać. Nic. Nie po raz pierwszy pożałowałem, że mój słuch nie jest bardziej wyostrzony.

– Tam – powiedziała i wtedy to usłyszałem: miękkie buty na kamiennej ścianie wspinające się na dach.

– A niech to – rzuciłem. Wyciągnąłem karwasz z nożami i podałem go Aline. – Tak jak wtedy. Zostań cztery kroki za mną.

Wyciągnąłem oba rapiery. Dach był otwartą przestrzenią i mogłem to wykorzystać.

Nadeszli w ośmiu, ciemni jak cienie, po przeciwległej stronie dachu. Do licha, nie powinienem był pozwolić sobie zasnąć. Trzeba było być w ciągłym ruchu.

– Odłóż broń albo cię wypatroszymy – głos dochodził z północnego skraju budynku.

Miał dziwną tonację: czy to kobieta?

– Jestem całkiem pewny, że mnie wypatroszycie, czy rzucę broń, czy nie! – odkrzyknąłem. – Więc równie dobrze mogę najpierw puścić krew tobie i twoim kompanom.

– Nie, jeśli odłożysz te śliczne rapiery na ziemię, a razem z nimi wszystkie swoje pieniądze, i opuścisz nasze terytorium – odparł ten ktoś.

Terytorium? Czyli to nie byli ludzie Shiballe'a?

– Obawiam się, że nie mamy zbyt wiele pieniędzy, a broń jest mi ostatnio raczej potrzebna. Może po prostu sobie pójdziemy, a wy zachowacie sobie wasze terytorium?

Aline wydała stłumiony krzyk i usłyszałem, jak ktoś wspina się za nami po ścianie.

– Powiedz twojemu człowiekowi, że zaraz odkryje sekrety znane tylko zmarłym – powiedziałem, trzymając sztych lewego rapiera w górze i cofając się o dwa kroki w stronę gzymsu z prawym rapierem gotowym do cięcia.

Coś świsnęło obok mojej prawej nogi i wyleciało za krawędź dachu. Nie była to strzała ani bełt. Czyżby kamień z procy? Usłyszałem za sobą okrzyk zaskoczenia.

– Bokser, durniu! Mówił ci jo, żebyś nigdy więcej tego nie robił. Do wszystkich piekieł, wracaj na dół i stój na czatach! – krzyknął przywódca do kogoś za moimi plecami.

– Nie mogę! Straciłem oparcie dla nóg! Niech ktoś mi pomoże! – powiedział przestraszony głos.

Ten też był wysoki.

– Słuchajcie, nie ma sensu, żeby ktokolwiek ginął, jeśli nie musi! – zawołałem. – Może wy przestaniecie do mnie strzelać, a ja pomogę waszemu małemu przyjacielowi wyleźć na górę?

– Jeszcze raz nazwij mnie „małym”, ty sukin...

– Morda, Bokser! – przywódca podszedł o kilka stóp bliżej, potem dołączyła do niego reszta.

Dzieciaki. Wszyscy byli tylko cholernymi dzieciakami, niewiele starszymi od Aline. Mieli też ze sobą psa, na oko rasy shar pei, dużej i szybkiej, doskonałej do polowań. Miałem nadzieję, że nie będę musiał go zabijać.

– Nie próbuj żadnych sztuczek, bo dziewczyna zginie pierwsza – powiedział ich przywódca. Miał jakieś trzynaście lat i mogłem dojrzeć szopę prostych włosów nad brudną twarzą. – A jeśli zrobisz coś któremuś z nas, Mieszak rozszarpie ci gardło – wskazał psa.

– Typowe – powiedziało jedno z dzieci, ewidentnie dziewczynka. – Zawsze najpierw chcesz bić dziewczynki, Venger.

– Zamknij się – rzucił. – Bez numerów. Wyciągasz Boksera, a potem odkładasz broń albo będą kłopoty. – Pies wydał niski pomruk aprobaty. – Mieszak, zostań – komenderował chłopiec.

Uśmiechnąłem się, odłożyłem lewy rapier i zrobiłem krok w tył. Wyciągnąłem rękę poza krawędź dachu i poczułem, jak ktoś chwytą ją i próbuje mnie ściągnąć, ale byłem na to gotowy i mocno się zaparłem.

– Spróbuj jeszcze raz i cię puszcze, gówniarzu – powiedziałem najprzyjemniejszym tonem, jaki mogłem z siebie wyrzesać.

– Bokser! Bez wygłupów – rzucił ze złością Venger.

– Dobra – pojednawczo odparł Bokser.

Wciągnąłem go jedną ręką – nie byłoby to takie łatwe, gdyby ważył więcej niż powietrze. Kiedy postawiłem go przed sobą, ujrzałem kolejnego mizernego, może dziesięcioletniego chłopca o brudnej twarzy.

– Mom teraz być twoim zakładnikiem, bydlaku? – powiedział Bokser, wyraźnie szykując się do walnięcia mnie łokciem w podbrzusze.

Popchnąłem go naprzód, tak że stracił równowagę i padł na kolana w odległości kilku stóp między mną a dziećmi.

– Co teraz? – spytałem.

Venger zmierzył mnie wzrokiem.

– Możesz iść, to przez tego głupiego gnojka Boksera. Ale zostaw pieniądze. I jeśli ci życie miłe, zdejmij płaszcz i tyś go połóż – stwierdził.

Pokręciłem głową.

– Obawiam się, że nie da rady; wszystkich tych rzeczy potrzebuję. Poza tym, co chcesz robić z wielkim płaszczem? Jest większy od ciebie.

Venger uśmiechnął się szyderczo.

– Spalę go – powiedział.

Miło jest być tak powszechnie kochanym.

– Nie lubisz Wielkich Płaszczów?

– Nie lubię durniów, co się za nich przebierają – odparł. – Wszyscy wiedzą, że nie ma już żadnych Wielkich Płaszczów.

– Ale on naprawdę nim jest – zaoponowała Aline, wychodząc mi zza pleców i stając w mojej obronie.

– Zamknij się, dziewczynko! – rzucił Venger. – Nic o tym nie wiesz.

Venger zarobił za to trzepnięcie po głowie od jednej z dziewczyn z jego grupy.

– Przestań się ciągle czepiać dziewczyn, Venger – ostrzegła.

– Au! Nie czepiam się. Nie miałaby racji, nawet gdyby była chłopcem.

– Słuchaj – powiedziałem – nazywam się Falcio val Mond, jestem pierwszym kantorem królewskich trybunów. Obecnie bardzo się staram utrzymać tę dziewczynkę przy życiu i ściągają mnie wielu ludzi. Więc możesz uwierzyć mi na słowo, że

jestem Wielkim Płaszczem, i zejść nam z drogi w cholerę, albo przełożę cię przez kolano i sprawię ci takie lanie, że przestanieś widzieć na oczy. Wybieraj.

Słyszac to, kilkoro członków jego bandy zarżało, ale trzeba mu przyznać, że puścił drwiny mimo uszu i trzymał się konkretów:

– Jeśli jesteś Wielkim Płaszczem, odpowiedz: czemuż to pozwoliliście armii zabić króla, jeśli wszyscy niby jesteście takimi twardymi wojownikami? Czemu wszyscy zdradziliście swojego starego Paelisa?

– Dlatego że Wielkie Płaszcze dostały rozkaz, by się wycofać i zaakceptować ugodę. To był rozkaz.

– Ta? A kto go wydał?

– Ja – powiedziałem.

Pracowałem wtedy w bibliotece zamku Aramor, mając przed sobą mapy rozłożone na długim stole i liczące dwa wieki księgi o sztuce wojennej. Armia książęca miała tu być za kilka godzin, a my dysponowaliśmy tylko stu czterdziestoma trybunami, małym oddziałem gwardzystów królewskich oraz pracownikami i mieszkańcami zamku. Niewiele dało się z tym zrobić, ale miałem kilka pomysłów zaczerpniętych ze starych ksiąg. Dużo bym wtedy dał za skuteczną broń przeciwko oblegającym, ale byłem gotów obyc się bez niej.

Usłyszałem, jak ktoś wchodzi, i odwróciłem się, by zobaczyć króla. Miał na sobie zwykły strój, w którym ćwiczyliśmy fechtunek.

– Podejrzewam, że nie zmieniłeś zdania? – spytałem go, wciąż patrząc na plan zamku rozłożony na stole i szukając sposobu na zablokowanie Południowej Bramy, tak by nie trzeba było przerzucać tam żołnierzy.

– Królowie nie mogą sobie pozwalać na ucieczki, Falcio – powiedział.

Podniosłem na niego wzrok.

– Cóż, jeśli nie możesz szybko jeździć, musisz twardo walczyć.
– Nie tym razem. Motto brzmi: „Sprawiedliwie sądzić, szybko jeździć, twardo walczyć”, pamiętasz? „Twardo walczyć” to ostatnia możliwość. Poza tym jest powód, dla którego żaden król Tristii nie mógł nigdy trzymać własnej armii. Żołdactwo zawsze było dla książąt zabezpieczeniem przed przejęciem władzy absolutnej przez tyrana.

– Więc co...?

– Wycofasz swoich ludzi, Falcio. Rozkazuję ci ich wycofać.

– Ale możemy walczyć! Przemyślałem to i trybuni są gotowi. Gdybyś tylko przejrzał ze mną te plany, pokazałbym ci...

– Dość. Wciąż jestem królem, przynajmniej przez następne kilka godzin.

– Ale mówię ci, że możemy walczyć!

Zaczął odpowiadać, ale powstrzymał go atak kaszlu. Zbliżała się zima, a on nie spał od trzech dni.

– Możecie walczyć, Falcio – powiedział wreszcie – ale nie możecie wygrać. A nawet gdybyście mogli, wszyscy trybuni straciliby życie.

– A jakie to będzie życie pod władzą książąt? – Walnąłem pięścią w jedną z map. – Gdzie są, do licha, szlacheckie rody? Ile odbyłeś wypraw, „umizgując się do pomniejszej arystokracji”? Gdzie oni teraz są, kiedy ich potrzebujemy?

– Poświęcanie życia w wojnie, której nie mogą wygrać, nie jest ich zadaniem, Falcio. Święci wiedzą, że to, o co ich prosiłem, jest czymś więcej, niż w ogóle powinni byli mi dać.

– Znów gmatwasz sprawy, podczas gdy powinniśmy teraz szykować wielkie płaszcze!

Król podszedł do mnie i położył mi dłoń na policzku. Ludzie jakoś zawsze to robią, kiedy chcą, żebym zamilkł i zrobił coś, czego nie chcę.

– Powiem ci teraz, co robić, Falcio. Przedstawię ci nowy plan. Jestem twoim przyjacielem, ale nade wszystko twoim królem.

Poddasz zamek wojskom książąt w zamian za bezpieczne wyjście i łaskę dla Wielkich Płaszczy.

Miał rację; był moim królem i przyjacielem i kochałem go, ale przysięgam, że prawie go wtedy uderzyłem. Czułem, jak paznokcie wbijają mi się w dłonie, gdy zaciskałem je w pięści. Powaliłbym go jednym ciosem, gdyby nie to, jak na mnie patrzył.

– Tego chcę, Falcio, i tak się stanie. Książęta się zgodzą. Wiedzą, że trybuni są groźni, i nie będą chcieli zapłacić za tę awanturę więcej, niż to absolutnie konieczne.

Myśl, żeby wydać go książętom, była niewyobrażalna. Oznaczałaby zniszczenie wszystkiego, o co walczyły Wielkie Płaszcze. Naprawdę wierzyliśmy, że możemy przynieść prawo, sprawiedliwość i godność temu światu, a teraz on mi to odbierał. Miałem młodości, jakbym został zdradzony.

– Dobrze, niech cię diabli, panie – powiedziałem, odsuwając się od niego. – Ale nie każ mi wydać tego rozkazu. Niech to będzie Dara albo jeszcze ktoś inny.

Król oparł się na stole.

– To musisz być ty, Falcio.

– Dlaczego? Na bogów, dlaczego? Dlaczego zmuszasz mnie, żebym to ja wydał ten rozkaz, tę potworność, Wielkim Płaszczom?

Jego głos stał się bardzo cichy:

– Bo jeśli to nie ty go wydasz, nikt go nie wykona.

Kilka godzin później, tuż przed nadejściem awangardy armii książęcej, wydałem Wielkim Płaszczom rozkaz, który został wykonany.

NOWE WIELKIE PŁASZCZE

Aco, jeśli mówi prawdę, Venger? – zastanawiał się któryś z mizeraków.
Venger spojrzał na mnie.

– Powiedzmy, że mówi. Powiedzmy, że jest tym, za kogo się podaje, i że naprawdę to zrobił.

Schowałem do pochwy jeden rapier, podniosłem drugi i też go schowałem. Odebrałem od Aline karwasz z nożami i ukryłem go z powrotem w płaszczu.

– A więc załatwione?

– Nie mieliśmy złych zamiarów – powiedział Venger. – Myśleliśmy, że jesteś jednym z tych durniów, co łążą i mówią o sobie Wielkie Płaszcze. Myślałem, że można by cię nastraszyć, to wszystko.

To mną wstrząsnęło.

– Ktoś chodzi po mieście, udając Wielkie Płaszcze? Kto mógłby coś takiego robić?

– Ja – dobiegł nas głos z przeciwległej strony budynku.

W mgnieniu oka miałem w rękę rapier, a banda Vengera przykucnęła gotowa do walki. Tamten podszedł do nas beztrąsko. Młody – miał jakieś osiemnaście lat – i nieco wyższy ode mnie, chudy, o rudozłotych włosach i kościstej twarzy. Przy lewym

biodrze zwiślał mu rapier bardzo podobny do mojego. I miał na sobie Wielki Płaszcz.

Rozpoznał go Venger i nagle z niego i jego bandy opadło całe napięcie.

– Ej, Cairn, ty tępy mopsie. Wracaj i powalcz jeszcze trochę z własnym cieniem.

Cairn nie zareagował i podszedł do mnie, nie zwracając uwagi na mój wyciągnięty rapier, i niezdarnie mnie objął.

– Bracie! – zawołał. – Gdy usłyszałem, że w mieście jest jeden z nas i ścigają go ludzie księcia... – Odsunął się i zmierzył mnie wzrokiem. – I to jeden z pierwszych! Jesteś Parrick? Słyszałem pogłoski, że żyje i tędy przejeżdżał.

– Parrick ani trochę mnie nie przypomina i jest daleko stąd. Jestem Falcio...

Cairn wydał stłumiony okrzyk:

– Więc to prawda...! – I ukląkł na jedno kolano. – Pierwszy kantorze – rzekł uroczyście – nazywam się Cairn z Nowych Wielkich Płaszcz. Jestem na twoje rozkazy.

Venger prychnął.

– Lepiej każ mu spływać – rzucił. – Pewnie za kilka godzin zacznie śmierdzieć.

– Zamilcz, Venger, albo cię trzepnę.

– Spróbuj tylko, Cairn! – zawołał przywódca bandy. – Już raz skopałem ci dupę i chętnie znów to zrobię.

– To było... miałeś po prostu szczęście... – powiedział Cairn, dodając szybko: – Wciąż się szkoliłem.

Przerwałem im i położyłem Cairnowi dłoń na ramieniu.

– Cóż to za historia z „nowymi” Wielkimi Płaszczami? O czym ty mówisz?

Cairn znów odwrócił się w moją stronę.

– Odtworzyliśmy Zakon Wielkich Płaszcz – powiedział głosem przepełnionym ekscytacją i dumą. – No, tak naprawdę wszystko zaczął Lorenzo. Jest niesamowity. Nie mogę się

doczekać, kiedy go poznasz; kiedy wszystkich poznasz. To niewiarygodne! Falcio val Mond, pierwszy kantor!

– Zaczekaj, daj mi chwilę, żebym to dobrze zrozumiał. Mówisz mi, że stworzyliście własne Wielkie Płaszczce?

Kiwnął głową.

– Ale czyje prawa egzekwujecie? Nie ma przecież króla.

Zawahał się i Venger znów prychnął.

– Powiedz mu, Cairn. Powiedz mu o sobie i waszej bandzie bohaterów!

– Cóż, to... To znaczy, dopiero zaczynamy...

– „Zaczynamy”! Ha! Jesteście zwykłą bandą zniewieściałych fiutków. Bogate dzieciaki z bogatych rodzin udające twardzieli i buntowników.

– Nie rozumiem – przyznałem. – Jeśli nie rozpatrujecie spraw, to co robicie?

– Nadal formujemy Zakon – powiedział Cairn. – Słuchaj, chodź ze mną, poznam cię z Lorenzem i Nowymi Wielkimi Płaszczami. Bardzo byś nam się przydał.

– Ilu was tam jest? Staram się utrzymać tę dziewczynkę przy życiu do końca Tygodnia Krwi. Jej rodzina została zamordowana i ścigają ją ludzie księcia.

Cairn uśmiechnął się.

– Jest nas prawie trzydziestu. Uwierz mi, Falcio, pomożemy ci utrzymać ją przy życiu. Razem jesteśmy silni, a Lorenzo jest najlepszym szermierzem wszech czasów!

Bardzo w to wątpiłem, ale potrzebowałem sojuszników, choć nie sądziłem, by Venger i jego banda dzieciaków mieli się przydać do utrzymania nas przy życiu.

– Lepiej wam będzie z nami – powiedział Venger, jakby umiał czytać w moich myślach. – Znam te ulice lepiej niż ktokolwiek inny i wiemy, jak się dostać do każdego domu na Starym Mieście oraz jak się z niego wydostać.

Teraz przyszła kolej na szyderstwa ze strony Cairna.

– Wy? Złodzieje i żebracy? Pewnie sprzedacie ich ludziom księcia za jedną błyszczącą monetę.

– Powtórz to – powiedział Venger z małym nożem w dłoni. – Powiedz to jeszcze raz i zobaczymy.

– Jak daleko jest stąd do twoich ludzi? – spytałem Cairna.

– Tylko kilka kwartałów, po drugiej stronie Starego Miasta. Chodźcie, będziemy tam w pół godziny!

Spojrzałem na Vengera.

– Dziękuję za propozycję – powiedziałem – ale ci, którzy nas ścigają, są brutalni i nie okażą nawet odrobiny litości. Wiem, że ty dasz radę, ale niektórzy z twoich ludzi są bardzo młodzi.

Venger wydał z siebie prychnięcie, które było niemal komiczne u chłopca w jego wieku.

– Jak tam sobie wolisz – odparł – ale powiem ci prosto z mostu: nie dałbym tym baranom przypilnować nawet zdechłego kota.

Mieszak szczechnął na zgodę albo z głodu, nie jestem pewien.

Nie wiem, czego się dokładnie spodziewałem po Nowych Wielkich Płasczach Cairna, ale nie tego, co zobaczyłem w warowni po przeciwległej stronie Starego Miasta. Wnętrze szerokiego dwupiętrowego budynku zajmowała duża sala otoczona niewielkimi pomieszczeniami. Gdy na zewnątrz wciąż było ciemno choć oko wykol, oświetlały ją setki świec i płomienie ze stojącego pośrodku wielkiego paleniska. Grupa muzyków grała żywe melodie, których nigdy wcześniej nie słyszałem, a Wielkie Płascze Cairna tańczyły i ich ciała rzucały na ściany falujące cienie. Wszystko razem tworzyło pierwotną, niemal erotyczną atmosferę.

– Słyszałaś coś o tym? – spytałem Aline.

W końcu mieszkała w Rijou.

Ale ona gwałtownie potrząsnęła głową.

– Pamiętam, jak matka opowiadała mi, że księżę wciąż rosyłał ludzi na poszukiwania zbuntowanych Wielkich Płasczy, ale chyba zawsze myślałam, że chodzi mu o was.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. Ugoda wyraźnie zabraniała jakichkolwiek kar dla Wielkich Płaszcz. Z drugiej strony, książęta tylko czasem grali uczciwie, za to zawsze tak, by wygrać.

– Lorenzo! – krzyknął Cairn z podnieceniem.

Człowiek, który odwrócił się do nas, wyglądał jak święty ze starego romansu. Był wysoki, co najmniej sześć i pół stopy wzrostu. Miał długie złote włosy, które okalały taką twarz, że Brasti wyglądałby przy nim jak zgrzybiała starucha, a w porównaniu z jego sylwetką Kest przypominał raczej niedożywioną sierotę. Miał na sobie spodnie z czernionej skóry i miękką koszulkę kolczą, w której z zazdrością rozpoznałem stalowy pierścień z Ilthe-nu: kolczuga była trudna w wykonaniu i bardzo, bardzo droga. Blokowała ciosy miecza i noża, ale była lekka niczym wełna. Pięknie opinała jego ciało, ze znakomitym skutkiem podkreślając muskulaturę. Trudno było nie podejrzewać, że mogło to być zamierzone. Ale płaszcz... Jego płaszcz był z pewnością skórzany i zdecydowanie dobrze uszyty, wyglądał na dość praktyczny w walce. Ale nie był to wielki płaszcz. Nie wyszedł spod ręki Krawcowej. Widziałem wszystkie płaszcze, jakie kiedykolwiek uszyła, i miały krój, którego nie potrafił skopiować nikt, kogo później spotkałem. Zastanawiałem się często, czy król w ogóle stworzyłby bez niej Wielkie Płaszcze.

– Cairn? Dlaczego, do wszystkich piekieł, kogoś tu prowadzasz? – powiedział Lorenzo.

Na jego twarzy błąkał się niedbały uśmiech, ale wyczułem skryte pod nim rozdrażnienie – rozdrażnienie i coś więcej: rodzaj lekkiej pogardy połączonej z pobłażliwością.

– On jest jednym z nas, Lorenzo – powiedział Cairn, niezadowolony dłużej powściągać ekscytację. – To jeden z pierwszych! To Falcio, pierwszy kantor!

Lorenzo przyjrzał mi się przez chwilę, wyraźnie nieprzekonany tym, co zobaczył. Musiałem mu to wybaczyć. Byłem wykończony, znużony po długiej jeździe i ostatnich walkach, moje

ubranie było sfatygowane, nawet płaszcz miałem podarty i połatany. Przerwał na chwilę oględziny i spytał ostrożnie:

– Kim jest ta dziewczynka?

– Aline, córka lorda Tiarrena – oznajmiłem.

– Święci – powiedział cicho Lorenzo. – Słyszałem, co się stało. Uklęknął i zrównał się z nią wzrostem.

– Jesteś teraz bezpieczna, pani. Do piekieł z Ganath Kalila; Tydzień Krwi nie dosięgnie cię w tych ścianach.

Aline należycie dygnęła i podała mu rękę.

– Jestem wdzięczna, panie. Ścigają nas ludzie księcia. Gdyby nie ten człowiek, zginęłabym już kilka razy.

Lorenzo podniósł na mnie wzrok.

– A więc to prawda? Naprawdę jesteś jednym z królewskich trybunów?

Kiwnąłem głową.

– Pierwszym kantorem?

Ponownie przytaknąłem.

Lorenzo wyprostował się.

– Święci – powiedział – to niewiarygodne.

Objął mnie w uścisku i powiedział mi do ucha coś, co brzmiało jak „bracie”. Z jakiegoś powodu ten gest wydał mi się aż za bardzo znajomy.

– Bracia! Siostry! – zawołał Lorenzo, przekrzykując muzykę, i orkiestra niemal natychmiast umilkła.

Lorenzo wyraźnie tu dowodził. Rozejrzałem się. Wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

Patrzyło na nas około czterdziestu mężczyzn i kobiet, wszyscy byli młodzi, silni i atrakcyjni. Dodałem do tej listy przymiotnik „bogaci”, bo zazwyczaj łączy się on z poprzednimi trzema.

– Bracia i siostry, objawił się nam znak: zarówno od bogów, jak i świętych – ogłosił Lorenzo. – Ten człowiek... ten człowiek to Falcio val Mond, pierwszy kantor królewskich trybunów.

Człowiek, który pomógł stworzyć Wielkie Płaszczce, przybył do nas, by dołączyć do naszego wielkiego przedsięwzięcia!

Z początku owacje nie należały do najbardziej entuzjastycznych, tak jakby jego słuchacze nie byli całkiem pewni, co to wszystko znaczy, ale stopniowo narastały, aż zaczęły brzmieć niczym ryk. Poczułem, że Aline przysuwa się bliżej.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi – powiedziałem cicho do Cairna.

Lorenzo mnie usłyszał.

– Chodzi o wasze przybycie tu wbrew wszelkim przeciwnościom. To znak, pierwszy kantorze, nie widzisz tego? To znak, na który czekaliśmy. To dzień, w którym rozpoczniemy rewolucję, dzień, w którym zaczniemy walkę o wolność naszego miasta i naszego kraju!

Rozległy się wiwaty, a ja byłem w rozterce. Czy ci ludzie naprawdę planowali przywrócić światu Wielkie Płaszczce? Jak to się zaczęło? Czy to część planu króla? Myśli wirowały mi w głowie, ale nie pojawiały się żadne wnioski i pozostało mi tylko niepokojące poczucie, że coś tu się nie zgadza.

– Przemów! – krzyknął ktoś.

Kilkoro ludzi się zaśmiało, ale inni dołączyli do tego wezwania, aż w końcu prawie wszyscy wołali:

– Mowa! Mowa!

Lorenzo wypchnął mnie naprzód.

Otworzyłem niechętnie usta i zacząłem mówić:

– Nie znam was. Nie znam żadnego z was, nie wiem, kim jesteście ani jakie macie zamiary. Nie przyszedłem tu zaczynać żadnej rewolucji, nie jestem znakiem i święci mi świadkami, że nie jestem tu po to, by posłać kolejnych dobrych ludzi na śmierć. – Zatrzymałem się na chwilę, ciekaw, jaka będzie reakcja, ale żadnej się nie doczekałem, więc mówiłem dalej: – Zostało złamane prawo, królewskie prawo. Rodzina tej dziewczynki została zamordowana, a ona sama jest celem płatnych zabójców.

Lorenzo mówił prawdę, kiedy powiedział wam, kim jestem: nazywam się Falcio val Mond i byłem pierwszym kantorem Wielkich Płaszczy. Mój wyrok był korzystny dla tej dziewczynki, więc moim zadaniem jest utrzymanie jej przy życiu do końca Tygodnia Krwi. Dlatego tu jestem. To wszystko.

Jeśli Lorenzo był rozczarowany moją przemową, to tego nie pokazał. Uśmiechnął się szeroko, jakbym właśnie przywołał do walki przodków wszystkich dobrych ludzi.

– Słyszeliście to!? – zawołał. – Złamano prawo, życie dziewczynki wisi na włosku, a Wielki Płaszcz walczy, by ją ocalić. Falcio val Mond ją uratuje. – Odwrócił się do mnie i przyklęknął na jedno kolano. – Panie mój, kantorze, mam na imię Lorenzo, mój rapier należy do ciebie, moja siła należy do ciebie. Moje życie należy do ciebie. – Nie czekając na odpowiedź, wstał i odwrócił się do tłumu. – Kto jeszcze jest z Falcim? – spytał.

W sali wezbrał ogłuszający ryk, publiczność w kółko skandowała moje imię. Co tam amulety – podejrzywałem, że Shiballe słyszał nas w pałacu.

– Dziękuję – powiedziałem cicho do Lorenza – ale teraz potrzebujemy tylko...

Albo nie słyszał mnie w tej wrzawie, albo mnie zignorował.

– Rozpoczęliśmy wielkie przedsięwzięcie, bracia i siostry, więc świętujmy! Psiakrew, niech ktoś przyniesie tu jakieś jedzenie i picie!

Kolejny ryk tłumu.

„Święta Laino Co Daje Dupy Bogom – pomyślałem – kim są ci ludzie?”

Następne kilka godzin było dla mnie jak sen – sen, który śnił ktoś inny. Twarda lukrecja przestawała działać i Aline była głodna i zmęczona, więc postanowiłem, że lepiej będzie dać jej odpocząć i coś zjeść, zamiast opierać się na mieszance ziół i sekretnych cukrów, co później odbije się na zdrowiu.

– Co sądzisz? – spytał mnie Lorenzo, wskazując na Nowe Wielkie Płaszcze.

Muzyka i tańce zaczęły się na nowo z ferworem, a część tłumu połączyła się w pary i ćwiczyła szermierkę w głębi sali.

– Wyglądają na bardzo rozentuzjasmowanych – powiedziałem, nie wiedząc, co jeszcze dodać.

Zdawali się dobrze sobie radzić z bronią, szkolili ich pewnie miejscowi mistrzowie fechtunku, jak to często bywało z bogaczami. Nie mogłem ich za to winić, bo z pewnością byli wystarczająco zaangażowani. Ale coś mi tu ciągle nie pasowało.

– Jak to wszystko się zaczęło? – spytałem.

Lorenzo spojrzał na mnie i uśmiechnął się, unosząc brwi.

– Och, to dopiero historia! Ale to później. Teraz pora na pojedyunki!

– Pojedyunki?

Wstał z krzesła i dał znak muzykom, by przestali grać.

– Bracia, siostry, pokażmy naszemu kantorowi, co potrafimy!

Zabrzmiały kolejne owacje i kilkoro mężczyzn i kobiet wyszło naprzód, wyciągając broń i czekając na sygnał od Lorenza. Ten wskazał parę stojącą nieopodal.

Kobieta była niezwykle atrakcyjna, z ciemnymi włosami okalającymi twarz o wyrazistych, lecz pięknych rysach, a spojrzenie, które posłała Lorenzowi, zdradziło mi, że byli parą. Stojący obok niej mężczyzna był mniej więcej tego samego wzrostu, gibki i wytworny w ciemnozielonej koszuli pod czarnym skórzanym płaszczem.

– Może najpierw Etricia i Mott, potem Sulless i Cole.

Niektórzy z pozostałych popatrzyli z rozczerwieniem, ale wszyscy się rozstąpili, by zrobić miejsce walczącym.

– Walczą na ostre? – spytałem.

My, Wielkie Płaszcze, ćwiczyliśmy ostrą bronią zamiast drewnianej, ale byliśmy znacznie lepiej wyszkoleni od tych ludzi.

– Patrz – powiedział Lorenzo.

Mężczyzna imieniem Mott ruszył na Etricię, która zgrabnie się uchyliła i skierowała sztych rapiera w pierś przeciwnika. Wyprowadziła pchnięcie, które, jak sądziłem, musiało go przebić, ale tamten odbił je grzbietem rękawicy ze spokojem i precyzją, jakie zwykle widzę u Kesta. Potem obrócił dłoń i skontrolował w stronę jej twarzy, o wiele za szybko, by uniknęła ciosu – a jednak jej się udało. Był to oszałamiający widok, całkiem jakby umieli czytać sobie nawzajem w myślach i znali zawczasu swoje ruchy. Wtedy mnie olśniło: oni znali zawczasu swoje ruchy.

Pochyliłem się w stronę Lorenza i powiedziałem:

– To nie pojedynek, to przedstawienie. To wszystko wyreżyserowane.

Lorenzo rzucił mi uśmiech.

– Cóż, tak. Nie możemy przecież pozwolić, by zadawali sobie rany, nieprawdaż?

Byłem wstrząśnięty. Opracowywanie choreografii i odgrywanie jej przez walczących to najgorszy sposób szkolenia z możliwych. Tak jakby myśleli, że ta szybkość i ostre klingi sprawiały, że wszystko to było bardziej realne niż prawdziwa walka na drewniane miecze. Co oni sobie myśleli?

Walka skończyła się zachwycającym popisem fechtunku, na którego zakończenie Etricia stała nad Mottem w niedorzecznej pozie z rapierem oddalonym o cal od jego oka. Zabrzmiały gromkie oklaski.

– To szaleństwo – powiedziałem do Cairna. – Dlaczego nie ćwiczyć, jak należy?

– Nie sądzisz, że to trochę niegrzeczne przychodzić do naszego domu i krytykować metody szkoleniowe? – rzekł Lorenzo.

– Proponowałem... – zaczął Cairn.

– Nikt nie prosił, żebyś się odzywał, Cairn – powiedział Lorenzo z wyraźną groźbą w głosie. Choć może nie dość wyraźną dla Cairna.

– Każdy ma głos na spotkaniu Wielkich Płaszczy – ciągnął ten uparcie. – Dlaczego nie możemy ćwiczyć tak, jak sugeruje Falcio? Drewniane miecze, ale prawdziwe walki, prawdziwe ćwiczenie.

Lorenzo westchnął i podniósł się z krzesła.

– Dobrze więc – oznajmił, dobywając z pochwy przeraźliwie długi rapier. – Poćwiczmy, Cairn: prawdziwa walka, ty i ja.

Tłum zrobił mu miejsce, a Cairn nerwowo rozglądał się dookoła. Jeśli miał nadzieję, że ktoś zaprotestuje, to miał pecha.

– Ale ja nie jestem gotowy... Ja...

– Przestańcie – powiedziałem. – Nie to miałem na...

– Chodź, Cairn – oczy Lorenza były utkwione w przeciwniku. – Wielki Płaszcz powinien być zawsze gotowy, czyż nie?

Cairn niechętnie wyszedł na środek i dobył własnej, krótkiej i wyraźnie taniej broni. Miałem wrażenie, że był znacznie mniej zamożny od pozostałych i niezbyt szanowany.

– Psiakrew, użyjcie przynajmniej drewnianych mieczy – powiedziałem. – Inaczej się pozabijacie.

Lorenzo puścił to mimo uszu. Nie przestawał się uśmiechać, utkwivszy spojrzenie w Cairnie.

– Chyba się nie boisz, co, Cairn? Uspokój naszego gościa, że twój honor znaczy dla ciebie o wiele więcej niż jedno czy drugie zadrapanie.

– Mam gdzieś twój honor! – zawołałem. – Honor jest dla rycerzy. Bądź rozsądny, chłopcze.

Tłum utworzył krąg, zamykając w środku obu mężczyzn.

Cairn popatrzył na mnie jak zwierzę, które zrozumiało, że zamknęły się za nim drzwi klatki.

– Nie, nie, on ma rację. Ja chcę być Wielkim Płaszczem. Muszę być zdolny do walki. – Przyjął pozycję z grubsza przypominającą postawę szermierczą i czekał.

Lorenzo dał znak swojej kobiecie, Etricii, która podeszła i złożyła mu na ustach wyuzdany pocałunek, a potem uśmiechnęła

się do mnie szelmowsko. Zdałem sobie wtedy sprawę, że był to rodzaj pułapki: Cairn nie był specjalnie szanowany; nie lubiano go, a przyprowadzając mnie tutaj, postawił Lorenza w kłopotliwej sytuacji. Wszyscy byli bezpieczni w swoim wymyślonym świecie Wielkich Płaszcz, honoru i szermierki, ale oto pojawia się ja, brzydka prawda. Cairn miał prawdopodobnie znacznie większe pojęcie o prawdziwych Wielkich Płaszczach i prawdopodobnie znacznie więcej narzekał. Teraz miał dostać łupnia.

– Może nasz gość ogłosi początek pojedynku? – spytał Lorenzo.

– Dobrze – powiedziałem i przyszedł mi do głowy pewien pomysł. – Kiedy ogłoszę początek starcia, możecie zaczynać i będziecie walczyć do pierwszej krwi. Kto pierwszy zostanie skaleczony, zostaje uznany za niezdolnego do trzymania broni i poddaje pojedynek.

Proszę: zobaczmy, co z tym zrobisz, pompatyczna tyko chmielowa.

– Jak sobie życzysz – uklonił mi się Lorenzo.

Cairn skinął głową.

– Dobrze. Zaczynajcie.

Lorenzo błyskawicznie wyrzucił przed siebie rapier i myślałem, że będzie po wszystkim, jeszcze zanim się zacznie, ale zatrzymał cios przed dotknięciem przeciwnika. Finta, trzeba przyznać, że dobrze wykonana, była na tyle przekonująca, że Cairn drgnął i zasłonił rękami twarz, przez co wyglądał jak dziecko próbujące uniknąć klapsa.

Publika wybuchnęła śmiechem.

– Wszystko w porządku? – zainteresował się uprzejmie Lorenzo, cofając rapier i pochylając się naprzód z wyrazem najwyższej troski.

Kolejne śmiechy.

Cairn znów przyjął postawę szermierczą. Lorenzo zaatakował jeszcze raz, prawie dokładnie w ten sam sposób. Nierzadko

stosuje się sztuczkę, która wygląda, jakby powtarzało się fintę, ale tym razem kończy się ją prawdziwym ciosem. Jednak w tym przypadku Lorenzo, mając na celu upokorzenie przeciwnika, po prostu zamarkował cięcie dokładnie w ten sam sposób i osiągnął dokładnie ten sam wynik. Biedny Cairn został upokorzony i wytrącony z równowagi.

Publiczność była jadowicie nieprzychylna.

Z początku poczułem ulgę: Lorenzo chce w ten sposób tylko upokorzyć Cairna i umocnić swoją dominację w grupie. Ale myliłem się. Lorenzo był doskonałym szermierzem i miał technikę potrzebną, by zdominować walkę i nie przelać krwi. Jednak w dalszej części pojedynku wykorzystywał ją nie po to, by przestraszyć Cairna, lecz by objąć go bezlitośnie płazem swojego rapiera. Krew się nie polała, ale na Cairna raz za razem spadały dotkliwie ciosy. Kiedy próbował walczyć defensywnie, Lorenzo przekradał się przez jego parady i uderzał go płazem. Kiedy sam próbował zaliczyć trafienie, Lorenzo karał go znacznie silniejszymi uderzeniami.

Trzeba mu to przyznać: Cairn wciąż się podnosił po kolejne razy – w końcu Lorenzo zbił jego raper w dół i brutalnie uderzył go płazem w nadgarstek. Usłyszałem trzask.

– Dosyć! – powiedziałem. – Walczący, rozdzielić się.

Lorenzo cofnął się na moment.

– Pierwszy kantorze? Nie rozumiem, myślałem, że powie-
działeś, że walczymy do pierwszej krwi?

Spojrzałem na widzów. Kilkoro wyglądało na przerażonych tym, co się działo, ale więcej, znacznie więcej patrzyło radośnie na odgrywane przed nimi przedstawienie.

– Chłopakowi wystarczy – powiedziałem.

– Ja... – zaczął Cairn.

– Może się wycofać, jeśli sobie życzy – powiedział Lorenzo uspokajająco – ale żaden mężczyzna ani żadna kobieta, którzy unikają walki, nie są Wielkimi Płaszczami i nie mają tu nic czego szukać.

Roześmiałem się:

– „Unika walki?” Jesteś dziecinny. Unikamy jej cały czas, unikamy każdej walki, której możemy uniknąć. „Sprawiedliwie sądzić, szybko jeździć, twardo walczyć”. Walka jest dla nas zawsze ostatecznością.

Tym razem Lorenzo zaczął szydzić:

– Cóż, może to wyjaśnia, dlaczego tak szybko uciekliście, kiedy ostatnim razem było o co walczyć! Może to dlatego nie ma już króla ani Wielkich Płaszczy. Może my... – tu odwrócił się i rozłożył szeroko ramiona – może my zamierzamy walczyć, a nie uciekać!?

Aline położyła mi dłoń na ramieniu.

– Chodźmy, Falcio. Chyba powinniśmy już iść.

Strząsałem jej rękę.

– Jesteś głupcem, Lorenzo, tak jak i każdy, kto tu słucha tych bredni. Myślisz, że weźmiesz czterdzieścioro mężczyzn i kobiet i pójdziesz walczyć z chorągwią rycerzy? W zbrojach płytowych? Armia, która przysłała po króla, liczyła tysiąc konnych. Myślisz, że mógłbyś załatwić to w walce? – Czułem gryzącą ironię tych słów, gdyż sam bardzo starałem się przekonać króla, by pozwolił mi właśnie na to.

– Wiesz co, pierwszy kantorze, wyglądasz, jakbyś miał już dość. Może powinieneś odpocząć i śnić swoje słodkie sny o przeszłości, a młodszy i lepsi będą walczyć zamiast ciebie. A może – odwrócił się i uśmiechnął drapieżnie – może chciałbyś nam pokazać co nieco, jak to się robiło za dawnych czasów?

– Chodź, Falcio – powiedziała Aline. – To nie jest twoja walka.

Ale nie miała racji: ci ludzi nazywali się Wielkimi Płaszczami. Poświęciłem życie tej sprawie i stu czterdziestu czterech innych zrobiło to samo. Walczyliśmy, przelewaliśmy krew i ginęliśmy za tę sprawę. Mój król został za tę sprawę ścięty.

Lorenzo miał jednak rację co do jednego: miałem dość. Miałem dość książąt i rycerzy, a nawet zwykłych ludzi wołających

na nas „trattari”, „obdarte płaszcze” i jeszcze gorzej. Miałem dość kalania pamięci o tym, co staraliśmy się robić dla świata. A najbardziej ze wszystkiego miałem dość uciekania i krycia się. Wiedziałem, że powinienem po prostu wyjść z Aline, postarać się znaleźć jakąś inną kryjówkę. Prawie słyszałem, jak Brasti wrzeszczy mi do ucha, żebym po raz kolejny nie stawiał gniewu przed rozsądkiem. Miał rację.

Ale byłbym po trzykroć przeklęty, gdybym pozwolił tym głupcom, tym aroganckim sukinsynom zadać ostateczny cios pamięci Wielkich Płaszczy.

Ruszyłem na środek sali, sprawdzając nastawienie tłumu. Czasem, jeśli błędnie odczytasz sytuację, wszystko szybko może się obrócić przeciwko tobie. Może ci się wydawać, że zaczynasz pojedynek, ale jeśli piętnastu ludzi uzna, że chce się przyłączyć, to nie możesz zawołać do nich po prostu: „To nieuczciwie!”, i liczyć na to, że dadzą za wygraną. Ci ludzie nie dbali o nic poza dobrym przedstawieniem. Myśleli, że Lorenzo to niepokonany święty Caveil we własnej osobie, który przybył nauczyć ich szermierki. Cóż, niech będzie. Kest zawsze mówi, że święci to tylko mali bogowie i w końcu pewnie oberwą.

Kiedy dotarłem do Cairna, ten spojrzał na mnie z widoczną udręką.

– Jeszcze nie skończyłem – odezwał się. – Wciąż mogę walczyć, nie było pierwszej krwi.

– Wiesz co, on ma rację – potwierdził Lorenzo. – Dobra robota, Cairn. Zaczynamy od nowa!

– Wstawaj i idź poszukać lekarza, żeby opatrzył ci nadgarstek – powiedziałem.

– Nie jestem tchórzem! – na wpół krzyknął, na wpół wychrypiał z bólem.

– Dobrze – powiedziałem.

Dobyłem rapiera i chlasnąłem Cairna po ramieniu. Pojawiła się wąska kreseczka jaskrawej czerwieni i chłopak głośno krzyknął.

– Dlaczego? – wyduśił przez zaciśnięte zęby.
– Twój honor został uratowany. Nie poddałeś się. A teraz idź do tego pieprzonego lekarza, żeby zajął się twoim złamanym nadgarstkiem, inaczej już nigdy nie będziesz mógł się fechtować.

Na sali rozległo się kilka chichotów.

– Zaczniemy, o potężny nauczycielu? – spytał Lorenzo.

Zaczekałem, aż Cairn wstanie i wyjdzie, a potem powiedziałem:

– A teraz wygarbuję ci skórę, ty śmieszny głupcze, ty napuszony, żałosny chłoptasiu.

Nie mam pewności, co konkretnie w tej frazie go dotknęło. Lorenzo natarł na mnie tym swoim długim rapierem z błyskiem siedmiu piekieł w oczach.

Chciałbym móc wam powiedzieć, że wykonałem jakiś bardzo prosty, lecz pomysłowy manewr i położyłem go na łopatki jednym ciosem. Chciałbym powiedzieć, że wszyscy się śmiali i że został upokorzony, a potem czmychnął, by rozpocząć gdzieś karierę wioskowego głupka. Ale niestety nie tak to przebiegało.

Zacznijmy od tego, że Lorenzo rzeczywiście był wybitnym szermierzem. Nie spotkałem chyba lepszego, no, poza Kestem. I był ode mnie młodszy o ponad dekadę. Był wyższy, silniejszy, miał większy zasięg i pewniejszą rękę. Byłem zmęczony i ranny i nie czułem potrzeby, by dawać mu nauczkę. Gdyby to był konkurs siły czy umiejętności, wygrałby bez dwóch zdań.

Ale sprąłem go. Na kwaśne jabłko, na cierpkie i na gorzkie.

Kiedy próbował związać mój rapier, odsunąłem go i chwyciłem koniec jego klingi dłonią w rękawicy, wyginając mocno głównię w mały łuk i utrudniając mu jej wycofanie. Kiedy zdeorientowany szarpnął rapier, przyskoczyłem razem z nim i trzasnąłem go rękojęścią w ramię. Kiedy próbował wykorzystać swój wzrost i siłę, żeby zadać mi potężne uderzenie z góry, zrobiłem taneczny wypad w jego prawo i mocno trzepnąłem go płazem w kolano. Kiedy zaatakował finezyjnie, skontrowałem jak pijany

drab. Kiedy wściekle się na mnie rzucił, odpowiedziałem finezją. Użyłem wszystkich znanych mi sztuczek wzbudzających w przeciwniku gniew i nieostrożność, zawstydzających tak, by zaczął się mylić, upokarzających i bolesnych. Nie chciałem go jedynie pobić. Chciałem go złamać.

Roztrzaskałem mu dwa żebra i palce prawej dłoni. Starłem mu z twarzy ten jego uśmieszek, przy okazji omal nie pozabawiając go w ogóle ust. Pobiłem go, dlatego że ostatecznie byłem podlejszy i bardziej zdesperowany i dlatego że dla mnie to nie była zabawa. Mówiłem, że Lorenzo doskonale się fechtował, bo tak było. Prawdopodobnie nigdy wcześniej z nikim nie przegrał. Za to ja przegrywałem wielokrotnie i coś w tym było: w ten właśnie sposób uczysz się, o co naprawdę idzie gra. Świat to nie romantyczny spektakl; nie składa się tylko z miłości i chwały. A w walce nie zawsze chodzi o siłę i umiejętności; czasami – może nawet najczęściej – chodzi o to, kto jest gotowy przyjąć cios tylko po to, by zadać przeciwnikowi jeszcze bardziej dotkliwy.

Leżał jak worek u moich stóp, spoglądając na sufit, jakby święci schodzili z nieba na ziemię. Był chyba równie wstrząśnięty co obolały. Wiedziałem, że coś mu zabrałem, coś cennego. W przyszłości mógł zostać legendą szermierki, może nawet prześcignąć Kesta, ale byłby też potworem. A moje zajęcie polega na powstrzymywaniu potworów.

– Chodźmy – powiedziałem do Aline.

Ludzie stali nieruchomo jak kamienne posągi, ale kiedy ruszyłem w stronę drzwi, rozstąpili się przede mną. Wszyscy poza kobietą Lorenza, Etricią, która dobytej broni i machnęła nią do mnie.

– Walcz ze mną! – zawołała.

Spojrzałem na nią, uosobienie zranionej dumy i zadurzenia.

– Nie.

– No, chodź, ty tchórzu! Co, myślisz, że kobiety nie potrafią walczyć? Niech cię diabli, walcz ze mną jak mężczyzna!

– Dobrze – powiedziałem i zbiłem w bok jej rapier, a potem kopnąłem ją z całej siły między nogi.

Z widocznym bólem padła na ziemię obok Lorenza. Był to podły i niski chwyt, ale tego dnia, w tym przeklętym mieście? Tego dnia byłem bardzo podłym i małym człowiekiem.

– Ktoś jeszcze? – zwróciłem się do tłumu. – Ktoś jeszcze? – spytałem ponownie, głośniejszym głosem.

Mój głos był napięty, niemal piskliwy. Zwykle po walce jestem wyczerpany; mam tylko ochotę się wykapać i przespać. Ale tym razem było inaczej. Jeśli już, to czułem złość. Większą, niż kiedy walczyłem z Lorenzem. Był podżegaczem, ale ci ludzie go oklaskiwali. Nie byli potworami; byli ludźmi, którzy karmią potwora.

– Zdejmijcie płaszcze – powiedziałem.

Spojrzeni na mnie, jakbym mówił w obcym języku.

– Zdejmijcie płaszcze. Zdejmijcie i wrzucicie je do ognia.

– Falcio, przestań – powiedziała Aline. – Musimy stąd iść.

Puściłem to mimo uszu i zrobiłem krok w stronę tłumu.

– Każdemu z was, kto wciąż będzie miał na sobie płaszcz, kiedy do niego dojdę, wbiję rapier w brzuch. Zdejmijcie te pieprzone płaszcze i wrzucicie je do ognia.

Zrobili to, wszyscy co do jednego. Etricia, wciąż nieco obolała, z pomocą innej kobiety ściągnęła płaszcz z Lorenza. W końcu wielki centralny kominek ledwo je pomieścił i płomień prawie zgasył pod ciężarem całej tej skóry. I – bogowie – jaki to był smród.

– Co... co mamy teraz robić? – spytał mniejszy dwudziestoletni chłopak.

– Ubierajcie się w coś innego.

Nikt nie próbował mnie zatrzymać, gdy trzymając Aline za rękę, wyszedłem na zewnątrz.

MIĘKKA LUKRECJA

W Rijou nastał poranek. Chociaż wciąż było zimno, światło sprawiało wrażenie tak ostrego, że wszędzie tam, gdzie padało, z płynących wzdłuż trotuaru rynsztoków zdawał się podnosić smród.

– To było głupie – powiedziała Aline.

Patrzyłem na nią przez chwilę, potem skręciłem w prawo i ruszyliśmy na wschód szeroką ulicą zwaną Szlakiem Pikiniera.

– To było głupie.

– Co dokładnie?

– Wszystko – powiedziała. – Ale teraz najgłupsze jest to, że odchodzimy w biały dzień i każdy z nich może zobaczyć, dokąd idziemy.

– To głupcy i tchórze – odparłem. – Żaden z nich nie pójdzie nas szukać. Pójdziemy na wschód i przebijemy się do Dzielnicy Snycerzy. Niewiele się tam będzie działo w czasie Tygodnia Krwi i jest tam wiele kryjówek.

– To i tak było głupie – powtórzyła, ignorując moje słowa.

– Ile jeszcze razy to powiesz?

Stanęła i chwyciła mnie za rękaw płaszcza, próbując mnie obrócić. Uznałem, że czas wyjaśnić, kto tu dowodzi.

– Słuchaj...

Jej twarz była cała we łzach.

– Dlaczego ty...

– Bo się boję! Nie widzisz? Czy ty nigdy się nie boisz?

Przyklęknałem, starając znaleźć na jej poziomie, ale była na to zbyt wysoka, więc znów wstałem i nachyliłem się nad nią – wyglądało to okropnie niezgrabnie i sprawiło, że to, co powiedziałem, zabrzmiało jeszcze głupiej:

– Boję się cały czas, Aline. Boję się w tym momencie. Ale musimy iść dalej i znaleźć jakieś miejsce...

– Nieprawda!

Jej głos był gdzieś w połowie między piskiem a burczeniem i sprawił, że zrobiłem krok w tył. Było na tyle wcześnie, że na ulicy nikogo nie było, ale wciąż się martwiłem, że ktoś mieszkający nad okolicznymi warsztatami może zwrócić na nas uwagę.

– Nieprawda – powiedziała, tym razem ciszej. – Nikt, kto by się bał, nie zrobiłby czegoś tak głupiego jak ty. Ci ludzie mogli nam pomóc.

– Ci ludzie nie byli...

Podniosła i opuściła ramiona w geście rezygnacji.

– Nie byli Wielkimi Płaszczami, ale mogli nam pomóc. Mogli dać nam nocleg, mogli się nami zająć albo chociaż dać nam pieniądze czy kontakty. Coś! Cokolwiek!

– Wiem, że to trudne, ale nie rozumiesz wszystkiego, co tu się rozgrywa – zacząłem, ale mi przerwała.

– Nie, Falcio val Mond z Wielkich Płaszczy, to ty nie rozumiesz. Nie rozumiesz, co ty właściwie robisz – mówiła z przekonaniem małej dziewczynki, która wciąż uważa, że życie powinno wyglądać jak romans rycerski.

Ale byłem zmęczony i obolały po tym, jak przez dwa dni stoczyłem więcej walk niż przez ostatni rok.

– Do licha, staram się utrzymać cię przy życiu!

– Nie – powiedziała cicho, spokojnie. – Starasz się im za wszystko odplacić. Shiballe'owi, księciu, tej kobiecie, która

nazywa siebie księżniczką, wszystkim, którzy nie wierzą w ciebie i twoje Wielkie Płaszcze.

– Nie bądź śmieszna – prychnąłem. – Gdybym chciał zrobić im krzywdę, uwierz mi, że znalazłbym mnóstwo sposobów, które są mniej pracochłonne i mniej niebezpieczne.

– Ale to by była zemsta, nieprawdaż? Albo zabójstwo. Jestem dla ciebie tylko pretekstem, żebyś mógł walczyć z tymi wszystkimi ludźmi, których nienawidzisz, i pokonać tyłu, ilu się da, aż w końcu któryś z nich cię zabije i będziesz mógł umrzeć, czując się szlachetnym i bohaterskim.

– Chciałbym mieć czas, żeby tu stać i słuchać, jak mi wymyślasz, dziewczynko, ale obawiam się, że muszę spróbować utrzymać cię teraz przy życiu – powiedziałem opryskliwie.

– Więc rób to! Przestać wdawać się w bójkę ze wszystkimi na swojej drodze i znajdź jakiś sposób, żebyśmy to przetrwali!

– Dobrze – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – A jak według ciebie powinniśmy się do tego zabrać?

– Nie wiem! Mam trzynaście lat. To nie ja mam wiedzieć, jak przeżyć, kiedy wszyscy próbują mnie zabić. To ty masz być... Ty masz wiedzieć, jak to zrobić – i z tymi słowami zaczęła szmatycznie płakać.

Wyciągnąłem do niej rękę, ale odrzuciła ją i staliśmy w milczeniu; ciszę pustej ulicy zakłócał tylko jej szloch.

Wreszcie cicho powiedziałem:

– Nie wiem jak.

Spojrzała w górę zapłakanymi oczami.

– Wiem.

– Przepraszam. Nie wiem, jak to zrobimy. To nie... myślałem, że to możliwe, ale to miasto... żywi się mordem i oszustwem. Nie wiem, jak wielu nas ściga ani dlaczego, ale wiem, że Shiballe potrafi zmusić każdego w tym mieście, by zrobił to, czego on chce. Całe to miejsce... ci ludzie... Jest praktycznie stworzone do zabijania.

– Umrę, prawda? – zapytała stoicko.

Nie chciałem tego powiedzieć – niczemu by to nie służyło. Nawet próżna nadzieja to wciąż nadzieja i jakiś powód, by iść dalej. Ale poczułem, że kłamstwo w tym momencie byłoby jakoś niewłaściwe. Ta dziewczynka straciła rodzinę i wkrótce straci życie, a wszystko to w imię machinacji ludzi, którzy poświęcali temu mniej uwagi niż wyborowi wina do kolacji. Miała prawo zdecydować, czy chce stawić czoła rzeczywistości, czy się przed nią ukryć.

– Tak, znajdą nas – powiedziałem cicho. – Jeden albo kilku z nich nas schwyta. I tak, zabiją nas.

Popatrzyła w ziemię, potem otrząsnęła się i znów na mnie spojrzała oczami wolnymi od łez.

– Więc jestem gotowa – oznajmiła.

Potrząsnąłem głową, żeby oczyścić umysł. Nie byłem pewien, co miała na myśli i co jeszcze mam powiedzieć.

– Chcę, żebyś to zrobił – powiedziała stanowczo.

– Co zrobił?

– Zabił mnie. – Zobaczyła moją reakcję i od razu położyła mi rękę na piersi, żebym się nie odwrócił. – Musisz. Nie wiesz tego, co wiem, Falcio. Nie zabijają mnie na miejscu. Zabiorą mnie i będą torturować. Oddadzą mnie ludziom, którzy im w tym pomagają. Przyjmuję to, to znaczy zniosę śmierć, ale nie chcę więcej bólu. Nie chcę, żeby oni...

– Aline, jesteś córką w zasadzie niczym się niewyróżniającego arystokraty, który, tak się złożyło, zirytował księcia, żeniąc się z niewłaściwą kobietą. Jest znacznie bardziej prawdopodobne, że to ciebie zabiją, a mnie będą torturować – powiedziałem miękko.

– Nieważne – powiedziała uparcie. – Nie chcę dać im wygrać. Jeśli muszę umrzeć, chcę to zrobić na własnych warunkach. Nie mogę już uciekać.

Pomyślałem o tym przez chwilę. Jaka jest twoja odpowiedź po tym, jak odbiorą ci ostatnią dobrą rzecz w życiu? Takie

pytanie zadawałem sobie przez te wszystkie lata, odkąd zabili króla – prawdę mówiąc, nawet wcześniej: odkąd zabili mi żonę, moją dzielną Aline. Bogowie, jak to się stało, że ugrzążłem w tej beznadziei, na próżno starając się utrzymać przy życiu skazaną na zagładę dziewczynkę z takiego tylko powodu, że miała na imię tak samo, jak moja zmarła żona?

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyciągnąłem małą paczuszkę i wręczyłem ją Aline.

– Nie chcę już twardej lukrecji – powiedziała.

– To coś innego. Otwórz.

Zrobiła to. W środku ujrzała mały kwadratowy miękki cukierek w pomarańczowo-czerwone paski.

– Co to?

– To jest miękka lukrecja – powiedziałem.

– Użyłeś już tej nazwy. Do czego służy?

– Bierze się ją, kiedy nie można już uciekać. Kiedy nie ma już nadziei.

Ostrożnie wyjęła ją z opakowania i trzymając między palcem wskazującym a kciukiem, zbliżyła do ust.

– Zawsze jest nadzieja – powiedział król, odsuwając paczuszkę z powrotem do mnie. Wrócił z podróży do jednego z wielkich miast, gdzie „umizgiwał się do arystokratów”, jak to nazywał, jakby to wszystko był jakiś żart, który opowiadał sobie dla rozweselenia. Teraz jednak się nie uśmiechał. – Falcio, nie powinienś być prosić aptekarza, żeby to przyrządził bez mojej zgody, choćby ze względu na ten ohydny zapach.

– Udzieliłbyś mi pozwolenia? – spytałem.

Popchnął mnie w stronę jednego z wielkich foteli w bibliotece – w tych pierwszych dniach spędzaliśmy tam mnóstwo czasu. Król nie miał doświadczenia wojskowego; nigdy nie służył w armii swojego ojca, nie należał do administracji Greggora ani nie odgrywał żadnej roli w rządzeniu krajem. Przez większość

dorośłego życia był więziony i towarzyszyły mu jedynie książki, które ukradła dla niego matka. Dzięki tej łasce stał się wiernym wyznawcą czytania, w wyniku czego spędzaliśmy w królewskiej bibliotece całe godziny na wyszukiwaniu i lekturze książek o prowadzeniu wojny, polityce, strategii.

– Nie, Falcio, nie udzieliłbym ci pozwolenia, żebyś stworzył dla moich Wielkich Płaszczów sposób na popełnienie samobójstwa.

– Jeśli któryś z nas zostanie schwytany i wie coś...

– Co? – spytał król.

– Coś – coś tajnego. A niech to, wiesz, co mam na myśli!

– I chcesz się zabić, zanim ktoś zmusi cię, żebyś wyjawiał to... coś?

– Tak.

– Dlaczego po prostu im nie powiedzieć?

– Dlaczego po prostu... Żartujesz sobie ze mnie, Wasza Wysokość?

Król uśmiechnął się do mnie. Miał zabawny uśmiech jak na monarchę. Mimo że był lepiej odżywiony i w lepszej formie, niż kiedy go pierwszy raz spotkałem, wciąż miał ten nieco idiotyczny uśmiech, który zapamiętałem tamtej nocy w jego komnacie, kiedy przyszedłem go zabić.

– Falcio, dlaczego, u licha, miałbym chcieć stracić jednego ze swoich trybunów tylko po to, by zachować tajemnicę, podczas gdy, szczerze powiedziawszy, nigdy się nie dowiem, czy nie została zdradzona?

– A więc chcesz, żebyśmy wszystko im powiedzieli, kiedy zostaniemy schwytani?

– Cóż, na pewno można stawiać jakiś symboliczny opór. Coś w rodzaju: „Tajemnice? Jakie tajemnice?”... ale właściwie dlaczego nie? W ten sposób przynajmniej będę wiedział, że sekret został ujawniony. No i dzięki temu wciąż mam szansę nie stracić swojego trybuna, który będzie mógł później uciec i przekazać ważne informacje.

– Wasza Wysokość, czegoś nie rozumiesz...
– Z pewnością mnie oświecisz – powiedział sucho.
– Jeśli Wielki Płaszcz będzie bliski schwytania, jeśli będzie otoczony, może być bardziej skłonny się poddać, wiedząc, że ma szansę ocalić skórę. Choćby był nie wiem jak dzielny czy wierny, może na to pójść.

– Podczas gdy ty wołałbyś, żeby walczył aż do śmierci?
– Mówisz, że zawsze jest nadzieja. Cóż, zawsze jest nadzieja, póki walczysz.

Król uśmiechnął się.

– Nie, Falcio. Po prostu zawsze jest ktoś jeszcze do zabicia.
– A więc to już coś, prawda?

Król wstał i ponownie napełnił winem nasze kielichy, po czym siedzieliśmy przez kilka minut w ciszy, patrząc bezmyślnie na strońce otwartych ksiąg leżących ciężko na wielkim dębowym stole.

– Nie zawsze byłeś Wielkim Płaszczem, Falcio – powiedział wreszcie.

– Nie zawsze do nich należałem, ale w duchu zawsze nim byłem – poprawiłem go.

Roześmiał się.

– Co za romantyk! Co za optymistą!
– Uratowało cię to przed pchnięciem w brzuch, czyż nie?
– Wydaje mi się, że twoje wyczerpanie w połączeniu z kilkoma bełtami z kuszy też miały tu coś do rzeczy.

– A więc sądzisz, że bym cię zamordował?

Zastanowił się nad tym przez chwilę, potem powiedział:

– Nie, nie po tym, jak zdałeś sobie sprawę, że nie jestem swoim ojcem i jestem bezbronny jak zagłodzony kociak. Ale gdybym był trochę lepiej odżywiony, trochę silniejszy...

– Tak źle o mnie myślisz? Uważasz, że zabiłbym kogoś tylko dlatego, że...

– Tak, Falcio, zabiłbyś kogoś tylko dlatego, że jest większy od ciebie. Gdyby był po niewłaściwej stronie, ale był mizerakiem,

znalazłbyś sposób, żeby, nie wiem, ogłuszyć go czy coś w tym rodzaju. Ale gdybyś ujrzał mnie tamtej nocy w komnacie i byłbym zdrowy i sprawny? Tak, sądzę, że zabiłbyś mnie i wyruszył na poszukiwanie kolejnego następcy tronu, aż znalazłbyś kogoś zbyt słabego, by umiał się obronić.

Nie podobało mi się, dokąd to wszystko zmierza, więc podniosłem kielich i chciałem upić łyk wina. Naczynie było już jednak puste, więc poczułem się jeszcze bardziej głupio.

– No cóż, więc to dobrze, że ciebie znalazłem pierwszego, czyż nie? – powiedziałem, odstawiając kielich.

Król wychylił się z krzesła i ścisnął mnie za ramię.

– Bardzo dobrze. To prawdziwy cud. Najlepsze, co mogło się zdarzyć – stwierdził. – Wielkie Płaszcze naprawią ten kraj, Falcio. To moje marzenie. Moja odpowiedź. Chcę, żeby żyli.

– Twoja odpowiedź na co?

– Moja odpowiedź na to, że można zabić mężczyznę tylko dlatego, iż tak podoba się komuś wyżej postawionemu. Moja odpowiedź na słabość, jaką to wywołuje w kraju, w ludziach. Moja odpowiedź na to, że Awarowie i inne otaczające nas narody postanowią kiedyś przejść przez góry, może z braku jedzenia czy pieniędzy, może dlatego, że będą chcieli więcej, a może dlatego, że ich kapłani powiedzą im, że żądają tego bogowie, a może nawet tylko dlatego, że nie będą mieli nic lepszego do roboty. Nasz naród osłabia system rodzący zwierzęcą nienawiść, tak silną, że większość ludzi wołałaby, żeby ten świat zginął w płomieniach, niż pozostał taki jaki jest, ale brak im woli, by spróbować go zmienić.

– A to twoje zadanie, prawda? Jako że jesteś u steru całej tej maszynierii.

– Moje, tak, ale i twoje. I Kesta, i Brastiego, i wszystkich pozostałych. Najpierw zaprowadzimy sprawiedliwość, potem przyniesiemy zmianę.

– Sprawiedliwość to zmiana – skomentowałem.

– Nie, sprawiedliwość to tylko początek. To coś, co sprawi, że zmiana stanie się możliwa.

Myślałem o tym przez chwilę. Potem powiedziałem:

– Zapomniałeś o kobietach.

– Co masz na myśli?

– Kobiety też można zabić tylko dlatego, że odpowiada to komuś wyżej postawionemu.

Król Paelis westchnął.

– Zawsze do tego się to sprowadza, prawda, Falcio? Zamordowali ci żonę i to jest przyczyną absolutnie wszystkiego, co robisz, prawda?

– To taki zły powód? By walczyć, by zginąć jeśli trzeba?

– Jeśli to jest twój powód, to nie może być taki zły. Równie dobry powód, żeby zginąć, jak każdy inny. Ale nie najlepszy powód, by żyć.

Nie chciałem odpowiadać. Kochałem króla, czasem jednak prosił o więcej, niż byłem gotów mu dać.

– Na razie musi to wystarczyć – powiedziałem wreszcie. – I jeśli w ogóle mi ufasz, to zaufaj mi, że pewnego dnia jakiś Wielki Płaszcz znajdzie się w takim położeniu, że nie będzie miał lepszego wyboru niż szybka śmierć.

Król przesunął paczuszkę w moją stronę.

– Dobrze. Jesteś moim pierwszym kantorem i jeśli naprawdę chcesz dać trybunom sposób, by mogli się zabić, to sam porozmawiam z królewskim aptekarzem.

Nieco się rozluźniłem.

– Może mógłbyś go też poprosić, żeby lepiej pachniało. Na przykład truskawkami?

Król Paelis huknął pięścią w stół i mimo jego drobnej postury książki aż podskoczyły.

– Nie! – krzyknął.

Już miałem powiedzieć: „Nie co?”, ale furia w jego oczach przekonała mnie, że to kiepski pomysł.

On też to wiedział.

– Daj spokój, Falcio. Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia, i będzie po twojemu, ale nigdy nie myśl, że mnie przekonałeś. Nigdy nie myśl, że to dlatego wygrałeś z moją słabością. Zwyciężyłeś. – Kaszlnął i otarł usta. – A teraz daj już spokój. To była długa podróż i muszę odpocząć.

Kilka tygodni później przyszedł do mnie gwardzista z drewnianym pudełkiem. Na wieku był liścik ze słowami: „Postaraj się ich nie pomylić”. W środku było sto czterdzieści małych kwadratowych paczuszek. Otworzyłem jedną z nich ostrożnie, by zawartość nie dotknęła gołej skóry. Pachniała truskawkami i nie miałem pojęcia, co to oznaczało.

APTEKARZE

Obiecałem sobie, że dam jej wybór, nie będę próbował jej powstrzymywać przed wzięciem miękkiej lukrecji. Była to zimna, bezwzględna kalkulacja spowodowana moim własnym poczuciem słabości, ale gdybym nie umiał zapewnić jej bezpieczeństwa i gdyby jej schwytanie oznaczało tortury i powolną śmierć, to z pewnością miała prawo podjąć własną decyzję. Sam na jej miejscu dokonałbym takiego wyboru – i tak postąpiłbym wiele lat wcześniej, patrząc na zmasakrowane ciało swojej żony, gdyby ktoś dał mi taką możliwość. Gdybym miał w ręku małe zawiniątko, owocowy cukierek, który od razu skończyłby moje cierpienie, połknąłbym go bez zastanowienia – i co wtedy? Nie byłoby dłużej podróży w głąb szaleństwa i dalej, żadnej wspinaczki cuchnącym tunelem zamku Aramor, by dokonać królobójstwa, żadnego odkrycia młodego, słabego, lecz błyskotliwego króla. Żadnych Wielkich Płaszczy. Żadnej królewskiej biblioteki, żadnego nocnego ślęczenia nad starożytnymi tekstami o fechtunku i strategii. Żadnych szachów z królem czy wypraw do każdej wsi i osady w tym kraju z Kestem, Brastim i innymi u boku, by sprowadzić na ten świat odrobinę przyzwoitości. Żadnych Wielkich Płaszczy... Żadnych.

– Proszę – to krótkie słówko sprawiło, że czar przysł.

Rozejrzałem się: moja dłoń obejmowała nadgarstek Aline. Nie pamiętałem, żebym ją tam umieszczał. Mój uścisk był mocny i widziałem, że ją boli, ale jakoś nie mogłem puścić. Jej twarz wyrażała strach, desperację i widziałem, że pomyślała, że skłamałem, że nie pozwolę jej wybrać, jak umrze. „To jej śmierć – mówiłem sobie – nie twoja”, i rozluźniłem palce na tyle, żeby wyrwała rękę. Cofnęła się kilka kroków i potarła nadgarstek. Wyglądała na urażoną i zdezorientowaną.

Przestała się cofać i znów uniosła miękką lukrecję do ust.

– Aline!

Krzyk zabrzmiał za moimi plecami, więc wyciągnąłem z pochwy prawy rapier i przykucnąłem wychylony do przodu. W naszym kierunku biegli kobieta i mężczyzna, z tego, co widziałem, nie mieli w rękach ani u boku żadnej broni. Mężczyzna był przysadzisty, ale nie tak umięśniony jak żołnierz czy kowal – był więc kimś, kto żył z pracy rąk, ale nie z pracy wymagającej siły fizycznej. Po ubraniu rozpoznałem, że nie był nędzarzem, ale jego potargana broda i ciemne włosy jasno wskazywały, że nie był też kupcem. Towarzysząca mu kobieta bardzo go przypominała strojem i postawą, choć była szczuplejsza i ładniejsza. Zgadywałem, że oboje mają po jakieś trzydzieści pięć lat.

– Aline! – zawołali po raz kolejny i nieco się wyprostowałem.

Celowałem sztychem rapiera w bebech mężczyzny.

– Nie zrób jej krzywdy – jego głos był pełen troski.

– Niby komu? – spytałem.

– Aline, chodź tu – powiedział, nie spuszczać mnie z oka i osłaniając żonę prawą ręką.

– Radger!? – zawołała za moimi plecami Aline. – Laetha!? Co wy tu robicie?

– Szukamy cię, głuptasie. Słyszeliśmy, co się stało, i Mattea wysłała nas na poszukiwania!

– Kim jest Mattea? – Mój rapier nie drgnął ani o cal.

Aline chciała się precyzyjnie przycisnąć obok mnie, ale zagroziłem jej drogą ręką.

– Mattea była moją nianią – powiedziała zniecierpliwiona. – Radger jest jej synem, a Laetha jego żoną. To aptekarze. Są moimi przyjaciółmi. A teraz daj mi przejść, Falcio.

– Podnieście ręce – poleciłem.

– Co za głupota tobą powoduje, człowieku!? – zawołała Laetha. – Przyszliśmy zabrać Aline w bezpieczne miejsce. Myśleliśmy, że jesteś jednym z ludzi księcia i ją porywasz.

– Mimo wszystko podnieście ręce i odwróćcie się plecami do mnie.

– Falcio, przestań.

– Chwila, najpierw mają podnieść ręce do góry i się odwrócić.

Radger przyjrzał mi się uważnie.

– Aline, szykuj się do ucieczki – powiedział nagłym tonem. – Jak nas zaatakują, biegnij i nie oglądaj się za siebie.

– Do wszystkich piekieł! Jacy wy wszyscy jesteście głupi! – zawołała Aline.

– Uciszcie się wszyscy – nakazałem. – A teraz, jeśli naprawdę jesteście przyjaciółmi, zrobicie, co mówię. Jeśli nie, to miejmy to już za sobą. Od kilku godzin nikogo nie zabiłem i zaczyna mnie świerzbic ręka.

Mężczyzna wyglądał na przestraszonego, kobieta przesunęła wściekły wzrok z Aline na mnie. Ale oboje usłuchali. Podnieśli ręce, jak kazałem, przez co – i o to mi właśnie chodziło – ich ubrania bardziej przylegały do ciał: w ten sposób znacznie łatwiej zobaczyć, czy ktoś ma przy sobie broń.

Kiedy się obrócili, szukałem wyrzutek pod ubraniem lub miejsc, gdzie materiał opinał się bardziej, niż powinien – oznak ukrytych przedmiotów – ale żadnych nie znalazłem. Nie wiem, dlaczego ludzie oklepują swoich przeciwników; jest niemal

pewne, że coś się w ten sposób pominie, a do tego, podchodząc tak blisko, człowiek naraża się na atak, nawet jeśli ma ze sobą partnera.

– W porządku – oznajmiłem, po raz ostatni rozglądając się wokół. Kiedy schowałem rapier do pochwy, Aline odepchnęła mnie i podbiegła do tych ludzi, a oni mocno ją przytulili. Radger powiedział jej coś do ucha, ale nie dosłyszałem co.

– Gdzie jest Mattea? – spytała Aline. – Nic jej się nie stało?

– Jest cała – odpowiedział Radger. – Oczywiście odchodzi od zmysłów, wszędzie cię szukając, podobnie jak cała reszta tego przeklętego miasta.

– Dzięki niech będą świętej Birgid, że znaleźliśmy cię jako pierwsi – powiedziała Laetha. Objęła Aline ramieniem. – Czy to jest ten człowiek, ten obdarty płaszcz, który cię zabrał?

– Raczej nie zechcesz tego powtórzyć – powiedziałem spokojnie.

– Wybacz nam, nieznajomy – odezwał się Radger. – Nie znamy waszych zwyczajów. Czy wolisz „trattari”?

Albo był najlepszym aktorem na świecie, albo naprawdę był kompletnie zielony, więc postanowiłem dać spokój.

– Wolę „Falcio” – powiedziałem.

– A więc Falcio. Nie mam zamiaru cię obrazić, ale dlaczego zabrałeś Aline?

– Jej rodzinę zamordowano – odparłem – i polują na nią niezbyt szarmanckie pachołki księcia, nie mówiąc o wszystkich strażnikach miejskich i łobuzach w Rijou. Nie było nikogo innego, kto mógłby się nią zaopiekować.

– Mogłeś przyprowadzić ją do nas – powiedziała Laetha ze złością. Spojrzała na Aline. – Kochanie, mogłaś przecież przyjść do nas.

– Nie chciałam ściągać więcej cierpienia na wasz dom – odpowiedziała Aline. – Po tym, jak matka musiała oddalić Matteę... Nie mieliśmy pieniędzy, księżę zabrał...

– Głuptasie – przerwała Laetha, obejmując ją po raz kolejny. – Naprawdę sądzisz, że Mattea miałyby ci to za złe? Myślisz, że nie otworzylibyśmy przed tobą drzwi?

– A jak obronilibyście ją przed ludźmi, którzy próbują ją złapać? – spytałem. – Skrzyżujecie kije do mioteł ze zbirami pragnącymi uszczknąć coś ze szkatuły Shiballe’a?

– Jak dobrzy ty ją chroniłeś? – zażądała odpowiedzi Laetha.

– Nie najlepiej – przyznałem.

– Nieznajomy... Falcio... – Radger położył mi dłoń na ramieniu tak niepewnie, jakby dotykał zdechłego węgorza. – Nikt nie zdoła pokonać całego miasta. To niewiarygodne, że utrzymałeś ją przy życiu tak długo. Ale możemy pomóc. Możemy przenosić ją z rodziny do rodziny, bezszelestnie jak cień, i ukrywać przed ludźmi księcia tak długo, aż ten przeklęty Tydzień Krwi się skończy. Potem... potem może zamieszkać z nami. Zaopiekujemy się nią, obiecuję.

– Możemy cię ukryć – powiedziała z przekonaniem Laetha do Aline.

– Ale Laetho, ja nie chcę, żebyś ty lub inni ucierpieli, kiedy tamci się dowiedzą, że mnie ukrywacie – zaczęła Aline. – Albo jeszcze gorzej...

– Phi! – zawołała komicznie Laetha, niczym stara babcia, i domyśliłem się, że to mogło być coś, co mówiła niania Mattea. – Nigdy się nie dowiedzą. Prości ludzie w Rijou przez lata skrywali większe rzeczy od ciebie, kochanie.

Miałem co do tego poważne wątpliwości; podejrzewałem raczej, że ten drobny przemysł i czarnorynkowe transakcje, które się tu odbywały, po prostu nie były dla księcia ważne. Ale z Aline, z jakiegoś powodu, było inaczej.

– Nie sądzę, żeby to było takie proste – skomentowałem.

– Naprawdę uważasz, że z tobą ma większe szanse? – spytał delikatnie Radger.

Odpowiedź oczywiście brzmiała „nie”, ale nie mogłem się zmusić, żeby to przyznać.

– Falcio – powiedziała łagodnie Aline, kładąc swoją dłoń na mojej. – Myślę... Myślę, że warto spróbować. Nie wiem, co mogę zrobić, i mam tylko jedną drogę przed sobą.

Zdałem sobie sprawę, że wciska mi coś do ręki. Miękką lukrecją.

– W porządku – odpowiedziałem, wkładając zawiniątko do kieszeni. – Ale idę z tobą.

Radger chciał zaprotestować, ale podniosłem rękę, żeby mu przerwać.

– Wciąż możecie spotkać ludzi Shiballe’a w drodze do waszego domu. Kiedy tam dotrzemy i Aline się zadowoli, opuszczę was i jakoś wydostanę się z miasta.

Wyglądali na udobruchanych tą deklaracją i Radger odwrócił się, by wskazać drogę.

– To pół mili stąd prosto wzdłuż ulicy Broadwine – powiedział. – Ale lepiej będzie iść zaułkami, żeby zmniejszyć ryzyko wpadnięcia w kłopoty.

– Prowadź – powiedziałem.

Półmilowy spacer i uwolnię się od tego ciężaru – żeby wyslizgnąć się z tego miasta jak robak i dołączyć do karawany, do Kesta i Brastiego. I co wtedy? Pomóc zabić dziecinną księżniczkę, zanim narobi większych szkód? Czy stanąć do walki przeciwko Kestowi i przegrać w daremnej próbie powstrzymania go?

Dom Radgera i Laethy nie różnił się specjalnie od wszystkich innych aptek, które widziałem. Jedną ze ścian zajmowały przeszklone szafki z ciemnego drewna, zastawione mnóstwem małych pojemników i szklanych naczyń. Wszędzie było widać wiszące na haczykach zioła i kwiaty. Długi dębowy kontuar służył zarówno do przyjmowania pieniędzy, jak i przyrządzania i pakowania mikstur. Na zapleczu za sklepem mieścił się duży pokój z przylegającymi do niego dwoma mniejszymi pomieszczeniami i grubymi dębowymi drzwiami, które prawdopodobnie

prowadziły do piwnicy. Za zasłoną wiszącą w jednej z dwóch sypialni kryły się tylne drzwi.

– Jeśli ktoś wejdzie przez główne drzwi apteki, będziemy mogli wyslizgnąć się tędy na uliczkę na tyłach – powiedział Radger, odsuwając kotarę.

– Pewnie kogoś tam postawią – zacząłem mówić, ale tamten uśmiechnął się i otworzył drzwi. Tuż obok nich po prawej stronie był wysoki mur.

– Widzisz to? Od ulicy wygląda to na ślepy zaułek, ale w rzeczywistości odcinek za murem łączy się z biurem notariusza i warsztatem Heba cieśli. Mogliby stać w tej alejce cały dzień i nie zauważyć, że już nas nie ma.

Uśmiechnąłem się. Lepiej być nie mogło.

– Gdzie jest Matteo? – spytała Aline.

Było dla mnie jasne, że ta staruszka odgrywała ważną i pozytywną rolę w życiu dziewczynki, a jej rodzina była dla niej bardziej jak kuzyni niż słudzy. To dobrze.

– Nadal cię szuka – powiedziała Laetha. – Proszę, teraz zrobimy coś do jedzenia. Wyglądacie, jakbyście od wieków nie jedli.

Laetha zaprosiła nas, byśmy usiedli przy dużym stole pośrodku największego pokoju. Drewniane krzesła były twarde, ale siedząc na nich, poczułem się, jakbym zapadał się w chmurze. Byłem wykończony, ale sen był daleko. Muszę się upewnić, że dziewczynka jest bezpieczna, potem wyjdę tylnymi drzwiami i tak szybko, jak się da, zacznę się przemieszczać po dachach. Przetną najgęściej zaludnioną część miasta, żeby dotrzeć do zewnętrznego muru, a potem... Cóż, potem będę musiał znaleźć sposób, by podciągnąć swoje wyczerpane ciało na wysoką na dwadzieścia stóp kamienną konstrukcję. Może drzewa... Zauważyłem, że ludzie przestali przycinać drzewa w pobliżu muru. Głupota. Dzięki temu łatwiej się przekradać do miasta i na zewnątrz murów. Jeśli nie tak, to może przez któryś ze zniszczonych odcinków... może...

– Falcio, jedzenie! – zawołała Aline, wyrrywając mnie z drzemki.

– Jak długo...? – spytałem ociężale.

– Niemal godzinę. Pomyślałam, że lepiej będzie pozwolić ci spać. Wyglądałeś na odprężonego, jakbyś nie miał ochoty zabić każdego, kto wejdzie do pokoju. Prawie cię nie poznałam.

– To zabawne.

– Dość tego gadania – powiedziała Laetha. – Jedzcie.

Spodziewałem się zobaczyć przed sobą prostą strawę, ale to nie było byle co. Na stole stały pieczone ziemniaki i zielonina, świeży chleb i lubiane w Rijou ciemne, czerwone masło. Był sos pieczeniowy i sól do maczania. Wreszcie Laetha wniosła upieczoną w całości kaczkę. Czułem zapach kapiącego z niej tłuszczu i choć byłem nieludzko zmęczony, chciałem wziąć ją całą w objęcia.

– Święci, człowieku! – zaśmiał się Radger. – Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć przy tej pysznej pieczonej kaczkę Laethy! Masz, wypij to.

Wyjął szklankę z kredensu i nalał do niej przejrystego, lekko żółtawego płynu.

Patrzył na mnie z wyczekiwaniem, gdy ją brałem. Zawahałem się.

Laetha zauważyła to i odłożyła nóż, którym kroila kaczkę.

– Ależ na miłość moich przodków! – Wyjęła drugą szklankę i napełniła ją z tej samej flaszki. Wzięła łyk. – Widzisz? Żyję. To tylko sok cytrynowy z zynrutą, pomaga zwalczyć senność.

Wypuściłem powietrze i wypilem z wdzięcznością.

– A więc wasze zdrowie – powiedziałem.

– W porządku, dość tych głupot – stwierdziła Laetha stanowczo. – Jedzmy.

Gdy nałożyła nam jedzenie na talerze, uświadomiłem sobie, że zynruta rzeczywiście działa na mnie pobudzająco. Święci, ależ sztywny miałem ramiona – właściwie cały byłem zesztyniały.

Nie cieszyłem się na myśl, jak będzie wyglądać następne kilka godzin po tym, jak opuszczę dom aptekarzy.

– Czy Mattea niedługo wróci? – spytała Aline między jednym kęsem a drugim.

– Och, podejrzewam, że za kilka godzin – odrzekła Laetha.

Prawie nie zwracałem uwagi na rozmowę, tak byłem zachwycony pieczoną kaczka na swoim talerzu.

– To jedzenie jest cudowne – powiedziałem, a Aline przytaknęła, szczerząc zęby, tak że wypadły jej z ust kawałki mięsa.

Pomyślałem, że niezbyt teraz przypomina młodą arystokratkę, a jeszcze mniej to zrozpaczone stworzenie, które było o krok od odebrania sobie życia.

„Święty Caveilu, ile jest wart mój rapier, jeśli przynosi światu tak mało dobrego?”

– Cóż, cieszę się, że cię znaleźliśmy – powiedziała Laetha. – Zupełnie nie mieliśmy szczęścia, aż nagle bach! oto jesteś, na środku...

– Laetho – przerwał jej Radger – nie każmy im przeżywać tego wszystkiego na nowo. Mieliśmy mnóstwo szczęścia, że się spotkaliśmy; jeszcze trochę i uda nam się zaopiekować Aline.

– Nauczyłem się niespecjalnie wierzyć w szczęście – powiedziałem i nadziałem ziemniaka widelcem, który zaraz upadł mi na stół. – Przepraszam.

Jedzenie nie sprawiało, że sztywność w moich stawach ustępowała. Ani trochę. Spojrzałem na Radgera i jego żonę.

– Czyli gdzie jest Mattea?

– Jak powiedzieliśmy, jest w mieście z pozostałymi, szuka Aline.

Laetha zaczęła zbierać opróżnione talerze. Pochłonęliśmy obfity posiłek, i to w krótszym czasie, niż potrzeba do posmarowania bułki masłem.

– I nie poszliście dać znać żadnym waszym przyjaciołom, że nas znaleźliście?

– Cóż, oni... oni wszyscy wyszli. Nie ma jeszcze komu powiedzieć. Nikt nie spodziewał się, że tak szybko was znajdziemy.

– Ale znaleźliście – powiedziałem.

– Mieliśmy wielkie szczęście, mnóstwo szczęścia, dzięki niech będą świętym – odparł Radger nabożnie.

Aline spoglądała to na mnie, to na nich, niepewna, co to wszystko miało znaczyć.

– To zdecydowania najlepszy posiłek, jaki jadłem od wieków – powiedziałem, kładąc obie ręce na stole. Chciały się trząść, ale nie mogły: były sztywne, obolałe i właściwie mnie nie słuchały. Wszyscy pozostali wyglądali dobrze, włączając Laethę, która znów usiadła po mojej prawicy. Po lewej miałem Aline, a Radger siedział naprzeciw mnie.

– Cóż, cieszę się, że jesteś najedzony – powiedziała z uśmiechem. Nerwowo. Wciąż nerwowo.

„Ona wie, ale nie jest pewna, jak bardzo mnie wzięło”.

– Najedzony, do łóżka położony, wkrótce ukatrupiony – zaśpiewałem ze śmiechem.

Aline roześmiała się ze starej dziecinnej rymowanki, ale pozostali byli poważni.

– Jest tylko jeden problem – powiedziałem z uśmiechem.

– Co...? – zaczęła Laetha.

– Czas na deser!

Śmiali się ze mną, ale wyglądali na lekko zakłopotanych.

– Nie mieliśmy czasu nic przygotować... Może mogłabym szybko zrobić jakieś ciasteczka z dżemem – powiedziała Laetha.

– Falcio, nie bądź niegrzeczny.

Pokręciłem głową.

– Nie ma potrzeby, zawsze mam własne. Aline, kochanie, zrobisz coś dla zmęczonego, poobijanego i wykończonego staruszka? Sięgnij do mojej kieszeni i podaj mi jedną z moich lukrecji, dobrze?

Spojrzała na mnie wyraźnie speszona.

– No chodź, wygodnie się tu usadowiłem; chciałbym tylko moją lukrecję. Tę twardą.

Wstała i przez ułamek sekundy widziałem, jak Radger wyciąga do niej rękę, ale cofnął ją, widząc moje spojrzenie. Uśmiechnąłem się do niego. Ledwie mogłem się poruszyć, więc musiałem się bardzo postarać, by myślał, że wciąż normalnie funkcjonuję. To pewnie moment równie dobry jak każdy inny, żeby wspomnieć, że w moich najgorszych koszmarach pojawia się paraliż.

Aline sięgnęła niezdarnie do wewnętrznej kieszeni mojego płaszcza i wyjęła jedną z paczuszek.

– Nie, kochanie, twardą lukrecję. Miękką jest za bardzo truskawkowa, to nie będzie pasować do kaczki.

Sięgnęła do drugiej kieszeni. Jej dłoń się trzęsła, ale starała się to zamaskować, czy to dlatego, że rozumiała, co się dzieje, czy też myślała, że popadam w obłęd.

– O tak – powiedziałem. – To ta.

Bez dalszej zwłoki odwinęła ją i wsadziła mi do ust – poczułem cierpki, niemal metaliczny smak twardej lukrecji. Jeden niuch potrafi wybudzić z głębokiego snu. Mały kęs pozwala nie spać i być w drodze przez dwa dni i dwie noce. Ilość, jaką teraz połknąłem, mogła powstrzymać środek paraliżujący przed zatrzymaniem bicia mojego serca – o ile przez nią nie pęknie. Wydawałem dźwięki, jakie można pewnie usłyszeć, gdy ktoś kosztuje cycków świętej Lainy Co Daje Dupy Bogom.

– Wydajesz się zachwycony swoim cukierkiem – powiedziała oschle Laetha.

– Istotnie, pani. Istotnie. Poczestowałbym cię, ale to był ostatni kawałek. Może chciałabyś spróbować innej lukrecji, którą tu ze sobą mam? Jest miękka i ma smak letnich truskawek.

– Dziękuję, ale nie – powiedziała. – Zgadzam się, że truskawki i kaczka to kiepskie połączenie.

Aline siedziała na krześle, przesuwając się o cal bliżej mnie za każdym razem, kiedy się wierciła, i wyraźnie przerażona

patrzyła to na mnie, to na nich. Radger spoglądał na mnie zza stołu wzrokiem, który nie zdradzał niczego, po prostu czekał.

No dobrze: ja też czekałem. Ale wciąż nie mogłem poruszyć rękami.

– A więc gdzie się podziała ta staruszka? – spytałem.

– Mówiliśmy wam już trzy razy, jest w mieście z pozostałymi, szuka Aline – w głosie Laethy była irytacja, ale zdradzał on również lęk.

Radger wstał i sięgnął do jednej z narożnych szafek.

– No tak, no tak, przepraszam. A więc jak nas znaleźliście? – spytałem.

– Mówiłam ci, że przypadkiem. To tylko szczęśliwy traf.

– Oczywiście. Co się ze mną dzieje?

– Falcio... – powiedziała Aline.

– A ten napój, który mi daliście, był pyszny! Możesz powtórzyć, co to było? Zynruta?

– Tak – Laetha spojrzała na męża, nie wiedząc, co robić.

– To szklanka – rzucił niedbale Radger. Miał w ręku gruby żelazny pręt o długości niecałych dwóch stóp. Każdy koniec był owinięty w garbowaną skórę. Tą bronią można było obezwładnić, może okaleczyć, ale nie zabić. – Gdyby cię to interesowało, trucizna była w szklance, nie w napoju.

– Ach, szklanka – powiedziałem, czując, jak środek paralizujący opanowuje moje kończyny i organy. – Powinienem był się domyślić.

– Mało kto by potrafił – stwierdził Radger. – Czasem nakłaniamy tak dzieci, żeby wzięły swoje leki, kiedy są uparte: umieszczamy proszek na brzeжку szklanki i napełniamy ją czystą wodą, a potem sami pijemy z czystej szklanki, by poczuły się bezpiecznie.

– Radger! Co ty robisz? – spytała Aline.

– Cii, dziewczynko. Pójdiesz teraz ze mną – powiedziała Laetha, wstając od stołu.

Aline zerwała się z krzesła i stanęła za mną. Wyjęła mi z płaszcza karwasz z nożami i wyciągnęła jeden z nich, trzymając go przed sobą.

– Nie bądź głupia, dziecko! – krzyknęła Laetha.

Radger zrobił krok naprzód i Aline rzuciła w niego nożem. Chybiła o milę, ale nóż wbił się w ścianę z przyjemnym dźwiękiem. Zanim Laetha zdążyła złapać ją za ramię, szybko wyciągnęła kolejny i machnęła, opisując przed nami łuk.

– Gdzie jest Mattea? – zażądała odpowiedzi Aline.

– Uspokójmy się wszyscy, kochanie – powiedział Radger.

– Gdzie ona jest? To niemożliwe, żeby mi to zrobiła, niemożliwe!

Zaczęła potrząsać moimi ramionami, chcąc pomóc mi się ruszyć, ale siedziałem nieruchomo, sztywny jak kołek.

– Aline – powiedział Radger, robiąc kolejny krok w naszym kierunku. – Bądź dużą dziewczynką. We krwi tego człowieka jest dość limerotu, by powalić sforę psów gończych. Więc idź z Laethą, a ja zrobię tu swoje. Nie mam powodu cię krzywdzić, ale zrobię to, jeśli nie będziesz grzeczna.

– A niech cię diabli! – krzyknęła Aline, machając nożem, gdy zbliżył się do nas o kolejne pół kroku, a Laetha zaczęła wyciągać rękę, szukając sposobności, by chwycić Aline za nadgarstek. – Niech was wszystkich diabli! Mielicie być moimi przyjaciółmi! – Sięgnęła po coś do mojej kieszeni i dopiero po chwili zorientowałem się, że znów szuka miękkiej lukrecji.

– Nie – powiedziałem do niej. – To nie będzie konieczne. Zostaw mnie i cofnij się o kilka kroków, Aline.

Dziewczynka zawahała się na chwilę, a potem usłuchała, wciąż jednak trzymając nóż w dłoni.

Radger i Laetha przyjęli to z widoczną ulgą.

– No, widzisz, słuchaj, co mówi twój towarzysz – skomentował Radger. – On wie, kiedy jest po wszystkim. Nie ma potrzeby robić zamieszania.

– Gdybyś miał się później nad tym zastanawiać – powiedziałem – to lukrecja.

– Że co?

– Lukrecja. Jesteś aptekarzem – zauważyłem. – Nie słyszałeś opowieści o królewskich twardych lukrecjach?

– To jest... to mit – odparł Radger. – Nikomu nie udało się opracować tej receptury.

– Głupcze – powiedziałem. – Ty durny. Pieprzony. Głupcze. Myślałeś, że ty pierwszy wpadłeś na pomysł, by otruć jednego z Wielkich Płaszczy? Naprawdę sądziłeś, że król, ze wszystkimi swoimi pieniędzmi, najlepszymi aptekarzami w kraju i wszystkimi książkami z najstarszych bibliotek... Naprawdę sądziłeś, że nigdy nie przyszło mu do głowy, że możemy mieć do czynienia z pieprzonym trucicielem? Naprawdę myślałeś, że nie będziemy mieli na to sposobu?

– Blefujesz – powiedział. – Próbujesz kupić sobie trochę czasu, licząc na to, że twój głupi cukiereczek zadziała, ale to trwa dłużej, prawda?

– Zrób krok naprzód – odparłem. – Jeszcze jeden krok i się dowiesz.

Radger się zawahał.

– No, dalej! Jestem tutaj i siedzę! Mój rapier jest w pochwie. Choćbym był w życiowej formie, myślisz, że zdążyłbym wstać, dobyć broni i pchnąć cię, zanim zrobisz jeden krok i palniesz mnie w łeb tym metalowym drągiem? Więc na co czekasz?

Spojrzał przez chwilę na Laethę, potem znów na mnie, z rykiem zrobił krok naprzód i machnął prętem.

Na własną obronę powiem, że faktycznie udało mi się odepchnąć do tyłu krzesło, wstać i dobyć rapiera szybciej, niż uważałem za możliwe, ale twarda lukrecja działa w ciele od środka na zewnątrz. Szczęśliwie najpierw zaczynają działać organy wewnętrzne, potem pierś, ramiona i uda. Dłonie i palce wychodzą z paraliżu na samym końcu, co w tym wypadku oznaczało, że

nie mogłem dobrze wycelować, a więc klinga zesłała mi w bok, w wyniku czego, zamiast rozbić mi czaszkę, Radger uderzył mnie z mniejszą siłą po żebrach.

Odepchnął mnie tak mocno, że opadłem z powrotem na krzesło i rapier wypadł mi z dłoni, po czym zrobił zamach do kończącego ciosu i dopiero wtedy zauważył sterczący mu z boku mały nożyk.

– Aline? – w jego głosie brzmiało niedowierzanie.

Wkradła się pod jego ramieniem podniesionym do ciosu i kiedy wstałem, wbiła mu nóż między żebra. Taki mocno zbudowany człowiek jak on mógł to lekceważyć dość długo, by ze mną skończyć. Ale jeśli ktoś nigdy wcześniej nie był pchnięty nożem, to ból jest okropny i szok szybko zwycięża.

Radger zatoczył się kilka stóp do tyłu. Laetha popędziła do niego. Nachyliłem się i podniosłem swój rapier, po czym wstałem.

– A teraz – powiedziałem – może tak dalibyście mi ten amulet?

– Co? – spytała Aline.

Trzymałem sztych rapiera bardzo blisko krwawiącej rany Radgera. Laetha sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyciągnęła krążek. Rzuciła go na stół i Aline podbiegła, by go podnieść.

– Jest identyczny jak ten drugi – stwierdziła. Potem sięgnęła do kieszeni mojego płaszcza.

– Nie ma go tu – powiedziałem. – Musiał mi wypaść podczas walki z Lorenzem. To dlatego „nagle” wam się pojawiliśmy, prawda, Radger?

Kiwnął głową ponuro, powstrzymując ból.

– Dali nam wszystkim te miedziaki – przyznał – ale nic się nie działo i włóczyliśmy się tylko po dzielnicy. Jednak nagle na powierzchni krążka pojawiło się światelko i kreseczki ulic.

– Nie mogą działać, jeśli jeden z nich jest u nas w kieszeni albo zbyt blisko – wyjaśniłem Aline. – Gdybyśmy go nie zgubili, nigdy by...

Do licha. Gdybym nie był takim przeklętym głupcem i nie wdał się w walkę, która mogła poczekać, nie zgubiłbym tego diabelstwa.

– Dali wam tylko jeden? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Dali po jednym każdemu z nas.

– Każdemu z was... – szepnęła Aline.

– Nie rozumiesz, głupia dziewucho! – krzyknęła Laetha. – Oni przyszedli do wszystkich! Do każdego, kto kiedykolwiek znał ciebie albo twoją przeklętą rodzinę: „Znajdźcie ich i będziecie bogaci, nie uda się wam, to zginiecie”. Taki mieliśmy wybór.

Spojrzała błagalnie na dziewczynkę, a potem na mnie.

– Co mieliśmy zrobić?

– Ale Mattea – ona by nie... – szepnęła. – Wiem, że by tego nie zrobiła. Gdzie ona jest? Powiedzcie mi, gdzie ona jest!

Laetha wyglądała na wściekłą, ale jej spojrzenie na moment umknęło w bok.

Aline rzuciła się do drzwi prowadzących do piwnicy.

– Wy... Co jej zrobiliście? Mattea! Mattea! – krzyczała Aline, biegnąc do drzwi i wyważając je. Usłyszałem tupot jej stóp, gdy zbiegała po schodach w ciemność.

Radger osunął się na ziemię, Laetha przyklękła przy nim, płacząc i tamując krew rąbkiem swojej długiej spódnicy.

Sam też chciałem usiąść, ale lepiej było pozostać w ruchu. Połączenie środka paraliżującego, który mi dosypali, z twardą lukrecją było niebezpieczne dla serca i im więcej będę się poruszał, tym szybciej jedno i drugie opuści mój organizm.

Radger podniósł na mnie wzrok i widziałem, jak przebija przez niego poczucie winy. Chciał, żeby ktoś mu powiedział, iż wszystko w porządku, że każdy na jego miejscu zrobiłby to samo – albo przynajmniej na niego nawrzeszczał, pobił prawie na śmierć.

Postanowiłem nie robić ani jednego, ani drugiego. Chociaż ten jeden raz nie pragnąłem zemsty. Czułem tylko zmęczenie. Niech diabli wezmą to obmierzłe miasto.

Po chwili usłyszałem kroki Aline i jeszcze kogoś na schodach z piwnicy. Dziewczynka wyszła przez drzwi ze starą kobietą. Siwe, mocno kręcone włosy okalały twarz, która mogłaby być mapą świata, jeśli cały świat składałby się wyłącznie z gór i dolin. Ręce staruszki były wciąż związane, a usta zakneblowane. Aline pobiegła i wyciągnęła ze ściany nóż, który wcześniej w nią wbiła, po czym szybko poradziła sobie ze sznurem i kneblem.

Kobieta kaszlnęła, odchrząknęła i wyprostowała się, na ile mogła. Wciąż była przygarbiona i pomarszczona, ale wyczuwałem siłę w tych starych kościach, a w jej oczach kryła się stal. Otworzyła usta i zaśmiała się szyderczo w sposób, który zapowiadał plugawy język i brutalny temperament – i wtedy właśnie ją rozpoznałem.

– Krawcowa!

Zmierzyła mnie wzrokiem – nie, nie moją twarz, dłonie czy stopy. Tylko płaszcz.

– Widzę, że zrobiłeś, co mogłeś, żeby zmarnować mój płaszcz, Falcio val Mond.

Poczułem nienaturalne zażenowanie.

– Ja...

– Przymknij się. Mam teraz ważniejsze sprawy do załatwienia. Krawcowa odwróciła się do Radgera i Laethy.

– No proszę, moje dzieci. Jakie to nieroztropne rzeczy robiłyście po tym, jak związałyście mnie i wrzuciły do piwnicy?

Żadne z nich nie odpowiedziało i Krawcowa kopnęła Radgera, który zajęczał.

– To ty masz dzieci? – nie mogłem w to uwierzyć.

– Phi! Na pewno nie jest to Radger ani Laetha. Zapłaciłam tej parze głupców za dach nad głową i wiarygodną historijkę. Kopnęła Laethę, mocno.

– Ale okazuje się, że byli nawet głupszy, niż sądziłam, co, Laetho? Myśleliście, że zwiążecie staruchę i zarobicie łatwe pieniądze?

– Ale „Mattea”? – spytałem.

Uśmiechnęła się znów paskudnie.

– Można by pomyśleć, że się w tym połapiesz, Falcio. W końcu to stare pertyńskie słowo.

Mattea. Nić.

– Więc zarabiasz na życie jako niańka w domach arystokratów, rozsiewając opowieści o Wielkich Płaszczach?

– Więcej z tego pożytku niż z łazęgi po deszczu i roboty za ochłapy, czyż nie?

Aline nagle objęła Krawcową w pasie i zaczęła łkać.

Staruszka odwzajemniła gwałtowny uścisk dziecka.

– Och, moja malutka – powiedziała. – Moja najukochańsza dziewczynko. Przepraszam, jeśli moje małe kłamstewko cię zabolalo. Możesz mówić mi Mattea, jeśli chcesz. I obiecuję, że jest tylko dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć innych kłamstw, które ode mnie usłyszałaś, ale nigdy, przenigdy bym nie pomyślała, że moja głupota sprawdzi na ciebie takie niebezpieczeństwo. Nigdy, przenigdy.

– ...nie twoja wina – powiedziała Aline wśród szlochów.

Krawcowa westchnęła.

– Tak, kochanie, pewnie masz rację. To nie moja wina, ale odpowiedzialność: tak. To teraz moja odpowiedzialność.

Jeszcze raz przytuliła mocno dziewczynkę, a potem łagodnie odsunęła jej ramiona.

– Musicie iść – powiedziała do mnie, wstając. – Radger i Laetha nie do końca skłamali: prawie wszyscy mieszkańcy tej ulicy szukają was i nagrody, która się z wami wiąże.

Sięgnęła do stołu, podniosła amulet i zawiesiła go Aline na szyi.

– Paskudna magia – powiedziała – ale i tania, dzięki ludzkiemu lenistwu. Dość proste, zrobił je wysokiej klasy mag, ale nie

działają za dobrze blisko siebie. Noś to, wtedy pozostałe nie będą funkcjonować, przynajmniej dopóki nie pomyślą o czymś innym.

Odwróciła się znów do mnie.

– Leć już, Falcio val Mond, ty przeklęty głupcze. Narobiłeś niezłego bałaganu.

– Co tu jest dokładnie moją winą? – upewniłem się. Miałem wrażenie, że mnie beszta.

– Rijou i Tydzień Krwi: jak myślisz, komu w promieniu stu mil możesz zaufać? – spytała.

– Nikomu – odparłem. – Ani żywej duszy.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Duszy? Jakiś włączący w dupsko bóg musiał zrobić z ciebie optymistę, chłopcze. – Krawcowa po raz ostatni pocałowała Aline w czubek głowy. – A teraz uciekajcie stąd. Znajdźcie miejsce, gdzie można się ukrywać do końca Tygodnia Krwi. – Krawcowa odwróciła się do mnie i w jej spojrzeniu były ognie wszystkich piekieł. – Teraz to zależy od ciebie, Falcio. Zabierz ją na Teyar Rijou i upewnij się, że jej nazwisko zostanie przeczytane. Jesteś mu to winien.

Nie rozumiałem, dlaczego miałbym być winien lordowi Tiarrenowi coś więcej, niż już z siebie dałem, starając się ocalić przed śmiercią jego córkę, ale nie zamierzałem podważać tego, co powodowało Krawcową.

– Co z nimi? – spytałem, wskazując na Radgera i Laethę w kącie.

– Z nimi? Nie musisz się o nich martwić.

– A co... co z ludźmi księcia? – wydusiła Laetha przez łyż.

– Och, moja droga Laetho, nie musisz się ani trochę martwić o tych okropnych wielkich mężczyzn. Ani odrobinę. – Wzięła nóż z dłoni Aline i zważyła go w dłoni. – Ładny nożyk. Chyba go zatrzymam, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Skinąłem głową – co innego mogłem zrobić? Staruszka wskazała tylne drzwi, a potem przeniosła uwagę na „syna” i „synową”.

– Idźcie już, tak jak mówiłam. To, co się teraz wydarzy, nie jest na jej wrażliwe oczy i twoje głupie sumienie.

Zostawiliśmy Krawcową, by czyniła swoją powinność.

Wziąłem Aline za rękę i wyciągnąłem przez ukryte w sypialni drzwi wychodzące na zaułek na tyłach. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że kiedy podawała mi twardą lukrecję z mojego płaszcza, wyjęła też mięką.

DASHINI

Kilka godzin później byliśmy w innym wąskim zaułku i bardzo już blisko zewnętrznego muru, gdy znaleźli nas dwaj dashini. Dashi'nahiri Tahazu, jak brzmi ich pełne miano, to właściwie zdanie oznaczające: „Rozpoczęte polowanie kończy się tylko krwawo”. Trudno ich znaleźć, są drożsi niż czyjekolwiek życie, i mają fatalną reputację, gdyż po likwidacji celu czasem zabijają też zleceniodawcę. Jest to najtajniejszy zakon asasynów w cywilizowanym świecie, chociaż trudno nazwać „cywilizowanym” świat, który potrafi zrodzić tego kalibru morderców.

Dashini od stóp do głów ubierają się w granatowy jedwab. Materiał jest na swój sposób równie pomysłowy, co skóra użyta do uszycia naszych płaszczy. Człowiek w stroju dashini widzi przez niego niemal idealnie, ale jego przeciwnicy nie widzą nic, nawet jaki ma kolor oczu, co sprawdza się doskonale, bo łowca dashini nigdy nie ujawnia swojej tożsamości, nawet innym członkom swojego zakonu. Trafiają do świątyni w Zhinie jako niemowlęta złożone w ofierze... cóż, jak sądzę, temu bogu, któremu składa się w ofierze własne nowo narodzone dziecko. Odziany w granat mnich owija dziecko w jego pierwsze jedwabne powijaki i to wszystko; do końca życia nikt nie ujrzy

jego twarzy. Zawsze walczą w parach, ale nawet ich azu – partner – nie zna ani imienia, ani twarzy tego drugiego.

W ciągu następnych lat dziecko uczy się, jak się poruszać, żeby nie dać się zobaczyć ani usłyszeć, jak przyrządzić truciznę z roślin, ryb i zwierząt żyjących w każdym miejscu, do którego można ich wysłać, jak mącić w głowach swoim wrogom i, oczywiście, jak pokonać każdego przeciwnika. A gdyby was to intrygowało, to tak: obejmuje to Wielkie Płaszcz. Naprawdę wiele Wielkich Płaszczy.

Król przez kilka lat starał się obmyślić sposób, by ich pokonać, ale jego teorie były raczej trudne do wypróbowania, a rozwiązanie, na którym ostatecznie poprzestał, nie do końca dawało nadzieję. Jednak w tej właśnie chwili to było wszystko, co miałem.

– Aline... – zacząłem, sięgając obiema rękami do wewnętrznych fałd płaszcza.

– Wiem, wiem – powiedziała, przesuwając się kilka stóp za mnie.

– Przychodzimy po dziewczynkę, nie po płaszcz – szepnęła do mnie jeden z nich, a może obaj (kryjąca ich twarz tkanina sprawia, że trudno to stwierdzić). – Zaufaj swojemu strachowi i odwróć się plecami.

– *Viszu na dazi* – powiedziałem. Były to chyba jedyne słowa, jakie znałem w ich języku. To znaczy: „Nikt nie widział”, i odnosi się do faktu, że dashini nie pozostawiają świadków.

Poruszali się jak węże, wijąc się tanecznie i wysuwając gwałtownie niczym języki swoje długie sztylety. Nigdy nie doszliśmy, jak to możliwe, ale z jakiegoś powodu ich wąskie lekkie ostrza przebijały nasze płaszcze łatwiej niż zwykły miecz czy rapier.

– Lepsza jedna szansa na tysiąc niż żadna – szepnęli i niemal niezauważalnie zaczęli się rozchodzić, ustawiając się tak, by znaleźć się po obu moich bokach.

Zrobiłem krok w tył i dobyłem rapierów. Dziewczynce starczyło sprytu, by też się cofnąć i zachować odległość między nami.

– Możemy już zaczynać z tym smrodem z gęby, który nazywacie trucizną!? – zawołałem. – Akurat przed kimś uciekamy i mam wrażenie, że łatwo nas tu wypatrzyć.

Ich twarze nie pokazały oczywiście niczego poza zwykłą granatową powierzchnią tkaniny, ale wyobrażałem sobie, że mogło ich to chociaż troszkę zaskoczyć. Bo widzicie, dashini, choć tak dobrze wyszkoleni, zupełnie nie znają pojęcia uczciwej walki. To dlatego, choć zawsze zadają ostateczny cios sztyletem, nie podejmują ryzyka, a przede wszystkim nie pozwalają, by duma stanęła im na drodze do łatwego morderstwa. Więc zanim zacznie się walka, lubią podejść na chwilę bliżej, odtańczyć swój krótki taniec, a potem wydmuchać przeciwnikowi w twarz drobny, podobny do mgiełki fioletowy proszek. Nazywają go językiem strachu i działa z grubsza tak, jak można się spodziewać: wzbudza przerażenie i dezorientację oraz robi coś z gardłem, przez co nie da się mówić. To w zasadzie gwarantuje, że ofiara kończy z długim wąskim kawałkiem metalu w oczodole, co jest ich ulubionym sposobem finalizowania sprawy.

To, jak się poruszali, falując to bliżej, to dalej i odchylając się w tył, sprawiało, że łatwo było nie zauważyć, że wciąż zmniejszali dystans. Mogli pluć mi trucizną w twarz już z tej odległości, ale dashini nie są aroganccy; nie spieszą się. Dokonują zabójstwa, tak jak wytrawny piekarz robi chleb – wiedzą, że najważniejsze jest wycucie czasu. A więc przesuwali się w tył i w przód, by zyskać te kilka dodatkowych cali i mieć pewność, że trafią mnie językiem strachu, przez co ogarną mnie mdłości i przerażenie.

Ktoś mądrzejszy ode mnie zadał kiedyś jednak pytanie: jeśli język strachu jest tak silny, dlaczego nie wpływa na dashini? W końcu trzymają ten proszek w ustach, muszą więc wdychać go dużo więcej niż ich ofiara. Odpowiedź tak naprawdę jest całkiem prosta: uodparniają się na niego. Okazuje się, że przy pierwszym zetknięciu z trucizną (czyli zwykle ostatnim,

gdyż pierwsze spotkanie z dashini kończy się śmiercią) efekt jest niezwykle silny. Za drugim razem wciąż jest się przerażonym i zdezorientowanym, ale zwykle nie dochodzi do skurczu gardła. Zaś za trzecim razem znika zagubienie i zostaje tylko strach. Lepiej już się w zasadzie nie robi, ale kto by sobie nie poradził z odrobiną grozy? Język strachu jest niezwykle drogi i niełatwo go zdobyć, ale na szczęście dla nas mieliśmy króla, któremu nie brakowało pieniędzy i znajomości i który był zdania, że źle by wyglądało, gdyby jego trybuni sikali w spodnie, potykali się o własne nogi i płakali, na próżno wzywając matkę, za każdym razem, gdy na horyzoncie pojawiał się jakiś dashini. Tak więc wielkim kosztem dla kraju każdy Wielki Płaszcz w zakonie miał szczęście przyjąć dość języka strachu, aby w razie ataku zabójców dashini nie zsiąść w spodnie, zanim zginie. Dobrze wydane pieniądze, Wasza Wysokość.

A więc gdy wydmuchali mi migotliwy fioletowy proszek prosto w twarz, zrobiłem porządną głęboki wdech i wypuściłem dwa noże do rzucania w kierunku ich klatek piersiowych. Długie sztylety wysunęły się błyskawicznie i odbiły ostrza. Była to zgrabna sztuczka, której raczej nie potrafiłbym powtórzyć – może Kest, ale nie ja. Miło byłoby usłyszeć jakiś komplement na temat mojej małej niespodzianki, ale oni raczej nie mówią, kiedy nie muszą. W każdym razie zakłóciło to na ułamek sekundy ich węzowy taniec i była to cała satysfakcja, na którą mogłem w tym momencie liczyć.

Zrobili mi jednak ten zaszczyt i wreszcie mnie zaatakowali. Ich sztylety były perfekcyjnie zsynchronizowane, więc posłużyłem się paradą, którą zwiemy „odprawą”, ponieważ wygląda trochę, jakby wykonywało się drobny, pogardliwy gest odprawienia kogoś. W rzeczywistości jest to podwójna zasłona okrężna, która dobrze sprawdza się przeciw długim prostym klingom. Mój manewr zepchnął ich sztylety z linii natarcia, ale mieli w zanadrzu mnóstwo własnych sztuczek i nie mogłem liczyć na to,

że odgadnę, jak skontrolować każdą z nich, nie wtedy, kiedy obaj atakowali mnie w tym samym momencie.

Krążyliśmy wokół siebie jeszcze przez jakiś czas i gdy kurz zaczął się wzbijać z ulicy, poczułem, jak z brzucha do serca zaczyna mi podchodzić sztucznie wywołany strach. Staralem się, jak mogłem, by nie zwracać na to uwagi. Musiałem się skupić na wielkim pomysle króla.

– Miło cię znowu widzieć, Toller! – rzuciłem.

Dashini nic nie odpowiedzieli, zamiast tego znów wykonali pchnięcia. Tym razem celowo zaatakowali w nieco innym tempie, co oznaczało, że próba ponownej podwójnej odprawy zawiodłaby, bo co najmniej jedna z zasłon byłaby spóźniona. Zamiast tego skupiłem się na zablokowaniu tego po prawej i półobrocie, ślizgając się lewą stopą w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Sztylet chybił, a próba asasyńska, by zaliczyć cięcie przy ruchu powrotnym, nie pozostawiła na moim płaszczu nawet zadrapania. Sztych ich broni jest piekielnie ostry, ale samo ostrze nie przetnie tej skóry, nie przy tak słabym cięciu.

– Widzisz, twój rytm jest wciąż nierówny, Toller – powiedziałem swobodnym tonem.

Kopnąłem mocno w ziemię przed sobą i kiedy podniosła się chmura kurzu, zrobiłem podwójny wypad wprost na tego z prawej, trzymając jednocześnie swój lewy rapier w pozycji obronnej przeciwko pchnięciu z drugiej strony. Moje natarcie było oczywiście nieudane, gdyż dashini odskoczył do tyłu i znalazł się poza moim zasięgiem. Asasyn spróbował pchnięcia w ramię ponad moją głownię, ale drobnym ruchem nadgarstka w górę sprawiłem, że jego sztych zadzwonił o mój jelec.

– Prawie dostałem twojego koleżę, Toller. Możesz już przestać udawać i pomóc mi go załatwić?

– Pragniesz spać – szepnęli i niemalże mi się zachciało. To ich pieprzone mieszanie w głowie. Nie wiem, jak to działa, ale muszę to przezwyciężyć.

– Wiesz, jak was pokonamy? – spytałem tego po prawej. – To całkiem zabawna historia.

– Pragniesz milczeć – wyszeptali jeszcze raz, ale tę sugestię było znacznie łatwiej zignorować.

– Ale to naprawdę świetna historia. Widzisz, przed kilkoma laty król miał pewien pomysł – szczerze powiedziawszy, wasi ludzie powinni byli na to wpaść dawno temu. Widzisz, cała ta wasza tajemniczość... No wiesz, to, że nie pokazujecie twarzy, nigdy nie poznajecie swoich imion. Te urocze maski, które tak dobrze tłumią wasze głosy, że nie odgadłbyś, gdyby za zasłoną była twoja własna matka. No więc król, cóż to był za spryciarz!, uświadomił sobie, że gdybyśmy, dajmy na to, schwytali dwóch dashinów i zabili ich, a potem, i teraz słuchaj uważnie, zastąpili ich naszymi ludźmi... cóż, strasznie łatwo byłoby im się wtopić w tło, nieprawdaż?

Spróbowali zasypać mnie gradem pchnięć, ale zrobiłem gwałtowny wymach w górę i w przód i wykorzystałem większy zasięg rapierów, żeby trzymać ich na dystans.

– No i jak myślicie, co moglibyśmy zrobić z dwoma naszymi ludźmi w waszej świątyni? – Pokręciłem głową i powiedziałem: – Nie, nie, nie marnowalibyśmy czasu na jakiś heroiczny atak, w którym nasi towarzysze tylko by zginęli, a wy wszyscy schowalibyście się w jakiejś nowej dziurze. To byłoby całkowite marnotrawstwo, nieprawdaż? Więc może kazalibyśmy im się rozdzielić i szpiegować świątynię? W ten sposób, gdyby... i wiem, że wydaje się to naciągane, ale założmy na razie, że to możliwe... gdyby ci piekielni mnisi ze świątyni wzięli zlecenie na zabójstwo Wielkich Płaszcz, wtedy jeden z naszych towarzyszy mógłby dopilnować, żeby to on był jednym z azu wysłanych na misję. A wtedy... Cóż, może po prostu mu pokażesz, Toller? – spytałem.

Na moment, ułamek sekundy zamarli w swoim tańcu i spojrzeli na siebie nawzajem z odruchową nieufnością. Potem

spojrzeli w dół na klingi moich rapierów, które tkwiły w ich brzuchach tuż pod żebrami. Znałem opowieści, jakoby dashini potrafili spowolnić krążenie własnej krwi – że przeżyliby ranę, która zabiłaby normalnego człowieka. A więc wyciągnąłem rapier i dźgnąłem ich jeszcze po kilka razy, na wszelki wypadek. Nie wiem, czy pokonało to ich nadnaturalną odporność na obrażenia, czy może ich godność zażądała w końcu, by zrobili coś – cokolwiek – żeby przestano ich ciągle dźgać, ale wreszcie osunęli się na ziemię.

Zwalczyłem pragnienie, by opaść na tyłek i chwilę na nim posiedzieć, i zamiast tego wyjąłem z kieszeni płaszcz małą szmatkę (nie chciałem ryzykować kontaktu z jakąś inną trucizną pokrywającą ich strój), po czym ostrożnie ściągnąłem im z twarzy jedwabne maski.

– No tak, to ma sens – powiedziałem na głos. – Okazuje się, że mają na twarzach jakieś bardzo egzotyczne i, jak podejrzewam, zindywidualizowane tatuaże. Jak mniemam, to naprawdę utrudniłoby wcielenie się w nich. Ciekawe, czy oni wszyscy je mają. Wygląda to na strasznie pracochłonne, biorąc pod uwagę fakt, że większość z nich ginie z ręki własnych nauczycieli, jeszcze zanim dostaną pierwsze zadanie.

Dziewczynka podeszła do mnie od tyłu i położyła mi rękę na ramieniu. Stała, patrząc na martwych zabójców, ale wciąż trzymała się z dala.

– Czyli nie wprowadziliście żadnych ludzi do ich świątyni?

– Hmm? Oczywiście, że nie. To znaczy król próbował wysłać do nich kilka razy szpiegów, ale ci skończyli martwi. Podeszli z dość twórczą swobodą do kwestii zwrotu ciał. A schwytać dwóch wyszkolonych asynów dashini i zmusić ich do mówienia? Absurdalny pomysł.

– Ale sprawiłeś, że uwierzyli... To pomysł króla?

– Tak – powiedziałem. – Król doszedł do wniosku, że ludzie, którzy spędzają całe życie, ucząc się sztuki zabijania, i nigdy nie

poświęcają czasu na książki, ludzi, rozmowy czy nawet sporadyczne opowiadanie sprośnych limeryków, mają pewnie czasem skłonność do małej paranoi.

Spojrzała na mnie jak na idiotę.

Kręciło mi się trochę w głowie. Właśnie pokonałem dwóch asasynów dashini. „Niech tylko Kest spróbuje to powtórzyć”. Uśmiechnąłem się do Aline i głęboko westchnąłem. Jej oczy otworzyły się szeroko i zrobiła coś dziwnego: odwróciła się i zaczęła biec najszybciej, jak potrafiła. Wtedy właśnie coś uderzyło mnie mocno w tył głowy i straciłem przytomność.

Budziłem się kilka razy w drodze między miejscem, w którym nas pojмали, i pałacem księcia. Ręce i nogi miałem przywiązane do solidnego drewnianego drąga i kołysałem się z boku na bok. Człowiek przede mną był wysoki i barczysty; ten za mną musiał być trochę niższy, bo głowa zdawała mi się zwisać niżej od reszty.

– Ocknął się – usłyszałem mruknięcie mężczyzny z tyłu.

– No to walnij go jeszcze raz – odpowiedział ten z przodu.

– Nie, jeszcze nie – ten nowy głos był męski, ale delikatniejszy, mówił z akcentem z wyższych sfer i brzmiał dziwnie znajomo. Nagle pojawiła się przede mną twarz: długie złociste włosy zwisały, niemal dotykając mojego nosa. Twarz była przystojna i jak na mój gust zdecydowanie za mało posiniaczona.

– Lorenzo.

Uśmiechnął się.

– No proszę, znów się spotykamy, pierwszy kantorze.

– Lorenzo, wyglądasz niezwykle zdrowo jak na tak krótki czas.

– Magia i to droga. I wyobraź sobie, że ani trochę nie pomaga na ból. Boli dokładnie tak samo, jak kiedy skończyłeś po mnie deptać, Falcio.

– Tak, chciałem cię za to przeprosić. Jest mi bardzo przykro, Lorenzo, naprawdę.

Spojrzałem w prawo, chcąc zobaczyć, gdzie jesteśmy. Sądząc po tłoku, musieliśmy być na jednej z głównych ulic – prawdopodobnie na Kestrel, która prowadziła do pałacu książęcego.

Lorenzo mocno ścisnął mi twarz dłonią – lewą, jak zauważyłem. Z jego prawą obszedłem się dość okropnie.

– Nie jestem pewien, czy mogę przyjąć twoje przeprosiny, Falcio. Przynajmniej póki nie będę zupełnie pewny, że są szczere.

Spróbowałem wzruszyć ramionami, ale wszystkie moje kończyny były tak odrętwiałe, że nie przyniosło to większego efektu.

– Gdzie jest dziewczynka, Lorenzo? – spytałem.

– Prowadzą ją przodem – odpowiedział. – Chcemy jak najszybciej się do niej zabrać.

Westchnąłem. Aline zatrzymała miękką lukrecję, więc na pewno już nie żyje. Przynajmniej mogła sama wybrać moment śmierci. Zastanawiałem się, jak udało im się nas dogonić, ale potem przyszło mi do głowy inne pytanie.

– My – powiedziałem.

– Hmm?

– Powiedziałeś: „Chcemy się do niej zabrać”. Rozumiem, że masz na myśli księcia. Co te twoje tak zwane Nowe Wielkie Płaszczki myślą o tym, że wystarczy dać ci klapsa, żebyś porzucił swoje wspaniałe wysokie zasady i pobiegł do księcia?

Lorenzo spojrzał na mnie z zaskoczoną miną.

– Mówisz poważnie? – zapytał z autentycznym zdziwieniem. Potem krótko, szczeekliwie się zaśmiał. – Naprawdę? To ty nie wiesz? – Kolejna porcja śmiechu. – Święci, Falcio! Nie wiedziałeś? A jednak spraeś mnie na kwaśne jabłko, i to dlaczego? Bo uraziłem twoje poczucie godności i honor Wielkich Płaszczki?

– Aha. Cóż, teraz ma to chyba więcej sensu.

Było słychać, że jest mocno ubawiony.

– Falcio, może i jesteś głupcem i na pewno zginiesz straszną śmiercią, ale masz swój styl.

– Więc te twoje Nowe Wielkie Płaszcz...?
– Mogą być przydatni. Jednak w pewnym sensie miałeś chyba rację. Brakuje im godności. Ale o to właśnie chodziło: przywrócić ludziom ich ukochane Wielkie Płaszcz, ale z bardziej potulnym, bardziej arystokratycznym usposobieniem.

– Czyli mieli być głupi, próżni i właściwie do niczego?

Uśmiechnął się.

– Ta charakterystyka nie jest chyba do końca niesprawiedliwa. Ale tak, chodzi o to, by dać ludziom coś, co wygląda jak Wielki Płaszcz i gada jak Wielki Płaszcz, ale będzie rozstrzygać sprawy w bardziej zadowalający i przewidywalny sposób.

– A kiedy ludzie zaczną rozumieć, że nie mogą im ufać?

– Wtedy zwrócą się przeciwko Wielkim Płaszczom z równie dobrym rezultatem.

Myślałem o tym przez kilka chwil.

– W takim razie muszę znów cię przeprosić, Lorenzo.

– Za co?

– Kiedy dołożę ci następnym razem, będę musiał się upewnić, że już się nie podniesiesz. – Zacząłem mieć mdłości od kołysania. – Hej, tam! – zawołałem do mężczyzny z przodu – nie bujaj tak, bo nie dostaniesz napiwku, jak dojdziemy do pałacu.

– Ha! Widzisz, to jest ten Falcio, którego tak szybko zacząłem podziwiać. Masz poczucie humoru i styl.

Kołysanie ustało.

– Ale popatrz no, dotarliśmy do pałacu. Miło było znów cię zobaczyć, Falcio val Mondzie. Żałuję, że raczej już się nie spotkamy. – Potem Lorenzo ścisnął mi nos palcami prawej dłoni i przyłożył mi lewą rękę do ust, aż straciłem przytomność.

KSIEŻNA

Odziwo, pierwszy dzień tortur był dla mnie okazją, by wypaść się za wszystkie czasy. Od wielu dni nie zmrzyłem oka i odbyłem w tym czasie pół tuzina walk, z których ledwie uszedłem z życiem. Na całym ciele miałem dziesiątki siniaków i płytkich ran, które nie miały kiedy się zagoić, byłem też oczywiście zatruty zabójczym środkiem paralizującym, który zrównoważyło tylko nieco mniej zabójcze przedawkowanie twardej lukrecji.

Ale gorsze od tego wszystkiego było całkowite zdanie sobie sprawy, że zawiodłem. Zawiodłem bardziej niż ktokolwiek od początku świata i żadna moja myśl ani działanie nie mogły tego zmienić. Aline nie żyła, ja sam niedługo zginę i nawet gdyby Kest zrobił z siebie mordercę, by powstrzymać Valianę przed objęciem tronu, podejrzewałem, że księżęta w końcu postawią na swoim. Długi szereg niepowodzeń, z których składało się moje życie, zaczął się od nieudanej próby uratowania mojej żony Aline, potem nie udało mi się ocalić mojego króla, zachować Wielkich Płaszczy, a teraz zawiodłem, starając się ochronić zwykłą dziewczynkę, którą chciałem ocalić tylko dlatego, że miała na imię tak samo jak moja żona. Nie pozostało już nic oprócz tortur i śmierci, i czułem się wolny. Wątpię, żebyście usłyszeli

to z ust kapłanów, ale prawda jest taka, że ci, którzy naprawdę i kompletnie zawiedli, śpią najgłębiej i najsmaczniej.

W końcu jednak obudziłem się w celi tylko o kilka stóp dłuższej niż moje ciało, z przegubami zakutymi w kajdany zwisające z drewnianej konstrukcji wyglądającej trochę jak szubienica. Pewnie mogli przymocować łańcuch do bardziej newralgicznej części mojego ciała, więc stwierdziłem, że w sumie mam szczęście.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że w pomieszczeniu jest jeszcze ktoś, kto siedzi na drewnianym stołku.

– O, dzień dobry – powiedziałem.

Mężczyzna podniósł wzrok. Był duży, to na pewno, szeroki w ramionach i w pasie. Miał na sobie zwyczajową czerwoną skórzaną maskę oprawcy.

– Zaspałem na śniadanie? – spytałem.

Tortury w Rijou stosuje się, łącząc bicie i trucizny, rozmaite maści i kremy wywołujące wszystkie stadia bólu, od potwornych katuszy do zwykłego swędzenia, które nie chce ustąpić. Swędzenie jest poniekąd najgorsze; smarują człowiekowi maścią kawałek odsłoniętej skóry i zostawiają go w celi bez łańcuchów i kajdan, a potem czekają, aż zacznie zdzierać sobie skórę do mięsa. Substancja, której używają do wywołania swędzenia, nie jest trucizną kontaktową, więc uczucie to rozprzestrzenia się po całej skórze i wkrótce na powierzchni ciała nie ma dosłownie jednego cala, który by nie swędział. Nierzadko jako pierwsze wydrapywane są oczy.

Ale nie zaczęli od tego. Podejrzewałem, że chcą mnie najpierw zmiękczyć, dlatego nie byłem zaskoczony, kiedy oprawca zaczął mi okładać pięściami twarz, brzuch i plecy, zadając jednocześnie pytania. Jego akcent był tak ciężki, że ledwo go rozumiałem, ale wciąż powtarzał jedno pytanie, jakby deklamował z pamięci:

– Ona chce wiedzieć: czy jest ich więcej? – Uderzenie w brzuch. – Ona chce wiedzieć: czy jest ich więcej? – Kolejne uderzenie, tym razem w żebra z prawej strony.

– Więcej czego? – spytałem.

Kolejny cios, tym razem w twarz.

– Ona chce wiedzieć: czy jest ich więcej?

Nasza znajomość szła tym torem jeszcze przez jakiś czas.

Czasem przestawał na chwilę, ale tylko po to, by obficie posmarować moją skórę kremami, które parzyły, jakby ktoś wylał mi na pierś gorącą oliwę do lamp.

Potem znów zabierał się do bicia.

Nie starałem się trzymać języka za zębami – to duży błąd. Między innymi przez wyrażanie bólu ciało się od niego uwalnia. Chciał, żebym mówił, więc to właśnie robiłem: powiedziałem mu, jak się czuję. Powiedziałem, gdzie mnie boli. Opowiedziałem mu wszystko o sobie. Stękałem, jęczałem i płacząc, błagałem o litość, a w chwilach, kiedy przerywał i znów mogłem się zmusić do mówienia, robiłem to, co powinien robić Wielki Płaszcz, gdy zostanie schwytany. Recytowałem królewskie prawa.

– Pierwsze prawo mówi, że ludzie są wolni – zaśpiewałem cicho. – Bo bez wolności wyboru ludzie nie mogą służyć sercu, a bez serca nie mogą służyć swoim bogom, swoim świętym ani swojemu królowi.

– Co jest najpotężniejszą bronią Wielkich Płaszczy? – spytał nas król Paelis. Przemawiał z niewysokiego podium na dziedzińcu, zaś sto czterdzieści cztery Wielkie Płaszcze stały przed nim na baczność. Był pierwszy dzień wiosny i po raz pierwszy pełna liczba Wielkich Płaszczy miała iść do miast, wsi i osad w całym kraju, by rozstrzygać sprawy i wymierzać królewską sprawiedliwość. Ćwiczyliśmy; nauczyliśmy się; byliśmy gotowi. Ale król, któremu „dość dobrze” nigdy nie wystarczało, wciąż miał potrzebę przekazania nam jeszcze jednej lekcji przed wyjazdem.

– Najlepszą bronią jest miecz! – zawołał ktoś.

Król pokręcił głową.

– Zawsze będzie ktoś lepszy we władaniu mieczem.

– No to może rapier Kesta – powiedział ktoś inny.

Rozległy się śmiechy.

– Tajemnica – zaproponował ktoś inny.

Król znów się nie zgodził.

– Jesteśmy najlepsi, kiedy ludzie wiedzą, kim jesteśmy i co ze sobą przynosimy.

– Szybkość!

– Siła woli!

Trwało to przez parę chwil i król spojrzał na mnie, jakby oczekując, że się odezwę, więc powiedziałem:

– Nasze płaszcze. To one osłaniają nas przed niebezpieczeństwem. Chronią nas przed bronią przeciwnika. Ich lekkość sprawia, że możemy się poruszać szybciej niż rycerz w zbroi. Są ciepłe i chronią nas przed mrozem. Ich kieszenie mieszczą to, co potrzebne nam jest do przetrwania. Naszą najlepszą bronią są nasze płaszcze.

Wśród pozostałych zabrzmiały przytakujące pomruki.

Ale król pokręcił głową.

– Och, Falcio, nawet ty... Nie, wasze płaszcze to tylko przedmioty. Można wam je odebrać.

– Nigdy! – krzyknął ktoś.

Król podniósł ręce, prosząc o ciszę, a potem zrobił krok do przodu, podchodząc do krawędzi podium.

– Waszą najwspanialszą bronią jest wasz osąd – powiedział z prostotą. – Wszystko inne można wam odebrać; wszystko inne może zapewnić ktoś inny. Wielu jest mężczyzn i wiele kobiet z bronią; każdy może walczyć, uciekać albo zabijać. Ale tylko wy, moi trybuni, tylko wy przynosicie ludziom moc waszego osądu. To wasza znajomość praw, nie tylko słów, ale też kryjącego się w nich znaczenia. To dlatego śpiewamy prawa, tak by były zapamiętane! Wyśpiewujecie wasze werdykty, tak by ludzie mogli zachować je w umysłach i w sercach na długo po tym, jak opuścicie ich wioskę. Macie umiejętność wydawania wyroków

nie tylko po to, by karać, ale by naprawiać pęknięcia w sercach ludzi, do których dochodzi, gdy łamie się prawo. To wasz osąd odróżnia was od innych. Moi trybuni, w waszej czarnej godzinie – a będzie ich wiele, nie łudźcie się – w waszej czarnej godzinie zwróćcie się przede wszystkim do waszej zdolności osądu, do waszych głosów i zaśpiewajcie te słowa.

„Zwróćcie się przede wszystkim do waszej zdolności osądu, do waszych głosów i zaśpiewajcie te słowa”. I podczas gdy mój oprawca objął mnie pięściami, to właśnie robiłem.

Wysiłki, by przekonać mojego oprawcę, że źle postępuje, nie przyniosły szczególnych rezultatów, chociaż ucieszyłem się następnego ranka, obudził mnie, nucąc melodię *Królewskiego prawa o swobodzie podróżowania*. Musiał się zawstydzić, że to zauważyłem, bo pobił mnie potem wyjątkowo dotkliwie.

Po czterech dniach w celi byłem już bliski końca. Pomimo leczniczych balsamów, którymi regularnie smarowali moje ciało, żebym nie wyzionął ducha, niewiele ze mnie zostało. Ponieważ ledwie mogłem ruszyć palcem, nie mówiąc o opracowaniu planu ucieczki, zdjęli ze mnie nawet łańcuchy.

To w takich chwilach my, Pertyńcycy, wierzymy, że przybędzie do nas anioł, by wysłuchać naszych ostatnich słów.

– A oto i wielka nadzieja Paelisa – powiedział czyjś głos. Nie za bardzo przypominał anielski.

Otworzyłem oczy.

Zobaczyłem kobietę w średnim wieku. Była szczupłą, ale kształtną, i nosiła ciemnoczerwoną suknię z pasującymi do niej klejnotami – rubinami – zwisającymi z jej uszu i wokół szyi. Miała rzucające się w oczy siwe włosy dobrze upięte ponad pokrytą zmarszczkami i pozbawioną uśmiechu twarzą. Nie była piękna – pewnie nigdy taka nie była – ale w jej ostrych rysach i chłodnych oczach dostrzegało się jednak coś uwodzicielskiego, coś, co zdawało się mówić, że wiedziała, czego chcesz, czego

potrzebujesz – coś, co potrafiło nagiąć do jej woli zarówno plebejusza, jak i arystokratę.

Potem zobaczyłem pierścienie na jej palcach: było ich siedem, wszystkie duże, jarmarczne i w kształcie kół do wozu. Pomimo słabości rzuciłem się naprzód, by ją zabić.

Mój oprawca, którego przezwiałem „Auć”, bo to właśnie wydobywało się z moich ust, kiedy mnie bił, chwycił mnie jedną ręką i przytrzymał, chociaż niepotrzebnie się tym kłopotał. Owa próba ataku to było dla mojego ciała za dużo i gdyby nawet dał mi spokój, sam zwałiłbym się na podłogę. Zamiast tego uderzył mnie pięścią w twarz i rzucił na przeciwległą ścianę.

– Auć – powiedziałem.

– Proszę, proszę. Egzekucja bez procesu? Myślałam, że wy, Wielkie Płaszczce, mieliście być ponad takie rzeczy – powiedziała księżna Patriana.

– Zabiłaś Tremondiego, ty dziwko. – Kaszlnąłem i wypłułem coś, co, miałem nadzieję, nie było zębem, a potem dodałem: – Sama to zrobiłaś? Czy ktoś ci pomógł? Jeśli to była twoja córka, przysięgam, że sam ją zakłuję.

Spojrzała na mnie z góry ze spokojnym wyrazem twarzy.

– Jesteś ordynarny – powiedziała – i prostacki, i nieważny.

– W takim razie może powinnaś nas opuścić. Miałem właśnie poinformować Aucia o niuansach umów z właścicielami gruntu i praw do uprawy ziemi.

Uśmiechnęła się.

– Ach tak, te wasze królewskie prawa. Takie sprawiedliwe, takie honorowe. Poznać je to jak ujarzmić blask słońca czy światło księżyca. Samo ich głośne odczytanie poruszy dusze chłopstwa i uwolni ziemię od arystokratycznych ciemniężycieli!

– Coś w tym rodzaju – powiedziałem.

– Zastanawiające, dlaczego Paelis nigdy nie oszczędził sobie tego trudu. Gdyby nauczył swoich cudownych praw książąt, mógłby tym samym wyzwolić nas z naszej własnej ignorancji.

Uśmiechnąłem się.

– Z tego samego powodu, dla którego nie uczy się kotów liczyć. Albo są za durne, albo mają to gdzieś.

Auć podniósł mnie z ziemi i jeszcze raz uderzył.

Kaslnąłem i poczułem smak krwi na języku.

– Racja, Auć. Pora znowu zaczynać... Mamy dużo do przegadania... Czy mogę ci... czymś jeszcze służyć, pani?

Patriana nachyliła się nade mną i obejrzała moją twarz z le-niwą dbałością medyka badającego niezbyt ważnego pacjenta.

– Zdajesz sobie sprawę, że niektórzy z nich pracują teraz dla mnie? – powiedziała cicho.

– Z jakich nich, pani?

– Trattari. Twoje Wielkie Płascze. Połowa z nich pracuje dla mnie. Druga połowa trudni się zbójowaniem.

Parsknąłem. Zabolało.

– Śmiej się, jeśli chcesz, pierwszy kantorze, ale to prawda: twoje szlachetne Wielkie Płascze utrzymują się z plądrowania prowincji. Były przypadki rozbojów, Falcio, i morderstw. I gwałtów. Wszystkich dokonali twoi ludzie.

– Kłamiesz – powiedziałem, mimo że miałem zamiar mil-czeć.

Pokręciła głową.

– Niewinność może być cnotą, Falcio, ale świadoma niewie-dza nie. Od waszego rozwiązania minęło pięć lat. Naprawdę my-ślałeś, że wszyscy pozostaną wierni martwemu królowi?

– Pani, nie ma zdrajców wśród Wielkich Płasczy. Ani jed-nego – pozwoliłem, by to kłamstwo wypłynęło mi z ust jak strużka krwi.

Patriana roześmiała się.

– Zdrajców? Ty biedny, naiwny głupcze. Wielkie Płascze służą państwu! Król nie żyje od pięciu lat i książęta są prawowi-tymi władcami tego kraju. Ludzie, którzy dla nas pracują, nie są zdrajcami, Falcio; ty nim jesteś.

Podczas tortur najważniejszą umiejętnością jest zdolność ignorowania tego, co się słyszy. Ból jest potworny, ale naprawdę łamie człowieka dopiero to, co mu mówią. Dlatego trzeba pogodzić się z bólem, ale odgrodzić od słów.

– Cóż więc, pani, wygląda na to, że masz wszystko, czego ci potrzeba. A teraz opuszczę cię, jeśli pozwolisz. – Zwiesiłem głowę i zamknąłem oczy.

Auc uderzył mnie pięścią w twarz.

Księżna starannie ułożyła suknię i usiadła na drewnianym stołku. Skrzyżowała nogi.

– Czy jest ich więcej? – spytała.

– Ach tak. Auc pyta mnie o to już od jakiegoś czasu.

– I jak widać, nie udało ci się odpowiedzieć. Więc powtórzę pytanie: czy jest ich więcej? Twoja próba ucieczki z miasta się nie powiodła i nie masz specjalnie po co przedłużać swojej agonii. Więc odpowiedz na pytanie: gdzie są pozostali? Czy ktokolwiek z nich jeszcze żyje?

Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia. Oprócz Kesta i Brastiego od lat nie widziałem żadnego Wielkiego Płaszcza. Starałem się przekonać sam siebie, że Parrick, Niles, Dara i niektórzy inni mogli ocaleć, że kiedyś wszyscy się odnajdziemy, ale jedynym krajem, w którym mogliśmy się spotkać, była kraina zmarłych.

– Mnóstwo – powiedziałem. – Setki. I codziennie jest ich więcej, przysięgam.

– Odpowiadaj! – krzyknęła, wstając ze stołka i wymierzając mi policzek. Siła uderzenia mnie zaskoczyła.

Ciągnęła dalej:

– Całe życie poświęciłam przedsięwzięciu, które odmieni ten kraj, uczyni go silnym w oczach świętych i bogów, i nie pozwolę, by mój plan upadł tylko dlatego, że któryś z małych drani Paelisa podburzy wieśniaków albo tych przeklętych Lordów Karawan.

– Mówiłaś, zdaje się, że większość z nas albo pracuje dla ciebie, albo została bandytami. Chyba darzysz nas większym

szacunkiem, niż chcesz przyznać – powiedziałem, nieco zdeorientowany tym, że tak przecenia zdolność przekonywania Wielkich Płaszczy.

– Mój szacunek dla was jest zerowy, głupcze. A teraz, jeśli nie chcesz stracić zdrowych zmysłów ani duszy, odpowiedz na pytanie: gdzie jest reszta?

Coś w sposobie, w jaki zadała to pytanie – lęk, gniew, głęboka i całkowita potrzeba, by wiedzieć – coś w tej dziwnej szczerości pochodzącej z ust kobiety, która bardziej niż jakakolwiek żywa osoba na świecie była odpowiedzialna za zniszczenie mojego świata, sprawiło, że odpowiedziałem zgodnie z prawdą:

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Sięgnęła rękami i zatopiła paznokcie w moich policzkach.

– Ty brudny, głupi chłoptasiu. Ty psie. Myślisz, że to były tortury? Myślisz, że wiesz, co to ból? Rzeczy, które tu robią, są niczym w porównaniu z tym, co ja mogę ci zrobić. Każę im poć ci skórę i przyprowadzić głodujące dzieci, żeby wysysały ci krew z żył na twoich oczach. Posmaruję ci fiuta maścią, od której zesztywnieje i każę im cię zmusić, żebyś gwałcił stare kobiety na śmierć. Tworzę potwory, Falcio val Mondzie, i z ciebie też mogę zrobić potwora. Znam więcej tortur, niż ten kretyń ze swoimi truciznami i biciem potrafi sobie wyobrazić.

– Cii – powiedziałem. – Urazisz uczucia Aucia, jeśli będziesz tak o nim mówić.

Puściła moją głowę.

– Weź go – rozkazała Auciowi. – I niech ktoś przyprowadzi dziewczynkę, jeśli cokolwiek z niej zostało.

Dziewczynkę?

WIESZCZY KOŃ

Kiedy odzyskałem przytomność, miałem ręce związane w nadgarstkach, ale niespecjalnie się tym przejmowałem. Byłem tak otępiały, że Auć musiał mnie prawie nieść przez korytarze lochów księcia. Ściany były tu z tego samego twardego kamienia, na którym opierał się pałac i ciągnąca się przed nim promenada. To była prawdziwa Skała Rijou: więzienie, z którego nie da się uciec i w którym książęta bawili się, patrząc na cierpienia innych.

Pląkałem, nie z powodu, który umiałbym ująć w słowach, lecz dlatego, że tak samo jak umysł może zacząć gardzić ciałem, ciało zawsze będzie opłakiwać zbezczeszczenie ducha. Auć śpiewał cicho, gdy tak szliśmy, i byłem ciekaw, czy wie, że nuci *Królewskie prawo przeciw niesprawiedliwym karom*. Jeśli nie, była to ironia losu, a jeśli tak, to zupełnie nie potrafiłem tego zrozumieć.

– Chyba niedługo będzie do widzenia – powiedział ze swoim ciężkim akcentem, którego wciąż nie mogłem umiejscowić. Może był skądś na dalekiej północy?

– Do widzenia?

Dotarliśmy do końca długiego korytarza zakończonego wąskimi schodami, które prowadziły w górę. U szczytu były drzwi z kratą, przez którą było widać gasnące światło popołudnia.

– Wyprowadzę cię przez te drzwi, potem będzie stajnia. Jej rozkaz. Po koniu nie ma czego przynosić z powrotem.

– Po koniu?

– Teraz cicho – powiedział. Zarzucił mnie na ramię i ruszył po schodach w górę. – Od gadania są kłopoty z panią. Ale jesteś ciekawy człowiek. Zabawne piosenki. Normalnie muzyka nie jest dla mnie. Może nie jesteś taki zły, jak mówią. No to chcę powiedzieć do widzenia.

U szczytu schodów uderzył mocno w drzwi, sześć razy. Strażnik po drugiej stronie spojrział przez kraty, a potem zdjął klucz z szyi i otworzył.

– Dokąd? – zapytał.

Auć postawił mnie na ziemi, wciąż mnie przytrzymując, ale był bardziej brutalny, kiedy ktoś patrzył.

– Do stajni. Pani kazała dać go koniowi.

– A rozkazy?

– Rozkazy są, kurwa, w mojej pięści, jak zawsze. Chcesz zobaczyć z bliska?

Strażnik odsunął się i pozwolił nam przejść.

– Tutejsi strażnicy są tępi jak zwierzęta – rzucił do nikogo konkretnego, kiedy szliśmy dalej przez otwarty dziedziniec. – Może chcesz uciec, hę?

– Jasne – odpowiedziałem. – Potrzebne mi tylko małe fory.

– Mówią, że wy, Wielkie Płaszczce, byliście kiedyś twarde sukinsyny. I szczwane, hę? Może na mnie też masz jakąś sztuczkę? Spojrzałem na niego.

– Obawiam się, że wszystkie mi się skończyły.

Auć popchnął mnie do przodu.

– Nie ma znaczenia. Aż do bramy pałacowej jest pełno strażników. Załatwią cię, zanim zrobisz dziesięć kroków. – Obrócił mnie i spojrział mi w oczy. – Więc bez kłopotów, tak? Nie ma po co, tak? Nie będziesz mi robił kłopotów, tak?

– Chodźmy zobaczyć tego konia – powiedziałem.

Chrząknął, znów mnie obrócił i popchnął naprzód.

Szliśmy krótko – sądziłem, że mówi o stajniach pałacowych, ale to było jakieś inne miejsce. Weszliśmy przez szerokie drzwi do dużego samotnego budynku, który cuchnął jak szesnaście piekieł. Wewnątrz było niemal zupełnie pusto, poza stojącą pośrodku klatką z żelaznych prętów. Obok klatki było krzesło, na którym siedziała księżna Patriana, sącząc coś z małej filiżanki. W klatce był potwór.

Bestia była ogromna, niemal dwukrotnie większa od koni bojowych używanych przez rycerzy. Nawet wysoki człowiek miałby trudność, by dosięgnąć jej wielkiej głowy. Sierść potwora była pozdzierana, niemal całkowicie obdarta i każdy cal jego ciała pokrywały blizny i obrzęki. Jego uszy ściśle przylegały do głowy, a oczy były czarne jak węgiel. Kiedy otworzył pysk, zobaczyłem, że ma zaostrome pilnikiem zęby. Dźwięk, jaki się z niego wydobył, przypominał raczej warkot niż coś, co kiedykolwiek słyszałbym u jakiegoś konia.

Patriana dała znać Auciowi, żeby przyprowadził mnie bliżej. Kiedy znaleźliśmy się o kilka stóp od klatki, puścił mnie, ale zacząłem osuwać się na ziemię i tylko łapiąc mnie szybko za kark, uratował mi głowę przed odgryzieniem przez stwora w klatce. Oczy bestii wyrażały wściekłość z powodu tego, że ofiara uniknęła jej zębów.

– Święci – powiedziałem. – Co to jest?

Patriana się uśmiechnęła.

– To? To jeden z moich ulubionych projektów. Można powiedzieć: mój konik, że tak zażartuję.

Wewnątrz klatki było straszliwie brudno. Prawdopodobnie nikt jej nigdy nie czyścił, więc warstwa końskich odchodów narastała, aż zaczęły wyciekać przez kraty. Z górnych prętów zwisały poszarpane trupy jakichś stworzeń, choć trudno było się rozemnieć w ich kształtach, gdyż zostały pozbawione skóry i ścięgien.

– Powinnaś zmienić hobby – rzuciłem swobodnym tonem.

Znów się uśmiechnęła.

– Nie poznajesz go? Myślałam, że taki romantyk jak ty rozpozna stworzenie z historyjek dla dzieci. W końcu są poniekąd waszymi imiennikami, nieprawdaż?

Ścisnęło mnie w żołądku i serce podeszło mi do gardła.

– To nie może być...

– Och, uwierz mi, to on. I mogę cię zapewnić, że ich znalezienie dużo kosztowało.

– Wieszczy koń... zrobiłaś coś takiego z wieszczym koniem?

– Ależ przestań, po co ta skromność? Czy nie nazywano ich też wielkimi końmi? Myślałam, że poczujesz jakieś pokrewieństwo.

Oczywiście słyszałam o wielkich koniach, czy też wieszczych koniach, jak częściej się o nich mówiło. Ale wyglądały zupełnie inaczej. Wieszcze konie były dzikie i szlachetne. Te kilka stad, które podobno istniały, było tematem dziecięcych fantazji, a ja fantazjowałam na ich temat nawet częściej niż inni. Marzyłam o tym, że znajdę wieszczego konia, że dosiądę najszybszego zwierzęcia świata, które potrafi biec bez ustanku przez wiele dni, które może stawić czoła stadu górskich kotów i każdej innej bestii... Wieszcze konie były dla zwykłych tym, czym święci są dla ludzi – ale czymś lepszym, bo święci potrafią być kapryśni, nawet niegodziwi. Wieszcze konie z baśni były szlachetne i opiekuńcze. Ale nie to coś...

– Tak – powiedziała Patriana, idealnie odczytując moją minę – to naprawdę jeden z nich. Ostatnia klacz w stadzie.

Pamiętałam stare opowieści, niektóre z nich opowiadał mi Bal Armidor w gospodzie nieopodal mojego rodzinnego domu, inne zaś wyczytałam z książek w królewskiej bibliotece. Paelis i ja zwykliśmy żartować na temat tego, o ile szybciej moglibyśmy się przemieszczać, gdybyśmy oprócz Wielkich Płaszczy mieli do dyspozycji wielkie konie. „Jakieś cztery dni drogi do Warrelton, Falcio, albo dwa na wielkim koniu” – zwykł mawiać. Była taka książka, ulubiona zarówno przez króla, jak i przeze mnie, o chłopcu, który

nauczył się języka wieszczych koni i poprowadził je do walki przeciwko rycerzom, którzy uwięzili jego matkę. *Dan'ha vath fallatu*, mawiał chłopiec w ich specjalnym języku. „Jestem z waszego stada”.

– Co się stało z resztą? – spytałem, wciąż wpatrując się w oszalałe zwierzę zamknięte w klatce.

Westchnęła.

– Obawiam się, że okazały się nieudanymi eksperymentami. Wyobraź sobie, że było ich dwadzieścia i tylko jeden zbliżył się do tego, co chciałam osiągnąć. Cóż, muszę być uczciwa wobec siebie, nie była to najlepsza inwestycja.

– Ale dlaczego? Dlaczego, na wszystkich bogów i świętych, miałabyś wziąć coś tak pięknego i...?

– I co? Zniszczyć? Falcio, jaki jest pożytek z wielkiego konia biegającego po łąkach? Jaki jest cel jego istnienia? Zwierzęta żyją po to, by służyć, tak samo jak wieśniacy, tak samo jak ty. Jaki jest pożytek z konia, który nie ciągnie pługą, nie zapewnia pożywienia ani nie wiezie rycerza do walki?

– Dwadzieścia – powiedziałem z odrętwiałym gardłem. – Dwadzieścia Wielkich Koni, a ty zniszczyłaś je wszystkie...

– W pewnym sensie je tresowałam, ale nic to nie dało. Przypalałam je. Odcinałam im kawałki ciała. Podtruwałam je, biłam do krwi, dusiłam sznurem, wyłupywałam oczy. Nic nie pomagało, wciąż nie chciały się dostosować do moich celów.

– Jakież to cel chciałaś osiągnąć w ten sposób?

Wyglądała na naprawdę zaskoczoną.

– Jak to? Oczywiście uczynić z nich konie bojowe. Wyobraź sobie rycerzy pędzących na tych bestiach do walki: byłiby nie do powstrzymania. Czy wiesz, że można do nich strzelać z łuku, a ich skóra jest tak gruba, że nie zginą? Po prostu biegną dalej, a strzała zwykle wypada sama i te bydlaki całkowicie się z tego wylizują. Prawdę mówiąc, zabicie ich kosztowało mnie tyle pracy, że wciąż nie jestem pewna, czy było to tego warte.

– Co tam wisi? – spytałem przerażony.

– Och, zauważyłeś. Cóż, jest to coś, co w końcu załatwiło sprawę. Widzisz, ten egzemplarz to klacz. A więc zapłodniłem ją nasieniem innego konia. Mogą się krzyżować, pewnie dlatego tak małe stada potrafią przetrwać. Kiedy rodzi, a to chyba jedyny moment, gdy to przeklęte bydlę jest dość słabe, żeby moi ludzie weszli do środka, zabieramy jej źrebaka i torturujemy go na śmierć. Po czwartym czy piątym bestia wreszcie zrozumiała, co powinna robić, a mianowicie zabijać. Trochę szkoda, że tyle zajęło, zanim do tego doszliśmy, oczywiście jest jeszcze kilka problemów do rozwiązania, jak na przykład zmuszenie jej do słuchania poleceń, a nie tylko rozszarpywania wszystkiego, co się rusza, na strzępy. Ale wymaga to tylko trochę więcej czasu.

Wypowiedziała te słowa tak beztrzesko, jakby rozmawiała z sąsiadem o pogodzie. Rozejrzałem się po stajni, popatrzyłem na pozostałych strażników przy drzwiach, na Aucia. Jak można było nie dobyć broni i nie przebić jej na wylot? Jak można było to znieść?

– Nie będziesz mi się tu chyba dawał ponieść emocjom, co? – spytała Patriana, widząc łzy na mojej twarzy. – W końcu jeszcze nie skończyliśmy.

– Dlaczego mi to pokazałaś? – spytałem. – Dlaczego po prostu nie kazałaś zostawić mnie w celi albo po prostu zabić?

– Ponieważ – powiedziała łagodnie – w głębi serca jestem nauczycielką. Chcę, żebyś się nauczył. Chcę, żebyś zrozumiał.

– Na wszystkich bogów i świętych, co rozumiał? Że jesteś potworem?

– Nie, Falcio: że mam rację.

– Jesteś obłąkana.

Pokręciła głową.

– Naprawdę nie widzisz? Naprawdę nie jesteś mądrzejszy od tej bestii w klatce? Popatrz na nią! To jesteś ty, nie rozumiesz?

Wstała i zbliżyła swoją twarz do mojej.

Poczułem chwyt Aucia na szyi, przypomnienie, że nie mam tu władzy.

– Twój ukochany król Paelis był taki sam. Potrzebował broni, więc wybrał ciebie. Wyselekcjonował cię, podobnie jak innych, i uwarunkował do wykonania celu, jaki sobie zamierzył, a potem wykorzystał do ataku na swoich wrogów.

– Porównujesz zbudowanie sądownictwa, by chronić prawa ludzi, ze stworzeniem potwora, który potrafi tylko rozszarpać na strzępy i zabijać?

– Tak! – powiedziała. – Tak. To dokładnie to samo. Ludzie nie mają praw, Falcio, poza tymi nadanymi przez ich prawowitych panów, ich prawowitych właścicieli. Paelis nie różnił się od innych wielmożów, chociaż na pewno lubił udawać, że jest inaczej. A więc lubił patrzeć, jak wieśniacy udają, że są szczęśliwi? Czym to się różni od księcia, który ma dla nich inne przeznaczenie? Ostatecznie Paelis miał władzę i używał jej, by stworzyć taki świat, jakiego chciał. Ale posunął się za daleko, Falcio. Monarchia zawsze rozumiała, że w granicach naszych domen mamy najwyższą władzę, ale on chciał to zmienić. To on złamał naturalne prawa tej ziemi, Falcio. To on był tyranem!

Głowa mi opadła, a oczy wpatrywały się w ziemię.

– Chciał, by ludzie byli wolni, to wszystko. Chciał...

– Chciał być kochany – powiedziała mi miękko do ucha. – Tylko tyle. Płonne pragnienia słabego i marnego umysłu, który nigdy nie powinien był nosić korony. Tylko przypadek odebrał życie jego bratu Dergotowi, prawowitemu następcy tronu. Gdyby ta głupia suka Yesa nie posadziła go na parapecie, wciąż by żył. Greggor nie mógł, zdawałoby się, wybrać gorzej niż z pierwszą żoną, ale z Yesą prawie mu się to udało.

– Po co mi to wszystko mówisz, księżno? Jesteś bezlitosna i nikczemna, ale nie próżna. Jeśli jestem tak nieistotny, to po co tu jestem? Dlaczego to takie istotne, żeby pokazać mi, że zniszczyłaś wieszczego konia?

Ujęła mnie dłonią pod brodę.

– Ponieważ, drogi chłopcze, chciałam ci udowodnić, że to możliwe. Nigdy byś mi nie uwierzył, gdybym po prostu ci powiedziała, prawda? To bardzo ułatwi mój następny eksperyment.

– Co to za „następny eksperyment”? – spytałam ze znużeniem.

Uśmiechnęła się i pocałowała mnie ciepło w policzek.

– Ty, Falcio val Mond.

Wbrew sobie omal się nie roześmiałem.

– Ja?

– Nie ceń się zbyt nisko, Falcio. Teraz jesteś dla mnie niemal cenny. Widzisz, szczerze uważam, że nienawidzisz mnie bardziej niż ktokolwiek z żyjących.

– W tym jednym punkcie możemy się zgodzić, pani.

– A więc mogę się od ciebie dużo nauczyć, Falcio val Mond. W procesie przemiany, przekształcenia cię z Wielkiego Płaszczka w moje ukochane stworzenie, nauczę się wiele o tym, jak ćwiczyć swoich ludzi, by byli mi bardziej użyteczni. To właśnie robię, Falcio: tworzę użyteczne rzeczy.

– Tworzysz potwory – powiedziałem.

– Jeśli chcesz to tak nazwać. Ale nie łudź się, bardzo dobrze mi to wychodzi.

– Choć niekoniecznie z własną córką. Może i jest głupia, ale nie ma w niej nic z twojej nikczemności.

Patriana wybuchnęła śmiechem.

– Moja córka? Ależ moja córka jest znacznie groźniejsza ode mnie. Śmiem twierdzić, że jest moim największym osiągnięciem!

Zastanowiłem się nad tym. Czy ona kłamie? Dałbym głowę, że Valiana nie była zła. Czyżby Kest i Brasti polegli już z jej ręki? Jak próba serca mogła czegoś takiego nie pokazać? Czy wszystko to było sfalszowane? Czy to wszystko tylko podstęp?

– Dość tego – powiedziała Patriana. – Nadszedł czas, by rozpocząć twoje szkolenie.

Odeszła i znów usiadła na krześle.

– Powiedziałeś mi, że nie ma ich więcej, a dziewczynka zdaje się z tobą zgadzać, więc... – dała znak jednemu ze strażników, który otworzył drzwi i wciągnął do środka Aline. Była zakrwawiona, a jej ubranie w strzępach. Miała knebel w ustach i szeroko otwarte oczy. Strażnik przyprowadził ją do nas i rzucił na ziemię przede mną. Poczułem, jak Auć puszcza mój kark, i opadłem przed nią na kolana.

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego nie wzięłaś miękkiej lukrecji? Dlaczego pozwoliłaś im...

– Dość tego, Falcio, Zaczynajmy.

Na znak strażnika pozostali podeszli z długimi żerdziami. Jedna z nich była krótsza, metalowa i zmyślnie wycięta tak, że miała kształt prostego klucza, który strażnik wsadził do zamka. Kiedy go przekręcał, pozostali powstrzymywali drągami bestię przed wyjściem. Wreszcie jeden z nich przymocował koniec swojej żerdzi do sznura, a drugi koniec do obroży na szyi Aline.

– Co wy robicie!? – krzyknąłem, ale nie zwracali na mnie uwagi. – Przestańcie! – Szarpnąłem głową naprzód i zdołałem wyrwać się z uścisku Aucia, ale drugi strażnik rzucił mnie na ziemię tuż przed prętami klatki.

Kiedy poprzednim razem byłem tak blisko, koń próbował mnie zaatakować; tym razem miał szeroko otwarte oczy i wyraźnie szukał drogi ucieczki przez uchylające się coraz szerzej drzwi klatki.

Kiedy tylko prześwit był dość szeroki, wpełchnęli Aline do środka i zatrzasknęli za nią drzwi.

– Patrz, co teraz robi, Falcio. Zobacz, jak z początku terroryzuje swoją ofiarę, zanim ją zabije, jakby chciała, żeby wszystkie inne żywe stworzenia doświadczyły strachu i cierpienia, które widziała w oczach swoich żrebaków.

– Niech cię diabli! – wrzasnąłem. – Niech cię diabli, kobieto – wyciągnij ją stamtąd! Wyciągnij ją i zrobię wszystko, co chcesz,

rozumiesz? Nie musisz nic mi robić, wykonam każde twoje polecenie, tylko wyciągnij ją stamtąd!

Aline była skulona w kącie, a olbrzymi wieszcz koń stał nad nią z obnażonymi zębami, z pyska dochodził mu odrażający warkot. Uderzył kopytami w ziemię.

– Nie, nie, Falcio, to działa inaczej – zwróciła się do mnie księżna. – Za najbardziej fascynujące, mam nadzieję, że się ze mną zgodzisz, uważam to, że cała nienawiść i gniew, jakie czujesz, tak naprawdę tylko wszystko przyspieszą. Czy to nie dziwaczne? Oglądanie, jak ta mała zostaje rozszarpana na strzępy, a potem kolejne rozrywki, jakie dla ciebie zaplanowałam, tak naprawdę uczynią cię bardziej uległym, nie mniej. Okazuje się, że ludzki umysł ma granice tego, co może znieść, kiedy zaś się je przekroczy... Jak by to ująć? To jak przywrócić posąg do pierwotnego bloku marmuru: możesz wykuć z niego, co chcesz, jakby jego wcześniejszy kształt nigdy nie istniał.

Koń zbliżał się teraz do dziewczynki i kłapał zębami w pobliżu jej twarzy, włosów. Bijący od niego gniew był niemal namacalny: wściekłość na wszystko i wszystkich. Aline miała knebel w ustach, ale chyba nawet nie próbowała krzyczeć, tak sparaliżował ją strach.

– Na litość, musi być w tobie jakaś resztką przyzwoitości...

Słyszałem teraz Aline, jej krzyki były przytłumione, ale pełne przerażenia. Krwawiła z lewego ramienia.

– Widzisz, jak zaczyna od małego podgryzania? To właśnie robimy ze żrebakami. Wieki całe trwa, zanim skończy. Można niemal pomyśleć, że ta bestia jest inteligentna.

Widząc moją minę, powiedziała:

– Wiesz co, kiedy teraz o tym myślę, to chyba nieuczciwie nazywać ją nieudanym eksperymentem. Do czegoś się przydaje. Podniosłem się i rzuciłem na pręty.

– *Dan'ha vath fallatu!* – krzyknąłem. – *Dan'ha vath fallatu!*

Księżna wyglądała na skonfundowaną.

– Co to, u licha, jest? Dannavath? Czy to jakieś...? Och... – Przyłożyła sobie dłoń do ust i zaczęła się śmiać. – To chyba najbardziej urocza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam! – Odwróciła się do jednego ze strażników. – Słuchaj, on chyba woła do tej bestii tekstem z bajki dla dzieci!

Strażnik nie odpowiedział, ale wyszczerzył do mnie zęby.

– Wieszczy koniu! – krzyknąłem przez kraty. – Jesteś wieszczym koniem! Jesteś z rasy nieuległych, nie dajesz się kontrolować, nie można cię skuć łańcuchami. *Dan'ha vath fallatu!* Należę do twojego stada! Ta dziewczynka należy do twojego stada! *Dan'ha vath fallatu!*

Płakałem i wrzeszczałem przez kraty jak szaleniec. Wyciągnąłem rękę w stronę bestii – była, oczywiście, za daleko, zresztą mogła co najwyżej odgryźć mi ramię. Ale nie zwracała na mnie uwagi i ugryzła Aline jeszcze raz, tym razem w twarz.

Dziewczynka znów krzyknęła. Na jej policzku była krew.

– Nie mogą zakuć cię w łańcuchy – wrzeszczałem. – Nie mogą cię skrępować! Wieszczce konie są wolne! Wieszczce konie bronią stada! *Dan'ha vath fallatu!* Ona należy do stada! Musisz bronić stada...

Bestia nie odchodziła; raczej stawiała się coraz dziksza, coraz bardziej rozwścieczona. Uderzyła wielkimi kopytami w ziemię o niecałą stopę od ciała dziewczynki, potem stanęła dęba i uderzyła jeszcze raz, tym razem o cal od niej.

– *Dan'ha vath fallatu!* – zawołałem jeszcze raz. – Jestem Falcio val Mond. Bronię swojego stada, tak jak ty. Jestem rozbity, jak i ty. *Dan'ha vath fallatu:* wszyscy jesteśmy z jednego stada. *Dan'ha vath fallatu.* Ta dziewczynka jest z tego samego stada. Broń stada. Jesteś nieuległa. Nie dajesz się kontrolować. *Dan'ha vath fallatu.* Musisz chronić dziewczynkę: ona jest taka jak ty, jak ja...

Z oczu lały mi się łzy i cały świat był niewyraźną plamą. Nie wiedziałem, czy dziewczynka była martwa i czy bestia zaraz odgryzie mi głowę przez kraty. Po prostu wciąż do niej mówiłem,

prosiłem, błagałem, mówiłem wszystko, co przychodziło mi do głowy, poprzez hałas grzmocących o ziemię kopyt. Pomruki do-
bywające się z jej gardła przechodziły na przemian w warczenie
i rzenie, odbijając się echem w moim sercu. Gdzieś w tle słysza-
łem poruszających się nieustannie strażników i wydzierającą się
na nich księżnę i w całym tym zgiełku powtarzałem po prostu
w kółko: *Dan'ha vath fallatu*.

Coś uderzyło mnie w głowę; poleciałem do tyłu, a potem
otarłem łzy z oczu. Zobaczyłem, jak koń wciąż i wciąż wa-
li głową w pręty krat, starając się uwolnić, i spojrzałem w kąt
klatki, gdzie Aline leżała nieruchomo na ziemi. Pomyślałem,
że być może nie żyje, potem zobaczyłem, jak strażnicy stara-
ją się odegnąć żerdziami konia, żeby wyciągnąć ją z klatki. Jej
piers gwałtownie się podnosiła i opadała. Koń gryzł drągi i bił
kopytami w pręty klatki, strażnicy zaś bali się podejść bliżej
mimo krzyków księżnej. Koń rżał ogłuszająco, rzucając się na
kraty całym ciałem i żelazne pręty zaczęły wyglądać, jakby
mogły się wygiąć.

Auc, który wciąż stał za mną, podniósł mnie. Księżna zbliżyła
swoją twarz do mojej. Uśmiechała się.

– Ty cudny, cudny chłopcze – powiedziała, klepiąc mnie po
policzku. – Jak wspaniale. Nigdy czegoś takiego nie widziałam!
Tak, sądzę, że udało ci się dotrzeć do jakichś głębokich pokładów
w mózgu tego potwora, a wiesz, co to oznacza?

– Że wszystkie twoje plugawe tortury zawiodły, księżno.

– Och, nie bądź głuptasem – odparła i pocałowała mnie jesz-
cze raz w policzek, a potem wyszeptała do ucha: – To znaczy, że
ja też mogę do nich dotrzeć.

Odsunęła się, żeby znów popatrzeć, jak koń rzuca się na prę-
ty klatki.

– Zabierzcie go z powrotem do celi – powiedziała do Aucia.

– Co z koniem? Co z dziewczynką? – spytał kolejny, trzy-
mając w rękach złamaną tykę.

– Zostaw ich – odparła Patriana. – Koń albo padnie, waląc o kraty, albo zmęczą go próby ucieczki i wróci do zabijania dziewczynki. Jedno i drugie mi odpowiada. Mam teraz inne rzeczy do przemyślenia.

– *Dan'ha vath fallatu* – powiedziała do mnie. – Naprawdę rozkoszne!

Auc zarzucił mnie sobie na ramię i potaszczył z powrotem do celi. Tym razem nie odezwał się słowem przez całą drogę powrotną.

SUMIENIE OPRAWCY

Obudził mnie dziwny dźwięk. Myśli zasnuwała mi mgła i znów zwisałem za nadgarstki z dziwnej drewnianej szubienicy zajmującej część małego pomieszczenia. Zająłem mi chwilę, zanim zrozumiałem, że dźwięk, który słyszę, to czyjś płacz.

Otworzyłem oczy. W celi było ciemno, jeśli nie liczyć małej świeczki palącej się w pobliżu drzwi. Podejrzewałem, że jest po północy, chociaż nie mogłem mieć pewności. Rozejrzałem się w poszukiwaniu źródła dźwięku, myśląc, że może obudził mnie mój własny szloch, ale to nie byłem ja. W kącie na stołku siedział Auć, oprawca. W rękę miał nóż, z rodzaju tych, których używał do skórowania nieszczęśników, którzy padli ofiarą gniewu księcia. Auć cicho łkał, co jakiś czas pociągając nosem i wycierając go we własne przedramię. Potem brał nóż, robił sobie małe nacięcie na ramieniu i patrzył, jak w miejscu przejścia noża pojawia się strużka krwi.

– Co ty robisz? – słysząc mój zgrzytliwy głos, uświadomiłem sobie, że wrzeszcząc przed klatką wieszczonego konia, kompletnie ochryłem. Usłyszałem w głowie Brastiego mówiącego, że nie sądził, by to było możliwe, i słabo się zaśmiałem.

– Bez śmiechów – powiedział Auć, wciąż patrząc na nóż.

– Nie śmiałem się z ciebie, tylko... no, nieważne. Co robisz?
– Koń wybiera – burknął. – Zrobiłeś tak, że koń wybiera.
– Nie rozumiem – przyznałem.
– Koń nie zabija dziewczynki. Mówisz coś do konia i koń wybiera. Nie zabija dziewczynki – w jego głosie było tyle bólu i zagubienia, że przez chwilę chciałem mu powiedzieć, że wszystko jest dobrze. Ale nie było.

– Jebany koń – powiedział i znów naciął sobie ramię.
Nie wiedziałem, co powiedzieć, co zrobić, żeby poczuł się lepiej – ani czy w ogóle tego chciałem.

– Jebany koń – powtórzył i popatrzył na mnie ze łzami w oczach. – Mówisz do tego jebanego konia. Żeby nie zabijał dziewczynki. Ten koń... kurwa, co oni mu robią, co oni każą nam mu robić... a ty mówisz i koń już nie zabija. Ja...

Znów zaszłochał i po raz kolejny naciął sobie ramię, tym razem mocniej i głębiej.

– Robię, co każą. Robię, co każe książę. Robię, co każe ta suka księżna. Ale ja jestem człowiek! – Podniósł się ze stołka, który przewrócił się i poturlał w stronę ściany. – Jestem, kurwa, człowiek! – krzyknął, zbliżając nóż do mojej twarzy.

– Jesteś człowiekiem – powiedziałem miękko.

– Jestem człowiek – powtórzył. – Jebany koń, biedny skurwiel, jego rozum zrobił do widzenia. Bez rozumu, bez serca. Ona je zabrała, zabrała, ale koń... Jebany koń. Ten skurwiel słucha i nie robi. Nie zabija dziewczynki. Ten skurwiel słucha i już nie ma konia, co zabija. Męczyliśmy... zabijaliśmy... – Zaszłochał jeszcze raz i odsunął się ode mnie. – Ja jestem człowiek, ale ten jebany koń jest lepszy ode mnie. Zwariowany skurwiel, bez rozumu, bez serca. Jest lepszy ode mnie!

Wykrzykiwał ostatnie zdanie raz za razem przez jakiś czas, waląc pięściami w ściany, tnąc się, przeklinając samego siebie. Było to przerażająco podobne do widoku wieszczonego konia próbującego wydostać się z klatki.

Wreszcie upuścił nóż. Wyciągnął klucz z kieszeni koszuli i podszedł do mnie. Z jego ust bił ciężki odór alkoholu, a z oczu boleść.

– Ty mi powiedz – odezwał się do mnie na wpół groźnie, na wpół błagalnie. – Ty mi powiedz, jak mogę być... jak mogę być jak koń, nie jak ja. Jak mogę być dobry jak koń. Ty mi powiedz i ja cię wypuszczę. Wypuszczę cię. Wyprowadzę. Tylko najpierw powiedz.

Myślałem, że kłamie, ale wtedy zauważyłem obok przewróconego stołka zawiniątko. Był to mój płaszcz i rapiery.

– Ty mi powiedz. Ty...

– Cii – powiedziałem. – Powiem ci.

– Powiedz, powiedz teraz – powtórzył, odwracając twarz bokiem do mnie, jakby chciał, by ta tajemna wiedza weszła mu wprost do ucha i przedostała się do serca.

Wziąłem głęboki, bolesny wdech.

– Pierwsze prawo mówi, że ludzie wolni są – zaśpiewałem cicho. – Bo bez wolności nie mogą służyć sercu...

– Pierwsze prawo mówi wolność – śpiewał niezgrabnie Auć, ciągnąc mnie przez korytarz. – Pierwsze prawo mówi wolność. Człowiek ma serce, musi mieć wolność. Musi wybierać. Nie ma boga, nie ma króla, żeby zabrał serce; żeby zabrał wolność.

Była to dziwaczna wersja pierwszego królewskiego prawa, jednak nie gorsza od wielu innych, które słyszałem.

– Gdzie teraz? – spytał, kiedy dotarliśmy do schodów. Spojrzałem w górę.

– Czy dziewczynka wciąż tam jest?

Kiwnął głową.

– Koń nikogo nie dopuszcza. Prawie łamie klatkę. „Święci, przecież ona musi umierać ze strachu”.

– Więc zabierz mnie tam. Do stajni.

Auć pokręcił głową.

– Nie, zły pomysł. Zabieram cię tam, strażnicy widzą, wołają innych.

– Zabiorę dziewczynkę i wezmę ją ze sobą.

Znów pokręcił głową.

– Nie, dalej jesteś głupi. Wiesz dużo rzeczy, prawa, konie. Ale nie pałac. Tam jest za dużo strażników. Biorę cię gdzie indziej: przez wejście dla kucharzy. Kucharzy nie obchodzi. Daję im pieniądze, mówię, że zabiję, jak powiedzą. I jesteś na zewnątrz.

Tym razem to ja pokręciłem głową.

– Dziewczynka. Muszę zabrać dziewczynkę.

– A jak dojdiesz ze stajni do bramy? Jak otworzysz bramę?

– Myślę, że przyda mi się szybki koń.

Popatrzył na mnie przez chwilę, jakbym oszalał. Potem się roześmiał.

– W porządku. W porządku, człowieku praw. Biorę cię do stajni. Ale potem idę. Koń chyba mnie nie lubi.

– Może za słabo się znacie.

Mój żart umknął Auciowi, który powiedział tylko:

– Teraz gęba na kłódkę. Muszę minąć pierwszego strażnika.

Znów zarzucił mnie sobie na plecy, wszedł po schodach i zastukał sześć razy w ciężkie drzwi.

– Co ty tu robisz, do wszystkich piekieł? – spytał strażnik, otwierając drzwi i wpuszczając nas do środka.

– To ona – powiedział Auć, jakby to wszystko wyjaśniało. Kiedy strażnik się nie poruszył, dodał: – On idzie znów do konia. Do klatki. Nie wychodzi.

– Nie dostałem takich rozkazów – powiedział ostrożnie strażnik.

Auć uderzył go bez słowa pięścią w twarz, strażnik poleciał do tyłu i uderzył głową o ścianę. Osunął się na ziemię nieprzytomny.

– Mówiłem: rozkazy są, kurwa, w mojej pięści. Teraz widzisz z bliska.

Auć postawił mnie na ziemi i poszliśmy prawą stroną dziedzińca do stajni. Kiedy doszliśmy do drzwi, powiedział:

– A teraz do widzenia. Robimy do widzenia. W nocy stajnia bez strażników. Tylko człowiek, co sprawdza dziedziniec, co godzina zagląda do środka. Ty idziesz, umierasz z dziewczynką i koniem. Masz wolność. Ty wybierasz.

– Dziękuję – powiedziałem.

Pokręcił głową.

– Mówiłem, że cię zabiję, jak przyszedłeś. Teraz ty się zabijasz. Nie ma różnicy.

– Dla mnie jest – powiedziałem.

Słyszac to, skinął głową, a potem odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę dziedzińca.

Wszedłem do stajni i zobaczyłem bestię w klatce pośrodku budynku. Wciąż biła kopytami i kipiała ze złości, ale nie rzucała się już na kraty. Podkradłem się cicho, zdając sobie sprawę, że pomimo zapewnień Aucia inni strażnicy mogą się pojawić, choćby po to, by sprawdzić, czy dziewczynka jeszcze żyje.

Koń znów wydał ten dźwięk pomiędzy warczeniem a rżeniem, który brzmiał w moich uszach tak niepokojąco.

– Falcio? – wyszeptała Aline.

– To ja – odszepnąłem. – Jesteś cała?

Kiwnęła głową, co z trudem można było dojrzeć w słabym świetle stajni.

– Nie gryzła mocno – powiedziała – ale nie daje mi się ruszyć. Warczy na mnie, kiedy chcę wstać.

– Rozumiem – powiedziałem.

Włożyłem rękę przez kraty i wyciągnąłem ją w stronę końskiej grzywy.

– Hej, dziewczynko – powiedziałem łagodnie.

Koń ugryzł mnie i stanął dęba, waląc kopytami w pręty klatki.

Ból mnie otrzeźwił.

– *Dan’ha vath fallatu* – powiedziałem. – Jestem z twojego stada, do licha. Nie gryź mnie już.

Koń znów wydał ten warkotliwy dźwięk.

– Jest wściekła – powiedziała Aline.

– Wiem, że jest wściekła!

– Jest wściekła, ale myślę, że rozumie. Kiedy do niej mówię, zdaje mi się, że rozumie. Kiedy mówię, że nie wstanę, daje mi spokój. Kiedy mówię, że chcę się poruszyć, znów się złości. Ona chyba rozumie, Falcio, ale jest bardzo wściekła.

Westchnąłem.

– Ja też jestem wściekły – powiedziałem. – Zabrali mi króla. Zabili mi króla, zabili mi przyjaciół i zabili mi żonę. Rozumiesz to, do diabła, ty pieprzony bydlaku? Zabrali mi żonę. Moją żonę. Była dla mnie wszystkim. Była z mojego stada, ty jebana bestio. *Dan’ha vath fallatu*. Jesteś wściekła? Popatrz na tę dziewczynkę. Ona też jest wściekła. – wskazałem na Aline. – Jej też zabrali rodzinę, jej stado. – Koń prawie urwał mi rękę, ale cofnąłem ją na czas. – W porządku. Bez pokazywania palcem.

Podszedłem do ściany, na której wisiał metalowy drąg z kluczem, i zdjąłem go.

– Zabili ci stado – powiedziałem do wieszczonego konia. – Zabili stada nam wszystkim. Teraz mamy wybór. *Dan’ha vath fallatu*. Możemy być jednym stadem i walczyć razem albo zginąć w samotności.

Wsadziłem klucz do zamka. Koń znów zaczął bić kopytami w pręty.

– Czas dokonać wyboru – powiedziałem poprzez łomot. – Otworzę teraz te drzwi. Możesz mnie zaatakować i zabić, wtedy dziewczynka także zginie, kiedy po nią przyjdą. Możesz też po prostu uciec i wtedy najpierw zabiją nas, a potem znajdą i zabiją ciebie. Albo możesz nas ponieść. Żadne z nas nie ujdzie z tego z życiem samo, ale jeśli nas poniesiesz, możemy wyważyć bramę i być może uda nam się uciec do miasta.

Ruchy klaczy stały się wolniejsze, ale zwierzę nie pokazało po sobie, że rozumie, co mówię. Nie jestem pewien, na co właściwie liczyłem.

– Falcio, szybko, otwórz klatkę! Słyszę ich! – zawołała Aline.

– Daj mi znak, że nam pomożesz – powiedziałem do konia. – *Dan’ha vath fallatu*. Daj nam znak, że jesteśmy jednym stadem.

Słyszałem krzyki. Ktoś mnie widział i wkrótce będą tu strażnicy. Oby nie było ich zbyt wielu, choć byłem tak słaby, że wystarczyłby jeden czy dwóch. Ale wciąż stałem nieruchomo. I wtedy zobaczyłem, że powoli, powolutku bestia zaczyna się ruszać – wyglądało to, jakby się zmniejszała. Jednak nie, po prostu kłękała na ziemi. Obróciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi.

– Wsiadaj – powiedziałem do Aline.

Spojrzała na mnie, jakbym oszalał.

– Albo nam pomoże, albo to i tak nie będzie miało znaczenia. Wsiadaj.

Podniosłem ją i umieściłem na grzbiecie klaczy. Nie zabiła dziewczynki, co przyjąłem za dobry znak i sam niezgrabnie wspiałem się na bestię, dokładnie w chwili, gdy pierwsza para strażników weszła przez drzwi.

Pochyliłem się nisko nad karkiem zwierzęcia.

– *Dan’ha vath fallatu* – powiedziałem, klepiąc je po szyi. Potem zbliżyłem usta do jego ucha i wypowiedziałem jedyne inne słowo, jakie zapamiętałem z baśni:

– *K’hey* – szepnąłem. – *K’hey, k’hey, k’hey*. Leć. Leć. Leć.

Kiedy strażnicy z obnażoną bronią dotarli do wejścia, poczułem, jak mięśnie wieszczego konia spinają się pod nami i jakby piorun zesłany przez gniewnego boga uderzył w klatkę, gdy rzucała się przez drzwi i na strażników, pozostawiając ich martwych na ziemi, podczas gdy my wypadliśmy ze stajni jak błyskawica na tle nocnego nieba.

MAŁE SMUTKI

Równie dobrze mógłbym się trzymać trzęsienia ziemi. Podskakiwałem wciąż na grzbiecie bestii i tylko jej węzowe ruchy sprawiały, że nie spadłem na ziemię. Aline miała jeszcze gorzej.

– Przełóż ręce przez szlufki w moim płaszczu! – krzyknąłem, gdy popędziliśmy na dziedziniec, zostawiając za sobą trupa kolejnego strażnika, który zginął pod kopytami klaczy.

Wieszczy koń absolutnie nie miał litości wobec straży, tak jakby pamiętał każde cięcie, każde bicie, każdą zniewagę. I tak pewnie było.

– Na zewnątrz! – krzyknąłem jej do ucha. – Musimy uciec na zewnątrz! Nie możesz zabić wszystkich strażników w pałacu!

Podjeżdżałem, że zrozumiała, co mam na myśli, nawet nie pojmując słów, bo omal nie zrzuciła mnie na miejscu.

– Dobrze! Możesz ich zabić, możesz zabić wszystkich, ale wtedy oni zabiją dziewczynkę! – krzyknąłem. – Chroń dziewczynkę! Chroń żrebaka!

Nie wiem, czy klacz usłyszała mnie poprzez wrzaski strażników, ale w końcu rzeczywiście popędziła w stronę bramy po drugiej stronie. Wrota miały dwanaście stóp wysokości i były

zrobione z prętów równie mocnych co jej klatka. Musiałem liczyć na to, że słabym punktem będzie rygiel.

– Trzymaj się! – zawołałem do Aline i pochyliłem się nisko nad karkiem klaczy, gdy ta wyrwała do przodu.

Przez moment obawiałem się, że wpadnie na osłep na bramę, ale w ostatniej chwili stanęła na tylnych nogach i użyła swojego pędu, by uderzyć kopytami w metalowe pręty bramy. Widziałem, jak się wyginają i wibrują, aż w końcu rygiel pękł i w ten sposób znaleźliśmy się na zewnątrz. Słyszałem jeszcze krzyki za nami i słyszałem gwizd bełtów przelatujących nam koło uszu. Przy najmniej dwa z nich trafiły klacz w zad, ale jeśli ją to zabolalo, to nic po sobie nie pokazała; po prostu biegła dalej. Dziękowałem świętym, że było późno i niewielu ludzi kręciło się na ulicach.

Musieliśmy odjechać co najmniej milę od pałacu, zanim klacz pozwoliła mi się zatrzymać. Nie mając uzdy ani strzemion, musiałem użyć mizernych sił, jakie zostały mi w nogach, by starać się nią pokierować.

– Dokąd jedziemy? – spytała Aline, kiedy wreszcie zwolniliśmy do stępu.

Zsunąłem się z grzbietu klaczy i spróbowałem rozprostować nogi, ale musiałem oprzeć się o jej zad, żeby się nie przewrócić.

– Trzeba się tylko zorientować w terenie – odpowiedziałem. – Potem ruszymy w stronę jednej z bocznych bram miasta i mam nadzieję, że z pomocą brutalnej siły uda nam się wydostać.

– Nie – odparła Aline.

– Jak to: nie?

– To ostatnia noc Ganath Kalila – powiedziała. – Jutro na Teyar Rijou będzie się ponownie uznawać rody szlacheckie. Pójdziemy na Skalę; mogę wypowiedzieć swoje nazwisko.

– Czyś ty oszalała? Zabiją cię. A mnie to już na pewno.

– Pierwszy dzień po Tygodniu Krwi jest Dniem Łaski. Nikogo nie można skrzywdzić ani aresztować, chyba że sam wcześniej kogoś zaatakuję.

Westchnąłem i spojrzałem w górę, w nocne niebo.

– Powiedz mi: jak to się skończy? – spytałem znużony. – Powiedz mi, co będzie potem.

– Mogę dostać azyl u któregoś z pozostałych rodów, mogę nawet wyjechać z miasta. Ale zachowam swoje prawo krwi, Falcio.

– Prawo krwi? Jaką to ma wartość, skoro książę chce cię zabić?

– To wszystko, co mam! To wszystko, co zostało mi po matce... po ojcu...

– Przykro mi – powiedziałem. – Nigdy nie poznałem lorda Tiarrena, ale na pewno był...

– Oj, zamilknij! – zawołała. – Ty nic nie rozumiesz.

Ucichłem i szliśmy dalej. Czy dziewczynka może mieć rację? Czy to faktycznie było tak proste? Czy rytuał Ganath Kalila naprawdę mógł ochronić Aline, nawet mimo obecności księżnej?

Ulice były wyludnione. Ostatnią noc Tygodnia Krwi lepiej spędzić pod dachem, chociaż do tego czasu stoczono już większość walk i popełniono większość morderstw. Trudno wyrazić, jak bardzo nie cierpialem tego miejsca.

– Witaj – powiedział kobiecie głos z zacienionej ławki przy ulicy.

Aline krzyknęła, ja chwyciłem za rapier, a koń skoczył w tym samym kierunku z kopytami gotowymi do uderzenia.

Kobieta nie uciekła; wstała powoli i wyciągnęła ręce do pyska bestii, jakby zupełnie się jej nie bała.

– *Dan'ha neta vath fallatu* – powiedziała łagodnie. – Nie jestem z twojego stada, Matko. Ale nie jestem też twoim wrogiem.

– Kim jesteś? – spytałem stanowczym tonem, z rapierem wciąż skierowanym w jej stronę.

Kobieta była piękna. Miała na sobie białą suknię okrywającą jej ciało, ramiona i ręce, uszytą ze zwiewnego materiału, który

migotał w świetle księżyca. Jej głowę częściowo osłaniało coś w rodzaju kaptura z tej samej tkaniny, a wysypujące się spod niego ciemne włosy okalały gładką, delikatną i łagodnie uśmiechniętą twarz. Była to twarz, której nie zapomniałby żaden mężczyzna, ale ja rozpoznałem ją po głosie.

– Istniejesz naprawdę – powiedziałem. – Przyszedł do mnie w celi więziennej. Byłaś na balu u księcia. – To wspomnienie sprawiło, że mocniej zacisnąłem dłoń na rękojeści rapiera. – Kim jesteś i komu służysz?

– Jestem przyjaciółką, co przychodzi w czarną godzinę – odpowiedziała. – Jestem bryzą, gdy pali słońce. Jestem wodą, którą rozdaje się za darmo, i winem, które dzieli się z miłością. Jestem przyjaciółką, co przychodzi w czarną godzinę – powtórzyła – i jestem tu dla ciebie, Falcio val Mondzie.

– Siostra – powiedziałem. – Siostra Miłosiernego Światła.

– Kto? – spytała Aline podejrzliwie.

Zakon Miłosiernego Światła był bardzo szczególnym zgromadzeniem religijnym. Mniszki uchodziły za doskonale uzdrowicielki i jasnovidzki, a jednocześnie posiadały... inne uroki.

– prostytutka – powiedziałem.

Kobieta się roześmiała.

– Chyba można mnie tak nazwać – powiedziała bez złości czy wstydu.

– Czego chcesz? – spytała Aline.

– Wypełnić swoją obietnicę, uczynić zadość woli swojego boga i przykazaniom swojej świętej.

– Święta Laina Co Daje Dupy Bogom jest jedną z moich ulubienic, siostro – powiedziałem spokojnie. – Ale to kiepski moment.

Podeszła do mnie i beztrósco odepchnęła na bok mój rapier, po czym dotknęła mojej twarzy.

– Zraniono cię, Falcio. Masz wiele powodów, by wątpić w życzliwość nieznajomych. Ale nie jestem ci wroga. Mam na

imię Ethalia i jestem tu dla ciebie, by skryć cię przed wrogami, uleczyć twe rany, ukoić twe serce. – Spojrzała mi w oczy. – Ale ty wciąż jesteś podejrzliwy. Jesteś człowiekiem praw, zeznań, dowodów, a więc dam ci trzy dowody. Czy to wystarczy?

– Zależy, jak będą przekonujące – odparłem.

– Pokażę ci je, Falcio, przy użyciu magii, wspomnienia i, choć wolałabym, by to nie było potrzebne, złamanego serca.

– Falcio, nie ufam jej – powiedziała Aline.

Ethalia uśmiechnęła się do dziewczynki.

– Twój ojciec byłby innego zdania, maleńka. Mam wypowiedzieć na głos jego imię?

Słyszac to, Aline zamarła.

– Jak sobie życzysz. Ale czas mija i okrywająca nas ciemność wkrótce się rozwieje, więc oto mój pierwszy dowód.

Podeszła do kłaczy i sięgnęła rękami w górę, umieszczając je po obu stronach jej pyska. Myślałem, że bestia odgryzie jej głowę, ale zamiast tego opuściła łeb, a Ethalia pocałowała wieszczego konia w plamkę między oczami.

– Dziękuję ci, Matko – powiedziała. – Zobaczysz jeszcze swoje dzieci, na dalekich pastwiskach, które rozciągają się za długą nocą, lecz nie teraz, dopiero za wiele lat. Jest dużo do zrobienia.

– Jak ty... – osłupiałem.

– Jak namówiłeś ją, by uratowała dziewczynkę? – odpowiedziała pytaniem Ethalia. – Jak sprawiłeś, by wieszcy koń pozwolił ci dosiąść twojego grzbietu? Pozwoliła ci, bo zna twoje serce i serce dziewczynki, tak jak i moje.

Ethalia odwróciła się znów do mnie.

– Oto drugi dowód – powiedziała.

Potem uklękła przede mną i uniosła obie ręce jak w modlitwie, rozkładając je i łącząc. Był to starożytny i uroczysty sposób wyrażania wdzięczności.

– Nie rozumiem; dlaczego...? – zacząłem.

– ...ci dziękuję? Ponieważ uratowałeś mi życie, Falcio val Mondzie, a słuchając mojego drugiego dowodu, zrozumiesz powód, dla którego ci pomagam.

– Pani, nigdy cię nie spotkałem. Wątpię, bym mógł zapomnieć taką twarz.

Uśmiechnęła się i wstała.

– Byłam wtedy młodsza.

– Ile masz teraz lat? – spytała Aline.

– Widziałam, jak mijają dwadzieścia trzy wiosny. Ale kiedy ocalił mnie Falcio, miałam tylko trzynaście lat, nie więcej niż ty teraz.

Próbowałam sięgnąć pamięcią wstecz. Rzeczywiście byłem w Rijou dziesięć lat temu, na zlecenie króla. Chodziło o jubilerza: przyjechałem, by rozpatrzyć jego spór z właścicielem budynku, w którym miał sklep. Król chciał wymierzać sprawiedliwość nawet w Rijou, które nigdy wcześniej jej nie zaznało, jeśli nie liczyć kapryśnych nakazów księcia.

– Ach – powiedziała – zobacz, jak wąskimi ścieżkami wędruje twój umysł. Tak wiele myślisz o swoim królu i jego pracach, że nie pamiętasz nawet małych łask, których udzielasz przy okazji. Takich jak pomoc dziewczynie trzymanej wbrew jej woli przez mężczyznę na jednej z ulic...

– Dziwka! – powiedziałem głupio. – To znaczy, ta dziewczyna... To ty nią byłaś. Pamiętam, to było na rogu ulicy...

Uśmiechała się cierpliwie.

– Tak, i mężczyzna, który zapłacił mi za moje usługi, chciał więcej, a ja odmówiłam.

– Zaproponował ci więcej pieniędzy – powiedziałem, przypominając sobie leżące na ziemi monety i wymierzającego jej policzek draba.

– Ale przyjmowane przez nas pieniądze są po to, by pomóc tym, którym służymy, cenić nasze dary. Nie jest to cena, za którą można kupić świnię na targu.

– Jestem pewna, że z radością dostaliby je za darmo – skomentowała Aline.

– Sza, moje dziecko – powiedziała Ethalia. – Niech sobie przypomni.

– Niewiele jest do przypominania – stwierdziłem. – Pamiętam tego człowieka, pamiętam, jak mówiłem mu, żeby przestał. Nie chciał, więc zająłem się tym. Poszedł do domu posiniaczony, ale żywy, a ja odjechałem. To samo zrobiłby każdy strażnik miejski albo choć w miarę przyzwoity sklepikarz. Wyjeżdżałem właśnie z miasta, po tym jak moja próba uratowania jubilera, w którego sprawie przyjechałem, skończyła się fiaskiem.

Pokręciła głową i spojrzała na mnie rozczarowana.

– Trzej miejscy strażnicy przeszli obok – powiedziała. – Widziało to też wielu sklepikarzy i panów, i dam. Nikt się nie zatrzymał. Nikt oprócz ciebie. Czy nie cieszysz się choć odrobinę, wiedząc, że uratowałeś mi życie? Nawet jeśli jest to, jak to ująłeś, życie dziwki?

– Wybacz mi, pani, nie chciałem cię obrazić.

– Nie obrażam się, ale zamiast tego z góry przepraszam za trzeci dowód.

Położyła mi ręce na piersi i pochyliła się. Przez chwilę wydawało mi się, że chce mnie pocałować, i nie byłem pewien, co o tym sądzę, ale odwróciła usta i wyszeptwała mi łagodnie i smutno do ucha:

– Wiem, że mnie kochasz, i wiem, że walczyłybyś o mnie, ale nie tu, nie teraz. Zrobię to i zapłacę cenę za nas oboje, i nie będę drapać, gryźć ani wrzeszczeć, a on zostawi nas i odejdzie ze swoimi brudnymi ludźmi i swoim brudnym królem, a ty i ja zestarzejemy się razem i będziemy się śmiać z dnia, w którym te głupie ptaki wylądowały na naszych polach.

Odepchnąłem ją.

– Nie!

Wciąż patrzyła mi w oczy.

– Przykro mi, tak bardzo mi przykro, że ją straciłeś.

Chwyciłem ją brutalnie za ramiona.

– Skąd...? Skąd ty to wiesz? Jakim cudem wiesz, co ona mi powiedziała? Mów!

– Dlatego, że jestem Ethalia – powiedziała. – Jestem siostrą Miłosiernego Światła i moim *geas* jest zaoferować ci pomoc. I dlatego, że nic innego by cię nie przekonało, Falcio val Mondzie z Pertynii. Dlatego że domagasz się bólu, zanim przyjmiesz miłosierdzie.

Ethalia odwróciła się do mnie plecami i zaczęła iść jedną z bocznych ulic.

– Falcio? – spytała Aline. – Falcio, co teraz zrobimy?

– Idziemy za nią – powiedziałem, kładąc rękę na grzywie klaczy. Wiedząc, że pójdzie ze mną, ruszyłem za Ethalią.

JEDNA NOC MIŁOSIERDZIA

Trudno mi opisać tę noc – to, co zrobiła Ethalia i co ze mnie wydobyła. Wyzwoliła we mnie ból tak potężny, że tortury z ostatnich kilku dni były przy nim jak doznanie dziecka, które przez pomyłkę dotknęło gorącego pieca: cierpienie jest dotkliwe, ale szybko mija. Lecz tamto...

Kiedy dotarliśmy do świątyni, która, jak sobie przypomniałem, była w zasadzie burdelem, zabrano mnie do prywatnego pokoju Ethalii. Aline nalegała, że chce zostać z koniem, dostali więc lokum za świątynią, gdzie było dość miejsca dla konia, żłobu i łóżka dla dziewczynki. Ethalia zapewniła mnie, że nas tu nie znajdą, i z braku sił, by zrobić cokolwiek innego, postanowiłem jej zaufać.

Powiedziała, żebym położył się w jej łóżku.

– Potrzebuję kąpieli – ostrzegłem ją.

– Ja cię umyję – odpowiedziała, pokazując mi gestem, że bym zdjął płaszcz.

To, co zostało z mojego ubrania, było w strzępach, pokryte zakrzepłą krwią, błotem i czymś, co niemiłosiernie cuchnęło. Wzięła małe nożyczki i zaczęła rozcinać na mnie koszulę.

– Przestań – poprosiłem.

Wskazała starannie ułożony stosik ubrań na stole w pobliżu drzwi.

– To dla ciebie – powiedziała. – Te łachmany już do ciebie nie pasują, a wspomnienia, które ze sobą niosą, są nie lepsze od ich odoru.

Zacząłem się śmiać, ale nie przyłączyła się do mnie. Zamiast tego dalej rozcinała moje ubranie, starannie przesuwając nożyczki wzdłuż szwów, aż zdjęła ze mnie koszulę i spodnie, i nawet moje buty rozpadły się dzięki jej zręcznym zabiegom.

Kazała mi się położyć na łóżku, byłem nagi i brudny, i poszła do małego pomieszczenia, które łączyło się z sypialnią. Kiedy wróciła, miała ze sobą miednicę i kawałek płótna. Położyła to na łóżku obok mnie. Z drugiego stolika wzięła jakieś szklane naczynie.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, że stosowali tam wiele olejków i maści, by spotęgować ból, ale obiecuję ci, że te przynoszą tylko ukojenie.

Zaczęła delikatnie oczyszczać mi rany i zmywać zaskorupiały brud z mojej piersi, twarzy, nóg i wszystkich części ciała. Był to powolny i drobiazgowy proces, i chociaż była tak delikatna, bolesny jak diabli. Skóra pod błotem i zaschniętą krwią była wrażliwa, a w niektórych miejscach w rany wdało się zakażenie, ale zajęła się tym wszystkim bez słowa komentarza. Maść najpierw wywołała pieczenie, ale potem przyniosła mi błogą ulgę. Kiedy Ethalia skończyła, nie czułem bólu, który stał się niewyraźnym wspomnieniem.

– Jeszcze nie czas na sen – oznajmiła, gdy moje oczy zaczęły się zamykać.

Znów je otworzyłem i spojrzałem na nią. Zdjęła większość, ale jeszcze nie wszystkie warstwy zwiewnego stroju, a te, które zostały, przylegały do jej ciała i w słabym świetle księżyca wpadającym przez okno jej figura ukazała mi się w całej okazałości.

– Nie – powiedziałem.

– Boisz się – odparła bez złośliwości czy urazy.

– Ja... – uświadomiłem sobie, że się boję, ale nie tego, co mogłaby o mnie pomyśleć. To, czego się bałem, przerażało mnie i byłem zbyt zawstydzony, by powiedzieć to głośno.

Popchnęła mnie na łóżko i łagodnie usiadła okrakiem na moich biodrach.

– Boisz się tego, co masz w środku – stwierdziła, pozwalając, by szeptała do mnie miękkość jej skóry. – Boisz się tego, co znalazłeś w swoim wnętrzu tego dnia, gdy ci ją odebrali.

Naprężyłem się i zacząłem zsuwać ją z siebie, próbując się przekręcić, ale znów położyła mnie na plecach.

– Myślisz, że mnie skrzywdzisz, Falcio. Myślisz, że jeśli się zapomnisz, choćby na chwilę, to wypłynie z ciebie wściekłość i twoje pięści, twoja gwałtowność zrobią mi krzywdę.

– Ethalio... nie rób tego – poprosiłem.

– Nie boję się ciebie, Falcio *val Mondzie*. Wiem, co masz w środku. Zbyt długo to w sobie nosiłeś. Ocaliło to życie tobie i innym, kiedy brak ci było siły i umiejętności, by się obronić, ale teraz musisz się tego pozbyć. Jesteś teraz silny, jesteś potężny i niedobrze jest kotwiczyć w sercu taką mroczną łódź. Falcio, musimy odwiązać cumy i dać jej odpłynąć.

Poruszyła biodrami, leciutko, ale miałem wrażenie, jakby jakaś energia przepływała przez wszystkie części mojego ciała, przełamując opór, zrywając kajdany, do których istnienia nie umiałem się przyznać nawet sam przed sobą.

– Proszę – powiedziałem – proszę, przestań.

Pochyliła się i chwyciła moje lewe ramię, potem sięgnęła za węgłowie. Poczułem, jak owija mi coś wokół nadgarstka. Próbowałem się wyrwać, ale rzemień był mocny. Zacząłem poruszać drugą ręką, ale zdążyła już ją spętać.

– Przestań – powtórzyłem.

– Nie boję się, Falcio. Nie wierzę, że przemoc w twoim ciele jest silniejsza od współczucia twojego umysłu, nawet kiedy czujesz ból i gniew.

Podniosła się i podeszła do łóżka od strony nóg, wyciągając kolejny rzemień, tym razem przymocowany do podłogi.

– Ale nie mogę cię zmusić, byś mi uwierzył, bo zbyt nienawidzisz sam siebie, by uwierzyć w swoją własną prawdę. Więc zwiążę cię, byś mógł wyrzucić całą wściekłość, jaka kryje się w twoim sercu, wiedząc, że nie zrobisz mi krzywdy.

Spojrzała na mnie, jakby czekała na odpowiedź, ale nie mogłem się odezwać. W tamtej chwili czułem tylko wstyd i nie wydusiłem ani słowa.

Jak gdyby to starczyło za odpowiedź, wróciła do łóżka i jeszcze raz mnie dosiadła.

Ta część mnie, która zawsze stara się mądrzyć, zdołała przebić się na powierzchnię:

– To chyba będzie...

Ethalia położyła mi palec na ustach. Potem znów zaczęła poruszać biodrami, powoli, łagodnie. Nie ruszałem się w odpowiedzi i pozostaliśmy w tej pozycji tak długo, że chyba w którymś momencie zasnąłem na kilka minut. Ale w jakiś sposób wszedłem w nią, a ona wciąż poruszała się delikatnie, w przód i w tył. Czasem myślałem, że zaraz zacznę coś mówić, coś strasznego, ale łagodny ruch jej bioder zdawał się uciszać mój głos. Kiedy indziej czułem, że zaczynam płakać, ale i wtedy wyciągał mnie z tego płynny ruch jej bioder i dotyk jej dłoni na mojej piersi. Nie wiem, jak długo to trwało; pamiętam tylko, że zanim się odezwałem, do pokoju zakradły się przez okno pierwsze promienie słońca. Mój głos był tak cichy, że musiała poprosić, bym powtórzył. A może nie musiała. Może chciała się tylko upewnić, że usłyszę sam siebie.

– Rzemienie – powiedziałem. – Zdejmij rzemień.

Ten ranek był tak inny od poprzedzających go dni, że trudno to sobie wyobrazić. Obudziłem się i ból ran ustąpił. Jeszcze bardziej uderzające było to, że zniknęło też cierpienie w moim wnętrzu.

Chciałbym powiedzieć, że tak będzie już zawsze, ale wiedziałem, że ból powróci. Ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz.

Usłyszałem cichy śpiew – rozejrzałem się i zobaczyłem Ethalię. Stała przy oknie i nalewała coś gorącego do filiżanki, a potem nakładała jedzenie na talerz. Tego ranka miała na sobie prostą letnią sukienkę w kolorach błękitu i bieli i wyglądała zupełnie niepodobnie do eterycznej tajemnicy, która powitała mnie poprzedniej nocy. Obecna wersja wydała mi się zdecydowanie piękniejsza.

– Czas coś zjeść – powiedziała, stawiając dwa talerze i napoje na ciemnej drewnianej desce i przynosząc ją do łóżka. Ustawiła ją na małym stoliku, a potem usiadła obok mnie.

Napiłem się z filiżanki. Okazało się, że jest w niej łagodna ziołowa herbata z odrobiną miodu.

Jedzenie było proste: chleb z dżemem i trójkącik sera. Miałem już powiedzieć coś dowcipnego o tym, jak to bym zjadł całego pieczonego kurczaka, ale dziewczyna pokręciła głową.

– Po tym, czym cię karmili i co ci zrobili, ciężkie jedzenie nie będzie dla ciebie najlepsze. Musisz jeść lekkie potrawy i być ostrożnym, przynajmniej przez jakiś czas.

Przytaknąłem, choć w gruncie rzeczy od tak dawna nie czułem się lepiej niż teraz, że z trudem znajdowałem odpowiednie słowa. Potarłem dłonią szczękę i z zaskoczeniem odkryłem, że nie mam brody. Kiedy spałem, w jakiś sposób udało jej się ogołocić mi twarz.

– Dziękuję – powiedziałem po prostu.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Dobra robota – odpowiedziała, jakbym powiedział coś szalenie pomysłowego.

Zjedliśmy resztę posiłku w milczeniu. Ale kiedy skończyliśmy, poczułem, że muszę się odezwać.

– Ta dziewczynka, gdzie ona...?

– Sądzę, że właśnie wbiega po schodach – odparła Ethalia.

W tym samym momencie zabrzmiało natarczywe walenie w drzwi i usłyszałem głos wołający:

– Falcio, Falcio! Jesteś tam? Mówili, że mam ci nie przeszkadzać, ale ja im nie wierzę. Falcio! Nic ci nie jest?

Ethalia wstała i otworzyła zasuwę.

– Jest tutaj, moje dziecko. Nie ma powodów do niepokoju ani do obijania sobie ręki o moje drzwi.

Aline nie zwróciła na nią uwagi i podbiegła do łóżka. Zdążyłem szybko się przykryć, dopiero wtedy przypominając sobie, że jestem nagi.

– Falcio! Nic ci nie jest?

– Wszystko ze mną w porządku – odpowiedziałem. – Jak się masz?

– Dobrze. Bestia też.

– Bestia?

– Koń, głuptasie. Na pewno wszystko z tobą w porządku? Jak dla mnie wyglądasz na ogłupiałego.

– Zapewniam cię, że nic mi nie jest.

– To dobrze – powiedziała poważniejszym tonem. – Musimy zaraz iść, Falcio. Za kilka godzin zacznie się uroczystość, a musimy tam być, zanim zaczną wywoływać nazwiska.

Wciąż nie byłem przekonany, czy to mądry plan.

– Zaczekaj na dole, dziecko – powiedziała Ethalia. – Jest tam jedzenie, a Falcio i ja mamy jeszcze pewne sprawy do omówienia.

– Jakie sprawy? Zapłatę? – rzuciła złośliwie Aline, wychodząc z pokoju i wracając na dół.

Ethalia zamknęła drzwi i ponownie zasunęła zasuwę.

– Dziecko niezupełnie jest w błędzie – powiedziała.

Nie czułem się uprawniony, by podważać ich zwyczaje, zresztą, święci mi świadkami, zrobiła dla mnie tyle, że nie mogłbym się nigdy wypłacić. Ale to wciąż bolało.

– Nie mam zbyt wiele pieniędzy, ale to, co mam, należy do ciebie. A czego nie mam, zdobędę i przyniosę ci, kiedy będę

mógł. Podaj swoją cenę, Ethalio, i niezależnie od jej wysokości zawsze będę ci wdzięczny.

Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło.

– Co za mądre i łaskawe słowa. Aż dziw, że nie jesteś poetą.

Wzruszyłem ramionami, starając się wymyślić jakąś dowcipną ripostę. Nic mi nie przyszło do głowy.

– Zapytałeś, więc podam swoją cenę, najdroższy.

Zastanawiałem się, czy każdego, komu pomogła, nazywała rano „najdroższym”. Miałem nadzieję, że nie.

– Oto moja cena: na południu, przy Zachodnim Wybrzeżu, nieopodal Baern jest pewna wyspa. Piękne miejsce, z dala od szlaków handlowych, niedotknięte wojnami. Jest tam mnóstwo ryb, ptaków łownych, roślin i jagód. Woda w strumieniach jest przejrzysta i czysta, a poranne słońce prześwieca przez liście drzew rosnących przy plaży i pada na piasek jak łagodny deszcz.

– Nie rozumiem – przyznałem. – Chcesz, żebym zrobił... co? Zdobył dla ciebie tę wyspę?

Uśmiechnęła się.

– Tak. Chcę tej wyspy. Mam do niej prawo, to spadek, który odziedziczyłam po matce i ojcu, zanim wstąpiłam do Zakonu.

– I co potem...? Przepraszam, Ethalio, ale nie rozumiem, o co mnie prosisz. Jeśli ta wyspa już do ciebie należy...

Pochyliła się i pocałowała mnie w usta.

– Chcę ciebie – powiedziała. – Chcę, żebyś tam ze mną pojechał. Opuścimy to miejsce i pojedziemy południowym szlakiem handlowym na wybrzeże, gdzie kupimy małą łódź, którą przeprawimy się na wyspę, a potem znów na stały ląd, jeśli będziemy potrzebować odmiany.

– Przecież jesteś mniszka, siostrą zakonną...

Uśmiechnęła się.

– To była pierwsza część mojego życia, Falcio, i okazuję jej szacunek, wiedząc, kiedy ją skończyć i rozpocząć następną.

Moim przeznaczeniem było czekać tu na ciebie, uzdrowić cię i oswobodzić. I teraz, kiedy to zrobiłam, muszę odejść.

– I chcesz, żebym poszedł z tobą? Ale, Ethalio, ledwo mnie znasz.

– Głuptasie. Znam cię bardzo dobrze. Chociaż zgadzam się, że ty nie wiesz o mnie równie wiele. Czy uwierzysz, jeśli ci powiem, że polubiłbyś mnie, gdybyś mnie poznał? Że byś mnie pokochał?

– Ja... Uwierzę w to bez trudu. Tyle że...

Spojrziała na mnie łagodnie.

– Ale nie uwierzysz, że jesteśmy sobie przeznaczeni? Nie uważasz w ogóle za możliwe, że jest ci pisane być szczęśliwym, podobnie jak mnie, i że to szczęście możemy znaleźć wspólnie?

– Nie wiem. Wczoraj na pewno bym nie uwierzył... Ale dziś... Po prostu nie wiem.

Wstała, położyła mi ręce na piersi i znów mnie pocałowała.

– Więc będę musiała wiedzieć za nas oboje, przynajmniej przez chwilę.

Znów mnie pocałowała i pozostaliśmy w tej pozycji przez dłuższy czas, aż w końcu łagodnie ją odepchnąłem.

– Nie mogę – powiedziałem cicho, bardziej do siebie niż do niej.

Ethalia ujęła moje dłonie.

– Możemy wziąć Aline ze sobą. Nie ma tu dla niej żadnej nadziei, poza miastem zresztą też nie. Jej ojciec był głupcem, sądząc, że jego szalony plan przyniesie coś innego niż gorzkie owoce.

– Moi przyjaciele, Wielkie Płascze... Nie rozumiesz... Mój król dał mi zadanie i muszę je doprowadzić do końca.

– I co? – spytała. – Znaleźć królewskie czaroity? Ile razy już niemal zginąłeś dla swojego króla?

– O jeden raz mniej niż on dla mnie – odparłem chłodniej, niż zamierzałem.

– Posłuchaj mnie, Falcio. Dowiodłam ci, że wiem, o czym mówię. Nie ma tam dla ciebie nic oprócz bólu, cierpienia i śmierci.

ci. Walczyłeś długo i ciężko i bogowie, gdziekolwiek by nie byli, są ci wdzięczni. Poprowadzili mnie do ciebie i to nie jest mała nagroda.

– Nie chcę dostać kobiety od bogów, jakby to był jakiś mieziany puchar na jarmarku – powiedziałem opryskliwie.

– I tak właśnie mnie widzisz? Jako coś, za co wolałbyś zapłacić niż dostać za darmo? Jak dziwkę?

– Nie powiedziałem...

– Jestem dziwką, Falcio, i jestem z tego dumna. Sprzedałam się, by dowiedzieć się, gdzie cię trzymają, kiedy przyszły wieści o twoim schwytaniu; sprzedałam się smutnemu, złamanemu strażnikowi, by uzyskać dla ciebie łaskę, i sprzedałam się ponownie zeszłej nocy.

– Ten strażnik... sprawca. To byłeś ty?

To miało oczywiście sens. Użyła swoich uroków, by pozyskać strażnika, to tak udało jej się odwiedzić mnie w więzieniu. To właśnie go przekonało.

– Myślałem... Myślałem, że to moje słowa, to, co mu powiedziałem... Nigdy bym cię nie poprosił o...

– Niemądry. Oczywiście, że twoje słowa pomogły mu się odmienić, tak jak i moja pieśczoła. Twoja mądrość otworzyła mu umysł, moje ciało otworzyło mu serce. Czasem tak już jest na tym świecie i nie jest to powód do wstydu, nawet jeśli chcesz mnie przekonać, że jest inaczej.

– Przepraszam – powiedziałem. – Za wszystko.

– A jednak nie możesz uwierzyć, że jesteś godzien miłości – powiedziała, odwracając się ode mnie.

– Ja... – wyciągnąłem do niej rękę, jednak cofnęła się o krok. – Nie mogę zostawić tej dziewczynki – oznajmiłem. – Nawet jeśli machnę ręką na Kesta i Brastiego, na rozkaz od króla, na wszystko inne. Aline jest zdecydowana poczekać na zakończenie Ganath Kalila, by zachować nazwisko rodowe, i nie mogę puścić jej samej.

– Powiedz: „nie zostawię”, Falcio, bo brzmisz jak dziecko, kiedy udajesz, że nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Nie zostawię jej, Ethalio.

Znów obróciła się w moją stronę. W jej oczach błyszczały łzy.

– A więc jesteś tak samo złamany jak wcześniej, bo wciąż nie wierzysz, że zasługujesz na miłość. Wciąż uważasz, że musisz walczyć i walczyć, aż zginiesz, i dopiero w tej chwili ulgi uwolnisz się i wyciągniesz do mnie rękę. Wciąż jesteś zraniony, Falcio, a więc nie jesteś mi winien zapłaty. Idź na spotkanie swojej zguby i zostaw mnie mojej.

I tak po prostu było po wszystkim. Siedziała na krześle przy oknie i cicho płakała, a ja ubierałem się w rzeczy, które przygotowała dla mnie na stole. Na końcu włożyłem płaszcz, który nigdy jeszcze nie wydał mi się tak ciężki.

Przemówiłem po raz ostatni, wiedząc, że to głupie, ale nie umiałem się powstrzymać. Ethalia miała rację, podobnie jak Kest i Brasti. Kiedy staniemy na Skale Rijou na zakończenie Tygodnia Krwi, książę po prostu złamie przysięgę i wyśle swoich żołnierzy, by zabili nas na miejscu. Nie przybyłem tu, by zwyciężyć, ale by zginąć w walce.

A jednak...

– Kiedy to się skończy – powiedziałem i ukląknę obok niej – kiedy dziewczynka będzie bezpieczna, przyjdę tutaj albo gdziekolwiek będziesz. Jeśli tak zrobię, czy wciąż będziesz mnie chciała? Czy uwierzysz, że pragnę szczęścia, że pragnę miłości?

Odwróciła się i posłała mi smutny uśmiech: prezent na pożegnanie.

– Jeśli wrócisz, będę czekać. Jeśli wrócisz, powiem „tak”.

Jednak sposób, w jaki to powiedziała, jej pełen rezygnacji i smutku głos, pozostawił mnie w przekonaniu, że już nigdy jej nie zobaczę.

NIKT NIE SKRUSZY SKAŁY

Rytuał, który kończy Tydzień Krwi, odbywa się na Teyar Rijou – mieszkańcy nazywają ją po prostu Skałą Rijou. Miejsce, w którym pierwotnie zlokalizowano miasto, znajduje się przed pałacem książęcym. Wyobraźcie sobie ogromną, prawie płaską skałę, rozmiarów niemal całego kwartału ulic, otoczoną bujną trawą i obfitością wielobarwnych, słodko pachnących kwiatów. A teraz wyobraźcie sobie całe to piękno i spokój pośrodku najbardziej zepsutego miasta na świecie.

Zebrał się olbrzymi tłum, głównie dlatego, że książę mówił jasno, że każdy obywatel Rijou miał stawiać się na Skale w Dniu Poświęcenia. Na początku odbywało się wtedy w mieście coroczne święto służące upamiętnieniu i uczczeniu bitew stoczonych przez przodków w obronie Rijou. Kiedy książę przywiózł ze sobą ze wschodu Ganath Kalila, po prostu wyznaczył zakończenie swojego Tygodnia Krwi tak, by pokrywało się z dawnym Dniem Poświęcenia, teraz przemianowanym na Poranek Łaski: czas, w którym okazywał łaskę wszystkim obywatelom w zamian za obietnicę walki za Rijou, gdy tylko będzie to konieczne.

Aline i ja skryliśmy się w tłumie i słuchaliśmy księcia. Ten wygłosił długą, dobrze napisaną przemowę na temat obowiązku i honoru – chociaż w ciekawy sposób połączył te dwa pojęcia,

tak by pod koniec przemowy zdawały się znaczyć w zasadzie to samo. Sprowadzało się to do jednego: przestrzegajcie praw i bądźcie posłuszni tym o szlachetniejszej krwi.

Książę stał na szerokim podium, mając u prawego boku Shiballe'a, a u lewego syna, którego widziałem, gdy pomagał Balowi Armidorowi. Wokół podwyższenia widać było dziesiątki strażników pilnujących tłumu. My skryliśmy się po drugiej stronie, tak daleko od książęcego orszaku, jak to tylko możliwe.

– A teraz, moi drodzy obywatele Rijou – ogłosił książę – mędrzec miejski wypowie nazwiska rodów szlacheckich, abyście znali swoje obowiązki wobec tych o szlachetniejszej krwi.

Mędrzec miejski był starcem, który wyglądał na półślepego i zniedołężniałego. Jego zadaniem było wyrecytować po kolei nazwiska wszystkich rodów szlacheckich; im szlachetniejsza była twoja krew w oczach bogów, tym wyżej byłeś na liście i tym później padało twoje nazwisko.

– Ogłoś nazwiska – polecił książę mędrcom. – Ogłoś nazwiska i niech każdy wie, że mędrzec miejski mówi w imieniu bogów i jego słowo jest ponad wszelką wątpliwość.

– Calabrian – powiedział mędrzec chrapliwym głosem, prawie nie czekając, aż książę skończy.

Mężczyzna w błękitnej szacie podniósł w górę pięść.

– Irobel Calabrian trwa w Rijou! – zawołał.

Rozległo się kilka braw.

– Oldeth – powiedział mędrzec.

Tym razem pięść podniosła kobieta stojąca w otoczeniu dzieci.

– Mallia Oldeth trwa w Rijou! – wykrzyknęła.

Kolejne oklaski.

Trwało to przez jakiś czas, poczynając od drobnej szlachty aż do wyżej urodzonych. Zadawałem sobie pytanie, jak dokładne może być zaklęcie mędrca miejskiego; czy bogowie naprawdę uznawali wyższość jednej krwi nad drugą? Czy dawali którejś pierwszeństwo – a jeśli tak, to na czym się ono opierało? Nie

miałem pojęcia, jak brzmi odpowiedź; z mojego doświadczenia wynikało, że lubili jej widok niezależnie od rodzaju, a przy jej przelewaniu ważniejsza była dla nich ilość niż jakość.

– Humber – powiedział mędrzec.

Richel Humber: kolejna arystokratka, kolejna deklaracja, kolejne owacje.

Zastanawiałem się, jak się przy tym bawiły niższe klasy mieszkańców miasta – ale ci wielmoże byli ich gospodarzami, mecenasami, klientami, więc pewnie dobrze było orientować się, kto żyje, a kto zginął, który ród zyskał na znaczeniu, a który czekały ciężkie czasy.

– Barret – wywołał mędrzec.

– Yerren.

– Quistellios.

– Zierry.

I tak to szło, każdy ród szlachecki został wymieniony, ale nazwisko Tiarren wciąż nie padło.

– Lepiej chodźmy – powiedziałem, biorąc Aline za ramię. – To się nie uda.

Odsunęła się ode mnie.

– On jeszcze nie skończył!

– Słuchaj – powiedziałem, wskazując na podium, na którym książę gotował się już, by samemu zabrać głos. – Mędrzec wymienił już wszystkie nazwiska, które miał wymienić. Książę jest, co oczywiste, ostatni, bo – co równie oczywiste – ma najszlachetniejszą krew.

– Jillard! – zawołał mędrzec takim samym tonem jak przy wszystkich poprzednich nazwiskach.

– Andreas Jillard trwa w Rijou! – zakrzyknął książę z wystudiowaną swobodą. Podniósł wysoko pięść do wtóru wiwatów tłumu. Kiedy owacje zaczęły cichnąć, nie opuścił jej, tylko poruszał nią w dół i w górę, aż brawa znów zrobiły się głośniejsze. Zrobił tak jeszcze trzy razy, po czym przestał.

– A teraz – zaczął – zwołuję...

– Aline – powiedział chrapliwy głos.

Wszyscy wyciągnęli szyję, by zobaczyć, kto się odezwał, ale był to mędrzec miejski ze wzrokiem skierowanym w przestrzeń, wyglądający zupełnie tak, jakby nie powiedział niczego specjalnego, nieświadomy, że wlepione są w niego oczy wszystkich obecnych.

– Co? – spytał natarczywym tonem książę.

Shiballe podszedł do mędrca miejskiego i potrząsnął go za ramię, mówiąc mu do ucha coś, co robiło nieprzyjemne wrażenie, ale starzec go zignorował.

– Aline – powiedział ponownie jak gdyby nigdy nic.

Zapadła martwa cisza, a książę uważnie lustrował tłum. Nawet ja byłem skonfundowany. Mędrzec miejski wywołał ją po imieniu – dlaczego?

– Aline, córka pani Tiarren, trwa w Rijou! – wykrzyknęła Aline.

W tłumie rozległy się zdeorientowane głosy i książę nakazał gestem milczenie.

– Aline, córka pani Tiarren, trwa w Rijou – powtórzyła i brzmiało to tak, jakby ćwiczyła to jedno zdanie od urodzenia.

Jeśli o mnie chodzi, wciąż nie rozumiałem, co się działo. Dlaczego mędrzec ją wywołał – i to ostatnią? I dlaczego po imieniu, a nie po nazwisku rodowym?

– Cisza! – wrzasnął książę, gdy znów podniósł się gwar. – Kto śmie naruszać uświęcony rytuał Ganath Kalila? – zapytał natarczywie, rozglądając się dookoła, starając się dojrzeć Aline, która wciąż kryła się wśród tłumu. – Kto przynosi wstyd Porankowi Łaski?

– Cheba twój własny mędrzec! – krzyknął ktoś z tłumu.

Wśród tłumu rozległy się śmiechy, ale książę zawołał:

– Kto to powiedział!? Kto się odezwał!? – i odwrócił się do Shiballe'a. – Znajdź człowieka, który odszczekuje się swojemu księciu. Znajdź go i zabij.

Tłum znowu ucichł. A więc czas, żebym odezwał się ja. Westchnąłem, a potem krzyknąłem:

– Przepraszam bardzo, wasza lordowska mość, ale jak rozumiem, nikt nie może zostać zabity w Poranek Łaski: stąd nazwa!

– Brać tego człowieka! – zawołał Shiballe do straży. – To przestępca, zbiegły skazaniec, winny zdrady!

Strażnicy wyglądali na bezradnych, starając się znaleźć sposób, by precyzyjnie się do nas przez ten cały tłum.

– Ta dziewczynka jest fałszywa! – zawołał książę. – Ona... Mędrzec się pomylił...

– Mędrzec nie może się mylić! – odkrzyknąłem. – Mówi w imieniu bogów, pamiętasz?

– Ta dziewczynka jest fałszywa – powtórzył tamten. – Jej krew jest fałszywa. Jej ród nie istnieje. A nawet gdyby, to Tiarrenowie byli drobną szlachtą, ledwie wartą wzmianki, więc jakim cudem jej imię mogło paść po... po nazwiskach tych wyżej urodzonych?

Niektórzy spośród „drobnej szlachty” wyglądali na urażonych, ale zachowali milczenie.

– „Niech każdy wie, że mędrzec miejski mówi w imieniu bogów i jego słowo jest ponad wszelką wątpliwość” – powtórzyłem. – To twoje słowa, wasza lordowska mość.

– Ja...

Shiballe szepnął mu coś do ucha i usłyszałem, jak książę mamrocze:

– Tak... tak, masz rację. Mogę.

Książę rozejrzał się wśród swojego ludu i wykrzyknął:

– Mieszkańcy i mieszkanki Rijou! – miał na twarzy ciepły uśmiech. – Radujcie się! Radujcie się, bo tak jak Ganath Kalila wzmacniało nasze miasto kiedyś, tak teraz uczyni je silniejszym w przyszłości. Jako książę i lord władca miasta Rijou niniejszym ogłaszam przedłużenie Ganath Kalila. Dzisiaj jest ostatni dzień Tygodnia Krwi. Niech będzie to przypomnieniem, byśmy

zawsze byli czujni, byśmy zawsze byli silni wobec naszych wrogów. A jutro zgromadzimy się ponownie na... na uroczystość. Na ucztę! Uczę Łaski! Wszyscy dostaną jedzenie i...

– Wysoką cenę! – krzyknąłem. – Wysoką cenę każesz płacić za posiłek.

Ksiązę spojrział na mnie z wysokości podium po drugiej stronie promenady.

– A co ma na ten temat do powiedzenia trattari? – spytał głosem ociekającym pogardą. – Zdrajca w obdartej pelerynie, ktoś, kto zdradził nawet tyrana, któremu służył, ktoś, kto zdradził cały kraj. Jakie mądrości chcesz przekazać ludowi Rijou? Opowiesz nam o fałszywych prawach twojego zbrodniczego króla?

– Nie mam mądrości – powiedziałem. – Absolutnie żadnych. A Rijou jest na pewno ostatnim miejscem, do którego przyszedłbym, by głosić królewskie prawa.

Odpowiedział mi pomruk aprobaty. Wielkie Płaszczce nigdy nie cieszyły się popularnością w Rijou, bo mieszkańcy zawsze widzieli siebie jako osobne miasto-państwo i serdecznie nie znosili podporządkowania władzy człowieka oddalonego o setki mil.

– Ale, jeśli wasza lordowska mość pozwoli, wiem coś o prawach samego Rijou.

Ksiązę się roześmiał.

– Będziesz nam recytował nasze własne prawa, trattari? Wysoką cenę zapłacimy za słuchanie twoich kłamstw, a ten, kto pójdzie za twoimi słowami, zapłaci cenę najwyższą – to ostatnie skierował bezpośrednio do milczącego tłumu.

– Dużo się płaci za pamięć o waszych prawach – przemówiłem do zebranej publiczności. – Jego lordowska mość ma rację. Ale tę samą cenę płacili wasi przodkowie, mężczyźni i kobiety, którzy zbudowali to miasto, walczyli o nie, umierali za nie, przelewali krew na ten właśnie kamień pod waszymi stopami.

Ich krew wsiąkała w Teyar Rijou przez setki lat, gdy odpierali ataki z północy, południa, wschodu i zachodu, tak byście mogli teraz na niej stać, aby mogły na niej stać wasze dzieci i wnuki i żebyście mogli czuć coś mocniejszego od skały pod waszymi stopami. Ludu Rijou, wasza krew, wasza odwaga jest spoiwem, które daje siłę temu miejscu, które wiąże was ze Skałą. Bo tym właśnie jesteście: to wy jesteście prawdziwą Skałą Rijou. Odpieraliście każdego wroga przez ponad tysiąc lat, bo nawet gdy rządziło u was bezprawie, zawsze było jedno prawo, które pozostawało w mocy. Wasze prawo.

Wzięłem oddech i wypowiedziałem te kilka słów:

– Nikt nie skruszy Skały.

Zabrzmiały gdzieś pojedyncze brawa i wydało mi się, że słyszę, jak kilku weteranów mamrocze w odpowiedzi: „Nikt nie skruszy Skały”.

– Nikt nie skruszy Skały – powtórzyłem. – Ale zadrzyjcie w oczy waszych sąsiadów i powiedzcie mi, co widzicie. Czy widać w nich Skałę? – Nie czekałem na odpowiedź, lecz pokręciłem głową ze smutkiem. – Nie, widać w nich strach. Strach opanował to miasto i toczył je nie tylko za waszego życia, ale już za życia waszych matek i ojców. Popatrzcie w oczy swoim dzieciom, a zobaczycie, że strach zapuszcza korzenie i tam. A co będzie z ich dziećmi, waszymi wnukami? Strach uderzył w Skałę i uderza w nią rok po roku, żłobi ją jak rwący potok. Popatrzcie pod nogi. Widzicie, jak strach zaczyna wżerać się w Skałę? Ile jeszcze lat będzie się powtarzać Ganath Kalila, zanim Skałę przeżre erozja? Ile jeszcze Tygodni Krwi, zanim Skała zniknie z waszych serc?

– Nikt nie skruszy Skały – powiedziałem.

– Nikt nie skruszy Skały! – usłyszałem krzyk jakiejś kobiety. – Nikt nie skruszy Skały!

Widziałem, jak książę szepcze coś Shiballe’owi do ucha, i mały człowieczek zszedł z podium i pomówił z jednym ze strażników,

który zabrał towarzysza i zaczął przeciskać się przez tłum do miejsca, w którym zabrzmiał okrzyk.

– Zobaczcie – zawołałem – oto znów przychodzi strach, wkradając się jak robak w szczeliny w Skale! Patrzcie: przepychają się przez was, by pojmać tę kobietę, a za co? Za zdradę? Morderstwo? Kradzież? Nie, idą po nią za to, że wypowiedziała pierwsze prawo Rijou. Odbiorą wam ją? A jeśli tak, czy inni będą bać się wymówić słowa, na których stoi wasze miasto? A jeśli ten strach przeniesie się na wasze dzieci, to czy przeżyją życie bez jego wypowiedzania? A jeśli nigdy go nie wypowiedzą, czy wasze wnuki dorosną, nigdy nie słysząc tych słów? Czy wy je w ogóle pamiętacie? Czy w ogóle pamiętacie swoje własne pierwsze prawo?

– Nikt nie skruszy Skały! – krzyknął jakiś staruszek gdzieś z głębi tłumu. – Bierzcie mnie! Chodźcie i weźcie mnie, przekłete czarne serca! Możecie połamać mi stare kości. Możecie skrócić mi kark. Ale nikt nie skruszy Skały!

– Nikt nie skruszy Skały! – podniosły się okrzyki. – Nikt nie skruszy Skały!

– Nikt nie skruszy Skały – zgodziłem się, unosząc ręce i prosząc o ciszę. – Książę jest waszym prawowitym władcą – powiedziałem. – Ja jestem trybunem i nie mam nic do powiedzenia w sprawie tego, kto nad wami panuje ani komu pozwalacie nad sobą panować. Khundowie ze wschodu rościli sobie pretensje, by wami rządzić, nieprawdaż? Co się z nimi stało?

– Zderzyli się ze Skałą! – zabrzmiał okrzyk gdzieś z mojej prawej.

– A panowie Orisonu: przyszlizli z północy ze swoimi wojskami i powiedzieli, że Rijou również należy do nich, nieprawdaż? Ciekaw jestem, co się stało z tymi wojskami?

– Zderzyły się ze Skałą!

– A barbarzyńcy z Awares na zachodzie? Wiele razy ścierali się z wami na granicach, nieprawdaż? I któregoś dnia powrócą,

by rzucić swoje hordy na to miasto: jeden za drugim szereg wojowników zbrojnych w miecze, maczugi i włócznie. Nie łudźcie się: ludzie z Awares nie boją się śmierci ani kalectwa. Ich żądni krwi wojownicy są wychowani na walce i kąpią się w krwi swoich wrogów, i możecie być pewni, że któregoś dnia tu wrócą. I co się stanie, kiedy to zrobią?

– ZDERZĄ SIĘ ZE SKAŁĄ!

Widziałem, że Shiballe wydaje rozkazy dowódcom straży. Wyglądało na to, że ci się wahają.

– Zderzą się ze Skałą – zgodziłem się, kiedy okrzyki ucichły. – Ale tylko jeśli Skała wciąż będzie tu stać.

Tłum nie wyglądał na zadowolony z tej sugestii, ale ciągnąłem dalej:

– Wasz książę – wasz prawowity władca – wprowadził tu Ganath Kalila. To tradycja ze wschodu, nie stąd.

Zabrzmiały gniewne pomruki; wielu ludzi pamiętało czasy bez Tygodnia Krwi.

– Twierdzi, że to daje wam siłę. Pytam was, czy kiedy siedziacie pochowani po domach, podczas gdy zabójcy jawnie chodzą po ulicach, to czujecie się silni?

Cisza.

– Czy kiedy słyszycie, jak wasi sąsiedzi są wyciągani w nocy z łóżek i zarzynani, to czujecie się silni?

Wciąż cisza, ale ich gniew był teraz wyczuwalny.

– Ta dziewczynka – powiedziałem, unosząc rękę Aline w górę – tej dziewczynce odebrano i zabito całą rodzinę. Nie w walce, bo to nie w stylu Ganath Kalila. Było inaczej: przyszli do nich ludzie ubrani w czerń, bez żadnego herbu. Zabarykowali ich rodzinny dom, zanim Tydzień Krwi w ogóle się zaczął. Strażnicy ich nie powstrzymali. Książę ich nie powstrzymał. Wy ich nie powstrzymaliście – na chwilę odebrało mi głos, ale dokończyłem – ja ich nie powstrzymałem. A teraz nie żyją i ta dziewczynka została sama na świecie. Pomimo to, pomimo tego wszystkiego,

stoi tu teraz, wypełniając prawo księcia, wasze prawo. Mogła uciec, ale nie zrobiła tego. Zamiast tego stoi tu, na Skale Rijou.

Wskazałem na księcia.

– Wasz władca twierdzi, że może ustalać prawa, jak mu się żywnie podoba, więc Ganath Kalila ujrzy jeszcze jeden świt, jeszcze jeden zmierzch. I dlaczego mielibyście się skarżyć? Przecież dodaje do Tygodnia Krwi tylko jeden dzień. Tylko jeden dzień. Powiem wam jedno: dziesięć razy zjeździłem ten kraj wzdłuż i wszerz i w każdej jego części, w każdym miasteczku, wsi i osadzie, a nawet tu, w Rijou, tydzień ma siedem dni. A jednak Ganath Kalila, Tydzień Krwi, już teraz trwa dziewięć! A więc teraz będzie ich dziesięć. A za rok? A za dwa? Książę twierdzi, że Ganath Kalila daje wam siłę. Pomyślcie, jak silni będziecie, kiedy Ganath Kalila będzie obowiązywać we wszystkie dni roku!

Tuzin ludzi księcia przepychało się przez masę mężczyzn i kobiet, która nas dzieliła. Panował wielki ścisk, ale chociaż posuwali się powoli, to jednak stale się zbliżali. Kończył nam się czas. Na chwilę spojrzałem w dół, na Aline, a potem znów zwróciłem się do tłumu:

– Ta dziewczynka jest mała, nie większa od waszych własnych dzieci. Waży niewiele więcej niż kufel portera w dzień bez picia. Więc muszę was spytać: czy Skała udźwignie jej ciężar? Czy skruszy się pod naporem waszego strachu?

– Nikt nie skruszy Skały – powiedziała jakaś kobieta. Była duża i barczysta i precyzyjnie się do nas, a potem uklękła przed Aline. – Będę strzegła jej życia, jeśli zostanie, i będę strzegła honoru jej nazwiska, jeśli wyjedzie. Zapłacę cenę czerwieni.

– Ja też – powiedział jakiś mężczyzna, właściwie chłopiec, sam niewiele wyższy od Aline. – Nikt nie skruszy Skały – powiedział, przyklękając.

– Nikt nie skruszy Skały – zabrzmiał inny głos.

Nie widziałem, kto to był tym razem, ale wkrótce słyszałem, jak kolejni mieszkańcy miasta wypowiadają tę frazę i klękają.

Kiedy zapadła cisza, wokół nas był obszerne krąg, tłum klęczących na jednym kolanie ludzi.

Usłyszałem oklaski – to książę. Stał naprzeciw nas, w odległości około stu stóp, w otoczeniu Shiballe’a, strażników oraz pięćdziesięciu łuczników ustawionych przed nim w szeregu ze strzałami na cięciwach wycelowanymi w tłum.

– Jakie ładne słowa – powiedział. – To prawdziwe mistrzostwo, trattari, że potrafisz sprawić, by zdrada brzmiała tak szlachetnie.

– Pierwsze prawo Rijou to nie zdrada! – podniósł się i zawołał ze złością jakiś mężczyzna. W jego szyi utkwiła strzała i padł na ziemię.

– To ja decyduję o tym, co jest zdradą – odpowiedział spokojnie książę. – I każdy, kto się odezwie, będzie zdrajcą i zostanie stracony. Ganath Kalila będzie utrzymane dziś i zawsze. Ta dziewczynka jest przestępcą, więc zostanie uwięziona i dostanie to, na co zasłużyła, a jej nazwisko i linia rodowa zostaną wygaszone, podobnie jak to się stanie ze wszystkimi, w których żyłach płynie zdraziecka krew.

– No i? – powiedział w końcu wśród ciszy. – Cóż, trattari, czy to wszystko, co masz im do zaoferowania? Słowa? Dużo ci to nie da. Martwy człowiek nie wykarmi rodziny. Co się z nimi stanie po tym, jak uciekniesz, obdarta peleryno? Czy twoi współtowarzysze przyjadą i wyegzekwują twoje orzeczenie, kiedy cię nie będzie? Dalej, „Wielki Płaszczu”, zdobyłeś już zeznania! Teraz ogłoś swoją decyzję!

Tłum patrzył na mnie i nagle strach wrócił.

– Oto mój wyrok – powiedziałem stanowczo. – Ganath Kalila jest bezprawne. Łamie prawa tego kraju i, co więcej, łamie prawa tego miasta. Mój wyrok głosi, że odtąd nie będzie w Rijou Tygodnia Krwi. Ale książę ma rację. Wyjadę stąd, żywy lub martwy, dziś was opuszczę. Więc nie mogę tu być, by dopilnować przestrzegania tej decyzji. Armia Wielkich Płaszczy

nie przyjedzie tu, by strzec mojego wyroku. Jesteście tylko wy. Jest tylko Skała.

Jeden po drugim oderwałem ze swojego płaszcza proste czarne guziki i ściągnąłem miękkie skórzane osłonki z kryjących się pod spodem krążków z litego złota, na których wybito symbol królewskich trybunów. W ciągu kilku chwil trzymałem w dłoniach dość pieniędzy, by wykarmić przez rok dwanaście rodzin.

– Potrzebuję przysięgłych – powiedziałem – dwunastu mężczyzn lub kobiet, którzy dopilnują, by wyrok został wykonany. Dwunastu ludzi, którzy będą musieli się zmierzyć z tym, co się stanie, kiedy mnie już nie będzie, którzy dopilnują, by nikt nie zapomniał tego, co tu powiedziano. Dwunastu, którzy mogą nawet z tego powodu zginąć.

Potem rzuciłem złote monety przed sobą i czekałem, słuchając, jak toczą się z brzękiem po skale.

Nikt po nie nie sięgnął.

Cisza zaległa nad Skałą Rijou, podczas gdy arystokraci, żołnierze i gmin czekali, co się stanie. Aline ścisnęła moją dłoń, by dodać mi otuchy, ale nie mogłem się zmusić, by popatrzeć jej w oczy. Zawiodłem ją. Sprowadziłem śmierć na tę małą dziewczynkę i na siebie, bo opętała mnie wiara, że mój król miał jakiś pomysłowy plan – że miał go cały czas – i że zadanie, które mi wyznaczył wiele lat temu, miało jakiś sens.

„Znajdź czaroity” – powiedział, tak jakby klejnoty mogły zmienić świat bardziej niż słowa. A teraz Aline zginie tylko dlatego, że chciała, by wywołano jej nazwisko, chciała zachować swoje dziedzictwo – tak jakby miało to jakąś wartość w tym koszmarnym mieście. Ostatecznie, mędrzec miejski nie dał jej nawet tyle. Wymówił jej imię, ale nie nazwisko.

Książę uśmiechnął się do mnie z daleka. Będzie się uśmiechał tak długo, aż ostatnia moneta przestanie się kręcić, aż zobaczy na mojej twarzy rozpacz i rezygnację i aż ktoś z tłumu, widząc,

że doprowadzili swojego władcę do ostateczności, postanowi, że lepiej będzie mu się przypochlebić i nas zabić.

Mędrzec miejski siedział obok księcia i wyglądał, jakby zasnął. „Ten stary dureń nie pamiętał nawet, by podać nazwisko rodowe Aline”. Przywiodło mi to na myśl widok zgłiszczy domu Tiarrenów, który zamienił się w niepoświęcony rodzinny grobowiec; obecnie rodu martwego i jak niebyłego, bo nikt nie miał już wymówić w Rijou tego nazwiska. Prawie wszystkie oczy w tłumie były wlepione w wirujące monety, ale kilka z nich wpatrywało się we mnie. Czy któreś z nich znało panią Tiarren i jej dzieci? Czy winili mnie za to, co się teraz wydarzy? Ile razy umknąłem śmierci tylko po to, by ta trzynastoletnia dziewczynka spotkała ją na Skale Rijou, rzucając na szalę swój los w nadziei, że jakimś cudem mieszkańcy najbardziej zepsutego miasta świata zaryzykują życie w jej obronie. Obróciłem się do Aline, która posłała mi lekki dzielny uśmiech, nieco wykrzywiony w lewą stronę, jakby miała mi zaraz zdradzić jakiś sekret. „Ten uśmiech”. Miałem ochotę ją przytulić, powiedzieć: „Jesteś mi bardzo bliska”, chociaż nie wiedziałem dlaczego; nie miałem do tego prawa ani powodu. Chciałem jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że obronię ją, cokolwiek się stanie, ale nie potrafiłem. Jej życie było w lśniących kawałkach metalu i rękach tych, którzy je podniosą albo pozwolą im się zatrzymać. Aline i ja obróciliśmy się razem, by popatrzeć, jak monety wirują coraz wolniej na ziemi, zmierzając do nieuchronnego końca.

Nikt po nie nie sięgnął.

A więc słuchałem.

PRZYSIĘGLI

Nie wyglądasz pan, jakby ci było za wygodnie, panie trybun – powiedziała wiele lat temu kowalka w Uttarr podczas jednej z moich pierwszych misji w służbie króla.

Miała sporo racji. Dyby na rynku były całkiem zgrabnie zbite z miejscowego zielonodrzewu, tworząc solidną, choć niezbyt komfortową konstrukcję.

Był to mój drugi dzień spędzony w dybach. Podczas pierwszej próby rozwiązania sporu poszedłem porozmawiać z miejscowym lordem i poprosiłem go o interwencję. Jeden z jego urzędników wyzwał chłopskiego syna na pojedynek, po tym jak chłopak próbował obronić czystość swojej siostry. Chociaż pojedynekowanie się było legalne – nawet gdy bić się miał dorosły człowiek z doświadczeniem wojskowym przeciwko ledwie siedemnastoletniemu chłopcu – to zmuszanie tego ostatniego do walki bez broni już nie.

Mężczyzna znów zainteresował się dziewczyną i teraz na jego drodze stanął jej ojciec w podeszłym wieku.

– Wiesz pan, jaki jest twój problem? – spytała kowalka.

Wyciągnąłem szyję, by na nią spojrzeć.

– Nie słucham?

– Nie słuchasz pan. Słowa sypią ci się z tej cholernej jadaczki, ale żadne nie wchodzi do tych przeklętych uszu.

Ostrzegała mnie, kiedy przybyłem do miasta. Potwierdziłem informacje z kiepsko napisanej skargi przywiezionej nam przez minstrela, który przejeżdżał przez miasto i widział, co się wydarzyło.

– Nie słuchałeś pan, kiedy mówiłam, żebyś tego nie ruszał. Nie słuchałeś pan, kiedy mówiłam, że ten chłopak już dawno nie żyje. Nie słuchałeś pan, kiedy mówiłam, że nikt więcej nie chce umierać.

– A dziewczyna? – spytałem.

– Myślisz pan, że po tym wszystkim nie skończy w łóżku jakieś innego wielmożnego?

Lord odmówił ścigania tego człowieka, więc sam się tym zająłem. Wyzwałem go na pojedynek i sprąłem na kwaśne jabłko, a kiedy próbował podkraść się do mnie od tyłu po pojedyнку, nauczyłem go pierwszej reguły miecza i wbiłem mu stal w brzuch, zabijając na miejscu.

– Gadałeś pan i gadałeś – ciągnęła kowalka.

Ostrzegała, że lord wsadzi mnie w dyby, a w przyszłym tygodniu powiesi podczas comiesięcznego sądu.

– Gadałeś pan o przepisach, królu i naszych prawach. Wyobrażasz pan sobie: prawa dla ludzi takich jak my?

Kiedy po mnie przyszli, wygłosiłem piękną mowę do mieszkańców miasteczka, całą o prawach, które miały ich chronić, które były im należne, i że czasem sami będą musieli o siebie zawalczyć. A gdy skończyłem, postąpiłem zgodnie z poleceniem króla i poprosiłem, aby dwanaścioro kobiet i mężczyzn spośród mieszkańców wcieliło się w role przysięgłych, by zabezpieczyć wyrok po moim odjeździe i zapewnić, że rodziny chłopca nie spotka żadna krzywda. Nikt nie podszedł, by podnieść złote monety. Dwa dni później wciąż leżały na ziemi przed dybami, w których mnie uwięziono.

– Proszę pani, jeśli mam być szczerzy, nie jest dla mnie jasne, gdzie w tym tkwi moja wina. Wyegzekwowałem prawo, walczyłem w obronie dziewczyny i jej ojca, a jednak teraz tkwię w dybach.

– Taaa, masz pan trochę racji. Ale nikt w tym mieście nie chce zamienić się z tobą miejscami.

– A co dokładnie powinienem był zrobić inaczej? – spytałem.

Uklękła przede mną, niemal dotykając kolanem jednej ze złotych monet.

– Trza było słuchać – powiedziała. – Powiedziałeś pan swoje, i bardzo pięknie, ale kiedy nikt nie wyskoczył i nie powiedział: „Tajest, panie, weź pan mnie! Jestem twój!”, popatrzyłeś pan tylko na nas jak na psy albo dzieci. A potem rzuciłeś się pan sam na ludzi lorda jak jakiś dureń.

Spróbowałem wzruszyć ramionami.

– Myślałem, że jeśli przejmę inicjatywę, uda mi się uciec, zanim mnie złapią.

– Następnym razem po prostu daj dyla – powiedziała.

Potem wyjęła z torby młot i jakieś narzędzie wyglądające jak wąskie dłuto. Przytknęła je do krawędzi rygła łączącego obie kłody i jednym potężnym uderzeniem wyłamała zamek. Włożyła narzędzia z powrotem do torby, a potem schyliła się i podniosła jedną ze złotych monet.

– Dużo to to chyba nie jest – stwierdziła, zanim wstała.

Wysunąłem się z dybów i roztarłem obolałe ramiona.

– Teraz lepiej pan znikaj. Konia masz pan uwiązanego za tamtą stodołę. Odjedź pan, ja się tym tutaj zajmę.

– Będą cię ścigać – powiedziałem.

– Spiorę swojego durnego męża, żeby mi pomógł. Jest tu jeszcze paru takich, co mnie poprą, jak przyjdzie co do czego.

– Nie rozumiem – przyznałem wreszcie.

– A co tu rozumieć? Powiedziałeś pan swoje. Ja słuchałam.



Słuchałem i trudno sobie wyobrazić coś gorszego od tego czekania. Ogromny tłum ludzi, a po drugiej stronie podium z księciem, jego młodym synem i zbrojnymi, którzy czekali tylko, by nas zaatakować. A małe złote monety kręciły się na próżno na ziemi, coraz wolniej zmierzając do końca.

Nagle zamigotały jakieś łapy i sierść i z tłumu wybiegł pies, szybki niczym koń wyścigowy shar pei, i złapał jedną z błyszczących monet w pysk jak szczura.

Strzała trafiła w ziemię w miejscu, gdzie przed chwilą był pies.

– Mieszak! – zawołał chłopiec, wybiegając z tłumu.

Był to Venger, mały herszt bandy, którego spotkałem przed kilkoma dniami. Wbiegł wprost w pusty krąg i chwycił jedną z monet. Po tym, jak odbiegł i zniknął w tłumie, wykonując wulgarny gest najpierw do mnie, a potem do księcia, kolejne strzały spadły w to miejsce, roztrząskując się o twarde kamień.

– Każdy, kto podniesie którąś z tych brudnych monet, oberwie strzałą! – ryknął książę. – A teraz wracajcie do domów albo przysięgam, że wszyscy zapłacicie cenę czerwieni!

Wtedy kobieta, ta duża, która jako pierwsza obiecała Aline ochronę, podbiegła, złapała jedną z monet i zniknęła w tłumie. Potem kolejna postać, tym razem z ramieniem na temblaku przyciśniętym do piersi: Cairn, ten biedny głupiec, który chciał zostać jednym z Wielkich Płaszczu Lorenza. Potem wyskoczył kolejny i jeszcze jeden – obaj popędzili, by chwycić monetę, a potem uciekli z powrotem w tłum.

Ale jedna z kobiet nie miała tyle szczęścia: trzy strzały przebiły jej ciało i padła na ziemię, wciąż ściskając w dłoni monety.

Ludzie szemrali. Widziałem na ich twarzach gniew i sprzeciw. Kilku wyglądało, jakby chcieli wskoczyć do kręgu, podnieść którąś z monet i zobowiązać się do bycia przysięgłym, ale teraz łucznicy strzelali seriami, co kilka sekund. Kolejne strzały

łamały się z trzaskiem o skaliste podłoże. Ale nie złamałyby się, trafiając w czyjeś ciało.

Usłyszałem krzyk i dostrzegłem wrzawę w tłumie, Ktoś przepychał się, tworząc małą wąską falę idącą od księcia do nas.

– Tommer! Stój, Tommer! – krzyczał książę i kiedy spojrzałem na podium, zobaczyłem, że jego syna już tam nie było. Nagle chłopiec pojawił się na skraju kręgu. Pół tuzina strzał uderzyło w ziemię tuż przed nim i byłem zdumiony, że żadna go nie trafiła.

– Przestańcie, przekłęci głupcy – tam jest mój syn! – wściekał się książę.

Chłopak wyszedł spokojnie na środek kręgu i spojrzał uważnie na resztę monet, a potem pochylił się i podniósł jedną z nich. Trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym, uniósł ją w górę na oczach tłumu.

– Nikt nie skruszy Skały! – zawołał przenikliwym, wysokim głosem zbuntowanego wyrostka.

Tłum oszalał. Podnieśli chłopca na ramiona, wiwatując jak szaleni. Kobiety i mężczyźni kłębili się wokół nas i nagle staliśmy się prawie niezauważalni.

„Syn księcia podniósł monetę Wielkiego Płaszcz. Syn księcia wypowiedział te słowa”.

Mogłem teraz dostrzec jedenaścioro mężczyzn i kobiet, którzy podnieśli moje monety, oraz szczekającego radośnie psa rasy shar pei. Okrzyki: „Skała! Skała”, powtarzały się na całej promenadzie, odbijając się echem od twardego kamienia. Wszystko inne było nieważne – książę, Shiballe, Aline, ja, strażnicy... W głowach tłumu wszyscy przestaliśmy istnieć.

Oślupiałem na ten widok.

– Miała rację – mruknąłem do siebie.

– Kto miał rację? – spytała Aline.

– Pewna kobieta. Kowalka. Doradziła mi, bym słuchał.

Aline wyszczerzyła zęby w uśmiechu, jakby zamierzała mi dać tę samą radę.

– Faktycznie mówisz trochę za dużo, Falcio – powiedziała.
– Nie robi właściwie nic innego, ale raz na jakiś czas to wystarcza.

Odwrociłem się i ujrzałem nędznie ubraną siwą staruszkę o twarzy pokrytej zmarszczkami i z błyskiem stali w oku. Krawcowa trzymała w ręku ciężki worek podróżny.

– Ale to już nie czas na słowa, teraz pora, byście uciekli z tego po trzykroć przekłętego miejsca.

– Mattea! – Aline krzyknęła z radości i gwałtownie przytuliła Krawcową.

– Tak, dziecko, wygląda na to, że jeszcze nie skończyłam się tobą opiekować. – Staruszka spojrzała mi w oczy. Była w nich odrobina łagodności, której nigdy wcześniej nie widziałem. – Musisz już iść, dziecko – powiedziała, spoglądając czule na Aline.

– Dlaczego? Dlaczego nie mogę tu zostać? Nie będę dla ciebie ciężarem, Matteo...

Krawcowa odparła łagodnie:

– Nie to jest twoim celem, dziecko, ani moim, żeby zachować cię jak własne dziecko, chociaż bardzo bym chciała. Zrobiłaś to, co było konieczne: przetrwałaś Tydzień Krwi i teraz twoje nazwisko i krew zostały uznane. Nikt nie będzie w stanie zakwestionować twojego imienia, kochana Aline.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Dlaczego...?

Mattea mi przerwała.

– Tak, Falcio: pokazałeś dość jasno, że nie rozumiesz. A więc lepiej zrób, co mówię. Twoje ładne słówka zrobiły swoje i wywołałeś poruszenie; teraz ludzie chcą czegoś lepszego niż to, co mieli z tym żalonym łajdakiem księciem. Ale to się niedługo uspokoi i Shiballe znów puści w ruch swoje mechanizmy, żeby zapanować nad miastem. Więc idź: zabierz dziewczynkę i wyjedź z Rijou najszybciej, jak się da. Znajdź tamtych pozostałych durni, zanim zrobią coś głupiego i pokrzyżują wszystkie moje plany. – Uśmiechnęła się cierpko.

– Ten wielki potwór ukryty w spalonym sklepie za nami nie należy chyba do ciebie? – spytała.

– To Bestia! – zawołała Aline.

– Prawdziwy potwór – odparła Mattea.

– Nie mów tak, to dobra klacz – nalegała Aline. – To wielki koń.

– Prawie odgryzła jakiemuś człowiekowi głowę, kiedy zjechał do środka. Czy tak zachowuje się normalny koń?

– A czy normalny koń zachowuje się tak? – Aline podniosła dłoń do ust i krzyknęła co sił w płucach: – *Dan’ha vath fallatu! Dan’ha vath fallatu!*

Wzburzony tłum robił za dużo hałasu.

– Ona cię nie słyszy, Aline – zacząłem mówić. – Chodźmy i...

Usłyszałem trzask, jakby uderzył piorun, i w oddali zobaczyłem, że przepalone wrota wylatują na zewnątrz, i oto ona, jak pędzące w naszym kierunku ognie wszystkich piekieł. Nieliczni stojący w pobliżu ludzie rozpierzchali się rozpaczliwymi falami przed dzikim atakiem i w ciągu kilku sekund klacz była przy nas.

– Święci – skomentowała Krawcowa – w życiu nie widziałam takiego konia. Ale dzięki niech będą temu gniewnemu bogu, który go stworzył, że słucha twoich poleceń, dziecko.

Mattea pocałowała Aline w czoło, wsadziłem dziewczynkę na grzbiet Bestii, a potem sam wdrapałem się za nią – co nie było łatwe przy tak wysokim zwierzęciu. Potem pochyliłem się i wyciągnąłem rękę do Mattei.

– Jedź z nami. Możemy cię ochronić.

Krawcowa się roześmiała.

– Aha, a kto ochroni was, jeśli oderwę się od swojego zadania? – Podała mi worek podróży. – Służyłam tej dziewczynce, zanim ją poznałeś, i będę jej służyć, kiedy już cię nie będzie.

Nie było to dla mnie do końca zrozumiałe, ale przyjąłem prawdę, którą emanowała jej twarz. Miała się już odwrócić,

jednak coś w mojej minie sprawiło, że zatrzymała się, by na mnie spojrzeć.

– Ty naprawdę nie wiesz, czego tu dziś dokonałeś, prawda? – spytała.

Uśmiechnąłem się.

– Zabrałem coś książętom – odparłem. – Coś małego, dla nich może nieistotnego, ale jednak. Chcieli jej śmierci i pomimo tego wszystkiego, co Jillard i Shiballe mieli do dyspozycji w tym przeklętym przez bogów mieście, utrzymałem ją przy życiu. Nie położy to kresu ich zepsuciu ani ich intrygom, ale przynajmniej przypominałem im, że wciąż można im się oprzeć.

Mina Krawcowej wyrażała zdumienie.

– Bogowie, Falcio, czy to możliwe, iż naprawdę sądzisz, że tylko o to w tym chodziło?

– Zawsze tylko o to w tym chodziło – ale przynajmniej dziś to wystarczy.

Potem nachyliłem się nad uchem Bestii.

– *K'hey* – powiedziałem, czując, jak naprężają się pode mną te wielkie mięśnie. Ziemia zadrżała pod jej kopytami, gdy wołałem: – *K'hey, k'hey, k'hey!*...

LEKCJA ŁUCZNICTWA

Co jakiś czas udaje mi się przekonać samego siebie, że nie ma czegoś takiego jak magia, że to tylko szarlataniśkie sztuczki. Ale następne kilka dni, podczas których pędziliśmy na północ Włócznią, przypomniało mi, że przynajmniej część magii musi być prawdziwa.

Dowodem na to nie był potwór niosący nas na grzbiecie szybciej niż jakikolwiek koń, na którym w życiu jechałem, bo jeśli jakiś koń może być duży, to inny na pewno może być większy. I nie był nim nawet mędrzec miejski i jego wywoływanie nazwisk, bo mógł to być po prostu efekt demencji. Na dowód, że magia istnieje, miałem fakt, że Shiballe w jakiś sposób potrafił wysyłać za nami ludzi, którzy okazywali się być przed nami, nawet gdy byliśmy już sto mil od Rijou.

Ci ludzie nie mogli przyjechać z miasta, bo ich konie były dalece wolniejsze od Bestii, a nie chciało mi się wierzyć, że Shiballe umieścił strażę na każdej drodze wyjazdowej z Rijou na wypadek, gdyby udało nam się jakoś uciec. Nie, to jego magowie przekazywali w jakiś sposób informacje najemnym zbirom w okolicznych miastach, z pewnością obiecując za schwytanie nas wielką nagrodę.

Bestia potrafiła galopować bez ustanku, ale my nie. Zmęczenie Tygodniem Krwi znów zaczęło brać górę. Zabiegi Ethalii

bardzo pomogły w podleczeniu mojego ciała, ale każde włókno moich mięśni było kompletnie wyczerpane i nie mogłem jechać bez konieczności zatrzymywania się co kilka godzin. A nawet gdybym mógł, Aline nie była do tego zdolna. Nasza jazda na północ zamieniła się w zabójczą grę w kotka i myszkę.

Kiedy musieliśmy walczyć, Bestia była morderczo skuteczna. Przepelniająca ją wściekłość nie osłabła na wolności, chociaż klacz pozostała niezwykle opiekuńcza wobec Aline i tylko czasami próbowała odgryźć mi głowę. Ale wszystko inne, co stało nam na drodze, było skazane na zagładę: wieszczy koń po prostu szarżował wprost na przeciwnika, a jego kopyta i zęby były bronią bardziej zabójczą od moich rapierów.

Ataki stały się rzadsze, kiedy oddaliliśmy się od miasta, ale ostatni niemal skończył się katastrofą. Czterech ludzi wypadło na nas z obnażoną bronią z obu stron drogi. Niewątpliwie czekali w ciągnących się wzdłuż traktu zaroślach i wybrali moment ataku wprost idealnie, bo Aline i ja byliśmy w drodze od wielu godzin i niemal zasypialiśmy w siodle – to znaczy, gdybyśmy to siodło mieli.

Bestia chciała walczyć, ale popędzałem ją, by gnała dalej, i chociaż powarkiwała rozczarowana, nie zboczyła z drogi. Kiedy pokonaliśmy wzniesienie, zobaczyliśmy człowieka, który o sto kroków przed nami stał pośrodku drogi z wycelowanym w nas łukiem i strzałą na cięciwie. Wieszczy koń zaryczał, widząc wyzwanie, i pomknął jeszcze szybciej, gotując się, by go stratować, ale już po kilku krokach poznałem łuczника i krzyknąłem klaczy do ucha:

– Skacz! Bestio, skacz!

Zaciskając uda najmocniej, jak tylko potrafiłem, pociągnąłem za grzywę – byłem pewny, że jeszcze za to zapłacę – ale w ostatniej chwili człowiek spokojnie kucnął i Bestia przeleciała mu nad głową. Odwróciłem się, by zobaczyć, jak Brasti wypuszcza strzałę za strzałą do ścigających nas ludzi, a kiedy skończył, dwaj

z nich leżeli na ziemi zrzućeni z koni, a trzeci i czwarty pokładali się w siodle.

Oczywiście wszyscy byli martwi. Musiał się popisać.

Aline przekonała Bestię, by się zatrzymała i potruchtała z powrotem do miejsca, gdzie Brasti odzyskiwał swoje strzały i przyszukiwał zabitych.

– Przestań, Brasti – powiedziałem.

– Słuchaj, Falcio, ci ludzie są moi. Nie miałeś z tym nic wspólnego, więc...

– Oni mnie próbowali zabić – przypomniałem.

– Cóż, w każdym razie nie miałeś w tym żadnego praktycznego udziału. Więc to, co mają, należy do mnie i jeśli ci się to nie podoba, możesz się poskarżyć miejscowemu trybunowi.

Nie mogłem się powstrzymać: jego oburzenie z powodu mojej ingerencji było tak komiczne, że przytuliłem go jak skończony głupiec.

– Och, Brasti, Brasti – wydusiłem, śmiejąc się histerycznie.

– Eee... dobrze już, dobrze. Już dobrze, Falcio. Wszystko w porządku... – Niezgrabnie poklepał mnie po plecach, co wywołało u mnie kolejny paroksyzm śmiechu.

– Na oziębłą pizdę świętej Birgid, co to jest!? – wykrzyknął. Chyba dostrzegł rozmiary wieszczego konia dopiero teraz, gdy Aline szła w naszym kierunku, ciągnąc za sobą Bestię, która człapała najspokojniej w świecie.

– To jest Bestia – powiedziała Aline – i chyba nie powinienś mówić „pizda”.

Przeszła obok nas i spojrzała na martwych ludzi leżących na ziemi.

– Jak to zrobiłeś? – spytała Brastiego podnieconym głosem. – Było ich czterech, a ty tylko jeden, i tak szybko ich pokonałeś!

– Jestem łucznikiem, dziewczynko – powiedział Brasti, ogłędając sobie od niechcienia paznokcie. – To ktoś jak szermierz, tylko szybszy. – Spojrzał na mnie i dodał: – Chodź, Falcio. Robiłem

zwiad na naszych tyłach na wypadek, gdybyś nie zginął. Pozostali będą się zastanawiać, co mi tak długo zeszło, poza tym nie chcę się spóźnić na kolację.

– Co się...

– Działo? W sumie nic. Kest kilka razy chciał zabić Valianę, ale ciągle przypominał sam sobie, że przyrzekł tego nie robić. Próbowałem go uspokoić, że niemal na pewno nie żyjesz, ale z jakiegoś dziwnego powodu zdaje się przekonany, że ciebie nie da się zabić. Z Trin było inaczej. Feltock przyłapał ją na próbie kradzieży konia i powrotu do Rijou, by ci pomóc. Nie wiem do końca, co chciała osiągnąć. Valiana była na nią wściekła, ale potem zaczęło ją dręczyć coraz większe poczucie winy, przez co wydaje mi się niemal równie irytująca jak wtedy, kiedy była arogancką dziwką.

– Brasti! – upomniała go Aline.

– Racja, przepraszam. Tak czy owak – ciągnął dalej – Feltock jest trochę w złym humorze i pogarsza mu się, w miarę jak posuwamy się na północ. Pozostali zrobili się trochę miłsi, ale widzą, w jakim kapitan jest nastroju. Szczerze powiedziawszy, jedyną osobą, którą mogę znieść, jest Trin, przynajmniej ma wesołe usposobienie. – Spojrzał na Aline. – Oczywiście to nie wszystko, ataki bandytów, akty brawury i tak dalej. Muszę ci się przyznać, że dokonałem paru bohaterskich czynów, jak was nie było. Nie licząc nawet tego ostatniego przypadku, kiedy uratowałem ciebie i dziewczynę. Dziesięciu napastników na drodze z włóczniami gotowymi do rzutu, wy błagacie o łaskę...

– Czterech – poprawiła Aline. – Nie kłam: było ich czterech. Brasti spojrzał na nią z góry.

– Dziewczyńko, ty naprawdę nie masz pojęcia o tym, jak się opowiada historie, co? Cóż, nie martw się, Falcio, opowiem ci o swoich przygodach po kolacji. – Spojrzał na mnie badawczo. – A co u ciebie? Działo się coś ciekawego?



Przez następny tydzień znów wciągnęliśmy się w życie karawany, ale minęło dużo czasu, zanim w pełni wróciłem do sił. Monotonia życia w drodze i brak bezpośredniego zagrożenia wytworzyły w moich myślach pustkę, która byłaby mile widziana, gdyby nie wypełniało jej ciągle odtwarzanie moich ostatnich chwil z Ethalią. Chciała dać mi szczęście, a ja zamiast tego wybrałem... co? Nie nazwałbym tego honorem. Zdrajcy nie mają pretensji do honoru. Nie mogłem tego nawet zrzucić na to głupie ostatnie życzenie króla. Wciąż nie miałem pojęcia, gdzie mogą być te jego czaroity ani co bym z nimi zrobił, gdybym je znalazł. Czy były magiczne? Nawet jeśli tak, nie pokładałem specjalnie ufności w magii. To zawsze było coś, czego używano przeciwko mnie, nie coś, czym sam mógłbym kiedyś władać jako narzędziem. Jeśli czaroity były cenne, to gdzie moglibyśmy je sprzedać, gdy je znajdziemy? I co mielibyśmy zrobić z pieniędzmi – sfinansować rewolucję? Zebrać gdzieś ludzi... kogo? Nas? Moje doświadczenia w Rijou pokazały, jak głębokie jest pęknięcie w naszym narodzie. Tłum mnie poparł, ale tylko dlatego, że odwołałem się do ich poczucia wyjątkowości, bycia lepszymi od reszty kraju. Tak naprawdę nie czyniło mnie to wcale lepszym od samego księcia, tyle że on posunął się za daleko. Gdybym kiedykolwiek spróbował zjednoczyć ich w sprawie Wielkich Płaszczy, z całą pewnością znalazłbym u nich mniej poparcia, niż gdybym chciał przywrócić Tydzień Krwi.

Tak więc spędzałem czas w drodze, wracając do zdrowia. Ethalia uleczyła moje rany w sposób, którego nawet nie próbowałem zrozumieć, a jednak, pod jej nieobecność i z powodu poczucia winy, że ją opuściłem, czułem, jakby efekty jej starań zbyt szybko się zacieraly; tak jakby moja niezdolność do odczuwania przyjemności przez ten krótki czas, który z nią spędziłem, niweczyła teraz jej kurację. Pewnie byłoby jej przykro, gdyby się o tym dowiedziała.

Jeszcze gorzej czułem się z tym, że nie umiałem się zmusić, by porozmawiać o niej z Kestem i Brastim. Między nami tworzyła

się przepaść. Kest wciąż utrzymywał, że zakłuje Valianę, zanim ta przekroczy próg zamku Aramor, a ja byłem równie zdeterminowany, by do tego nie dopuścić. Brasti próbował obrócić to w żart, proponując, że zastrzeli tego z nas, który pierwszy o tym wspomni, tym samym rozwiązując nasz dylemat. Pośmiałyśmy się i udaliśmy, że tę kłótnię można odłożyć na później, ale czułem, że z każdym dniem nasza przyjaźń więdnie. Czasem zastanawiałem się, po co Kest i Brasti w ogóle towarzyszyli karawanie, poza tym że przed nami była teraz tylko długa, prosta droga i nie było dokąd iść.

Tylko Valiana zachowywała się, jak gdyby naprawdę cieszyła się z naszego powrotu. Od razu polubiła Aline, jakby dziecko było jej nowym zwierzątkiem, poświęcała jej dużo uwagi i pozwoliła jechać ze sobą w karecie.

Sama Aline stała się bardzo zmienna; jej nastrój wahał się między roztrzepaniem małej dziewczynki a gniewem młodej ponurej kobiety, od radości do smutku i grobowego milczenia. W ogóle nie spędzała ze mną czasu i przez chwilę myślałem, że wini mnie za nasze schwytanie, pomimo tego wszystkiego, co dla niej zrobiłem. Ale trzymała się też z dala od Bestii, choć klacz uratowała jej życie. Czułem dziwną więź z wieszczym koniem. Bestia nie chciała się zbliżyć do innych koni, co te przyjmowały z dużą ulgą, i często kończyło się na tym, że razem czuwaliśmy nad dziewczynką z większej odległości.

– Dziwna z was para – powiedziała Trin, przyglądając się uważnie klaczy, po tym jak przyniosła mi trochę twardego chleba i kawałek jeszcze twardszego sera. Bestia i ja szliśmy z tyłu, więc może dlatego zauważyłem, że niektórzy jedzą coś lepszego.

– Dziękuję – powiedziałem, gdy ruszyła z powrotem.

Odwrociła się do mnie. „Czy ona myśli, że z niej sztydę?”

– Za to, że chciałaś nam pomóc – powiedziałem. – Brasti mówił mi, że próbowałaś wrócić konno do Rijou.

- To było tylko... To nic. Głupi impuls, szybko mi przeszło.
- Chcesz się z nami przejść przez chwilę? – spytałem.
- Jeśli sprawi ci to przyjemność.

Z początku szliśmy w milczeniu, patrząc na ciągnący się przed nami długi odcinek Włóczni. Po jej obu stronach rosła taka masa drzew i krzewów, że tworzyło to wrażenie osaczenia. Czułem się niezręcznie, prawie jakbym zdradzał Ethalię, choć miałem jej pewnie nigdy nie zobaczyć.

- Jesteś inny – powiedziała po chwili Trin.
- Tak? Jak to?

Spojrzała na mnie, uważnie badając wzrokiem moją twarz.

– Coś straciłeś. Było tam coś, w zmarszczkach wokół oczu i bruzdzie między brwiami, co jakby złagodziło.

- Słyszę w twoim głosie rozczarowanie.

Trin wyglądała, jakby właśnie zdała sobie sprawę, że powiedziała coś obraźliwego.

– Nie... po prostu okazałeś się inny, niż się spodziewałam, kiedy spotkałam cię po raz pierwszy.

Wróciłem myślami do tamtego dnia na placu w Solat.

- Czego dokładnie oczekiwałaś?

– Cokolwiek to było, nie można mnie winić, że cię nie doceniłam. Kto mógł pomyśleć, że tacy mężczyźni naprawdę istnieją? – uśmiechnęła się do mnie, patrząc mi przez chwilę w oczy.

Gdybym był młodszy i mniej cyniczny albo gdybym był Brastim, mógłbym uznać ten uśmiech za oznakę zauroczenia.

– Muszę wracać – powiedziała. – Księżniczka będzie się zastanawiać, gdzie jestem.

Kiedy Trin odchodziła, wzrok Bestii zdawał się podążać za nią. Tak jak i mój.

– Myślisz, że młodsza piękna kobieta – i to bez szczególnego powodu – zaczyna się we mnie zakochiwać? – spytałem.

Bestia parsknęła.

– Taa – powiedziałem. – Ja też nie.

Czy ona po prostu stawiała wszystko na jedną kartę – szukała ochrony u każdego, kto mógłby jej ją dać? Co innego miałem, czego mogłaby chcieć? Może traktowała to tylko jako grę – chociaż z tego, co o niej wiedziałem, nie należała do osób, które lubią takie dziecinne zabawy.

Zbliżył się do nas Kest.

– Nie przeszkadzam? – zapytał, widząc wyraz mojej twarzy.

– Obliczam tylko szanse – odpowiedziałem.

Kest uniósł brwi.

– Walki?

– Być może. Jeszcze nie wiem.

– Chodzi o Aline?

– Nie – powiedziałem. – Chociaż to chyba kolejny problem czekający na rozwiązanie.

Sytuacja Aline zapowiadała się na skomplikowaną. Dziewczynka wciąż była szlachcianką, choć było niejasne, co to oznacza, biorąc pod uwagę, że nie miała już majątku ani służby. Nie było nawet jasne, jaki miała tytuł. Mędrzec miejski nie wymienił żadnego; jak sądziłem, znaczyło to, że Tiarren był po prostu lordem i niczym więcej. Valiana zdawała się teraz urzeczona dziewczynką, ale kiedy dotrzemy do Hervoru, wszystko zacznie się zmieniać i wkrótce dziecko zostanie odepchnięte. Czy jego wrogowie wciąż je ścigają? A jeśli tak, to jak miałem je chronić?

– Chyba nie chce mieć ze mną nic wspólnego – odezwałem się na głos.

– Jest młoda – powiedział Kest. – Myślę, że chce przez chwilę pobyc normalną dziewczynką.

– Chce się trzymać z dala od tego, co połamane – odparłem.

– W głębi serca ona to rozumie. W głębi serca być może nawet kocha ciebie i konia. Wie, że ocaliliście jej życie. Ale w głowie wciąż na nowo przeżywa wszystkie krzywdy, które jej wyrządzono. To zajmie trochę czasu.

Poklepałem w zamyśleniu Bestię po jej szorstkiej, pokrytej szramami skórze. Klacz pozwalała mi ostatnio częściej na sobie jeździć, ale odkąd ostatecznie wyleczyłem nogę po trafieniu z kuszy, wołałem chodzić.

– Król mnie okłamał – powiedziałem z roztargnieniem.

Kest spojrział na mnie.

– Jak to?

– Miękka lukrecja. Dziewczynka ją zjadła. Kiedy ją pojмали, kiedy zdała sobie sprawę, że już po nas. Zjadła ją, a jednak przeżyła i musiała znosić te wszystkie okropieństwa, które jej robili. Myślę, że za to też mnie wini.

– Może po prostu wywietrzała – od jej zrobienia minęło wiele lat...

– Twarda lukrecja wciąż działa – zauważyłem. – Król od początku nie chciał, żeby ją przyrządzić. Okłamał mnie.

– Wątpię, by to był jedyny raz. Daj spokój, Falcio. Król robił to, co uważał za słuszne, tak jak ty. Ostatecznie dziewczynka przeżyła i wyzdrowieje, jak to dziecko – ale potrzebuje na to czasu.

Aline mogła nie czuć nic poza wzdrgnięciem dla mnie i pewną rezerwą wobec Kesta, ale od razu polubiła Brastiego.

– Pokaż mi jeszcze raz! Jeszcze raz – słyszałem jej pisk.

Widziałem, że Brasti szeroko się uśmiechał. Uwielbiał popisywać się przed wdzięczną publicznością.

– No dobrze, co tym razem?

Aline podniosła dłoń, by osłonić sobie oczy przed słońcem, i pokazała.

– Tam, na tamtym drzewie – widzisz?

Pochylił się naprzód w siodle.

– Co? Nie widzę.

– Jabłko, głuptasie – powiedziała.

Brasti wpatrywał się w przekrzywione drzewo zwisające w oddali nad drogą.

Reszta z nas obserwowała ich, jedząc nasz codzienny chleb z serem i dając odpocząć koniom.

– Nie ma tam żadnego jabłka – powiedział Brasti po teatralnej pauzie. – To coś jest nie większe od groszku, małego czerwonego groszku.

Aline zachichotała.

– To jabłko, każdy to widzi.

– Cóż, nawet jeśli tak jest, a ja wciąż nie jestem przekonany, że to nie mały czerwony groszek, to jest o wiele za daleko. – Przekręcił prawy bark do tyłu i odgarnął sobie włosy z twarzy. – Jakież to człowiek, wspaniały człowiek, powiedzmy sobie szczerze, miałby siłę, umiejętność, żelazną odwagę, by porwać się na taki cel?

Kest spojrzał na niego kątem oka.

– Odwagę? Myślisz, że to jabłko będzie cię chciało ugryźć?

Aline zachichotała.

– Cicho, szermierzu – powiedział wyniośle Brasti. – To jest robota dla prawdziwego mężczyzny.

Jeszcze raz zakręcił barkiem i założył strzałę na cięciwę. Najpierw popatrzył wzdłuż strzały i mocno napiął cięciwę, potem uniósł grot wyżej i przesunął w lewo.

– Celujesz w złą stronę – powiedziała Aline z troską w głosie, ale Brasti nie zwrócił na nią uwagi i wypuścił strzałę do lotu.

Z początku myślałem, że może przestrzelić, ale wiał lekki wiatr i kiedy strzała zaczęła opadać, skręciła nieco w prawo, strącając jabłko z drzewa.

Aline klasnęła w dłonie z ekscytacją.

– Udało ci się, Brasti!

Brasti spojrzał na swoje paznokcie i powiedział:

– Naprawdę, jakież to człowiek mógłby dokonać rzeczy tak wspaniałych i groźnych?

– Taki, który jest zbyt leniwy, by zdjąć jabłko z drzewa samemu? – podsunąłem.

Aline udała, że mnie ignoruje, i całą uwagę skupiła na Brastim.

– Ale jak to zrobiłeś? Celowałeś za bardzo w lewo.

– Wiatr – powiedział. – Trzeba wziąć pod uwagę wiatr.

– Ale wiatr wcale nie jest taki silny.

– Spójrz na drobne gałązki tamtego drzewa. Widzisz, jak się kołyszą? Ta część drogi jest osłonięta przez wzgórze, ale wyżej drzewa stoją na otwartej przestrzeni.

Spojrzała na niego z podziwem.

– A możesz...?

– Co, trafić w coś innego? Wujek Brasti musi zachować kilka strzał dla złoczyńców, kochanie.

– Nie, chodziło mi o to... Bo zastanawiam się, czy... – Głośno przełknęła ślinę i z błyskiem nadziei w oczach zapytała: – Może mógłbyś mnie nauczyć tak strzelać?

Brasti spojrzał na nią, potem na mnie. Wzruszyłem ramionami. Decyzja nie należała do mnie.

– W porządku – powiedział Brasti – ale będziesz się uczyć moją metodą, nie swoją. Zgoda?

Aline bardzo poważnie skinęła głową.

– Zgoda.

– Będzie ci potrzebny łuk.

Dziewczynka pomyślała o tym przez chwilę.

– Nie mam łuku – stwierdziła – ani pieniędzy.

Brasti skrzyżował ramiona i spojrzał po zebranych, a potem powiedział:

– Myślę, że jeśli mam być twoim nauczycielem łucznictwa, to powinienem dać ci łuk, który dostałem od swojego mistrza, gdy zostałem jego uczniem.

– Naprawdę? – spytała głosem pełnym zachwytu.

Podszedł do ostatniego wozu kolumny kilka stóp dalej i zaczął szperać na jego tyłach. Kiedy wrócił, miał ręce wyciągnięte tak, jakby trzymał w nich coś niezwykle cennego.

Ale nic w nich nie było.

– Proszę – powiedział. – Twój pierwszy łuk.

Wyglądało na to, że żart poszedł za daleko, bo dziewczynka miała minę, jakby miała się popłakać.

– Ej, nie trzeba być takim okrutnym! – zawołał Kurg, machając do niej swoimi niedźwiedzimi łapskami. – Chodź do mnie, dziewczynko. Zrobię ci ładny drewniany mieczyk do zabawy.

Było jasne, że Aline nie chce się bawić drewnianymi mieczkami, ale i tak zaczęła się odwracać w jego stronę.

– A więc to twoja ostateczna decyzja? – spytał Brasti.

– Co?

– Postanowiłaś, że już nie chcesz poznać tajemnic łuku i strzał?

– Wiesz, że to nieprawda – powiedziała. – Dlaczego jesteś taki złośliwy? Dlaczego wszyscy jesteście tacy złośliwi?

Valiana zawołała z powozu:

– Chodź do środka, Aline, i zostaw tych niemądrych mężczyzn z ich zabawkami!

Aline zaczęła iść, ale Brasti ją zatrzymał.

– Ostatnia szansa – powiedział całkowicie poważnym tonem.

– Wiesz, że chcę – odparła żałośnie.

– Powiedz to – zażądał Brasti. Wciąż trzymał przed sobą ręce, tak jakby spoczywał na nich łuk.

– Chcę poznać tajniki łuku i strzał.

– Jeszcze raz.

– Chcę poznać tajniki łuku i strzał.

Brasti ukląkł przed nią na jednym kolanie.

– Więc weź ten łuk – powiedział.

Zawahała się.

– Weź go.

Wyciągnęła ostrożnie ręce i udała, że bierze łuk z jego wyciągniętych ramion.

– Teraz przyrzeknij, Aline: przyrzeknij, że będziesz kierować się moimi naukami, zawsze mierzyć celnie, a przede wszystkim,

że będziesz się obchodzić z tym łukiem, jakbyś nigdy nie miała mieć innego.

Wyglądała na zdezorientowaną, ale wyjąkała:

– Przyrzekam.

Brasti wstał.

– Dobrze. A teraz idź odłożyć łuk i wróć tutaj. Do pierwszej lekcji nie będzie ci potrzebny.

Aline odbiegła do jednego z wozów i bardzo przekonująco udała, że ostrożnie kładzie łuk wśród zapasów.

Kest popatrzył na Brastiego.

– Muszę ci wyznać, że nigdy nie uczyłem się łucznictwa – zaczął.

– Cóż, to trochę zbyt wyrafinowana sztuka dla takich jak ty, Kest.

– Być może, ale przyznam, że nie bardzo rozumiem sens wyimaginowanego łuku.

– Jeśli potrafisz celować i strzelać z idealną techniką z wyimaginowanego łuku, będziesz też umiał z prawdziwego.

– Więc to naprawdę tak się nauczyłeś strzelać?

– Mój mistrz zrobił ze mną dokładnie to samo, kiedy byłem mniej więcej w jej wieku. Łucznik musi ufać swojej postawie, nie dotykowi łuku. To strzelec jest prawdziwą bronią; łuk to tylko długi kawał drewna.

Paru mężczyzn prychnęło, ale trudno było zadawać kłam słowom Brastiego, skoro wyglądało na to, że nigdy nie chybia.

Aline wróciła i spojrzała na Brastiego.

– Nauczysz mnie o wietrze? – spytała. – Skąd wiesz, jak mocno wieje?

– Cóż, najpierw używasz oczu, ale potem musisz je zamknąć, tak aby użyć uszu.

– Uszu?

– Zamknij oczy – powiedział.

Zrobiła to – i ja też, choć poczułem się trochę jak głupiec.

– Teraz posłuchaj. Co słyszysz?
– Słyszę ciebie i chodzących dookoła ludzi.
– Dobrze. Co jeszcze?
– Jeden z koni prycha i zdaje mi się, że coś skrzypi, może jego uzda.

– Dalej – powiedział Brasti. – Idź głębiej.
– Słyszę, jak wiatr porusza liśćmi.
– Zgadza się. Bardzo dobrze ci idzie. Teraz spróbuj posłuchać, co jest obok tego. Jeszcze raz wsłuchaj się w szum wiatru. Jak to brzmi?

– To brzmi tak... jakby kot chodził po liściach.
– Zgadza się, jakby kot, to jest... Do licha!
Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Brasti wskazuje na przedni wóz i wyciąga swój łuk i strzały. Te prawdziwe.
– Co się dzieje? – spytał Feltock.
– Koty chodzące po liściach – powiedział. – Z tej odległości tak słyszeć tylko grupę skradających się ludzi.

Feltock się nie wahał.
– Do broni, ale już, psiakrew! Przyprowadźcie konie, zróbcie krąg z wozów z karetą pośrodku. Chrońcie panią.

Kiedy ludzie rzucili się do wypełniania rozkazów, Feltock spytał:

– Umiesz odgadnąć, ilu ich jest?
Brasti pokręcił głową.
– Nie mam pewności, poza tym, że znacznie więcej niż nas.

Wkrótce się przekonaliśmy, bo kiedy tylko rozbójnicy zorientowali się, że sięgamy po broń, ruszyli pędem w naszym kierunku. Widziałem ruch w lesie po obu stronach drogi.

– Przekłête drzewa – zaklął Feltock. – Ni cholery nie widać, a na środku drogi jesteśmy jak kaczki na płytkim stawie.

Nasi ludzie zwierali szyk, korzystając z osłony wozów, szykując się do szarży, jeśli nadejdzie właściwa chwila. Brasti szukał celów, spoglądając sponad strzały na cięciwie swojego łuku.

Zobaczyłem, że Aline pędzi do wozu, na który odłożyła swój „łuk”, i zawołałem:

– Aline! Idź się schować do pani Valiany!

Musiałem się odwrócić, bo w ziemię przede mną uderzyła chmara strzał.

– Masz więcej pistoletów? – spytałem Feltocka.

– Są do niczego – powiedział. – Trzeba z tuzin tego cholerstwa, żeby trafił się jeden, który celnie strzela. Poza tym są tylko na jeden strzał; za długo się człowiek guzdrze z przeładowaniem.

Brasti wypuścił strzałę i podążyłem za nią wzrokiem, aż trafiła jednego z napastników w ramię.

– Nie robiłbym tego na waszym miejscu – odezwał się głos spomiędzy drzew.

– Taa? A to dlaczego!? – zawołał Feltock.

Posypał się grad strzał, wbijając się w błoto u naszych stóp. Napastników musiało być ze trzydziestu.

– Niech to, Feltock, dlaczego nie wzięłeś na tę wyprawę więcej ludzi, jeśli tak tu niebezpiecznie? – zapytałem.

– Rozkazy Jej Wysokości: nie więcej niż dziesięciu ludzi, wliczając siebie.

– Dlaczego Valiana tak zrobiła, wiedząc, że będzie w niebezpieczeństwie?

Feltock spojrzał mi w oczy.

– To nie była ona. To jej matka, księżna. To ona wydawała rozkazy.

Spojrzelismy po sobie z Kestem; wyglądał na równie zdezorientowanego jak ja – tak naprawdę może nawet bardziej, bo wciąż planował zabić Valianę.

Przywódca zbójców znów się odezwał:

– Zostawcie wozy i idźcie dalej. Niepotrzebny nam rozlew krwi. Strzała wyleciała z lasu i utkwiała w ramieniu Blondynka.

– Oprócz niego. To za mojego człowieka, którego trafiliście w ramię. W końcu musi być sprawiedliwe.

– Nie możemy zostawić wozów! – zawołałem. – Droga przed nami jest za długa i zbyt niebezpieczna. Umrzemy z głodu.

– Lepiej, żebyście to byli wy niż my – odparł herszt. – Każdy ma prawo jeść i mieć minimum wygody.

– Kto tak powiedział? – mruknął Feltock.

Przywódca bandytów miał dobre ucho.

– Tak mówi królewskie prawo, mój stary pyskaty przyjacielu. Możesz sam to sobie sprawdzić, jeśli uda ci się znaleźć kogoś, kto umie czytać.

– Nieźle wygadany jak na bandytę, co? – obrócił się do mnie Feltock.

Faktycznie, i do tego dobrze znał królewskie prawo. Interesujące.

– Pertraktacje! – odkrzyknąłem. – Każdy mężczyzna i każda kobieta ma prawo do pertraktacji, zanim poleje się krew!

Nastąpiła pauza.

– Słusznie – powiedział przywódca. – Wyjdziemy, dwunastu naszych na dwunastu waszych, ale zważ, że mam ze sobą dość łuczników, żeby was położyli, jeśli spróbujecie jakichś sztuczek, i będziemy mieć przygotowaną broń.

– Umowa stoi! – zawołałem.

Wyszli z lasu: nieokrzescani, w wytartych ubraniach i zbrojni w kute żelazne miecze lub drewniane włócznie, a za nimi szedł ich przywódca.

Niósł długi miecz, który zabłysł, gdy padł na niego promień słońca: ani śladu rdzy. Na głowie miał brązowy kapelusz z szerokim rondem, wypłowiały i znoszony. Na plecach nosił wielki płaszcz trybuna.

– A niech to lichy – powiedział Brasti.

Feltock popatrzył na mnie, mrużąc oczy. Mówił mi w końcu, że niektórzy trattari wskoczyli w buty rozbójników.

– To nie może być żaden z trybunów. Po prostu któregoś zabił i zabrał jego płaszcz.

– Nie – powiedział Kest. – Poznaję go. To Cunien z Orisonu. Był kantorem.

Teraz też to zauważyłem. Cunien został kantorem niedługo po mnie. Jako kantor rozsądzał sprawy, gdy inny trybun zawiódł. Aby być kantorem, trzeba było być gotowym, by pojechać gdzieś jeszcze raz i wymierzyć sprawiedliwość, kiedy inny trybun został zabity bądź schwytany.

– No proszę, czy to nie piękne spotkanie po latach? – powiedział Cunien. Podszedł do nas spacerowym krokiem i zlustrował nasz oddział. Jego wzrok padł na Valianę w karcie.

– Ładniutka jesteś, co? Mogę skraść pocałunek? – Potem zauważył siedzącą obok Trin. – Och. Dwie za cenę jednej, jak uroczło!

– Nie rób tego – powiedziałem. – Jeszcze nikt poważnie nie ucierpiał.

– Dlaczego miałoby go to obchodzić? – spytała Valiana, wysiadając z powozu i idąc w naszym kierunku z Trin za plecami.

– Pani... – zaczął Feltock.

– Dlaczego miałby się przejmować? Jest trattari, to w ich stylu, nieprawdaż? – Odwróciła się do mnie i wymierzyła mi siarczysty policzek. – To za wszystkie twoje wielkie słowa i przekonanie o własnej nieomyślności co do wad wszystkich innych. Ty i twoi ludzie nie jesteście lepsi od wszystkich innych, nawet gorsi, bo patrzycie z góry na lepszych od siebie.

Cunien wygładził wąsy i uśmiechnął się do Valiany.

– Czy to długo potrwa? Nie chciałbym cię pospieszać, ale chętnie zajrzałym do tych wozów.

– Jestem córką księżnej Hervoru – odparła – i zginę, zanim pozwolę ci cokolwiek mi zabrać, obdarta peleryno!

Głos Cuniena był zabójczo zimny:

– Tak właśnie skończysz, dziewczyno, jeśli jeszcze raz w ten sposób mnie nazwiesz. Ale choć dostarczasz nam dużo rozrywki, obawiam się, że to koniec naszych pertraktacji. Kiedy zobaczyłem

was zza drzew, byłem ciekaw, czy naprawdę jesteście Wielkimi Płaszczami, czy zwykłymi żołnierzami, którzy zabili i złupili trybunów. Ale teraz widzę, że nie jesteście ani jednym, ani drugim. Jesteście po prostu tresowanymi psami księżnej Hervoru: suki, która kazała zabić naszego króla. Nisko upadłeś, pierwszy kantorze.

– I kto to mówi – skomentował Brasti.

– Kiedy nie ma prawa ani króla, zostaje tylko coś do jedzenia, czasem kobieta i ta odrobina sprawiedliwości, jaką można wymierzyć na tym świecie.

Dał znak swoim ludziom i ci zaczęli wycofywać się w stronę drzew, robiąc miejsce łucznikom. Niedobrze. Nie ufał nam, a ja nie mogłem z nim pomówić na oczach tych wszystkich ludzi. Musiałem się dowiedzieć, co on tu robił z tymi rozbójnikami. Musiałem się dowiedzieć, czy jacyś trybuni pozostali lojalni.

– Pojedynek – powiedziałem szybko.

Cunien odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, i uśmiechnął się.

– Pojedynek? Nie sądzę, Falcio. Po prostu zabierzemy wozy, chociaż możecie oczywiście o nie walczyć. Będzie mi się dziś dobrze spało, wiedząc, że położyłem kilku ludzi księżnej.

– Nie masz wyboru – stwierdziłem. – Takie jest królewskie prawo.

– W sprawach osobistych sporów tak, ale nie sądzę, by twoja śmierć sprawiła księżnej jakąkolwiek różnicę, pozostaną więc przy wozach.

Uśmiechnąłem się do niego i powiedziałem głośno i wyrażnie:

– Masz całkowitą rację, Cunien. Masz więcej ludzi niż my i zdobędziesz swoje wozy. Oczywiście zabijemy kilku z was. Brasti jest tu zdecydowanie najlepszym łucznikiem i mamy pistolet. A Kest i ja też załatwimy kilku, zanim polegniemy. Ale co to za cena w porównaniu z koniecznością stoczenia ze mną pojedynku? Wygrywasz i bierzesz wozy bez walki; ja wygrywam i puszczasz nas wolno. Ale faktycznie, po co ryzykować

porażkę, skoro twoi ludzie na pewno palą się, by zginąć w obronie twojej pychy.

Cunien rzucił mi gniewne spojrzenie.

– Bogowie, Falcio, zawsze miałeś gadane, co?

– Myślę, że jeśli spróbujesz, dowiesz się, że mój rapier jest bardziej wymowny od języka.

Uniół swój oręż.

– Dobrze. Zawsze chciałem sprawdzić, czy zdołam pokonać człowieka, który podobno zwyciężył Kesta.

Wyjąłem rapier z pochwy i przyjąłem zasłone prymą.

– Jestem do twojej dyspozycji – powiedziałem.

Cunien nie przyjął postawy szermierczej, lecz zaczął mnie od niechcenia obchodzić, zmuszając, bym zmieniał pozycję.

– Muszę być z tobą szczery, Falcio – powiedział miękko, niemal kojąco. – Kiedyś się na tobie wzorowałem, ale teraz widzę tylko przed sobą człowieka, który jest trochę za stary i trochę za miękki do tej roboty. Chyba nie masz już w sobie tego ognia.

– Hej, Cunien! – zawołał Brasti – nie masz gdzieś przypadkiem topora?

– Co?

– Nieważne.

Cunien skierował głównię w dół i ruszył wprost na mnie, w ostatniej chwili wywijając młyńca bronią w górę i dookoła. Klinga była skierowana w moją szyję, jednak zrobiłem ukośny wypad w lewo i uniknąłem ciosu bez parowania. Spróbowałem pchnięcia do wewnątrz w stronę jego prawej dłoni, ale opuścił rękę w mocnej paradzie, od której niemal wypadł mi rapier.

No dobrze: chciał mieć wymianę uprzejmości za sobą.

Opuściłem sztych rapiera i kontynuowałem jego ruch, prowadząc cięcie łukowe, kończące się na jego głowie. Jego miecz wywinął się po przekątnej w górę, opadając na moją własną czaszkę. Uniosłem rapier z głównią równoległą do ziemi i weszliśmy w zwarecie. Chwycił mnie za nadgarstek ręki, w której

trzymałem broń, bym nie mógł jej uwolnić, a ja odwzajemniłem się tym samym i przez chwilę się siłowaliśmy.

– To całkiem przyjemne – powiedział Cunien – ale jeśli nie masz nic przeciwko, wołałbym iść dalej.

Uniosłem lewą piętę, żeby kopnąć go w kolano, przez co musiał zrobić krok do tyłu i puścić mój przegub. Znow się rozdzieliliśmy i to pozwoliło nam zacząć właściwą rozmowę.

Natarł na mnie słabostką ładacznicy, prostym pchnięciem, które w ostatniej chwili skręca, by uniknąć zasłony, i znow uderza w tym samym kierunku. Nie byłem pewien, czy robi to na poważnie, więc po prostu je przepuściłem, robiąc krok w bok, by uniknąć trafienia. Powtórzył manewr, więc zrobiłem rapierem kółko w przeciwnym kierunku, dzięki czemu związałem na chwilę jego klingę i zepchnąłem ją na bok. Ciąłem go z boku w pierś, co, gdyby przepuścił, skończyłoby się dla niego paskudnym skaleczeniem i utratą równowagi. Cięcie było pytaniem, na które odpowiedział, pochylając się i zbijając głównie grzbietem dłoni w rękawicy. A więc odpowiedź brzmiała „nie”.

Spróbowałem jeszcze raz markowanym cięciem w jego lewe udo, cofając ostrze rapiera tuż przed kontaktem z jego paradą ku dołowi, by przepuścić jego miecz, a samemu wykonać pchnięcie. Ten manewr nazywa się wężowy język i Cunien wyglądał na szczerze nim zaskoczonego. Odpowiedział półobrotem, a następnie kilkoma szybkimi cięciami w moje ręce i nogi, które łatwo odbiłem.

Rozmowa toczyła się dalej.

Trwało to jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu zobaczyłem, że zostawił małą lukę na swojej prawej nodze, i wiedziałem, że czas to zakończyć. Natarłem wysoko w kierunku jego głowy i pozwoliłem, by zbił mój rapier mieczem w bok i wykonał mocne poziome cięcie w szyję. W ostatniej chwili przerzuciłem ciężar ciała na tylną nogę i nisko kucnąłem, by przebić jego odsłonięte

udo. Wydał okrzyk i upuścił miecz, który spadł mi na głowę. Prawie znów go za to dźgnąłem, ale chyba sam się o to prosiłem.

– Poddaj się. Pojedynek rozstrzygnięty – powiedziałem, wyciągając sztych głowni z jego uda.

Cunien padł na ziemię i zobaczyłem, że jego ludzie zaczynają się denerwować.

– Cofnąć się! – krzyknął. – Cofnąć się. Sprawiedliwości stało się zadość i pojedynek jest rozstrzygnięty.

Jego ludzie, choć tak obdarci i nędznie ubrani, posłuchali szybko jak zawodowi żołnierze.

Schowałem rapier do pochwy i wyciągnąłem rękę, by pomóc mu wstać.

– A niech to, człowieku – powiedział. – Boli bardziej, niż pamiętałem.

– Ty zostawiłeś lukę, nie ja. Poza tym, kto upuszcza broń na głowę drugiemu człowiekowi? No naprawdę, co to za maniery?

Cunien się uśmiechnął.

– Nie mogłem cię puścić bez żadnego zadrapania. – Odwrócił się i pomachał do Valiany. – Może innym razem, pani! Nie pozwól, by Falcio uwiódł cię tą swoją piękną gadką. Jeśli już musisz z którymś z nich spać, wybierz Brastiego. Ma większe doświadczenie.

Odwrócił się do swoich ludzi i poprowadził ich z powrotem do lasu.

– Zawsze go lubiłem – stwierdził Brasti. – Ma głowę na karku.

Feltock wydał z siebie westchnienie ulgi, podobnie jak jego ludzie. Zaczęli zaprzęgać konie i pakować wozy. Nikt jednak nie chował broni.

Aline cały czas stała, wpatrując się w las, w którym zniknęli rozbójnicy.

– Wszystko w porządku, dziewczynko – odezwał się Kest. – Oni już nie wrócą.

– Nie o to chodzi – odparła.

- Więc o co? – spytałem.
- Cóż, na początku się przestraszyłam, myślałam, że możesz zginąć i stracimy wozy.
- Zaśmiałem się cicho.
- Miło słyszeć, że tak się martwiłaś o moje bezpieczeństwo.
- Puściła mój komentarz mimo uszu.
- Ale wtedy wasza walka jakby się zmieniła i zaczęła mi się wydawać dziwna.
- Co masz na myśli? – spytał Brasti.
- Chodzi mi o to, że w ogóle nie wyglądała jak walka. Bardziej jak rozmowa, tak jakby klingi do siebie mówiły.
- Kest, Brasti i ja patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę.
- I myślisz, że co powiedziały? – spytał ostrożnie Kest.
- Zmarszczyła brwi.
- Trudno powiedzieć. Na początku wyglądało to, jakby Falcio zadawał pytania, a rozbójnik zaprzeczał, a potem obaj zaczęli prowadzić wymiany i zrobiło się za szybko, żebym mogła nadążyć.
- Brasti uśmiechnął się i zmierzwił jej włosy.
- Tak działa rozumek niemądrej dziewczynki – powiedział. – Zostawmy te szermiercze głupoty i pokażę ci, jak należy trzymać ten twój łuk.
- Przez chwilę chichotała.
- Nie można trzymać wyobrażonego łuku. On jest tylko w twojej głowie.
- Zaniepokoiło mnie, jak szybko przeskoczyła od strachu przez złość do dziecięcej radości. Tego, co przeszła, wystarczyłoby, aby dorosły człowiek oszalał z przerażenia, nie mówiąc już o dziecku. Nie miałem pojęcia, co to zachowanie oznacza – ani co możemy z tym zrobić.
- Brasti i dziewczynka wrócili do koni, a ja i Kest szliśmy z tyłu.
- No i – powiedział półgłosem – co powiedział Cunien?

KSIĘŻNICZKA I ŻEBRACZKA

Cunien też szuka królewskich czaroitów – powiedziałem, prowadząc razem z Kestem konie za karawaną. – Wiedział, że nie powinno nas być w tym regionie. Z początku naprawdę pomyślał, że mogliśmy przejść na stronę księcia.

– Ilu nas zostało? – spytał Kest.

– Nie wiedział. Mówił, że widział Quillatę pracującą na statku, kiedy był w Cheveran.

– Quillata? W Cheveran? Czy to nie ona nie cierpi wody?

– Jak o tym teraz myślę, to nie jestem pewien, czy to ją miał na myśli. Chodziło o kogoś z pierwszej dwunastki i kobietę, więc mógł mówić o Darze. Jak wiesz, nie jest to zbyt precyzyjny język.

– No i natrafił na jakiś ślad klejnotów?

Westchnąłem.

– Nie. Posuwał się systematycznie na północ i znalazł się w pewnych tarapatach, kiedy pojmała go ta banda rozbójników.

– Więc teraz nimi dowodzi?

– Przekonał ich, że może im zapewnić lepsze życie niż jego poprzednik – wyjaśniłem.

– Jak mu się to udało?

– Zabił go.

Kest zmrużył oczy, ale uniosłem rękę.

– Przysięga, że tamten był rzeźnikiem i że walka była uczciwa. Tak czy inaczej – powiedziałem i przystanąłem, żeby odciągnąć Bestię od resztek krzaka, który sobie upodobała. Klacz posłała mi jeden ze swoich dziwnych warkotów, żeby przypomnieć mi, że nasze stosunki to rozejm, nie przyjaźń. – Tak czy inaczej, banda Cuniena porządnie się rozrosła, bo potrafił im zapewnić większe łupy i mniejsze straty.

– Ma tu zaczątek małej armii – zadumał się Kest.

– Czterdziestu ludzi, dobrze wyszkolonych i uzbrojonych. Ale przesuwają się z nimi dalej na północ, szukając pogłosek o czaroiach. Nie wiemy, jak wyglądają, więc mogą być wszędzie, i znając króla Paelisa, równie dobrze w małej wiosce, co w wielkim mieście.

– Udało mu się dowiedzieć, czy jest ich więcej niż jeden?

– Nie, ale podejrzewam, że tak jest. Paelis lubił stawiać na różne konie, nieprawdaz?

Kest spojrzął na ciemniejące niebo.

– Falcio, jak my je mamy znaleźć? Już od pięciu lat opieramy się na plotkach, pogłoskach i nadziejach. Jaka jest szansa, tak naprawdę, że kiedykolwiek coś znajdziemy?

– Nie wiem – przyznałem – ale lepiej zrobmy to, zanim księżta ostatecznie przejmą kontrolę nad tronem. Ta „Rada Regentów” nie posłuży im nawet w połowie tak dobrze jak prawdziwa królowa na ich smyczy. Tremondi jest martwy, a razem z nim szansa, by Wielkie Płaszcze zostały strażnikami szlaków handlowych, więc właściwie nic ich już nie powstrzymuje.

– Wobec tego czemu nie zabić Valiany? To przynajmniej ich trochę spowolni – stwierdził Kest.

Podziwiałem go, że potrafi nazwać ją po imieniu, mówiąc o jej zamordowaniu.

– Przyszło ci do głowy, że ona nie jest właściwie najlepszą osobą? – spytałem.

– Co masz na myśli?

– No cóż, gdybyś spiskował przez prawie osiemnaście lat, by zdobyć władzę nad królestwem przy pomocy marionetkowej księżniczki jako monarchy, nie wołałbyś, no nie wiem, lepiej ją wyszkolić?

– Jest dość próżna i małostkowa, jakich więcej kwalifikacji jej potrzeba twoim zdaniem?

Pomyślałem o tym przez chwilę.

– Okrucieństwa – powiedziałem w końcu. – No bo czy nie spodziewałbyś się kogoś trochę bardziej wyrachowanego?

– Nie wiem, ale myślę, że to pochopny wniosek.

– Opisz jej matkę – poprosiłem Kesta.

– Księżnę Hervoru? – Kiedy skinąłem głową, ciągnął, zaznaczając na palcach kolejne cechy: – Zimna, wyrachowana, ale też błyskotliwa i śmiała. Tyran z krwi i kości.

– Oczywiście mogę to wszystko potwierdzić – powiedziałem. – Więc dlaczego nie przygotowała swojej córki lepiej? Valiana jest arogancka i samolubna, ale nie bezduszna. I co z dziewczynką, co z Aline? Kiedy książę Rijou dowie się, że jego marionetkowa księżniczka ukrywa kogoś, kogo osobiście skazał na śmierć, nie będzie raczej zachwycony, prawda? Podpisał jej świadectwo rodowodowe w Rijou, tak by mogła się zaprezentować przed Radą Regentów, ale to nie znaczy, że nie może jej wcześniej zaszkodzić; ma wiele dróg, by nastawić innych książąt przeciwko niej.

– To jest polityka, Falcio – zniecierpliwił się Kest. – Polityka, filozofia i strategia. Kiedy tak gadasz, tak jakbym słyszał króla, a to mnie denerwuje.

– Myślisz, że fakt objęcia przez książąt tronu w wieczne posiadanie nie ma znaczenia?

– Oczywiście, że ma. Dlatego zamierzam znaleźć odpowiedni moment i zabić Valianę. Czekałem na ciebie, Falcio. Nawet dłużej, niż obiecywałem. Chciałeś zostać i ocalić dziewczynkę

w nadziei, że znajdziesz jakiś sposób na powstrzymanie spisku książąt? Cóż, nie udało ci się. Dziewczynka żyje, no i pięknie, ale z tego, co widzę, niczego to nie zmienia, więc zamierzam zrobić to, na co się nie zdobędziesz, i zabić Valianę. A jeśli będę mógł przy okazji dorwać tę sukę, jej matkę, to zabiję i ją. I gdyby zostało ci trochę rozumu w głowie, zgodziłbyś się ze mną. To ty byś...

– Nie zaczynaj od początku, Kest – przerwałem. – Jestem zmęczony, obolały i przed chwilą spadł mi na głowę długi miecz. Daj mi trochę czasu.

Nie mogłem uwierzyć, że choćby zastanawiam się nad jego planem. Czy naprawdę tak nisko upadliśmy?

– Brasti mnie popiera, Falcio – powiedział cicho Kest. – Nie chciał tego mówić, ale tak jest.

– A więc wysłuchaliśmy już zdania wszystkich najtęższych umysłów wśród Wielkich Płaszczy.

Kest westchnął i spytał:

– Gdzie my się podziałiliśmy, Falcio?

– Co masz na myśli?

– Jak to się stało, że tak szybko się wszyscy rozdzieliliśmy? Quillata, Dara, Nile, Jakin, Stary Tobb... było nas stu czterdzieści czterech, a jednak w ciągu pięciu lat napotkaliśmy nie więcej niż dwóch czy trzech z nich.

– Myślę, że taki był plan króla – odparłem. – Chciał mieć pewność, że nie będziemy razem, bo to uczyniłoby nas zbyt niebezpiecznymi w oczach książąt i wcześniej czy później wysłałoby przeciwko nam armię.

Kest się uśmiechnął.

– Nie mieliby innego wyjścia, prawda? Sto czterdzieści cztery Wielkie Płaszcze jadące konno przez kraj ze wzniesionymi rapierami i rozwianymi na wietrze połami, z bojową pieśnią na ustach i domagające się krwawej sprawiedliwości, to byłby niezły widok, co?

Nie mogłem wyduśić słowa. To naprawdę byłoby coś – sądziłem, że zobaczę to, gdy książęta posłali swoją armię na zamek Aramor: wszystkich Wielkich Płaszczy stojących w szyku przeciwko pięćdziesięciokrotnie liczniejszej armii, pozbawionej jednak nawet dziesiątej części naszych umiejętności i pasji. To naprawdę byłby piękny widok.

Ale dostałem rozkaz, by się poddać, i zamiast tego szuraliśmy obok nich butami jak przygarbieni starcy zebrzący o coś do jedzenia. Jeden z książęcych generałów wydawał nam nasze akty łaski, podczas gdy jego ludzie wlekli króla na szczyt tej samej wieży, w której ojciec trzymał go w zamknięciu przez te wszystkie lata.

Dotyk dłoni Kesta na moim ramieniu sprawił, że otrząsnąłem się rozmyślań. Ten wskazał na Feltocką, który jechał w naszym kierunku. Zostaliśmy spory kawał za karawaną, ale kapitan chciał, żebyśmy koniecznie się upewnili, że nikt za nami nie idzie.

– Jesteśmy w pobliżu Orisonu – ogłosił Feltock. – Eskorta od Peraulta, księcia Orisonu, przybyła, by towarzyszyć nam do miasta.

– To dobrze – ziewnąłem. – Nie pogardziłbym dziś w nocy porządnym łóżkiem.

– Nie, to niedobrze – powiedział kapitan. – Nigdy nie prosił się o eskortę z Orisonu i nigdy nie planowaliśmy do niego wjeżdżać.

– Niech skonam – rzuciłem do Kesta, wskazując na Bestię i skłaniając ją do kłusa.

– Podejrzewam, że właśnie o to im chodzi – odpowiedział.

Było ich czterdziestu, wszyscy w zbrojach i konno. Naliczyłem ośmiu z kuszami i szpadami u boku, pozostali mieli pałasze i kopie. Tworzyli cztery szeregi, a pomiędzy trzecim a czwartym stała wymyślnie zdobiona czterokonna kareta z proporcem w barwach Orisonu.

Z powozu wysiadł mężczyzna. Był odrobinę wyższy ode mnie i bardziej zadbany, z krótkimi ciemnymi włosami i starrannie przyciętą w wojskowym stylu brodą. Miał na sobie granatową kamizelę i spodnie w tym samym kolorze oraz wysokie czarne buty; na ramionach wisiał mu krótki płaszcz. Rapiertu boku wskazywał, że się pojedyнкуje, a herb na prawej piersi zdradzał, że był to Perault, książę Orisonu, we własnej osobie.

– Valiano, moja droga kuzynko – powiedział, ruszając w naszym kierunku. – Myślałem, że zamierzasz odwiedzić mnie w Orisonie. Dlaczego postanowiłaś wzgardzić moim towarzystwem tak bardzo, że nawet nie wysłałaś gońca, by mnie poinformował?

Valiana dygnęła.

– Wybacz mi, Wasza Miłość. Ja... Moja służąca Trin musiała zapomnieć. Potrafi być czasem roztargniona.

Książę Perault się uśmiechnął.

– Naprawdę? Zawsze zdawała mi się wyjątkowo sumienna.

– Wasza Miłość? Nie wiedziałam, że się poznaliście...

Perault spojrzał badawczo na Aline, która wyglądała z karety Valiany.

– A kim jest to słodkie dziecko? Chodź, kochanie, niech no ci się przyjrzę.

– Ta dziewczynka jest chora, panie – powiedziała Valiana. – Nie chciałabym, żebyś czymś się od niej zaraził.

Książę popatrzył na nią ze szczerą troską.

– Oj, a cóż to za choroba?

– Spalenie żywem – mruknął za moimi plecami Brasti – sądząc po tym, co było.

– Stul jadaczkę – wysyczał Feltock.

– Tak czy inaczej, panie – ciągnęła Valiana – zdążam prosto do domu mojej matki w Hervorze i nie mogę opóźnić swojego powrotu, odwiedzając cię w Orisonie, choć byłoby to z pewnością niezwykle przyjemne.

Księżę znów się uśmiechnął.

– Cała przyjemność byłaby niewątpliwie po mojej stronie, kuzynko.

Coś tu się nie zgadzało. Perault był wyraźnie zbyt pewny siebie, przeciągając strunę w rozmowie z kobietą, która wkrótce miała być jego królową.

Feltock odwrócił się do mnie w siodle.

– Myślisz, że mógłbyś zrobić jednemu z tych gałganów w zbroi to, co zrobiłeś mojemu topornikowi wtedy na placu? Przebić się przez ten pancerz?

– Może – odpowiedziałem.

– Myślisz, że mógłbyś to zrobić czterdzieści razy, szybko i sprawnie?

– Raczej nie.

Westchnął.

– Tak myślałem.

Valiana mówiła teraz podniesionym głosem:

– Jestem jedyną córką Patriany, księżnej Hervoru, i równie dobrze możesz się dowiedzieć już teraz, że jestem też córką Jillarda, księcia Rijou. Jestem księżniczką królewskiej krwi i wkrótce mam objąć tron. Nie będziesz zakłócał mojej podróży do domu, Wasza Miłość.

Księżę zaczął się śmiać w połowie jej przemowy i śmiał się wciąż po tym, jak ją skończyła.

– Jesteś głupią małą dziewczynką, żadną księżniczką ani królową, a prawdę mówiąc, nawet nie księżną, i trafisz tylko na moje kolano, na którym porządnie przyleję ci w tyłek, co będzie świetnym przygotowaniem do innych zajęć, które dla ciebie zaplanowałem.

Głos Peraulta był więcej niż arogancki, niemal teatralny – jakby występował przed publicznością. „Ktoś zradził Valianę”. Rozejrzałem się, mój wzrok padł na Feltockę, jego ludzi, przez chwilę nawet na Kesta, a potem...

Trin. Trin nie było. Została w karecie. Spojrzałem w kierunku powozu i zobaczyłem, że siedzi wewnątrz w świetle wpadającego do środka słońca. Uśmiechała się. Ale dlaczego? Jeśli zdradziła Valianę, czy oczekiwała ochrony? Nagrody? Dlaczego po tym, jak Perault dostanie to, czego chce, miałby honorować jakąkolwiek umowę zawartą ze służącą?

– Jak śmiesz tak do mnie mówić!? – zawołała Valiana. – Kiedy dowie się o tym moja matka, na pewno...

– Przykłaśnie – powiedział czyjś głos.

Nie był zbyt głośny, ale czysty jak zimna woda i jego ton zmroził mi serce. Miałem nadzieję nigdy więcej go nie usłyszeć. Brzmiał błyskotliwie i zuchwale i kryło się w nim wszystko to, czego w tym świecie nienawidziłem.

Patriana, księżna Hervoru, wysiadła ostrożnie z książęcej karety.

Robiłem, co mogłem, żeby powstrzymać Bestię, która otworzyła wściekle pysk tak szeroko, że można w nim było policzyć wszystkie zaostrome zęby.

– Jeśli ją teraz zaatakujesz, wszyscy zginiemy. Dziewczynka zginie – desperacko wyszeptałem kłacz do ucha.

– Ach – mówiła Patriana nieporuszona – widzę, że masz też ze sobą inną moją własność. Dobra robota, Falcio. Mówiłam ci, że świetny będzie z ciebie sługa. Cieszę się, że starasz się dowieść słuszności mojej opinii.

Spojrzałem na Kesta, potem na Brastiego, i wiedziałem, że na ich twarzach malowało się to samo, co na mojej.

– Matko? – spytała Valiana słabym i łamiącym się głosem.

– Muszę ci podziękować, dziewczyno. Spełniłaś swoje zadanie tak dobrze, jak się tego spodziewałam. Ale teraz twój sen dobiegł końca i będę potrzebować tych zwojów papieru, które dał ci książę Jillard.

– Ale one są moje. Potwierdzają mój rodowód i prawa wynikające z królewskiej krwi!

Książę Perault znów się śmiał.

– Ona nadal nie rozumie, Patriano. Myśli, że jest księżniczką Valianą. Jaka ona urocza!

Psiakrew. Nagle znów byłem w tamtej celi w Rijou i Patriana śmiała się i chlępiła mistrzostwem w tworzeniu potrzebnych jej istot. Gdy powiedziałem jej, że nie udało jej się zrobić potwora z własnej córki, odparła: „Moja córka? Ależ moja córka jest znacznie groźniejsza ode mnie. Śmiem twierdzić, że jest moim największym osiągnięciem!”

– Ach tak – powiedziała księżna. – Cóż, chyba powinnam wyprowadzić was wszystkich z błędu. Możesz już wyjść, kochanie.

Z powozu wyłoniła się Trin – ale to nie była nasza Trin, w każdym razie nie była to kobieta, którą tak nazywałem. Strząsnęła włosy do tyłu i zrobiła krok naprzód, trzymając wysoko podbródek i patrząc na nas wszystkich z góry. Zniknęła niepewna, zalękniona, ładna dziewczyna; ta kobieta była uosobieniem pychy i arogancji, jej oczy lśniły bezlitośnie w świetle słońca. W tym wzroku było coś znajomego i kiedy skrzyżował się z moim, było tak, jakby opadła zasłona z tamtego przeklętego błękitnego pyłu, którym dmuchnęła nam w twarz.

– To jest... – zaczął Brasti z szeroko otwartymi oczami.

Usta Kesta prawie się nie poruszały, kiedy mówił:

– Zabójczyni. To ona zamordowała Tremondiego i nas w to wrobiła.

Trin uśmiechnęła się do mnie. „Ona tego chce – chce, żebyśmy wiedzieli. Zabawa zaraz się skończy”.

Valiana – czy też kobieta, którą tak nazywałem – z trudem składała zdania, mówiąc:

– Ale... to jest Trin, moja służąca, Matko, to moja dama dworu. Zawsze nią była, prawie od...

– Prawie od twojego urodzenia – skończyła księżna. – I była wierna, nieprawdaż? Służyła ci na wszystkie sposoby, chodziła

z tobą na lekcje, pomagała w nauce dworskich obyczajów, a jednak zawsze jako służąca. Wyobraź sobie, jak musiała się czuć, wiedząc, że jest moją prawdziwą córką, gnąc się w pokłonach i chichocząc z głupot, które robiłaś.

Zło w głosie księżnej było prawie namacalne. Miało swój rytm, który walił mi teraz w głowie i sercu, i przysięgam, że patrzyła przeze mnie na wylot, kiedy mówiła:

– Wyobraź sobie, jaką dyscyplinę i wyrachowanie wyrabia w dziewczynie granie roli służącej przez te wszystkie lata.

Dziewczyna z kamiennym wzrokiem uśmiechnęła się.

– Musimy ci teraz znaleźć odpowiedniejsze imię, moja anonimowa dziewczynko, i odpowiedniejszy strój oraz fryzurę, a przede wszystkim bardziej odpowiednie obowiązki.

– Jak mogłaś to zrobić!? – zawołała Valiana.

– Nie powiem, że to było łatwe – powiedziała księżna – ale konieczne. Ten głupiec Jillard nigdy nie uznałby praw kogoś wartego więcej niż taka głupia pusta laleczka jak ty. Nie mogłam za ryzykować, że zauważy potencjał kryjący się w moim prawdziwym dziele albo, co gorsza, postanowi zabić moją córkę, by nie pozwolić jej na objęcie tronu. Więc wychowałam cię na naiwną ślicznotkę, a mój drogi książę, widząc marionetkę, której sznurki może łatwo pociągać, uznał pod przysięgą Valianę za córkę Hervor i Jillarda, która wkrótce zasiądzie na tronie jako królowa.

Valiana wydała z siebie przerażony szloch i podbiegła do księżnej, ściskając w ręku tekę z dokumentami, jakby były zrobione ze złota.

– Tak nie można – to nieprawda! To ja jestem twoją rodowitą córką, przysięgam... przysięgam!

Patriana, księżna Hervoru, która z pewnością wiele razy pocieszała i hołubiła tę dziewczynę przez ostatnie osiemnaście lat, uderzyła ją tak mocno w twarz, że ta poleciała do tyłu i upadła na ziemię. Potem z nieskończonym spokojem i pewnego rodzaju wdziękiem schyliła się i wyszarpnęła teczkę z rąk dziewczyny.

– Tak naprawdę jesteś niczym więcej jak śmieciem, który jeden z moich ludzi wyciągnął z cipy kobiety, którą ratowało tylko to, że przypadkiem była do mnie trochę podobna.

Valiana leżała wykrzywiona na ziemi i spazmatycznie płakała z twarzą w błocie.

– Już dobrze, nie smuć się tak, moja droga. Większość wieśniaków ma nędzne i krótkie życie. Ty spędziłaś osiemnaście lat jako córka księżnej, żyjąc w przepychu i wierząc, że jesteś księżniczką. To marzenie każdej głupiej dziewczynki, a ty mogłaś tak żyć. Przez jakiś czas. Ale teraz pora już jechać do Orisonu, gdzie Perault zrobi z ciebie jakiś użytek. Może przydasz się jego ludziom, może psom.

Dała znak Feltockowi.

– Wsadź ją na jeden z wozów i zaknebluj, jeśli będzie się drzeć.

– Nie! – krzyknęła Aline i wybiegła zza karawany, po czym stanęła między Valianą a ludźmi księżcia.

Brasti pobiegł za nią i położył jej dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, dziewczynko – powiedział.

Aline miała oczy pełne łez i wściekle mrugała. Lewe ramię wyciągnęła wprost przed siebie, drugie zgięła przy uchu i napięła, trzymając jakby niewidzialną cięciwę.

– Nie dotykajcie jej! – wykrzyknęła.

Książe Perault roześmiał się i podszedł o krok bliżej.

– Bogowie drodzy, co za zachwycająca dziewczynka! Czy to ty jesteś tym maleństwem, które narobiło tyle kłopotów mojej drogiej Patrianie? To było bardzo niegrzeczne, dziewczynko. Będziemy musieli obmyślić dla ciebie jakieś specjalne traktowanie. Zupełnie wyjątkowe.

– Do tyłu! To moje ostatnie ostrzeżenie! – krzyknęła ze łzami ściekającymi jej po policzkach.

Perault roześmiał się i dał znak jednemu ze swoich ludzi. Mężczyzna z obnażonym pałaszem i złowrogim uśmiechem zaczął się zbliżać w jej kierunku małymi kroczkami, podskakując, jakby

to była zabawa, i śmiejąc się, gdy dziewczynka robiła się coraz bardziej przerażona.

Odciągnęła prawe ramię jeszcze bardziej do tyłu.

– O nie, tylko nie zabójczy niewidzialny łuk! – zawołał, obmacując teatralnym gestem niewidoczną strzałę wbity w jego pierś. Potem znów się uśmiechnął i zrobił kolejny krok naprzód.

Aline cicho krzyknęła i odrzuciła prawą rękę do tyłu, jakby wypuściła strzałę.

– Durna, to nie... – powiedział mężczyzna, patrząc nagle na strzałę w swoim brzuchu.

Dłoń Brastiego znów spoczywała na ramieniu Aline, gdzie była sekundę wcześniej.

– Tak jest, dziewczynko – powiedział do niej cicho. – Wybierz cel, zaczekaj i nie puszczaj strzały, póki nie będziesz pewna, że trafisz.

Usta księcia Peraulta przybrały nieprzyjemny wyraz.

– Każdy, kto wyciągnie rękę po tę dziewczynkę, zginie, zanim zdąży mrugnąć – powiedział Brasti i jego głos poniósł się po polu. – Jeśli kiedyś chcieliście być czegoś całkowicie pewni, to właśnie jest ta chwila.

– Jak się nazywasz, martwy człowieku? – spytał Perault głosem, który miał zmrozić ogień w słowach Brastiego.

Brasti spojrzał mu prosto w oczy, z prawą ręką wciąż swobodnie spoczywającą na ramieniu Aline, w lewej trzymając łuk.

– Nazywam się Brasti Goodbow – powiedział. Potem spojrzał przelotnie na Kesta i na mnie i dodał powoli: – i jestem Strzałą Króla.

Kest zrobił krok naprzód i stanął obok niego.

– Nazywam się Kest z Luth – oznajmił – i jestem synem Murrowa Kowala. – Wyciągnął z pochwy swój rapier. – I jestem Ostrzem Króla.

Każdy z nas miał taki przydomek, nadany mu przez samego króla. Dara była „Furią Króla”, Nile „Ramieniem Króla”, a ja...

Od początku nie cierpiełam przydomka, jaki mi nadano, bo na niego nie zasługiwałam. To król stworzył Wielkie Płaszczę, król dał nam wszystko. Ja tylko zawiodłem nas wszystkich w godzinie największej próby.

– W porządku – powiedział do mnie Kest bardziej niż łagodnie. – On chciałby, żebyś to powiedział.

– Powiedz to, niech cię diabli – fuknął Brasti. – Jeśli nie teraz, to kiedy?

Wziąłem głęboki wdech i zrobiłem krok naprzód.

– Nazywam się Falcio val Mond z Pertynii – powiedziałem. – I jestem Sercem Króla.

Usłyszałem łkanie Aline, gdy odwróciła się, by na mnie popatrzeć. Potem jeden z ludzi Peraulta dobył broni, więc jeszcze raz napięła swój wymaginowany łuk.

– Dość tego – prychnęła księżna Patriana, bezpieczna w karecie. – Koniec pozerstwa, Perault, koniec gierek. Bierz ich wszystkich.

Feltock podszedł do nas i obrócił się przodem do Brastiego, Kesta i mnie, a plecami do księcia i jego ludzi.

– No, chłopcy, nie powiem, że było miło, ale dobrze się walczyło u waszego boku. Teraz już czas – mruknął.

– Czas na co? – spytał Brasti.

– W odpowiednim momencie łapcie Valianę i dziewczynkę i jedźcie na wschód, tak szybko i daleko, jak możecie. O dziesięć dni jazdy stąd jest wioska Gaziah. Jest tam klasztor i sędziwy mnich o imieniu Hajan. Jest tam też stara kobieta. Ona przyjmie i ukryje dziewczęta, aż będzie można je przerzucić dalej na wschód, do Pustynnych Królestw. Mogą tam wstąpić do żeńskiego Zakonu Słońca, nie jest to pewnie najwspanialsze życie, ale na nic lepszego nie można liczyć.

– Wiedziałeś, że to się wydarzy – powiedziałem.

– Nie miałem pojęcia, jakie plany ma ta stara maciora, ale zawsze wiedziałem, że nie kocha Valiany. Nie tak, jak matka powinna kochać córkę.

– Ale pracujesz dla księżnej – zauważył Brasti.
– Tak jest. A żołnierz wykonuje rozkazy. Kazała mi chronić dziewczynę i jest to rozkaz, który zamierzam wykonać.

– A twoi ludzie?

– Większość jest mi wierna. Reszta... cóż, powiedzmy tylko, że nie żałuję, że wbiłeś tamtemu topornikowi rapier w twarz.

Coś ważnego przyszło mi w tym momencie do głowy.

– Ty nas chciałeś – powiedziałem. – Miałem już odejść, ale zakpiłeś ze mnie, a kiedy wróciłem, dziewczyna podpuściła mnie do walki z tymi ludźmi.

Feltock zacisnął usta, ale w jego oku pojawił się błysk.

– Na placu było mnóstwo ludzi do wynajęcia, ale ty chciałeś nas. Dlaczego?

– Chciałem trattari – powiedział. – Nie ma takiego człowieka, którego by księżna nie kupiła, gdyby zechciała. Najczęściej zresztą nie musi nawet płacić, żeby nakłonić ich do wykonywania jej woli. Ale uznałem, że jeśli ktoś nienawidzi księżnej tak bardzo, by nie dać się kupić, to musi to być trattari, ze względu na to, co zrobiła waszemu królowi i tak dalej.

„Był też twoim królem” – chciałem powiedzieć, ale dałem spokój.

– Feltock! – zabrzmiał głos księżnej.

– Nie jesteście mi nic winni, dziewczynie zresztą też nie, ale jak żołnierz żołnierzy, błagam was: jedźcie szybko, jedźcie wytrwale i nie oglądajcie się za siebie.

– A co z wami? – spytałem.

– Spodziewam się, że ja i moi chłopcy za chwilę zginiemy. Ale bogowie mi świadkami, że zabierzemy paru tych bydlaków razem z nami. Damy wam czas na ucieczkę.

Spojrzałem na nich. Blondynek powoli zdejmował miecz z jednego z wozów. Zauważył, że patrzę, i skinął mi głową. Sprawiał wrażenie wystraszonego, ale zdecydowanego, i chyba tak właśnie wygląda odwaga, więc kiwnąłem mu w odpowiedzi.

Spojrzałem na leżącą na ziemi Valianę i Aline, która stała obok powozu.

– W porządku, kapitanie. Ruszamy na twój sygnał.

Feltock uśmiechnął się, szczerząc zębiska jak ktoś, komu przypomniał się sprośny dowcip.

– Na mój sygnał, hmm? No dobra, więc oto mój sygnał! – Z tymi słowami odwrócił się, dobył miecza i zakrzyknął pod niebiosa: – No, chodź, ty paskudna wielka kurwo! Dość długo całowałem twoje kościste dupsko i teraz będę pieprzył ciebie i twojego przekłętego księcia, aż wam dupy odpadną!

Jego ludzie wydali z siebie ryk i zobaczyłem, jak Kurg i inni zdejmują kusze z wozów i strzelają do ludzi księcia. Zobaczyłem gapiącego się na to z niedowierzaniem Peraulta i rżące konie, które cofały się w zamieszaniu, po tym jak ludzie Feltocka rzucili między nie coś ciężkiego i kulistego, co natychmiast eksplodowało w chmurze ognia i pyłu.

– Teraz! – powiedziałem do Kesta, który popędził po Aline, chwycił ją jedną ręką i wrzucił na siodło, po czym sam na nie wskoczył.

Brasti dosiadł już swojego konia i założył strzałę na cięciwę. Strzelił do księcia, który biegł z powrotem do karety, ale trafił go tylko w nogę.

– Dziewczyna! – krzyknąłem do niego. – Zlikwiduj dziewczynę!

Ale było za późno: wokół Trin stało czterech ludzi w zbrojach, osłaniając ją i księżną za pomocą tarcz.

Wskoczyłem na Bestię i spałem ją mocno, by ruszyła w stronę Valiany, która podniosła się z ziemi i rozglądała wokół zagubiona.

– Ręka, dziewczyno! Podaj mi rękę! – zawołałem, ale mnie nie słyszała.

Jeden z żołnierzy księcia próbował ciąć Bestię w odsłoniętą szyję. Odbiłem cios, ale tamten cofnął się i zamierzył się na mnie. Zobaczyłem, jak w szparze na oczy w jego hełmie pojawia się

strzała – niemal niemożliwy strzał – podziękowałem świętemu Merhanowi Co Dosiada Strzały, za Brastiego i jego niebywałą celność. Mężczyzna padł na ziemię – i wtedy to zobaczyłem.

Dwóch z czterech ludzi strzegących księżnej i jej córki wyszło z szeregu i pojawiła się luka: jednym dobrym pchnięciem mogłem zabić córkę i przy odrobinie szczęścia dostać też księżną, zanim pozostali żołnierze dźgną mnie w plecy. Chciałem tego – Bestia też, czułem to: dwie istoty o złamanych sercach, lecące prosto w przepaść.

Przez krótką chwilę znów widziałem swojego króla, stojącego wśród świętych, i ułożyłem ramię do pchnięcia, ale wtedy poczułem coś na lewej dłoni. Valiana próbowała wspiąć się za mną na Bestię. Odwróciłem się, ale żołnierze zacieśnili szyk i przed sobą widziałem tylko tarcze.

Podąłem Valianie ramię i pociągnąłem ją w górę, a potem Brasti, Kest i ja ścigaliśmy się niczym pieprzona czarna śmierć w stronę jaśniejącego na wschodzie nieba. Czułem się strasznie, zostawiając Feltocka, Blondynka i resztę na pewną zgubę, ale nie pierwszy raz w swoim życiu wykonywałem taki rozkaz.

KRAWIEC Z PHAN

Pędziliśmy pod porannym niebem i wśród wieczornych zachodów słońca, przecięliśmy granicę Orisonu i przejechaliśmy przez całe Księstwo Pulnam z jego żółtymi polami. Musiałem zmuszać Bestię, by co jakiś czas się zatrzymywała, tak by inne konie nie zagoniły się na śmierć, ale choć jechaliśmy tak szybko i długo, jak tylko mogliśmy, nigdy nie dotarliśmy do wsi Gaziah ani do klasztoru. Jedyna droga z Pulnam na skraj Wschodniej Pustyni prowadziła przez Arkadę: liczący pięćdziesiąt stóp wąwóz między wielkimi urwistymi ścianami, uformowany przez wiatr i piasek naniesiony tam z samej pustyni.

Zatrzymaliśmy się na odpoczynek w małej wiosce kilka mil na zachód od Arkady; Valiana i Aline nie były przygotowane do forsownej jazdy i były wyczerpane i obolałe od siodła. No i była jeszcze taka drobnostka, że ich życie leżało w gruzach...

Kiedy Brasti poszedł na zwiad, by zobaczyć, co się dzieje przed nami, zobaczył tam czekającą na nas w szyku armię.

– Nie sądzę, żeby ich zwiadowcy mnie widzieli – powiedział – ale maszerowali już w naszym kierunku. Droga naprzód jest odcięta, a z ludźmi księcia i nie wiadomo jak dużymi siłami z Orisonu na plecach nie mamy odwrotu.

– Gdzie teraz jesteśmy? – spytałem.

– Ta wieś nazywa się Phan – powiedział. – Niewiele tu jest. Zagadałem do jakiegoś chłopaka na drodze i powiedział, że jest tu tylko kilku kupców, do tego rzeźnik, kuźnia i, jeśli dobrze go usłyszałem, warsztat krawiecki.

– Jechać, kryć się czy walczyć? – spytał Kest.

– Nie możemy jechać, nie możemy walczyć – powiedział Brasti.

Nie miałem odpowiedzi. Coś mnie niepokoiło.

– Więc schowajmy się – zaproponował Kest. – Damy radę w jakimś lesie?

– Rozejrzyj się – powiedział Brasti. – W Pulnam są głównie pola aż do Arkady, a lasy tu mają za małe. Ten oddział wygląda na dobrych pięciuset ludzi. Nietrudno im będzie nas wykurzyć.

Aline zaczęła płakać i Valiana, która nie odezwała się słowem od Orisonu, objęła ją ramionami.

– Więc dokąd? – spytał Kest.

– Może spróbujemy ukryć się tutaj, chociaż nie wyobrażam sobie, żeby miejscowi dla nas kłamali, kiedy przybędą tu ludzie księcia.

– Jak myślisz, o ile ich wyprzedziliśmy? – spytałem.

Brasti wziął głęboki oddech.

– Szczerze? Nie sądzę, żeby byli daleko. Mają więcej dobrych wierzchowców, do tego zatrzymywaliśmy się zbyt często, by porządnie się od nich odsadzić. Nawet te przeklęte karety mogą nas zaraz dogonić.

– Nie wydaje wam się, że to strasznie dużo pracy? – spytałem.

– Chcą zabić dziewczynkę – odparł Brasti.

– Chcą zwojów, które dowodzą pochodzenia Valiany, i już je mają.

– Nieprawda – powiedziała Valiana, tuląc do siebie Aline. – Feltock kazał mi je wyjąć po wyjeździe z Rijou. Powiedział, że bym zamiast nich wsadziła do teczek dokumenty podróżne.

Sięgnęła do kieszeni koszuli i wyciągnęła parę zwojów oznaczonych książeczą pieczęcią.

– No czy to nie chytry stary lis? – powiedział Brasti z podziwem w głosie.

Kest spojrzał na mnie.

– To daje nam jakąś kartę przetargową.

Negocjacje z najpotężniejszą i najbardziej przebiegłą kobietą świata na oczach armii, którą dowodzi? I co potem? I tak nas zabije, więc co to za różnica? Lepiej już spalić te przeklęte papiery i sprawdzić, jaki chaos to wywoła.

Byłem zmęczony, obolały i jeszcze bardziej zdezorientowany niż wcześniej. Podeszedłem do Valiany, która wciąż tuliła Aline.

– Skończyły mi się pomysły i nadzieja – powiedziałem. – Po prostu powiedz mi, co chcesz, żebym zrobił, Valiano, i zrobię to najlepiej, jak potrafię.

– Nie jestem Valiana – odparła. – Jestem nikim i niczym, a jeśli już, to kimś, o kim mówiłeś w Rijou: głupią dziewczyną, która marzyła o zasiadaniu na królewskim tronie, nie zastanawiając się nawet, co robi, gdy tam w końcu trafi.

Poczułem dłoń na ramieniu i spojrzałem w dół, w oczy Aline. Pociągnęła nosem i powiedziała:

– Schowajmy się, Falcio, potem jedźmy, a potem walczmy. Zacząłem odsuwać rękę, ale mocno się w nią wczepiła.

– Myślę, że nie wygramy, Aline – powiedziałem łagodnie. Odetchnęła głęboko i nieco się wyprostowała.

– Wiem o tym, ale to, co oni robią, jest złe. To nieuczciwe. Świat powinien być trochę bardziej sprawiedliwy, nie uważasz?

Potem położyła mi dłoń na policzku i lekko się do mnie uśmiechnęła, tylko na moment, ale przysięgam na wszystkich świętych, że w tamtej chwili pękło mi serce, a za nim podążyła i głowa, i pod niebo wzbily się głośnie szlochy. W moim ciele obudziło się tysiąc ran, których tak długo nie czułem, od pierwszego siniaka do beltu w nodze, i przez każde zranienie,

o którym zapomniałem przez długą drogę do zamku Aramor, kiedy szedłem zabić króla; widok zamęczonego ciała mojej żony na podłodze gospody i widok spalonej posiadłości w Rijou; świadomość, że zawiodłem swojego króla i że zaraz zawiodę tę małą dziewczynkę – wszystko to wylewało się ze mnie tak, iż każda rana, każde wspomnienie, każdy smutek dostał swój głos. Łzy płynęły mi z oczu tak długo, aż myślałem, że nic już we mnie nie zostało – ale było tam coś jeszcze. Nic wielkiego, żaden wspinała plan ani nadzieja.

Taka mała rzecz.

– Brasti – powiedziałem miękko.

Podszedł i ukląkł obok mnie.

– Jak mogę pomóc? – spytał łagodnie.

– Mówiłeś, że w tej wsi jest warsztat krawiecki?

Wioska była mała, więc odnalezienie niewielkiego domku na obrzeżach nie powinno było zabrać nam tyle czasu, ale wreszcie się udało. Staliśmy przed małym warsztatem krawieckim podpieranym po obu stronach przez pokrzywione drzewa.

– Nie rozumiem – powiedział Brasti. – Co nam da jakiś krawiec?

Kest odpowiedział za mnie:

– Słyszałeś kiedykolwiek o warsztacie krawieckim we wsi tej wielkości? To kompletnie bez sensu.

– W takim razie co wy...? Zaraz, chyba nie myślicie...?

Skrzekliwy głos przerwał ciszę:

– No proszę, czy to nie jest najbardziej żalosna banda na wpół zdechłych królików, jaką w życiu oglądałam?

Choć odkąd ostatnio widziałem Krawcową, minęło tylko kilka tygodni, wydała mi się dziwna. Była jak zwykle rozczochrana i niechlujna, jednak coś w jej sposobie bycia się zmieniło.

– Mattea! – zawołała Aline i przebiegła dwa kroki w stronę Krawcowej. Potem gwałtownie się zatrzymała, jakby też odgađywała, że ze staruszką coś jest nie tak.

– No chodź, dziewczyno – powiedziała Krawcowa z uniesioną brwią. – Nie mam całego dnia.

Aline zrobiła niepewny krok w tył i dygnęła.

– Ha! – krzyknęła Krawcowa. – Widzieliście? Dygnęła przede mną, jakbym była jakąś wysoko urodzoną damą! – Podeszła do Aline, chwyciła ją za ramiona i spojrzała jej prosto w oczy. – Nikt się nie kłania Krawcowej, słyszysz mnie, dziewczyno? Nikt. Krawcowa jest o wiele zbyt ważna na ukłony, dygnięcia, podziękowania i całą resztę tej twojej wytwornej paplaniny.

– Tak, proszę pani – powiedziała Aline.

– I nie lubimy żadnego „proszę pani”. – Jej spojrzenie złagodniało. – Och, dziecko, nie trzeba być taką nieśmiałą, prawda? Pod tym wszystkim wciąż jestem twoją starą nianią Matteą, nieprawdaż?

– Ona się ciebie boi – powiedział Brasti.

Krawcowa wyprostowała się i drgnęły jej usta, ale potem wstęchnęła.

– Tak, to prawda. Chyba dość tego udawania. – Staruszka się odwróciła. – Chodźcie, siadajcie wszyscy przy stole. Dam wam coś do jedzenia i picia. Mamy trochę czasu, chociaż niewiele.

Wprowadziła nas do warsztatu i gestem kazała nam usiąść wokół dużego stołu do szycia.

– Jak...? – zacząłem, usiłując zrozumieć, jak to się stało, że wszyscy spotykamy się w tym miejscu. – Jak to możliwe, że tu jesteś? Właśnie tutaj? We wsi, do której nie mieliśmy żadnego powodu przybywać?

Krawcowa wyłożyła na półmisek ser i chleb i zaszczyliła mnie tym swoim krzywym uśmiechem.

– Masz wszelkie powody, by tu być, chłopcze. Podążałeś ścieżkami swojego życia, a te przywiodły cię tutaj, od głupiej misji powierzonej przez Paelisa do śmierci Tremondiego, poprzez machinacje tej suki Patriany: wszystko to zaprowadziło cię tutaj, a dobry krawiec wie, dokąd prowadzi każda nitka.

Potem mocno złapała kołnierz płaszczka Kesta.

– I co wy, u wszystkich z piekła rodem świętych, robiliście z moimi płaszczami? – zapytała natarczywie. – Zdejmijcie te przeklęte szmaty i chodźcie tu.

– Tam dalej jest mała armia – powiedziałem – a kolejna nas ściga.

– Cicho, chłopcze. Wiem, gdzie są, tak jak wiem, gdzie jesteście wy, gdzie byliście i dokąd idziecie. Wiem, dokąd zmierza każda nić z tych płaszczy, i jestem za stara, żebyś mi to opowiadał w swoim żalośnie wolnym tempie. A teraz dajcie mi swoje płaszcze. Na niewiele się wam zdadzą w tym stanie.

Zdjęliśmy wielkie płaszcze i podaliśmy je Krawcowej, a ta zaczęła je badać, cały czas gadając:

– Cheveran, co, Falcio? Ta ich przeklęta mżawka, dymy z warsztatów łączą się w powietrzu z bogowie tylko wiedzą czym. Może ci to wypalić dziurę w ubraniu, jeśli nie będziesz uważał, ale nie w moich ślicznych płaszczech.

Odłożyła moje okrycie, podniosła płaszcz Brastiego i powąchała.

– Niech to diabli, chłopcze, nie możesz zdejmować ubrania, zanim pójdziesz chędożyć?

Krawcowa nie dała mu odpowiedzieć, zamiast tego znów zaczęła się przyglądać każdej łacie, każdej plamie i każdej nitce naszych płaszczy, cały czas mamroczać coś pod nosem.

– No dobrze, to tyle – powiedziała w końcu.

– Możesz je zacerować? – spytałem. Zdałem sobie sprawę, że kiedy tak je badała, miałem nadzieję, że naprawi postrzępione brzegi mojego płaszcza.

Słyszając to, znieruchomiała na sekundę, potem spojrzała na mnie, a jej twarz tak się wykrzywiła, że myślałem, iż zaraz kichnie albo dostanie jakiegoś ataku, ale ona tylko wybuchnęła śmiechem.

– Czy mogę je zacerować? Czy mogę je zacerować? Wszyscy święci, żywi i martwi, Falcio, niech wszyscy bogowie, których

nigdy nie było, błogosławią twoje imię i ześlą mi jeszcze tysiąc takich jak ty. – Rzuciła płaszcz na stół i klasnęła w dłonie. – Oto on, człowiek, który z całego świata ma najbardziej przewalone, w pułapce między jedną a drugą armią, człowiek, który nie ma którędy uciekać ani gdzie się schować, nie ma szans na zwycięstwo ani pojęcia, o co walczy. Los całego świata spoczywa wprost na jego ramionach i nie ma żadnego wybawienia na horyzoncie, i pierwsze, o co mnie pyta, to czy mogę zacerować dziury w jego płaszczu, dziękuję-proszę!

Inni też się śmiali, ale dla mnie nie było to wcale takie śmieszne.

Dalej chichotała, prychała i klaskała w dłonie. Wreszcie powiedziała:

– Ach, choćby tylko dlatego, Falcio val Mondzie, masz wdzięczność Krawcowej.

Zastanawiałem się, czy w pakiecie nie ma przypadkiem jakiejś armii, ale stwierdziłem, że lepiej nie pytać. Zamiast tego powiedziałem:

– Możesz nam coś powiedzieć o pozostałych trybunach? Wiedziałś któregoś z nich? Czy ktokolwiek znalazł królewskie cza-roity?

– Tak, wszystkich, i tak, jeden z nich – odparła. – Ale nic więcej nie powiem i nie zaceruję ci płaszczu, lecz dam wam to.

Podeszła do szafki w głębi warsztatu i wyjęła dużą paczkę zawiniętą w pakuły. Położyła ją na stole, rozwinęła i nawet po tych wszystkich latach i pieklach, przez które przeszliśmy, na ten widok niemal zapało mi dech.

Na stole leżały wielkie płaszcze, nowe i doskonałe, a każdy z nich nosił te same symbole, co mój, Brastiego i Kesta.

– Jak to możliwe? – spytał Kest. – Skąd mogłaś wiedzieć, że tu przyjedziemy? Krawcowo, dlaczego przybyłaś do tej wioski?

– Mówiłam wam – powiedziała. – Krawiec zawsze musi wiedzieć, gdzie każda nitka się zaczyna i gdzie się kończy.

Kest i Brasti zabrali swoje płaszcze, i ja też wziąłem swój, ostatni. Chociaż nie; pod spodem było jeszcze coś więcej. Jeszcze jeden płaszcz, nieco mniejszy od naszych, zrobiony z tej samej ciemnobrązowej skóry. Intarsja na piersi po prawej stronie była barwy głębokiego fioletu: był to ptak powstający z popiołów.

– Nie mówisz chyba poważnie... nie sądzisz przecież, że...
Aline? Wielki Płaszcz?

Aline podeszła i przyjrzała się płaszczowi. Przesunęła dłonią po gładkiej powierzchni skóry, potem niechętnie cofnęła rękę i pokręciła głową.

– On nie jest dla mnie – powiedziała, a potem wskazała na Valianę. – To dla niej.

Valiana wstała z krzesła, jej wzrok przeskokzył z płaszcza na mnie i z powrotem.

– Ale ja nie... to jest... Nie wiem, co to znaczy.

– Jak masz na imię, dziewczyno? – spytała Krawcowa.

– Nazywano mnie Valianą z Hervoru – odparła z wahaniem.

– Nie, to nie jest twoje imię. I teraz to wiesz, prawda?

Dziewczyna powoli kiwnęła głową.

– Nienawidzisz księżnej i dobrze, ale powiem ci jedno: gdyby ta stara jędzia nie zajęła się wtedy twoją prawdziwą mamunią, kiedy byłaś w jej łonie, ta nigdy by nie donosiła tej ciąży. Twoja matka była biedną kobietą, do tego niezbyt zdrową.

– Miałam się nie urodzić – szepnęła Valiana.

– Zgadza się. Wtedy miałas nie przyjść na świat, a teraz na nim nie pozostaniesz.

– Co...? – zacząłem.

– Zamknij tę swoją durną gębę, Falcio – machnęła na mnie ręką. – Dziewczyno, jeśli mam być szczerą, nie ma dla ciebie miejsca na tym świecie. Wiem, jak się wszystko splata, i nie spotka cię nic innego jak tylko miecz jakiegoś rycerza wbity w brzuch. Ale świat potrzebuje czasem kilku porządných wstrząsów, więc zróbmy z tego jak najlepszy użytek.

Wyciągnęła płaszcz w stronę Valiany.

– Teraz będziesz potrzebować imienia i będziesz musiała sama je sobie wybrać. Na tym świecie ludzie nie muszą sami się stwarzać; mają rodziców, którzy mówią im, jak mają na imię, w co wierzą, kim są, ale ty tego nie masz, więc będziesz musiała sama to sobie znaleźć. Ale na początek masz to.

Krawcowa podała jej płaszcz i Valiana wsunęła ręce w rękawy. Pasował, jakby się w nim urodziła.

– Ale ja nie mogę być jedną z... Nie mam kwalifikacji ani szkolenia, ani...

– Kto tak powiedział? – spytała Krawcowa. – Uczyłaś się praw, zarówno królewskich, jak i książęcych, prawda?

– Musiałam, żeby przygotować się do...

– I założę się, że Hervor kazała ci brać lekcje szermierki, żeby się upewnić, że ta jej mała żółta będzie tam z tobą, żeby nauczyć się, jak się wbija komuś ostrze w plecy.

– Tak, ale nigdy nie byłam w tym najlepsza.

Krawcowa zarechotała.

– Cóż, ci trzej tu też nie, a jednak czasem im wychodzi. Nie martw się, dziewczyno. Bycie Wielkim Płaszczem nie polega tylko na sądzeniu, jeżdżeniu i machaniu mieczem, niezależnie od tego, co mówiły ci te durnie.

Wygladziła Valanie klapę płaszcza.

– Ale na to będzie czas później. Teraz musisz złożyć przysięgę.

– Jaką przysięgę? – spytała.

– Cóż, gdyby było tak łatwo, że ktoś ci mówi, co masz powiedzieć, to nie byłaby to żadna przysięga, prawda?

Valiana powiodła po nas wzrokiem.

– Nie rozumiem – chcesz, żebym złożyła hołd lenny Wielkim Płaszczom? Czy pamięci króla? Albo jakiemuś świętemu?

– Czy w to właśnie wierzysz? Za to chcesz umrzeć? Bo nie łudź się, dziewczyno, na końcu tej drogi jest płytki, zabłocony rów, w którym leży twój trup.

Valiana spojrzała na moment w oczy Krawcowej, potem odwróciła wzrok.

– Nie – powiedziała cicho. – To nie tak... że w to wszystko nie wierzę, ale z drugiej strony nie wiem już, co to znaczy wierzyć w cokolwiek. Moje życie zawsze obracało się wokół mnie, tak samo jak życie wszystkich wokół. Nie wiem nawet, na czym powinno mi zależeć. Nigdy nic nikomu nie obiecywałam, oprócz... – spojrzała na Aline, która siedziała na stołku i patrzyła na swoje dłonie – ...ciebie – dodała. – Obiecałam, że będę cię chronić, prawda?

Aline kiwnęła głową i lekko pociągnęła nosem.

Valiana popatrzyła na Krawcową.

– Czy to jest...?

Krawcowa położyła jej dłoń na twarzy, a potem wymierzyła jej lekki, niemal czuły policzek.

– Nikt ci tego nie powie, musisz to zrobić sama. Na tym właśnie polega wolność. Bo to nie prawo, by robić wszystko, co się chce, ale prawo, by dokonać wyboru i określić, za co chce się umrzeć.

Valiana stała przez chwilę bez ruchu, a potem uklękła przed Aline i wzięła ją za rękę.

– Posłuchaj, nie wiem, co to wszystko znaczy. Nie wiem, kim jestem ani ile życia mi pozostało. Myślałam, że jestem najważniejszą dziewczyną na świecie, a teraz okazuje się, że jestem nic niewarta, nawet mniej niż płaszcz na moim grzbiecie. Nie jestem niewinna, teraz to wiem. Moja ignorancja nie oznacza, że jestem wolna od winy. Ale ty tak. Nie zrobiłaś niczego złego, a teraz ktoś jedzie tu, cóż, jedzie tu zrobić coś okropnego. A ty nie zrobiłaś niczego złego. Powinnaś mieć prawo, by żyć i dojść do tego, kim chcesz zostać. Nie jestem silna i nie wiem, jak się używa broni, w każdym razie nie bardzo. Ale myślę... myślę, że potrafię być odważna, albo przynajmniej spróbować. Myślę, że jeśli ktoś będzie próbował cię zabić, będę mogła... nie wiem, osłonić cię ciałem. Nie wiem, jak dobrze potrafię walczyć, biegać

czy sądzić, ale kiedy pojawi się miecz, przysięgam na wszystko, na co chcę, żebym przysięgła, zatrzymam go, choćby samą sobą.

Chciałem się odezwać, ale nie mogłem. W pokoju zapadło ciężkie milczenie; wszyscy staliśmy i słuchaliśmy cichego łkania Valiany.

Nie wiem, jak długo tak czekaliśmy, ale w końcu Valiana obejrzała się na Krawcową, która skinęła jej głowę, tylko raz.

– Krawcowo... jak...? – udławiłem się tymi słowami, zanim zdołałem jej wydusić.

– Cii – odparła, wciąż patrząc na dziewczętą.

Po chwili Aline wzięła prawą dłoń Valiany i położyła ją sobie na policzku. W jakiś sposób wiedziałem, że to zrobi... Wiedziałem, bo...

– Nie – powiedziała do mnie Krawcowa – jeszcze nie. Nie jesteś jeszcze gotowy, żeby zrozumieć.

Potem wykonała drobny ruch ręką, jakby przeciągała igłę przez materiał, i pytanie zniknęło.

– Czy tak jest dobrze? – spytała Valiana. – Czy to jest przysięga? Dobrze ją wypowiedziałam?

Teraz Krawcowa popatrzyła na mnie.

– I jak, Falcio, uważasz, że dobrze wypowiedziała?

– To moja przysięga – stwierdziłem. – Ta sama, którą złożyłem królowi. I wygłosiłaś ją idealnie.

– Więc to wszystko? – spytał cicho Kest. – Płaszcz i przysięgi to wszystko, co nam zostało?

Krawcowa wymieniła z nim spojrzenia, podeszła do niego i wzięła go za rękę.

– Znasz już odpowiedź, prawda, chłopcze? – spytała, stukając go palcem w głowę.

Kest skinął.

– I wiesz, kto nadchodzi, prawda? – spytała, tym razem łagodniej.

– Wiem.

– A więc uczyłeś się i ćwiczyles, i uważasz się teraz za najlepszego na świecie, prawda?

– Tak było. I jestem najlepszy.

– I wiesz, że to nie wystarczy, prawda?

Wydało mi się, że widzę cień łyzy w jego oku, kiedy odpowiadał:

– Wiem.

Poklepała go po ramieniu.

– Powiem ci jedno: bardzo się starałeś i wiele się nauczyłeś. Ale masz za dużo tutaj – klepnęła go w czoło – i tutaj – poklepała go po ramionach – ale za mało tutaj – przyłożyła mu czubek palca do piersi. – A teraz zbliża się twój czas i nie jesteś gotowy.

– Ile jeszcze? – spytał Kest.

– Jak długa jest nić w mojej dłoni? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie wiem – odparł.

Krawcowa powiedziała:

– Dzisiaj. To będzie dzisiaj.

– Nie rozumiem – oznajmiłem jej. – Nic już z tego nie rozumiem.

– Nie masz rozumieć – warknęła zirytowanym tonem. – Przekłęci trybuni: zawsze musicie wiedzieć, co robić albo gdzie się schować, albo kogo zabić. Teraz już nie o to chodzi. Nie mamy wiele czasu, a ten, który mamy, nie jest na sądenie, jeżdżenie ani walkę. Macie go przeżyć, tyle ile wam jeszcze zostało.

Podeszła ciężko do drzwi i otworzyła je. Cmoknęła na Bestię, która czekała na zewnątrz, a wieszcz koń otworzył paszczę i zarżał.

Krawcowa zignorowała to ostrzeżenie i położyła ręce po bokach pokrytego szramami pyska stworzenia.

– Pójdiesz teraz ze mną. Mam dla ciebie zadanie. W tej chwili nie możesz im pomóc, choć bardzo byś tego chciała. Ty i ja jesteśmy siostrami – powiedziała z zadumą. – Starymi, złamanymi, pokaleczonymi i gniewnymi. Zabrali nam wszystko.

Odwróciła się do nas plecami.

– Zabrali wszystko – powtórzyła. – Wszystko, co dobre na tym świecie.

Potem rozwarła drzwi szeroko.

– A teraz idźcie i pokażcie im waszą odpowiedź.

EGZEMPLARZ PROMOCYJNY

ŚWIĘTY OD MIECZY

Cokolwiek spodziewałem się zobaczyć, kiedy dotrzemy do drogi, nie była to Patriana, księżna Hervoru, z jednym uzbrojonym strażnikiem u boku. Siedziała na pniaku, elegancka, jak to tylko możliwe, i czytała książkę. Jej towarzysz był opancerzony od stóp do głów, ale był to tylko jeden człowiek i nie stanowił dla nas większego zagrożenia. Naturalnie więc spodziewałem się, że jesteśmy otoczeni.

– Jesteśmy zupełnie sami – powiedziała księżna, gdy podszliśmy bliżej. – Nie powinniście się na razie obawiać strzały w plecy.

– Ach, ulżyło mi – powiedział Brasti, wyciągając strzałę z kołczana. – Czekajcie, chłopcy, zabiję tylko tę starą krowę i zaraz wracam.

Księżna uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

– Och, gdyby to było takie proste.

Wskazałem na dwa konie przywiązane do drzewa w pobliżu pniaka.

– Podróżowaliście bez bagażu – powiedziałem.

– Niestety tak, wozy nie zdołałyby utrzymać tempa, którego potrzebowaliśmy, by was dogonić. Choć taka podróż jest całkiem przyjemna, jeśli ma się odpowiednie towarzystwo.

– Jak mniemam, chciałaś tu dotrzeć przed księciem Jillardem? – spytałem.

– Tak. Dziękuję ci bardzo za to, że wykradłeś tę małą dziewczynkę z Rijou. Jak widać, książę jest zdecydowany ją zabić i nie mogę mu pozwolić, żeby was schwytał. Zdołał zebrać armię swoich najwierniejszych żołnierzy i poprowadził ich Wschodnim Przejściem i przez Arkadę; już niedługo nadjedzie tą drogą. Nie zamierzam nadal tu być, kiedy się zjawi. – Zmierzyła naszą piątkę wzrokiem. – Ojej, widzę, że ładnie się wystroiliście na naszą wizytę. A ty, moje drogie dziecko – popatrzyła na Valianę – ależ ty dorośle wyglądasz w tym uroczym płaszczu.

– Nudzi mnie to – powiedział Brasti. – Może jest jakiś sposób, żebyśmy po prostu cię teraz zabili i, nie wiem, pograli w jakąś grę twoją głową?

– Nie sędzę, żebyś dobrze się bawił, rzucając moją głowę jak piłką, trattari. Uwierz mi, robiłam to więcej niż raz i nawet głowa zdrajcy szybko robi się rozmiękła.

Nie po raz pierwszy byłem zadziwiony, że świat potrafi znieść ciężar tak wielu plugawców.

– Poza tym – dodała – odkryjesz, że cierpliwość jest interesującym towarzyszem. Jestem cierpliwa prawie od dwudziestu lat i podejrzewam, że poczucie ukończenia mojego planu będzie dzięki temu opóźnieniu jeszcze bardziej satysfakcjonujące.

– Dobra, teraz nawet ja jestem znudzony. Czego chcesz? – spytałem.

– Pertraktacji – odparła.

– Co?

– Nie trzeba być takim skromnym. Macie świadectwo rodowodowe, a ja go potrzebuję. Nie chcę, żeby Jillard je odzyskał, i jestem skłonna negocjować.

– W porządku – powiedziałem. – Bezpieczny przejazd dla naszej piątki i beczka złotej cebuli.

Księżna przez chwilę się zastanowiła, a potem powiedziała:

– Nie, obawiam się, że to niemożliwe. Chociaż złota cebula byłaby może wykonalna, jeśli mógłbyś na tym poprzestać. Obawiam się jednak, że większość z was naprawdę musi umrzeć najszybciej, jak to możliwe.

– Rozumiesz, jak sądzę, dlaczego nieszczególnie nas to urządza – zaznaczyłem.

– To nie okrucieństwo z mojej strony – powiedziała szczerze. – Dziewczynki muszą umrzeć, bo tak naprawdę żaden z moich planów nie powiedzie się, jeśli pozostaną przy życiu. Łucznik obraził księcia Peraulta, a więc musi zginąć. I oczywiście obecny tu Kest, „Miecz Króla”, jest już zarezerwowany. – Patriana miło się uśmiechnęła. – Ale ty możesz wrócić ze mną, Falcio, ty i ten rozkoszny konik. Gdzie on jest? Ty i ja mamy wspólny interes do omówienia.

– Brasti, poślij strażnikowi strzałę w twarz, Kest, zetnij jej głowę – zobaczymy, czy doleci do tamtego drzewa – rozkazałem.

– Pojedynek – wystrzeliła Patriana.

– Co?

– Żądam prawa do pojedynku, by rozwiązać tę kwestię. Królewskie prawo mi to umożliwia.

Brasti patrzył na pancernego sponad swojej strzały.

– Pani, jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie żądać prawa do gotowanej ryby, ale ja kończę te gierki.

Brasti wypuścił strzałę. Z tysiąc razy patrzyłem, jak strzela, i nigdy nie widziałem, by chybił, nie z takiej odległości.

– To nic – powiedział mu cicho Kest. – Nie chybiłeś.

Strażnik wciąż stał w miejscu i wyglądał, jakby się nie poruszył. Ale zauważyłem, że miał teraz w dłoni rapier, a na ziemi u jego stóp leżała przecięta dokładnie na pół strzała.

– Wszyscy marzymy, by spotkać świętych, gdy umrzemy, prawda? – odezwała się księżna Hervoru. – Cóż, właśnie udało wam się to pierwsze, więc teraz czas na to drugie.

Strażnik zdjął hełm. Miał krótkie czerwone włosy i świdrujące oczy, a jego twarz była czerwona, koloru rozlanej krwi. Wokół niego rozpościerała się czerwona poświata. Na jego widok nasze konie stanęły dęba, a potem zarżały z przerażeniem i uciekły z polany.

– Święci i bogowie – wyszeptał Brasti.

– Wolimy, żebyście nie wzywali nas nadaremno – powiedział Caveil Co Przecina Wodę, Święty od Mieczy o krwawym obliczu. – Czasem nawet nas to złości.

– To niemożliwe – powiedziałem. – Święci nie...

Mój mózg pracował na najwyższych obrotach, starając się zrozumieć, co się dzieje. Czy to podstęp? Czy to tylko jakiś przerażający człowiek z pomalowaną na czerwono twarzą? Ale ta strzała...

– Och, to nie takie trudne, jak może się wydawać – zaczęła księżna. – Jeśli mocno się postarasz i będziesz gotów do poświęceń, to naprawdę możesz dojść do porozumienia z każdym.

Wstała i oznajmiła:

– Oto moje stanowisko negocjacyjne: możesz pojedynkować się z moim mistrzem, przegrać, a wtedy pozbawię was doku-mentów i życia, albo spróbujecie uciec, święty Caveil was zabije, a zatem i tak pozbawię was zwojów i życia.

– Jaka to różnica? – spytałem, wciąż wpatrując się w świętego chodzącego po ziemi.

– W mojej wersji zginiesz, robiąc coś wielkiego i szlachetnego. Wiem, ile to dla ciebie znaczy, Falcio.

Święty zdjął zbroję, kawałek po kawałku, odsłaniając mocne, smukłe ciało. Miał na sobie czarną kamizelę, która zakrywała mu tors; tam, gdzie widać było skórę, była ona krwistoczerwona jak na twarzy. Mimo tego wszystkiego jego wygląd nie zrobił na mnie większego wrażenia niż stu innych moich przeciwników, którzy byli równie mocno umięśnieni i wytatuowani. Ale dało się w nim wyczuć jakąś siłę. Święty: uosobienie ideału, w tym przypadku mistrzostwa we władaniu bronią.

„Cóż – pomyślałem – jeśli już muszę umrzeć, jest przynajmniej piekielnie duża szansa, że ktoś napisze o tym pieśń”. Tyle że on i tak zamierzał zabić nas wszystkich, a wtedy nie będzie nikogo, kto mógłby o tym opowiedzieć. Chyba że księżna będzie tak dobra...

– W porządku – powiedziałem, wyciągając rapier z pochwy. Święty wybuchnął śmiechem.

– Ty? Nie bądź głupi. Nie umiesz nawet dobrze tego trzymać. Obrócił się do Kesta.

– Ty. To po ciebie przyszedłem. – Potem spojrzał Kestowi w oczy. – Zawsze to wiedziałeś, prawda?

– Tak – powiedział po prostu Kest.

– I wiesz, jak to się skończy, prawda?

– Wiem.

Caveil się uśmiechnął.

– Niedobrze jest stawiać się ponad świętym, dziecko.

Kest wzruszył ramionami.

– Święty to przecież tylko mały bóg.

Święty wciąż się uśmiechał.

– Ale podoba mi się ten płaszcz – powiedział. – Mogę go wziąć po tym, jak cię zabiję?

– Zgoda. Mam w zamian jedną prośbę – powiedział Kest.

– Niech będzie, choć to nie ma sensu.

– Puść przodem moich przyjaciół. Jeśli przegram, łatwo ich dogonisz, a jeśli wygram, zasługują na fory, w razie gdyby przybyła armia księcia.

– Wykluczone – powiedziała księżna. – Twoi przyjaciele zostają tutaj! To nie potrwa dłużej niż kilka sekund!

Święty nie spuszczał Kesta z oczu, ale odezwał się do księżnej:

– Siedź cicho, kobieto. Twoje osłe ryki mnie obrażają.

– Zostałeś wyznaczony – zaczęła.

– Zostałem wyznaczony – przerwał – by zabić tego człowieka. Ale nie przybyłem tu, by zniszczyć go jednym ciosem.

Dostaniesz swoją zemstę, ale ja dostanę swoją rozrywkę. Nie bój się, szybko się nudzę i jestem pewien, że ten tutaj starczy mi tylko na kilka sekund. Do tego czasu możesz potrzymać zwoje, jeśli sprawi ci to przyjemność.

Księżna odebrała papiery z rąk Valiany i sprawdziła pieczęcie.

Kest obrócił się do mnie.

– Idź. Zabierz pozostałych. Niech piekła pochłoną to, co mówiła Krawcowa. Biegnijcie szybko i wytrwale.

Nie było sensu się sprzeczać: czy jeden z nas, czy pięcioro, nie mieliśmy szans ze Świętym od Mieczy. Ale mogliśmy uciec i złapać wieszczego konia, może uda mi się posadzić na nim Valianę i Aline; miałyby szansę uciec armii księcia Jillarda, jeśli księżna mówiła prawdę i za naszymi plecami nie było ludzi księcia Orisonu.

– Przygotujcie się – powiedziałem do pozostałych. – Biegniemy między drzewa i potem przez pola.

Wątpię, by była tak głupia, by mi uwierzyć, ale nie miałem ochoty mówić jej prawdy o celu naszej ucieczki.

Obróciłem się do Kesta, by się pożegnać. Był moim najstarszym przyjacielem i właśnie zaraz zginie, by dać mi ostatnią, rozpaczliwą szansę.

– Kest? – odezwałem się.

Wpatrywał się w świętego Caveila, który stał ze stopami rozstawionymi na szerokość barków i trzymając swobodnie rapier w dłoni, uśmiechał się do nas.

– Nie... widzę – powiedział Kest, mrużąc oczy.

– Co się dzieje? – spytałem.

Czy Caveil robił coś z jego wzrokiem? Czy święci oszukują?

– Falcio, ja nie widzę... Nie widzę, jak porusza rapierem... – Kest mrugał jak oszalały i dziwnie oddychał.

Znów spojrzałem na świętego. Nie poruszył się.

– Kest, o czym ty mówisz? On się nie rusza.

– Posłuchaj – powiedział Kest. – Tylko posłuchaj.

Tak zrobiłem i z początku myślałem, że słyszę jedynie wiatr ze wschodu, ale potem odkryłem te delikatne rytmiczne świsty, subtelne, niemal melodyjne wibracje powietrza: odgłos, który wydaje dobra klinga, gdy przecina powietrze.

Spojrzałem jeszcze raz na świętego Caveila, który zdawało się, że wcale się nie rusza, lecz przecinał rapierem powietrze tak szybko, że moje oczy nie mogły za nim nadążyć.

– Prawie to... prawie to dostrzegam – wymamrotał Kest. – Rozmazuje się... tak, tu jest, nie, czekaj... prawie...

Nie wiedziałem, co mogę zrobić dla Kesta.

– Idźcie! – zawołałem do Brastiego i pozostałych.

Kest chwycił mnie za ramiona i spojrzał mi w oczy. Wyglądał, jakby oszalał.

– Falcio, musisz coś dla mnie zrobić.

– Wszystko – powiedziałem.

– Pokonałeś mnie – ten jeden raz na zamku ze mną wygrałeś. Powiedz mi, jak to zrobiłeś. Może mógłbym... może jest coś, czego jeszcze nie próbowałem, coś, czego nie widziałem, albo jakaś technika...

Serce mi się ścisnęło. Mogłem położyć się na ziemi i zwyczajnie poczekać, aż święty mnie zabije, albo strątuje mnie armia księcia, czy też spotka mnie którakolwiek ze stu innych śmierci, które na mnie czekały. Przez całe moje życie Kest był jak góry, oceany czy niebo: nie bał się niczego i nic go nie złościło. Wszystko było dla niego zwyczajnie interesujące – a teraz popadał w obłąd.

Położyłem mu ręce na ramionach i wyszeptałem do ucha, w jaki sposób pokonałem go tamtego dnia w zamku Aramor. A kiedy skończyłem, pocałowałem go w czoło i pożegnałem.

Przez chwilę lekko się do mnie uśmiechał, a potem powiedział:

– No cóż, to chyba tu nie zadziała, co? Ale pewnie wszystkiego warto choć raz spróbować.

Z tymi słowami odwrócił się i wydał okrzyk wojenny, którego nigdy u niego nie słyszałem, jego rapier zabłyśnął w słońcu i Kest ruszył w kierunku Świętego od Mieczy, podczas gdy ja zostawiłem go za sobą i popędziłem co sił w nogach.

Kiedy armia książąt przybyła do zamku króla Paelisa, liczyła pięćset konnych, tysiąc pieszych, dwustu łuczników i cały szereg maszyn oblężniczych – dość ludzi, by toczyć wojnę przez wiele tygodni. Kiedy dotarli do głównej bramy, powitał ich Primar, królewski pokojowy.

Primar był dobrym chłopcem, miał jedenaście lat i zawsze chciał się wszystkim przypodobać, więc gdy przednia straż dotarła do bramy, otworzył ją i spytał, czy ktoś życzy sobie coś do picia, by przepłukać gardło z kurzu drogi. W lewej ręce trzymał herb króla, w prawej miał układ podpisany przez króla i pierwszego kantora wędrownych trybunów.

Według Primara generałowie spędzili chwilę na lekturze dokumentu, a potem obrócili się do Primara i poprosili o herbatę i ciasteczka. I chcieli się zobaczyć ze mną.

Kiedy twój wróg proponuje kompletną kapitulację, a alternatywą jest ponura krwawa wojna, która z pewnością zbierze obfite żniwo wśród twoich ludzi, łatwo jest być hojnym.

– Całkowite ułaskawienia dla wszystkich trybunów? Tylko tyle?

– Tylko tyle – powiedziałem spokojnie.

– Żadnych sztuczek, chłopcze – powiedział do mnie generał. – Bo jeśli kłamiesz, dowiesz się, że są gorsze rzeczy niż szybka śmierć od miecza.

– Na mój honor, panie, przysięgam, że zamek będzie wasz, trybuni zostaną rozwiązani, a król będzie oczekiwał was z niecierpliwością w sali tronowej.

– Dobrze, dobrze – powiedział generał, kładąc traktat na stole, by go podpisać.

Jeden z jego towarzyszy prychnął, co zwróciło moją uwagę. Był to starszy człowiek ze szczeciniastymi siwymi włosami i bujnym wąsem. Jego płaszcz wydał mi się przez chwilę dziwny, ale potem zdałem sobie sprawę, że to tylko wzorek z oleiszczy niebieskich kwiatków na jego prawej piersi.

– Widziałem w swoim życiu siedem wojen – zaczął. – Wojny przeciwko barbarzyńcom z Awares, przeciwko Wschodowi, a nawet wojny z innymi książętami. I tak, widziałem tchórzstwo, wiele razy. Ale są tchórze i tchórze i chłopcze, ktoś, kto wysłał swojego pana na śmierć za akt łaski na skrawku papieru, jest tchórzem, jakiego nigdy nie widziałem.

– Czy jest coś, czym mogę służyć panu generałowi? – spytałem.

Znów prychnął.

– Tak, chłopcze, możesz mi powiedzieć, jakie to księstwo wydało takiego tchórze jak ty, żebym mógł tam pojechać i zganić tamtejszego księcia.

– Ależ generale – odparłem – jestem rodem z Pertynii, gdzie tchórze rosną jak polne kwiaty na zboczach wzgórz.

– Powinienem cię zabić za tę impertynencję, psie! – ryknął.

– Tak, generale – odpowiedziałem – to była impertynencja. Ale obawiam się, że w tej sytuacji będziesz musiał okazać mi łaskę.

– Dość – powiedział głównodowodzący, podając papier następnemu w hierarchii. – Decyzja została podjęta. Przyjmujemy traktat. Nasza awangarda natychmiast wejdzie do zamku.

Ukloniłem się i stanąłem z boku, gdy przechodzili. Generał z Pertynii posłał mi spojrzenie pełne jadu, ale nie mógł zrobić nic innego, jak tylko przełknąć to łajno, którym go nakarmiłem. Przynajmniej tyle mieliśmy wspólnego.

Wiele godzin później byłem wciąż poza zamkiem, czekając na wiadomość. Wezwał mnie posłaniec i znów przyprowadzono mnie do głównodowodzącego.

- Uzurpator ma prośbę – powiedział.
- Kto taki?
- Król, chłopcze, król. Ma prośbę i w tych okolicznościach jestem skłonny na nią przystać.
- Jaka to prośba, generale?
- Chce się z tobą zobaczyć.

Przez chwilę myśli zawirowały mi w głowie i próbowałem opracować jakiś plan – ucieczkę, może jakieś otrucie strażników, cokolwiek.

Generał zaśmiał się cicho.

- Chłopcze, życie czasem przynosi nam cierpkie owoce, co?
- Zgadza się, generale.
- Cóż, nie wyobrażaj sobie za dużo. Dwaj moi ludzie pójdą z tobą na wieżę, gdzie jest trzymany Paelis. Zobaczysz się z nim, powiesz mu coś, zaśpiewasz, nie dbam o to, ale kiedy przyjdą po ciebie strażnicy, spokojnie zejdziesz na dół i opuścisz zamek wraz z towarzyszami.

- I co wtedy? – zapytałem.
- Wtedy dokonamy egzekucji króla i ruszymy dalej.
- Przykro mi, generale – powiedziałem – ale przyrzekam ci, że tak się nie stanie.

Spojrzał mi prosto w oczy i roześmiał się.

- Mógłbym ci prawie życzyć szczęścia, chłopcze, ale obawiam się, że na tym świecie szczęścia nie znajdziesz.

Dogoniłem Brastiego, Valianę i Aline wśród pofalowanych pól pokrywających Księstwo Pulnam. Valiana robiła, co mogła, ale Aline miała tylko trzynaście lat i jej nogi po prostu nie mogły nadążyć. Chwyciłem ją i poniosłem na barana przez jakiś czas, ale wszyscy byliśmy wyczerpani przez drogę z Orisonu i nie mogliśmy zrobić ani kroku dalej. Kiedy dotarliśmy do szczytu wzgórza, wszyscy zwaliliśmy się na ziemię, żeby odpocząć.

- Myślisz, że ile mamy czasu? – spytała Valiana.

– Nie wiem – powiedziałem. – Wątpię, by walka mogła wciąż trwać, ale kto wie, jak szybko chodzi święty?

– Całkiem szybko – stwierdził Brasti, spoglądając w dół wzgórza.

Wstałem i podążyłem wzrokiem za jego ręką. Jakieś pół mili od nas zobaczyłem idącą w naszym kierunku postać. Z tej odległości nie widziałem szczegółów, ale dostrzegłem słabą czerwoną aurę, jaką roztaczał.

Brasti miał lepszy wzrok ode mnie. Zmrużył oczy.

– Widzę tego czerwonego skurwiela – powiedział.

Spojrzałem jeszcze raz i z trudem dojrzałem krwistą czerwień jego twarzy. A potem dostrzegłem, że ma na sobie płaszcz Kesta. Dobyłem rapiera i zacząłem iść w dół zbocza.

– Falcio! – zawołał Brasti.

– Weź Valianę i Aline i idźcie. Powstrzymam go tak długo, jak będę mógł.

– Falcio, wracaj, proszę!

– Biegnijcie! – krzyknąłem.

Wciąż wołali, ale nie zwracałem na nich uwagi. Święty czy nie, jeśli nic innego nie pomoże, rzucę mu się pod nogi, mając nadzieję, że się o mnie potknie. Kurzawa podnosiła się wraz z popołudniowym upałem i zaczęła mi się wciskać do nosa i ust, sprawiając, że zacząłem kasłać. Znalazłem dobre miejsce pośrodku ścieżki i zamknąłem oczy. Jeśli i tak nie zobaczę, jak macha rapierem, to równie dobrze mogę uderzać na ślepo, licząc, że mi się poszczęści. Nie wiem, czy Szczęście jest bogiem, ale jeśli tak, to któregoś dnia postaram się zawrzeć z nim lepszą umowę.

Usłyszałem kroki zbliżającego się świętego, jednak nie otwierałem oczu i szykowałem się, żeby zadać najszybsze cięcie, na jakie mnie stać. Kiedy poczułem ciepło jego ciała, puściłem rapier w ruch. Równie dobrze mogłem ciąć samego siebie. Usłyszałem, jak uderzenie mija go, i opuściłem sztych głowni, czekając na nieuniknione.

– Mam pytanie – odezwał się ochrypły głos – kto walczy z zamkniętymi oczami?

Otworzyłem szeroko oczy i zobaczyłem go. Jego twarz rzeczywiście była koloru krwi – głównie dlatego, że krwawiła z tuzina płytkich skaleczeń.

– Kest! – wrzasnąłem. – Kest! Jak to możliwe!? Jak mogłeś pokonać Świętego Caveila Co Przecina Wodę!?

– Mówiłem ci... – powiedział Kest, kaszląc. – Był świętym, czyli w zasadzie tylko małym bogiem.

A potem na mnie upadł.

Usłyszałem krzyki Brastiego, Valiany i Aline pędzących w dół w naszym kierunku. Objęli Kesta, który nie mógł złapać tchu.

– Nie wiedziałem, że tak mało trzeba, żeby łąsiły się do mnie wszystkie kobiety w okolicy – powiedział wreszcie.

– Tak mało? – wypuścił powietrze Brasti. – Bogowie, człowieku, zabiłeś świętego! Wiesz, kim teraz jesteś?

– Błuźniercą?

– Nie, człowieku, zabiłeś Caveila, który był Świętym od Mieczy. To znaczy, że jesteś teraz nowym Świętym od Mieczy. Mam przyjaciela świętego!

– Uwierz mi, Brasti, wszyscy twoi przyjaciele muszą być święci.

– Coś tu się nie zgadza – zwróciłem się do Kesta.

– Co takiego?

– Ty żartujesz.

– Życie jest zabawne – orzekł.

– Dlaczego?

– Pamiętasz, co mi powiedziałeś, zanim odszedłeś? O tym, jak mnie pokonałeś?

– Tak, ale...

– Możesz mi wierzyć lub nie, a nie sędzę, żebyś miał jakiś wybór, ale to mogło zadziałać.

Zacząłem się śmiać, ale Brasti przerwał nam, pytając:

– Co z księżną?

– Uciekła. Obawiam się, że byłem nieco zbyt zajęty, by sobie z nią poradzić.

– Zostawcie go na chwilę – powiedziała Valiana. – Musi odpocząć. Mamy trochę czasu.

Pokręcił głową.

– Nie, obawiam się, że nie bez powodu biegłem tak szybko.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Do licha – powiedział Brasti i zobaczyliśmy, jak w oddali wznosi się kurzawa i armia księcia Jillarda maszeruje w naszym kierunku w górę wzgórza.

– Kolejna szansa, by zginąć bohaterską śmiercią, co, przyjaciele? – powiedział Kest.

Potem położył się jak długi na ziemi, podczas gdy reszta z nas patrzyła, jak nadchodzą.

PIEŚŃ WOJENNA

Chciałbym móc powiedzieć, że mój król wyszedł na spotkanie swojej śmierci bez strachu, z uśmiechem na twarzy i żartem na ustach. Ale kiedy strażnik wpuścił mnie do komnaty w wieży, znalazłem Paelisa skulonego w kącie, trzęsącego się, szlochającego i kaszlącego.

– Nie sądziłem, że to będzie tutaj – powiedział wreszcie. – Myślałem... jakiś proces albo publiczna egzekucja, jakaś szansa, by przemówić, ale to ma się stać tutaj, dziś, po ciemku.

Wydawał się tak mały i słaby, jak tamtego dnia dziesięć lat wcześniej, kiedy przyszedłem do zamku Aramor z rapierem w dłoni, gotów zamordować króla. Nie mogłem znaleźć słów, by odpowiedzieć.

– Nie – opanował się. – Nie, będzie dobrze. Nie sądziłem, że będę jeszcze mógł z tobą porozmawiać, ale ich generał jest rozsądnym człowiekiem i powiedział, że spełni moją prośbę, jeśli ta nie będzie zbyt wygórowana. Nie przyszło mi nawet do głowy, że może to zaproponować, więc nie umiałem wymyślić niczego poza tym, że dobrze byłoby jeszcze raz z tobą pomówić, Falcio. – Rozglądał się przez chwilę po komnacie. – Bogowie. W końcu udało mi się przekonać samego siebie, że już tu nie wrócę.

Wyobrażasz sobie? Dekada wolności i od razu, kiedy zaczynasz myśleć, że tak będzie zawsze...

– Wiesz, wolelibyśmy raczej zginąć. Odebrałeś nam to – wyrzuciłem z siebie w końcu. Był moim królem i przyjacielem, ale nie mogłem się powstrzymać. Swoją ostatnią decyzją pozbawił nas wszystkiego, co miało jakieś znaczenie.

Wziął moją dłoń i pocałował ją. Dziwny gest jak na króla.

– Wiem, że zrobilibyście to – odparł – ale nie mogłem na to pozwolić. Mój czas minął, Falcio, ale Wielkie Płaszczce są moim darem dla świata. Jedynym naprawdę ważnym dokonaniem mojego życia.

– Ale to już koniec – oznajmiłem. – Rozwiązano nas po wszystkie czasy.

– Nie – zaproponował. – Pamiętasz króla Ugrida? Próbował rozwiązać Wielkie Płaszczce i przez sto lat jego rozkaz był w mocy. Ale przywróciliśmy ich, Falcio, ty i ja: przywróciliśmy ich światu. I możesz zrobić to znowu.

– Jak? – spytałem.

– Nie próżnowałem, Falcio, i nie mówiłem ci o wszystkim, co robię. Lata temu zacząłem ukrywać swoje czaroity po całym królestwie. Musisz je teraz odszukać. Ty, Kest i Brasti.

– Królu, już mi o tym mówiłeś i zrobię wszystko, by je znaleźć, ale czy nie możesz powiedzieć mi więcej?

– Tylko tyle, że są nieprawdopodobnie cenne i nawet jeden z nich jest w stanie obalić księżęta.

– Ale skąd będziemy wiedzieć, że jakiś znaleźliśmy? – spytałem.

– Jeśli nam się poszczęści, nie dowiecie się, bo tylko w ten sposób klejnoty będą bezpieczne, dopóki nie nadejdzie ich czas. Szukaj ich, ale nie spodziewaj się, że je znajdziesz. Rozumiesz?

– Nie – powiedziałem z rozdrażnieniem, które przeważało nad smutkiem. – Oczywiście, że nie rozumiem. Nikt by nie zrozumiał, bo to nie ma sensu.

– Uciszyć się na chwilę i posłuchaj – powiedział. – Zrobisz dla mnie jeszcze jedno.

Powiedział mi, co chce, żebym zrobił, i zgodziłem się, a potem usiedliśmy i on mówił, a ja słuchałem, choć nie pamiętam, co powiedział. Po jakiejś godzinie usłyszeliśmy strażnika wchodzącego po schodach, a ja wyjąłem czterocalowy nóż ukryty w jednej z kieszeni mojego płaszcza i wbilem go wprost w serce króla.

I tak dotrzymałem przysięgi danej generałowi, że to nie on zabije mojego króla.

W krótkim czasie armia księcia Jillarda się z nami zrównała. Nie było sensu dalej uciekać.

– Zabrałeś nas na wesołą przejażdżkę, Valiano – powiedział książę.

Stojący u jego boku Shiballe wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– To nie jest jej prawdziwe imię – powiedział Brasti.

Książę puścił to mimo uszu.

– Ale wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy dowiedziałem się od Shiballe’a, że wcale nie jesteś tak naprawdę moją i księżną Patriany córką, lecz progeniturą jakiejś wieśniaczki. Zresztą może i jesteś moim dzieckiem. W swoich kawalerskich czasach kładłem się w Hervorze z wieloma dziewczkami.

– Nie potrzebujesz jej – powiedziałem. – Możesz pozwolić jej odejść.

Książę zmarszczył brwi.

– Niby dlaczego miałbym to zrobić? Mam dziewczynę i wkrótce odzyskam zwoje, a ponieważ noszą one zarówno pieczęć moją, jak i Patriany, równie dobrze mogę ją zabrać i zrobić z niej jednak królową. Jestem pewien, że będzie podatna na moje sugestie po roku czy dwóch odpowiedniego szkolenia.

Spojrzał z góry na Aline.

– Ale ta mała musi umrzeć. Ma pewne niefortunne właściwości, które chciałbym wymazać z tego świata.

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego wymordowanie rodu Tiarrenów jest takie ważne?

Książę się uśmiechnął.

– Obdarta peleryno, ród Tiarrenów nic mnie nie obchodzi. Lord Tiarren był błaznem, a jego uroczą damą była dla mnie interesująca, tylko jeśli idzie o jej wcześniejsze powiązania.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziałem, chociaż nie miałem absolutnie nic na poparcie tego stwierdzenia.

– A to dlaczego? Wygląda na to, że mam za sobą całą armię.

– My mamy świętego – Brasti wskazał na Kesta.

– Wasz święty zdaje się nieprzytomny – odparł książę.

– Panie, ktoś się zbliża – powiedział Shiballe.

Książę obejrzał się, podobnie jak my. Przygarbiona postać powoli wspinała się na wzgórze.

– O nie, znowu ona – powiedział Brasti.

– Kto?

– Dobrze wiesz kto! – wrzasnęła z połowy zbocza.

Kilku ludzi księcia podbiegło i ją pochwyciło. Zaciągnęli ją do księcia i rzucili mu do stóp.

– Niech was bogowie błogosławią, chłopcy – powiedziała Krawcowa do żołnierzy. – Naprawdę nie wiem, czy dałabym radę wleźć na samą górę.

– Co tu robisz, stara? Czy tak nisko cenisz własne życie? – spytał natarczywie Shiballe.

– Nieszczególnie – odparła – skoro nikt nie ceni go wyżej. Ale wracając do odpowiedzi na pytanie waszej lordowskiej mości, przyszedłem dostarczyć ci wiadomość, a tym tutaj prezent.

– Obawiam się, że masz czas na wiadomość, lecz nie na prezent – powiedział książę.

Skinął na jednego z żołnierzy, który wymierzył kopię w brzuch Krawcowej.

– Panie – powiedział Shiballe – już wiem, kim jest ta kobieta. Słyszałem o niej plotki, o jej wpływie na Wielkie Płascze. Może wiecie, gdzie przebywają. Pozwól mi wydobyć z niej te informacje.

– Nie ma takiej potrzeby, mój tłusciutki – powiedziała Krawcowa. – Powiem wam dokładnie to, co chcecie wiedzieć, to, co chcieliście wiedzieć od dawna.

– A co to takiego? – spytał książę, niemal rozbawiony.

– Gdzie są Wielkie Płascze – powiedziała beztrosko, strąsając ziemię z rękawa.

– A więc? Gdzie one są?

– Ach – powiedziała, grożąc mu palcem. – To cię będzie kosztować. Niewiele; opłata jest bardzo rozsądna i jestem pewna, że będziesz chciał ją uiścić.

– Panie, oddaj tę kobietę w moje ręce. Ja ją...

– Czego chcesz? – spytał książę.

– To taka tycia drobnostka – powiedziała Krawcowa. – Chodzi o to, że ta ugoda, którą podpisali jaśnie panowie książęta i król, jakoś zawsze działała mi na nerwy. Ty nie możesz zabić mnie, ja ciebie... więc gdybyś mógł ją dla mnie złamać, byłabym bardzo wdzięczna.

Książę odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– „Ugoda”? Kobieto, nie sądzisz, że ugoda została złamana już jakiś czas temu? Myślisz, że co zamierzam zrobić, kiedy już wyjawisz mi, gdzie przebywają Wielkie Płascze? Bez obaw, starucho. Ugoda naprawdę została złamana.

– No i pięknie – powiedziała, a potem: – Widzisz? – zwróciła się do Shiballe’a. – Czy to było takie trudne?

Shiballe ruszał wściekle oczami, starając się zrozumieć, co się dzieje.

– A więc powiedz nam, głupia stara krowo. Powiedz, gdzie są Wielkie Płascze, jeśli naprawdę to wiesz.

Krawcowa podniosła wzrok na księcia i uśmiechnęła się.

– Są tutaj – powiedziała.

A potem wykrzyknęła w niebo pojedyncze słowo, tak głośno i wyraźnie, że przysięgam, iż drzewa musiały zachować ten dźwięk odcisnięty w ich korze po wsze czasy.

Słowo to brzmiało „Paelis”.

EGZEMPLARZ PROMOCYJNY

ODPOWIEDŹ

Z początku słyhać było tylko echo jej głosu, ale potem zabrzmiał za nami grom i ze zbocza uniosła się chmura pyłu.

– Konie – powiedział Brasti. – Musi być ich sto albo więcej.

Z początku widziałem tylko Bestię, która dudniła kopytami, pędząc przed chmurą kurzu. A potem wypadli z niej jeźdźcy i moim oczom ukazał się widok, o którym kiedyś marzyłem: setka Wielkich Płasczy na koniach, z uniesioną bronią i okrzykami bojowymi na ustach.

– Mówiłam ci – Krawcowa uśmiechnęła się do mnie złowrogo – wiem, gdzie jest każda nić i dokąd zmierza.

– Ale jak...?

– Książęta byli tak zajęci, próbując znaleźć i uśmiercić wszystkie Wielkie Płascze, znali wszystkie imiona i twarze, że podczas gdy oni szukali sposobu, by was wszystkich zabić, ja znalazłam sobie nowych, wyszkoliłam ich, i to porządnie. Muszę przyznać, że zebranie ich zajęło trochę czasu. Ten przeklęty głupiec Paelis. Miał zadatki na wielką armię i co zrobił? Rozpuścił ich na cztery wiatry. Ale ja stworzyłam swoje własne Wielkie Płascze i teraz zrobimy to po mojemu.

Księżę miał pięciokrotnie więcej ludzi od nas, ale tylko nie-licznych konnych, zaś reszty nie dało się do końca nazwać gotową do bitwy armią. Byli to zmobilizowani strażnicy pałacowi, których księżę przyciągnął przez Wschodnie Przejście, by rozprawić się z księżną Hervoru. Kiedy zobaczyli pierwszą szarżę trybunów, rozproszyli się niemal natychmiast.

– Zabić ją! – krzyknął Shiballe. – Zabić ich wszystkich!

Ale miałem już rapier w dłoni i z pomocą Kesta i Brastiego odtrąciłem kopie wymierzone w Krawcową, i otoczyłem ją, broniąc przed wszystkimi, którzy chcieliby wykonać rozkaz Shiballe'a.

Kapitanowie darli się na swoich ludzi, by stawali w szyku. W tym czasie Shiballe namówił księcia, by skryć się na tyłach.

– Pokazałam wam! – rechotała za naszymi plecami Krawcowa. – Wszystkim wam pokazałam!

Obejrzałem się i mignęła mi jej twarz. Staruszka wyglądała przerażająco, na wpół radosna i rozjuszona zdzierała z siebie ubranie, krzycząc pod niebo:

– Odebraliście mi go! Odebraliście mi wszystko, co dobre na tym świecie! To! – wrzeszczała. – To jest moja odpowiedź! To jest moja odpowiedź!

Teraz wirowała naga i tańczyła jak obłąkana, podczas gdy bitwa rozgorzała wokół nas.

– To był mój chłopiec! – krzyknęła, płacząc histerycznie – mój kochany chłopczyk! Zabraliście mi go!

– Święci, co jej się stało? – spytał Brasti.

Coś układało mi się w głowie: jakaś myśl, wspomnienie, fragmenty rzeczy, które widziałem i o których przelotnie myślałem, zaczęły się zazębiać.

– Sądzę... – zacząłem. Czy to naprawdę możliwe? – Sądzę, że ona może być jego matką – powiedziałem i rozlał się we mnie cały smutek świata. – Myślę, że może być matką króla.

– Ale jak? – Brasti gapił się na nią. – Greggor nigdy by... no bo popatrzcie na nią.

Kest przerwał:

– Tak, popatrzcie na nią: jej twarz nie zawsze tak wyglądała. Ktoś... może ktoś ją pobił, oszpecił...

– Odesłał mnie! – odkrzyknęła w odpowiedzi, podczas gdy wokół nas wirował kurz, konie i śmierć. – Kiedy urodziło się dziecko, kiedy nie spodobały mu się znaki, pobił mnie i zamknął, ale zniosłam to, bo wciąż mogłam się widywać z moim dzieckiem, nawet kiedy urosło i Greggor nazwał je słabym, i zamknął także i je, aż w końcu mnie odesłał. Nawet kiedy poślubił tę głupią krowę i miał z nią drugie dziecko, zniosłam to, bo jestem kobietą, a to był męski świat. To był jego świat.

Uniosła zaciśnięte pięści.

– Ale to wszystko nie mogło pozostać bez odpowiedzi, dlatego przynosiłam mu książki i opowiadałam historie. Zmusiłam go do myślenia.

– Wielkie Płaszcz – powiedział Kest z podziwem. – To była cały czas ona: to ona uczyła króla, ukształtowała jego myślenie.

– Ja to wszystko zaczęłam – skrzeczała, stojąc naga, pomarszczona i dumna w promieniach słońca. – To, co zrobił, nie mogło pozostać bez odpowiedzi, więc stworzyłam was. Dałam światu wielkiego króla i dałam mu sprawiedliwość.

Nagle zaczęła płakać, jak małe dziecko, które po raz pierwszy znajduje martwego ptaka.

– Ale wtedy mi go odebrali. Chciał tylko czynić dobro na świecie, a oni odebrali mi mojego synka. Więc musiała być na to odpowiedź – warknęła. – Kiedy ktoś zabiera ci ostatnią dobrą rzecz w twoim życiu, to nie może pozostać bez odpowiedzi.

– Idź! – zawołała, łapiąc mnie za kołnierz płaszcza z tak dzikimi i szeroko otwartymi oczami, że widziałem jasną czerwień otaczającej je skóry. – Idź i daj im moją odpowiedź!

Kiedy Kest i Brasti chwyтали konie poległych i wsiadali na nie, Bestia podbiegła do mnie i trąciła mnie łbem. Nie potrzebowałem kolejnego zaproszenia i wskoczyłem na grzbiet klaczy.

– Chodźcie, książęta, wy durnie! – krzyczała Krawcowa. – Chodźcie i patrzcie na odpowiedź kobiety...

Miałem mętlik w głowie od wszystkiego, co zrobiła, ale Kest pociągnął mnie za ramię.

– Jedźmy – powiedział. – Ja też jestem teraz gotów udzielić odpowiedzi.

Wjechaliśmy w środek bitwy. Byłem wyczerpany i tęskniłem za widokiem twarzy tych towarzyszy, których tyle lat nie widziałem – Dary, Winnowa, Parricka i innych – gdzie oni byli? Ale ci mężczyźni i kobiety na koniach to też były Wielkie Płaszczce: wprawni i nieustraszeni. Czułem, jak rośnie we mnie podniecenie, i wywijałem rapierem, gdy wbiliśmy się klinem w armię księcia, łamiąc jej szyki. Walczyliśmy jak drapieżne ptaki, wylatując i znów wpadając w gęszcz bitwy, niosąc śmierć z każdym atakiem.

Kest, Brasti i ja śpiewaliśmy: śpiewaliśmy wojenną pieśń Wielkich Płaszczcy. Śpiewaliśmy o sprawiedliwości i miłosierdziu, ale też o krwi i przemocy. Śpiewaliśmy, aż nasze głosy ochryły, a krew wymieszała się na ziemi z kurzem, wżerając się na zawsze w ten pejzaż śmierci.

Bitwa zajęła tylko godzinę, ale wydawało się, że znacznie dłużej trwało, zanim ludzie księcia złożyli broń i uklękli przed nami na ziemi.

– Czy to możliwe? – spytał Brasti z roztargnieniem Kesta i mnie.

– Że wygraliśmy? Na to właśnie wygląda – odparł Kest.

– Nie – powiedział – rozejrzyj się. Wszędzie widzę zabitych. Ziemia jest usłana żołnierzami i rycerzami. Widzę kilku rannych trybunów, ale chyba żaden z nas nie zginął.

Rozejrzałem się wokół, pewny, że nie miał racji, że zobaczę co najmniej jeden wielki płaszcz na ziemi.

– Bogowie – powiedział po chwili Brasti. – Co z nas by była za armia.

– Nigdy nie mieliście być armią, głupcze – odpowiedziała Krawcowa.

Brasti spojrział na nią.

– Widzę, że znalazłaś znów swoje ubrania. Jestem ci wdzięczny przynajmniej za to.

Wyszczrzyła do niego zęby.

– Nie spodobał ci się widok prawdziwej kobiety, co? No cóż, trudno. Czasem wszyscy musimy trochę zwariować, prawda, Falcio?

Pomyślałem o tym przez chwilę.

– A czasem musimy wrócić do normalności.

– Tak, to prawda – odpowiedziała. – A teraz zostaw resztę zabawy pozostałym. Idź rozprawić się z księżną. To wszystko na nic, jeśli ucieknie ze świadectwem rodowodowym i wróci tu z wojskiem i tą swoją przekłętą córeczką.

– Jak mam ją znaleźć? – spytałem, chwytając wodze Bestii.

– Pojechała na wschód – powiedziała Krawcowa. – Konno, ale jest starą kobietą, jak ja, i potrzebuje odpoczynku. Widziałeś za tymi wzgórzami jaskinie, kiedy jechaliście tu z Orisonu? Jedź tam, to jedyne miejsce, gdzie nie będzie na widoku. A teraz, gdy jej patron nie żyje, nie sądzę, by zostało jej dużo czasu.

Ktoś pociągnął mnie za rękaw.

– Weź mnie – powiedziała Aline – wtedy księżna będzie chciała nas znaleźć.

– Dlaczego? – spytałem.

Krawcowa uderzyła mnie w twarz.

– Choć raz w tym swoim bezużytecznym życiu przestań zadawać takie głupie pytania. – Potem spojrzała na dziewczynkę i uśmiechnęła się. – Dobrze z ciebie dziecko – powiedziała, głaszcząc ją po policzku. – A teraz idź, Falcio, i zrób, co do ciebie należy.

– Czy od samego początku taki był twój plan? – zapytałem, wsadzając Aline na grzbiet Bestii. – Czy wystawiłaś też na śmierć Lorda Tremondiego?

– Zrobiłam to, co musiałam, Falcio. Książęta nigdy nie pozwoliliby Lordom Karawan ponownie skrzyknąć Wielkich Płaszczy, ale odciągało to ich uwagę, podczas gdy ja przygotowywałam swoich ludzi.

– Plany ukryte w planach i spiski, by rozbroić inne spiski. Co cię właściwie odróżnia od Patriany? – spytałem.

Prychnęła i wytarła nos w rękaw swojego brudnego płaszcza.

– Ja nigdy nie zabiłam jej syna – powiedziała, a potem odwróciła się i odeszła.

W krótkim czasie dotarłem do jaskiń.

W zboczu góry było kilka wejść, ale niewiele tak wysokich, by mógł się w nich ukryć człowiek. Patriana nawet nie próbowała zacierać śladów.

– Masz dziewczynkę – rozbrzmiał echem głos księżnej.

– Mam coś jeszcze – powiedziałem, dobywając rapiera.

– Tak jak i ja – odparła, wyłaniając się zza rogu.

Zobaczyłem, gdzie się ukrywała – w skale znajdowała się mała naturalna wnęka. Była tam pochodnia, której płomień oświetlał ściany pieczary, i widziałem, że na ziemi obok księżnej leżą zwoje. W rękach miała kuszę wymierzoną w moją pierś.

– Możesz zostawić dziewczynkę i iść – powiedziała – albo zabić ją teraz, jeśli wydaje ci się to bardziej miłosierne, ale tak czy inaczej, zaraz zginie.

Zacząłem coś mówić, ale księżna była gwałtowną przeciwniczką i wystrzeliła bełt wprost we mnie.

Zawsze piłem z Kesta, który myślał, że rapier może zablokować bełt z kuszy, ale raz na bardzo długi czas człowiekowi może się poszczęścić. W tym przypadku zdołałem podnieść na wysokość brzucha oprawę rapiera w idealnym momencie, by zablokować bełt. Strzała przebiła stalowy kosz wokół rękojeści i wbiła mi się głęboko w prawą dłoń, ale nie mogło mnie to powstrzymać przed zabiciem Patriany.

– Jeśli sądzisz, że będę tu stał i pozwolę ci to naciągnąć, to obawiam się, że pomyliłaś mnie z kimś znacznie bardziej kulturalnym – powiedziałam.

Księżna rzuciła kuszę na ziemię.

– Dobrze – powiedziała – dość tych gier. To koniec. Idź i zabierz ze sobą tego bachora.

Prawie się roześmiałam.

– Chyba nie mówisz poważnie. Teraz będzie najlepsza scena, ta, w której ucinam ci głowę.

– Chcesz zwojów? Weź je. Zniszcz, jeśli chcesz. Jestem stara i zmęczona i to, o co walczyłam, nie ziści się za mojego życia. Więc idź sobie żyć i chędożyć dziewczki, i robić to wszystko, co mężczyźni robią ze swoim jałowym życiem.

Ogrzała dłonie przy pochodni.

– Zamierzasz mnie zabić? – spytała. – Więc zrób to. No, chodź, pokaż dziewczynce, jak naprawdę podejmuje się decyzje dotyczące władzy i polityki.

Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

– Słuchając twoich mądrych uwag i wnikliwych obserwacji, nie mogę się oprzeć, by nie pomyśleć: jak to jest być kompletnie obłąkaną? – spytałam.

Zaśmiała się.

– Jesteś małym chłopcem – stwierdziła. – Podstarzałym, to fakt, ale jednak chłopcem.

Kaslnąłem. Nie wyciągałem wiele z tej rozmowy, zważywszy na to, że to ja trzymałem rapier.

– Zastanów się: z tymi zwojami mógłbyś wziąć Valianę i ukształtować świat tak, jak będzie ci się podobało. Wyobraź sobie tysiąc Wielkich Płaszczy, sto tysięcy, i wszyscy w całym kraju będą wymierzać sprawiedliwość według twojego upodobania.

– Widzę, że zupełnie nie rozumiesz, jak to działa – powiedziałam. – Zamierzam zniszczyć te zwoje, a Jillard nie podpisze

ich drugi raz, wiedząc, że to Trin chcesz osadzić na tronie. On wie, że zdobyłaś dla niej koronę, by panowała w twoim interesie, nie jego. Gdy świadectwo rodowodowe pójdzie z dymem, to samo spotka twój spisek. Niech reszta świata sama ustala, kto ma nią rządzić.

Popatrzyła na mnie, mrużąc oczy, a potem zaczęła się śmiać.

– Ty nie... Bogowie, Falcio, jeśli nie wiedziałeś o... to po co tak się trudziłeś, żeby...? Nie, dam ci to odkryć samemu. Muszę ci to przyznać, Falcio val Mondzie, w rzeczy samej nie znam człowieka dzielniejszego od ciebie, i zaledwie jakichś dwóch głępszych.

Uniosła zwoje prawą ręką i trzymała je nad płomieniem.

– A więc podejdź bliżej. Spalmy je razem. W hołdzie marzeniom starej kobiety.

Wypuściła zwoje i dopiero wtedy zauważyłem proszek w jej lewej dłoni.

– Aline, uciekaj! – krzyknąłem i dziewczynka umknęła dokładnie w chwili, gdy księżna rozsypała proszek nad ogniem. Nastąpił wybuch i przez chwilę Patrianę i mnie spowił ciemnoczerwony dym. Równie szybko się rozwiął.

Aline stała u wylotu jaskini, poza zasięgiem dymu.

– Biegnij! – krzyknąłem do niej. – Przyprowadź Kesta i Brastiego.

Potem odwróciłem się do księżnej, ale stwierdziłem, że już nie żyje. Kaslałem trochę od pyłu i dymu w płucach i zdałem sobie sprawę, że ja też.

To naprawdę dość dziwne, że przed przybyciem do Rijou nigdy nie zostałem otruty, a od tamtej pory już trzy razy. Tak, wcześniej bito mnie i torturowano, miałem skaleczenia, siniaki, rany od strzał i bełtów i niezliczone spotkania z ostrym końcem czyjejś broni, ale nigdy z trucizną.

Teraz nie mogłem się od tego draństwa opędzić.

Leżałem, opierając się o ścianę jaskini, i stopniowo traciłem czucie w palcach stóp i rąk. Czułem, jak odrętwienie powolutku przesuwają się wzdłuż moich rąk i nóg, i zastanawiałem się, co się stanie, gdy dojdzie do serca.

Brak czucia był dziwnie przyjemny. Nie miałem świadomości, ile bólu zgromadziło się w moich kończynach przez kilka ostatnich tygodni – święci, przez wiele ostatnich lat.

Zastanawiałem się, dlaczego to wszystko się wydarzyło. Księżna i jej spisek – to rozumiałem, o tyle, o ile można zrozumieć połączenie szaleństwa, chciwości i głodu władzy, ale reszta była dla mnie w większości skryta za mgłą. Pewnie tak to już jest. Poeci i minstrele widzą pełny obraz, ale ludzie jak ja spędzają całe życie między dwoma sprytnie ułożonymi wersami i nigdy nie poznają ich prawdziwego znaczenia.

Słyszałem, jak Aline wraca z Kestem i Brastim. Valiana też była z nimi.

– Bogowie, co mu się stało? Falcio, gdzie cię boli? – spytał Brasti.

– Już prawie nigdzie – powiedziałem z uśmiechem.

Klęknął przy mnie i, jak sądzę, to, czego użyła księżna, musiało zrobić coś z barwą mojej twarzy, bo Brasti zapytał:

– Truczizna?

Skinąłem głową. Albo tak mi się wydaje. Nie miałem już pewności. Kręciło mi się w głowie.

Valiana obeszła mnie z drugiej strony i Brasti chwycił ją za ramię.

– Co robimy...? Co możemy dla niego zrobić?

Jej smutne oczy spojrzały na moment w moje, potem powiedziała:

– Nie wiem. To chyba neatha. Moja matka, to znaczy księżna, używała jej czasem przeciwko swoim wrogom. Nikt tego nie przeżył. Jest bardzo szybka, ale niebolesna.

Resztką zmysłów poczułem na policzku coś mokrego.

Brasti miał łzy w oczach.

– Bogowie, człowieku, nie zaczynaj mi tu znowu – powiedziałem cicho. – Zdobędziemy okropną reputację, jeśli będziemy tak jeździć po wioskach i bez przerwy płakać.

– Falcio?

– Witaj, moja bezimienna przyjaciółko. Wymyśliłaś już sobie jakieś imię?

– Tak mi przykro...

– Nie mów tak – powiedziałem ze sztywniejącym językiem. – Nie masz powodu. Tylko bądź teraz kimś. Bądź kimś, kto ma jakieś znaczenie.

Patrzyła na mnie przez chwilę, nieśmiała i niepewna.

– Czy jest w Pertynii kobieca forma imienia „Falcio”? – spytała.

– Myślę, że samo „Falcio” jest wystarczająco kobiece – powiedział odruchowo Brasti, nie potrafiąc powstrzymać impulsu, by zażartować, i sprawiając, że w moich oczach znów była dla niego nadzieja.

– Nie – wychrypiałem. – Ale podoba mi się „Valiana”. To dobre imię.

– Nie jest moje – powiedziała.

– Więc przyjmij je. Spraw, by było twoje.

Spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

– Wiem, co robi ta trucizna – powiedziała Valiana. – I wiem, że nie jestem taka ważna, więc nie będę zabierać ci czasu...

– Przestań – przerwałem. – Bądź ważna. Jeśli... Jeśli nadam ci imię, przyjmiesz je?

Otarła łzy z oczu.

– Przyjmę wszystko, co mi dasz, bo będzie to coś więcej, niż mam teraz, i coś bardziej mojego niż wszystko, co dostałam kiedykolwiek wcześniej.

Przez chwilę łapałem oddech. Chciałem to powiedzieć dokładnie tak, jak należy.

– Nie musisz być ofiarą historii pisanej przez kogoś innego. Możesz być Wielkim Płaszczem. Możesz być... – szukałem właściwego słowa, gdy nagle zrozumiałem to jedno, czego szukałem przez te wszystkie lata. Tego jednego, czego nigdy nie mogłem znaleźć. Tego jednego, czego nawet król nie mógł mi dać.

– Możesz być moją odpowiedzią, Valiano val Mond – powiedziałem cicho. Coś ciepłego spłynęło mi po policzkach i tym razem były to chyba moje własne łzy.

Położyła mi dłoń na piersi i powiedziała:

– Nazywam się Valiana val Mond z Wielkich Płaszczy. I jestem córką Falcia val Monda, jego odpowiedzią daną światu.

Potem zniknęła i pojawił się Brasti, by pocałować mnie w czoło, i chciałem to skomentować w jakiś bardzo zabawny sposób, ale jestem pewien, że nic z siebie nie wydusiłem.

Czułem, jakbym wypływał z dna jeziora, widząc w połowie świat podwodny, a w połowie świat podniebny. Widziałem wzgórza podobne do wzgórz mojej ojczyzny, ale to miało kolor soczystej zieleni i dzięki bogom nie było na nim tych przeklętych niebieskich kwiatków.

Stała tam jakaś postać i widziałem ją tak wyraźnie, jak to tylko możliwe: to był mój król i mówił coś do mnie, ale nie mogłem dosłyszeć co.

Widziałem dziewczynkę, Aline, klęczącą przy mnie na tym świecie, i chociaż nie widziałem w nim tak dobrze, jak w tym nad wodą, słyszałem, że płacze.

Postarałem się najbardziej, jak tylko mogłem, i udało mi się powiedzieć:

– Uśmiechnij się dla mnie. Chociaż raz.

Myślała pewnie, że chciałem, by poczuła się lepiej, ale tak naprawdę po prostu chciałem jeszcze raz zobaczyć ten pieprzony uśmiech.

I spełniła moją prośbę.

A ja nagle to zrozumiałem – wszystko. Napaść na jej rodzinę, tajemnicze klejnoty króla, zagadkowe słowa Krawcowej i przede wszystkim jej imię.

„Więc może ci z nas, którzy spędzają całe swoje życie między tymi dwoma wersami, jednak pojmują, co to wszystko znaczy”.

Znów zobaczyłem swojego króla, ale wciąż go nie słyszałem. Był tam z kimś i chyba próbował mnie przedstawić. Postać stała się wyraźna – to była ona. Wydawała mi się inną osobą, może dlatego, że moje wspomnienia przez te wszystkie lata trochę odbiegły od prawdy. Paelis przyrzekł, że któregoś dnia mi ją zwróci, moją piękną, najśłodszą żonę Aline, i wypełnił swoje przyrzeczenie. Mój król nadał po niej imię swojej córce, a teraz moja żona patrzyła na mnie z bardzo rozszłoszczoną miną. Zastanawiałem się, czy umarli wiedzą, kiedy do nich mówimy, i czy te dość niefortunne słowa, które do niej wypowiedziałem, gdy miałem halucynacje w drodze do królobójstwa, do niej dotarły. Jeśli tak, będę musiał się wytłumaczyć.

Wyraźny świat zaczął mnie odciągać, ale oparłem mu się. „A niech to – pomyślałem – zrobiłem dość dla świętych i bogów i musicie mi dać jeszcze chwilę”.

– Kest – wychrypiałem i zobaczyłem, że klęka obok mnie. Jego twarz była pokryta krwią, a te cięcia nie wyglądały najlepiej.

– Falcio – powiedział miękko.

– Wyglądasz okropnie – stwierdziłem. Wiedziałem, że jakiś święty albo bóg zastanawiał się właśnie, po co dał mi dodatkowe kilka minut, jeśli zamierzam tylko być niemiły, ale nic mnie to nie obchodziło. – Ta dziewczynka – wyszeptałem. – To ona jest klejnotem króla. Jego czaroitem.

– Wiem. Wiem, że nie uwierzysz, ale to Brasti na to wpadł. – Uśmiechnął się. – Wyobrażasz sobie? Wielki plan króla, by ocalić świat po tym, jak go zabraknie, polegał na tym, by położyć się z paroma szlachciankami, abyśmy mogli potem znaleźć jego potomstwo i wprowadzić je na tron. – Poczulem dłoń Kesta na

ramieniu. – Ona nie wie, Falcio. Wciąż myśli, że jest córką lorda Tiarrena. Krawcowa z nią teraz rozmawia.

– Zostanie królową – próbowałem powiedzieć, ale słowa były teraz ledwie słyszalnym szeptem. – A wy...

– Wiem – potwierdził – teraz zaczyna się trudny moment. Ale z setką Wielkich Płaszczy za nami, oceniam nasze szanse jako duże.

Usiłowałem pokręcić głową. „Nie moje – próbowałem powiedzieć. – Ja zrobiłem swoje. Rozwiązałem tę przeklętą zagadkę króla i walczyłem w jego cholernych bitwach. Teraz odchodzę, by znów go zobaczyć, posłuchać o jego szalonych marzeniach i wysłuchać jego kiepskich żartów, usiąść pod cienistymi drzewami ze swoją żoną”.

– Pożegnałeś się?

Głos był stary, złośliwy i pełen ubitego piasku. Mój wzrok zmętniał i znów się wyostriżył, aż wreszcie zatrzymał się na brzydkiej twarzy Krawcowej.

„Proszę, niech jej twarz nie będzie ostatnią, jaką zapamiętam z tego świata”.

Zaśmiała się.

– Ach, Falcio, to twoje poczucie humoru.

Poprzez tępą miękkość trucizny poczułem, jak twarda, pokryta odciskami dłoni chwyta mnie za szczękę i potrząsa nią.

– Wszystko gotowe? – spytała. – Pożegnałeś się ze wszystkimi?

Próbowałem jej powiedzieć, że tak, że jestem już gotowy.

– Słyszę cię doskonale, Falcio.

„To dobrze. Więc pozwól mi odejść. I czy mogę zasugerować, żebyś zrobiła coś ze swoim oddechem?”

Zignorowała moją drwinę – a może to, że mnie słyszy, nie było wcale prawdą.

– Jesteś gotowy się poświęcić, Falcio? – spytała.

„Już to zrobiłem. Zrobiłem wszystko, o co mnie poprosił”.

Znów znalazłem się pod – czy może nad wodą? Czułem dłoń króla na swoim ramieniu, opuszki palców mojej żony dotykały mi policzka. Powietrze było przesycone zapachem sosen i świeżo upieczonego chleba. „Chcę się tam teraz obudzić”.

– Dawaj tu dziewczynkę – szorstki głos Krawcowej przebił się przez szelest liści i szum strumieni. – Kest, daj mi swój rapier.

– Dlaczego? – spytał.

– Zamknij się i rób, co mówię. Święty czy nie, wciąż mogę ci przywalić bardziej, niż na to zasługujesz.

Dłoń na mojej szczęce znów mną potrząsnęła. Paskudny oddech wypełnił mi nozdrza i wciągnął mnie z powrotem do świata.

– Falcio, chcesz wiedzieć, jak działa neatha? – spytała Krawcowa.

„Nie. Co mnie to obchodzi?”

Znów mną potrząsnęła i na sekundę wrócił mi wzrok. Twarz Krawcowej była tuż przy mojej. Staruszka trzymała rapier Kesta. Aline stała za nią.

– To sproszkowana miękka lukrecja, Falcio – zmusiłeś Paelisa, żeby kazał to zrobić swoim aptekarzom. Oszukuje twoje ciało, by przestało walczyć. To dlatego nie czujesz bólu. Ta trucizna cię nie zabija, pozwala ci tylko umrzeć. Odbiera ci wolę, potrzebę i tę upartą złość niepohamowanej chęci życia. Co za ironia, prawda?

„Czy ja wiem?” Jej wzmianka o królu sprawiła, że znów go odszukałem, ale Krawcowa potrząsnęła mną po raz trzeci.

– Nie, nie, Falcio. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy jesteś gotowy się poświęcić?

„Tak! Tak, ty ohydna stara suko. Poświęciłem wszystko. Walczyłem o jego prawa i walczyłem o jego córkę. Walczyłem i walczyłem, aż wszystko, co ze mnie zostało, to rapier w mojej dłoni i gniew w sercu. Poświęciłem się. Teraz daj mi odejść!”

– Och, ty durniu. Umieranie to nie poświęcenie. Jeszcze do tego nie doszedłeś? Przez wszystkie te lata, gdy próbowałaś dać

się zabić w walce? To nie poświęcenie, chłopcze. To wstręt do samego siebie. Radosne samobójstwo. To próżność.

Poczułem, że puszcza moją twarz, i zobaczyłem, jak wstaje. Wypchnęła Aline tak, by stała przede mną, i chwyciła rapier w obie ręce, mierząc nim w szyję dziewczynki.

– Ale to? To jest poświęcenie!

Ufne oczy Aline patrzyły na mnie, gdy ostrze rozpoczęło ruch w kierunku jej szyi.

„Nie...! Kest! Ta starucha straciła rozum – oszalała z żalu i tylko ja to widzę... ona chce...”

Ból wybuchł w każdym włóknie mojego ciała. Rozmazany obraz wyostrzył się i zwęził przede mną w ciasny tunel, chociaż widziałem w nim tylko czerwień. Cały świat był we krwi i wszystko było męczarnią, promieniującą przede wszystkim z mojej lewej dłoni. Uszy wypełnił mi odgłos mojego własnego niepowstrzymanego kaszlu i z oczu popłynęły mi potoki łez. Zaciśnąłem je. To było tak, jakby wszystkie moje zmysły próbowały wyrzucić ze mnie wszystkie resztki spokoju i łagodności.

– Falcio?

Czy to był głos Kesta?

Próbowałem odsunąć od siebie tę wracającą do mnie wyrazistość. „Nie, zostaw mnie. Pozwól mi tam wrócić”.

– Falcio, musisz otworzyć oczy. Musisz puścić rapier.

Niechętnie, nieznośnie boleśnie, moje powieki się podniosły. Byłem na kolanach, a Aline wciąż stała przede mną. Nie poruszyła się. Rapier wisiał w powietrzu o cal od jej szyi, a ja ścisnąłem w krwawiącej dłoni jego klingę, która pod własnym ciężarem wpijała mi się coraz głębiej w ciało. Krawcowa zdążyła już go puścić i tylko mój chwyt sprawiał, że nie brzęknął jeszcze o dno jaskini.

Kest wziął rapier jedną ręką, a drugą delikatnie rozwarł moje palce. Jego wzrok był łagodny i współczujący. Ktoś obwiązał mi dłoń szmatką. Gdybym miał siłę, rozdarłbym ją na strzępy.

Skosztowałem spokoju i miłości. I nagrody. Stałem na skraju ciepłych krain, blisko tych, których najbardziej pragnąłem zobaczyć, a teraz byłem tu, z powrotem na tym nikczemnym świecie, z całym jego zepsuciem i zgnilizną, jego zawiedzionymi nadziejami i rozpaczliwą tęsknotą.

Krawcowa odepchnęła Kesta na bok i chwyciła mnie za tył głowy. Wplotła palce w moje włosy i mocno ją odchyliła, zmuszając mnie, bym patrzył na sklepienie jaskini. Pochyliła się tak, że jej twarz wypełniła mi całe pole widzenia.

– To, Falcio, to jest poświęcenie. To jest cena, którą płacisz za swoje męstwo.

Pocałowała mnie w usta. Było to chyba najbardziej obrzydliwe uczucie w całym moim życiu, ale dzięki temu przestałem myśleć o bolącej dłoni.

Potem uśmiechnęła się do mnie swoim krzywym uśmiechem.

– A teraz rusz dupę i do roboty.

Kłęczałem tak jeszcze przez kilka minut. Wiedziałem, że powinienem się poruszyć, wstać, zająć się jakąś kolejną ważną sprawą, ale nie mogłem. Zasmakowałem radości, ulgi i końca całego tego bólu i wściekłości, które wypełniały moje życie. Od chwili, gdy znalazłem zmasakrowane ciało swojej żony w tamtej gospodzie, szukałem ucieczki w obłędzie. Teraz obłęd zniknął, został mi odebrany, i pozostało tylko cierpienie. Przeklinałem Krawcową za to, co zrobiła. Przeklinałem króla za to, że złamał obietnicę, że połączy mnie z żoną. I przeklinałem też ją za to, że tamtego dnia była tak piekielnie odważna. „Ty i ja zestarzejemy się razem i będziemy się śmiać z dnia, w którym te głupie ptaki wylądowały na naszych polach”. Zrobiła błąd i głupotę i zostawiła mnie samego w tym miejscu tak pełnym ropiejącej zgnilizny, że nie widziałem już, gdzie ten rozkład się kończy.

Jakieś ręce chwyciły mnie pod ramiona i podniosły. Wiedziałem, że to Kest i Brasti, bo nikt inny by się nie ośmielił. Nie

miałem nawet ochoty się opierać, więc pozwoliłem im wynieść mnie z jaskini z rękami zarzuconymi na ich ramiona jak zamroczony pijak. Miałem zamknięte oczy, ale poczułem na twarzy ciepło porannego słońca, więc uniosłem powieki, mając nadzieję, że ostre światło przynajmniej na chwilę mnie oślepi.

– Do diabła, Falcio – powiedział Brasti miękkim tonem. – Nie ma słów, które mogą opisać, jak mi przykro.

Odruchowo otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wiedziałem co.

– Daj spokój – powiedział Kest.

– Nie – zaoponował Brasti. – To trzeba powiedzieć. Musimy głośno powiedzieć, co się tutaj wydarzyło.

Puścił mnie i stanąłem na ziemi. Kest próbował mnie podtrzymywać, ale go odepchnąłem.

Brasti odwrócił się do mnie przodem, położył mi ręce na ramionach i potrząsnął głową.

– Bogowie i święci, Falcio. Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro. Nawet sobie nie wyobrażam, co właśnie przeżyłeś.

– Brasti, zostaw go – powiedział Kest.

– Ja muszę to wiedzieć, Falcio. Jak było? Bardzo źle?

Odnalazłem go wzrokiem. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś mógł mi zadać takie pytanie.

Brasti lekko mną potrząsnął.

– Muszę to wiedzieć, Falcio – powiedział i jego współczującą minę zastąpił nagle maniackalny uśmiech. – Jakie to uczucie pocałować tę ohydłą staruchę?

Przez moment miałem wrażenie, że wszystko wokół stanęło. Nawet wiatr wstrzymał oddech. Do tej chwili nie wiedziałem tak naprawdę, co znaczy rozpacz, chociaż żyłem z nią przez cały czas. Myślałem, że rozpacz to coś, z czym się walczy i ginie – coś, co trzeba ubrać w szaleństwo i wściekłość, by się przed tym osłonić. Ale teraz, wbrew wszelkiej logice i przyzwoitości, Brasti postanowił w tej niewyobrażalnej chwili, że obróci cały ból tego świata

w żart. „Ty i ja zestarzejemy się razem i będziemy się śmiać z dnia, w którym te głupie ptaki wylądowały na naszych polach” – powiedziała mi. Puste słowa, a jednak ich pustka pozostawiła dziurę, którą trzeba było czymś wypełnić. Dźwięk, który wyszedł z moich ust, był ostry i niezgrabny, jak u człowieka, który zapomniał ludzkiej mowy, ale pobudził Brastiego, który zaczął się idiotycznie śmiać.

– Bogowie, Falcio, pocałowała cię tak mocno, że przestała ci działać szczeka.

Wtedy usłyszałem prawdopodobnie najbardziej absurdalny dźwięk w życiu: Kest chichotał.

– To nie jest śmieszne – powiedział, próbując przestać.

– Oczywiście, że nie, ty durny święty – odparł Brasti. – Nie ma nic śmiesznego w tych płamistych ustach, tym przenikającym cię do głębi cuchnącym oddechu. Powiedz mi, Falcio, czy czułeś, jak wysychają ci jaja, kiedy poczułeś jej język?

– Przestań! – zawołał Kest, wciąż śmiejąc się tak bardzo, że wyglądał, jakby z trudem trzymał się na nogach.

– Naprawdę muszę to wiedzieć – powiedział Brasti płaczliwie. – Jeśli masz być Świętym od Mieczy, to ja mógłbym chociaż zostać Świętym od Kochanków. Wyobrażam sobie, że jeśli ty musisz potrafić pokonać każdego w walce, ja musiałbym umieć pokonać ich w łóżku, a co może do tego lepiej przygotować niż położyć się z Krawcową? No dawaj, Falcio, szepnij mi słówko, pomóż mi zostać świętym. To moje przeznaczenie!

Kest potknął się i upadł na ziemię.

– Dosyc – wydusił. – Nie wytrzymam!

– Ha! – zawołał Brasti. – Pokonałem Świętego od Mieczy! – zaczął podskakiwać do przodu i do tyłu, machając pięściami w parodii lekcji walki wręcz, jakich udzielał kiedyś Kest. – No, Kest, jak długo byłeś świętym? Pół dnia?

Za nimi w oddali zobaczyłem samotną małą postać. Zostałem Kesta i Brastiego i ruszyłem w jej kierunku. Miała skrzyżowane na piersi ramiona.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, kto był moim ojcem? – spytała. Jej głos był pełen gniewu i urazy.

– Nie wiedziałem o tym – powiedziałem. – Zrozumiałem to dopiero, kiedy byłem... kiedy miałem w sobie truciznę.

– A Trin? Krawcowa mówi, że ona wciąż gdzieś tam jest.

– Ja...

Ciągle prześladował mnie śmiech Patriany w Rijou: „Moja córka jest znacznie groźniejsza ode mnie”.

– Nie, zdaje się, że też nie zorientowałem się, kim jest.

– W takim razie jesteś wielkim głupcem. – To nie było pytanie.

– Tak, właśnie zaczynam to odkrywać.

Potem spojrzałem na nią, jakbym zobaczył ją po raz pierwszy. Pomyślałem, że jest ładną dziewczynką, chociaż przez swoje wyraziste rysy nie zostanie raczej legendarnie piękną królową z bajki. Długi nos i szerokie usta mojego króla już o to zadbają. W jej minie było tyle jego drobnych dziwactw, że mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, poczułem, że się uśmiecham. Jak ja mogłem tego wcześniej nie zauważyć?

– Co? – spytała Aline, kopiąc mnie w kostkę.

Zaśmiałem się.

– Twoja twarz.

– Co z nią?

Ukląknę i objąłem ją.

– Zachwyca mnie jej widok.

Nagle mocno mnie przytuliła i zabrzmiały głośne szlochy, ale nie wiedziałem, czy płacze ja, czy ona.

– Nigdy go nie poznałam – chlipnęła – więc dlaczego za nim tęsknię?

Chciałem jej powiedzieć, że znałem króla Paelisa lepiej niż siebie samego. Chciałem jej powiedzieć, że był człowiekiem pełnym humoru, nieprzyzwoitych żartów i szelmowskich uśmiechów – że poznał, co to rozpacz i mrok, i wyszedł z tego

zeterminowany, by rozświecić go wszystkim innym. Czytał każdą książkę, która wpadła mu w ręce, i brał z nich tysiące pomysłów. Spędził życie, wprowadzając je w ruch, ale nigdy nie zapominał o swoich przyjaciółach i współczuciu. Chciałem jej powiedzieć, jak to się stało, że ma na imię Aline.

Ale nie teraz; jeszcze nie teraz.

– Cóż, przede wszystkim – powiedziałem – był beznadziejnym szermierzem i kiepsko gotował.

Poczułem, jak pociera swoim policzkiem o mój i spazmatycznie chichocze – zostaliśmy w tej pozycji jeszcze przez kilka minut, a wokół nas rosła szalona nadzieja, rozlewając się jak woda deszczowa po twardej skorupie świata.

PODZIĘKOWANIA

Zamiast podziękowań, oto plan, jak w siedmiu krokach doprowadzić do wydania książki:

Po pierwsze ożeń się z bibliotekarką. Moja żona Christina wie o książkach i czytelnikach więcej, niż ja dowiem się kiedykolwiek. Inspiruje mnie swoją błyskotliwością, urodą i ograniczoną cierpliwością do mojego marudzenia.

Po drugie jeden z twoich najlepszych przyjaciół musi być lepszym pisarzem od ciebie. Eric Torin przeczytał tę opowieść prawie tyle razy co ja i za każdym razem dawał mi wskazówki, jak ją ulepszyć.

Po trzecie potrzebujesz pierwszych czytelników. John de Castell, Terry Lanthier, Jessica Leigh, Clark Bojin i Dennis Bolter byli tak mili, że przeczytali tę książkę na długo przedtem, nim była warta lektury.

Po czwarte – cóż, kiedy dotrzesz do czwartego kroku, będziesz dokładnie wiedział, co robić. To będzie najtrudniejsze. Dobrze jest pracować z wyjątkowo kreatywnymi ludźmi, jak ci z Vancouver Film School.

Po piąte, kiedy książka jest już bliska ukończenia, będą ci potrzebni ludzie, którzy ją przeczytają i powiedzą ci, czego jej brakuje. Kathryn Zeller, Kim Tough i Samarth Chandolla

podzielili się ze mną celnymi spostrzeżeniami na tej ostatniej prostej pisania.

Po szóste będzie ci potrzebny agent literacki, który jest inteligentny, oddany i uśmiecha się, kiedy mówisz mu o swoich absurdalnych pomysłach i oczekiwaniach. Heather Adams z agencji literackiej HMA jest moim wydawniczym aniołem stróżem. Nigdy bym jej nie poznał, gdyby nie Christina (patrz krok pierwszy: ożeń się z bibliotekarką).

Na koniec będzie ci potrzebny wydawca i redaktor, który zechce poznać twoją opowieść lepiej niż ty sam. Wspaniałe Jo Fletcher i Adrienne Kerr pracują z autorami, którzy są moimi idolami, a jednak poświęcają tyle samo czasu moim tekstom. Jo pomogła też kiedyś udaremnić zamach bombowy. Serio.

Sebastien de Castell
Vancouver 2013



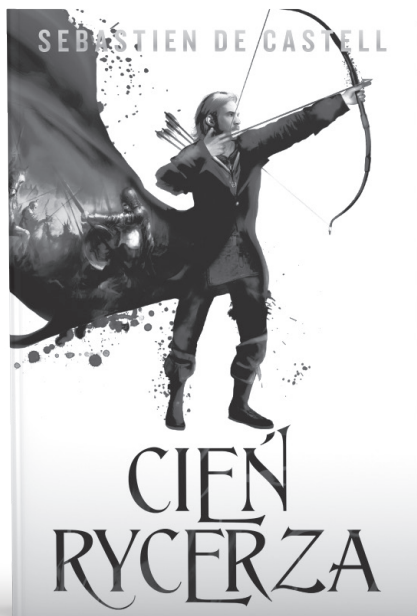
SEBASTIEN DE CASTELL

decastell.pl

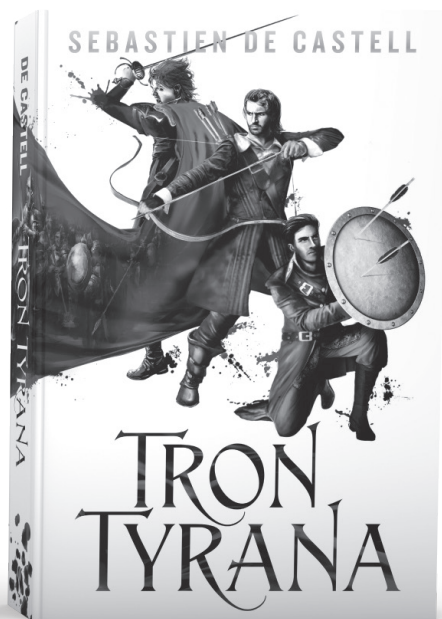
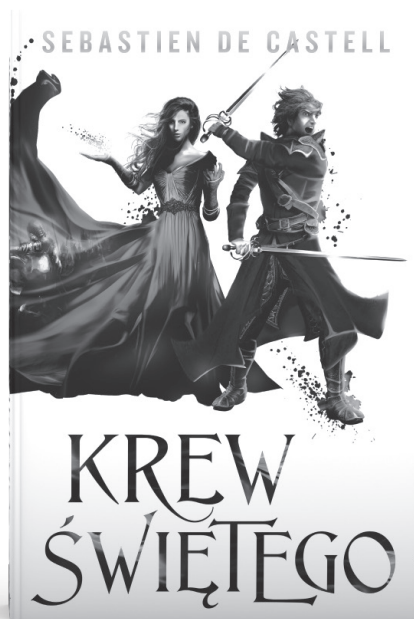
Wejdź na stronę Sebastiena de Castella
i zanurz się w stworzonym przez niego
fantastycznym świecie!



SERIA WIELKIE



PŁASZCZE



POCZUJ SMAK
FANTASTYCZNEJ
PRZYGODY!



www.insignis.pl

Dołącz do nas na Facebooku, śledź nas na Twitterze i obserwuj na Instagramie oraz Snapchacie!

Aktualności, zapowiedzi, konkursy!



Wydawnictwo Insignis
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis



@insignis_media
twitter.com/insignis_media

Instagram



@insignis_media
instagram.com/insignis_media

Snapchat



insignis_media
zeskanuj kod w apce Snapchat